

JANET DAILEY

MASKARADA

Przełożyła Anna T. Niedbalska

Wydawnictwo DA CAPO

Warszawa 1992

1

Sączyła wino z kieliszka, z wyraźnym brakiem zainteresowania przyglądając się wygibasom niskiego, tłustego mężczyzny przebranego w kostium Bachusa, z wiankiem winnych liści na łysej głowie i w todze mocno ściśniętej na potężnym brzuchu. Jego partnerka miała na sobie prostą czarną suknię koktajlową, a we włosach całą kolekcję wstążek i kokardek. W wieczorowym makijażu dominował błyszczący różowy cień na powiekach i błękitne paski na policzkach. Obok kobieta w wysokiej pudrowanej peruce i ze sztucznym pieprzykiem jak z dworu Ludwika XVI tańczyła z mężczyzną w czerwonym smokingu i z rogami diabła na głowie.

Odwracając wzrok, objęła spojrzeniem słynny hotelowy ogród na dachu, jarzący się blaskiem kolorowych lampionów porozstawianych dookoła, których delikatna poświata przedzierała się przez gąszcz starannie przystrzyżonych drzew i krzewów, zlewając się ze światłem świec na stolikach. Tego wieczora odbywał się tu prywatny bal maskowy - jedno z tych skromnych, intymnych przyjęć na góra dwustu gości. Większość zjawiła się w przebraniu, ale byli i tacy jak ona - tylko z maseczką.

Maseczka, którą właśnie trzymała, była wykonana z satyny w tym samym bursztynowym kolorze co suknia i podbicie narzuconej na ramiona futrzanej etoli. Jej twarz o regularnych rysach pozostawała niewzruszona, choć orkiestra grała rocka, a wokół rozbrzmiewały śmiechy i wesoły gwar, wypełniający nocne powietrze mie-

szaniną angielskiego, francuskiego i włoskiego z niemieckim, holenderskim i szwajcarskim akcentem. Ze wsząd dobiegały radosne okrzyki ludzi porwanych szaleństwem zabawy, której gorączka ogarnęła Niceę - bezdyskusyjną królową miast francuskiego Lazurowego Wybrzeża - szaleństwem karnawału, zmuszającego swoich czcicieli do celebrowania wszystkiego, co się świeci, wdziwania masek i pokazywania się, do skrywania i odsłaniania.

Do odkrywania... Wreszcie spojrzała na niego, czując wzbierający w gardle gniew, pomieszany z bólem i gorzycą straconych złudzeń. Stał jakieś trzydzieści stóp dalej, z twarzą częściowo ukrytą za czarną satynową maseczką, w której wyglądał jak pirat z zakrytym okiem. Pirat - postrach mórz i oceanów. Mój Boże, cóż za odpowiednie przebranie - pomyślała. Łupić, plądrować i niszczyć w imię - tylko tak można to było określić - żądy.

Szybko wypła łyk wina, ale nawet alkohol nie zmył niesmaku i przepełniającej ją odrazy. Zacisnęła palce na cienkiej nóżce kieliszka. Co ona właściwie robi na tym przyjęciu? Dlaczego zgodziła się udawać, że wszystko jest w porządku, skoro nie jest i już nigdy nie będzie?

Zagadnął go kelner. Podniósł głowę, przytaknął i ruszył w jej kierunku. Szybko przeszła na skraj dachu, z którego rozciągał się wspaniały widok na ogrody i dalej, na bezkresne Morze Śródziemne. Nie chciała słuchać wyjaśnień, usprawiedliwień.

Ale on nie zmierzał w jej stronę. Zdecydowanym krokiem kierował się do wejścia na taras, po lewej. Zaciekawiona, odwróciła się i zamarła na widok stojącego przy drzwiach ciemnowłosego mężczyzny w eleganckim garniturze. Co on tu robi? Należy przecież do zupełnie innego świata. Patrzyła, jak dwaj mężczyźni podchodzą do siebie i przystają na uboczu, z dala od reszty gości.

Po co tu przyszedł? O co chodzi? Musi się dowiedzieć! Rozejrzała się ostrożnie i spróbowała zbliżyć się do rozmawiających.

- ...chyba zrozumiała, co wydarzyło się wtedy w nocy. Dodała dwa do dwóch i domyśliła się, co zrobiliśmy i w jaki sposób.

- My? Powiedziałaś jej, że byłem w to zamieszany?
- W oskarżycielskim głosie brzmiała nie ukrywana złość.

- Nie musiałem. Sama wszystkiego się domyśliła. Dlatego właśnie dzwoniłem. Pomyślałem, że muszę cię ostrzec. Jak dotąd nie udało mi się nakłonić jej do rozsądku.

Mówili o niej! Z trudem powstrzymała się, by nie wyjrzeć zza małej palmy i nie wtrącić się do rozmowy. Chciała, żeby wiedzieli, że nie wywiną się tak łatwo. Ale ich dalsze słowa ją powstrzymały.

- Skoro nie można jej nakłonić do rozsądku, musisz się postarać, żeby milczała. Nikomu nie może zdradzić tego, co wie. Tu nie ma miejsca na sentymenty. Lepsza okazja już ci się nie trafi. Porwania i nieszczęśliwe wypadki to w Europie chleb powszedni. To będzie jeszcze jeden przypadek poprawiający statystyki.

Przerażona poczuła, że zaschło jej w ustach. On na to nie pozwoli... a może? Ale przecież nie zrobi jej krzywdy. Nie on. Wyraz jego twarzy widzianej z profilu i ocienionej maseczką, która zakrywała prawe oko, był nie do odczytania.

- Nie widzę innego wyjścia - powiedział ponurym, twardym głosem.

Nie! Cofnęła się o krok; kręcąc głową to w prawo, to w lewo, bezgłośnie zaprzeczała, nie wierzyła własnym uszom.

- Załatwisz ją sam, czy chcesz, żebym ja to zrobił?

Kieliszek wina wyśliznął się jej z rąk i rozbił na posadzce tarasu. Obaj odwrócili się i spojrzeli na nią. Przez ułamek sekundy nawet nie drgnęła, sparaliżowana ich wzrokiem. Potem odwróciła się i rzuciła do ucieczki.

- Zatrzymaj ją! Zanim wszystko zniszczy!

Obejrzała się i zobaczyła jakże znajomą twarz, na wpół zakrytą maseczką. Twarz zbliżała się.

Potrąciła szczupłego młodego człowieka w kostiumie tancerki Degasa i pchnęła drzwi prowadzące do

holu i wind. Wiedziała, że to paniczny strach kazał jej uciekać.

Dobiegł do windy w chwili, kiedy za nią zamykały się drzwi. Niecierpliwie nacisnął przycisk, żeby przywołać następną, przeniknięty strachem, strachem, który rodzi się z poczucia winy i braku nadziei. Nie mógł pozwolić, żeby uciekła, bo wszystko pójdzie na marne. Dlaczego ona nie chce tego zrozumieć? Dlaczego to robi? Dlaczego zmusza go do takiego postępowania?

Wychodząc z windy w holu spostrzegł, jak wybiega z hotelu na ulicę. Pośpieszył za nią. Kiedy znalazł się na zewnątrz, właśnie odjeżdżała taksówka. Podniósł rękę, żeby zatrzymać następną, gdy nagle zobaczył ją, jak przebiega przez jezdnię w kierunku parku Massena. Zaraz zniknie mu z oczu w rozbawionym tłumie. Nie może na to pozwolić.

Niewiele jednak mógł zrobić. Rozpłynęła się w powietrzu.

Gdzież ona się podziała? Czarna maska utrudniała patrzenie na boki; musiał odwracać głowę, kiedy uważnie lustrował hałaśliwy tłum w parku. Z tyłu dobiegł go głuchy odgłos, któremu zawtórował kobiecy śmiech. Stał plecami do fontanny na skwerze, gdzie wspaniały słup wody strzelał na jakieś czterdzieści stóp w górę. Odwrócił się i przez chwilę zatrzymał wzrok na brunetce, pluskającej się w basenie fontanny. Wreszcie uświadomił sobie, że nie zna tej kobiety, i podjął poszukiwania, nieświadomie zaciskając pięści.

Nie zwracając uwagi na confetti pod stopami, zrobił dwa szybkie kroki w kierunku bulwaru. Z jednej strony, zaledwie kawałek dalej, ciągnęła się Promenade des Anglais, z jarzącymi się kasynami gry i wspaniałymi hotelami - ekskluzywnymi prywatnymi twierdzami dla bogatych i uwielbianych. Z drugiej strony, za rogiem, zaczynały się zatłoczone uliczki Starego Miasta, pełne podcieni, barów na wolnym powietrzu i nocnych lokali zwanych tutaj *boîtes de nuit*. Dalej rozciągała się Baie des Anges i Morze Śródziemne.

Zawahał się i przystanął na chwilę. Kartonowe postacie z bajek, wyraźnie widoczne w blasku kolorowych świateł, jakby sobie z niego kpiły, rozparte na bogato zdobionych budynkach otaczających skwer. Skręcił w lewo, ale tylko po to, by natknąć się na wspaniałego Króla Karnawału z *papier-mache*, siedzącego na tronie pośrodku skweru.

Zmierzył postać wściekłym wzrokiem i z powrotem spojrzął tam, gdzie kłębił się rozbawiony tłum. Jakim cudem tak szybko zdołała zniknąć mu z oczu? Uważnie przyglądał się ludziom, szukając bursztynowego cienia satynowej maseczki, pasma złota w rozjaśnionych słońcem kasztanowych włosach czy blasku broszki z topazem, którą nosiła tego wieczoru.

Bez skutku. Poczuł, że ściska go w żołądku.

Ktoś potrącił go z tyłu. Instynktownie odwrócił się, podnosząc rękę w obronnym geście, i nakrył dłonią portfel w wewnętrznej kieszeni marynarki. Pamiętał, że w „tłusty czwartek” bawią się nie tylko turyści, ale i kieszonkowcy. Tym razem jednak ostrożność okazała się zbyteczna. Jasnowłosa Niemiec wyciągnął ku niemu butelkę wina, przepaszając go z przesadą, i zatoczył się w drugą stronę, obejmując swojego szczupłego kompana.

Odwrócił się i machinalnie zaczął ścierać z rękawa mokrą plamę. W tym samym momencie dostrzegł ją na trotuarze wysadzanego drzewami bulwaru. Rozglądała się niespokojnie, gotowa w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Jeszcze go nie zauważyła.

Podszedł ją od tyłu i mocno chwycił za ramię.

- Jazda, idziemy!

Szarpnęła się i podniosła głowę. Napotkała jego wzrok. Opierając mu się z uporem, stoczyła z nim walkę na spojrzenia i siłę woli.

- A więc chcesz mnie porwać? Zamordować?

Na chwilę skamieniał.

- Niekoniecznie. Bądź tylko rozsądna, a nikomu nic się nie stanie. Nikomu.

- A co z firmą? To ją zniszczy. - Znowu mierzyła go pełnym wściekłości, wyzywającym spojrzeniem, w któ-

rym kryły się także rozpacz i ból. - Ale ciebie to nic nie obchodzi, prawda?

- Nie mam wyboru.

- Nie masz?

Wzmocnił uścisk na jej ramieniu, udaremniając wszelkie próby ucieczki, i zaciągnął ją w cień za drzewem.

- Musisz zrozumieć...

- Nigdy tego nie zrozumiem! - wybuchła; jej głos nabrał stanowczości. - Jak mogłeś to zrobić? Kim ty jesteś? Nie poznaję cię!

Jej odraza i całkowity brak zaufania przerwał w nim cienką barierę samokontroli. Nieświadomy tego, co robi, chwycił ją za ramiona i potrząsnął brutalnie.

- Nie zdajesz sobie sprawy, o jaką stawkę tu chodzi? Jak możesz mnie tak zdradzać? Gdybyś mnie naprawdę kochała...

- Przestań! Przestań!

Wreszcie odepchnęła go od siebie, a pałeczka, na której umocowana była jej satynowa maska, niczym różga uderzyła go w usta, wywołując grymas bólu.

Zaskoczony, puścił ją instynktownie, żeby zbadać ranę ręką i językiem. Poczł smak krwi i uświadomił sobie, że go zraniła. Ona zraniła go! Rozwścieczony, doskoczył do niej i na odlew uderzył ją w twarz.

Cios odrzucił ją do tyłu, wyrznięta o drzewo. Chwilowe uczucie triumfu rozwiało się, kiedy jej głowa ze stukotem odskoczyła od pnia i dziewczyna osunęła się na ziemię.

- O Boże, nie! - Przyklęknął i dotknął leżącego ciała. - Nie chciałem tego, przysięgam!

Leżała bez ruchu.

- Co tam się dzieje? - zawołał ktoś, sądząc z akcentu, Amerykanin. - Co się stało?

Rzucił okiem za siebie. Żal, strach i poczucie winy sprawiły, że szybko się opanował. Przez ułamek sekundy wahał się, po czym popędził na drugą stronę bulwaru.

Dwaj młodzi mężczyźni, w trykotowych koszulkach i dżinsach, podbiegli do leżącej. Jeden nosił okulary w ciemnej oprawce, drugi - blondyn - obnosił świeżo

przywiezioną z Kalifornii opaleniznę. Pierwszy z nich ukląkł, by zmierzyć kobiecie puls, a drugi puścił się w pogoń za uciekającym.

- Zostaw go, Brad! - zawołał za nim okularnik. - I tak go nie złapiesz, a ta dziewczyna jest nieprzytomna.

- Myślisz, że jest poważnie ranna?

- Nie wiem, ale lepiej wezwać pogotowie.

- I policję - dorzucił jego kolega.

2

Wirująca ciemność wciąga ją coraz głębiej, coraz dalej i dalej od blasku dnia. Usiłuje z nią walczyć, pręży się do światła, jakby jakiś wewnętrzny głos nakazywał jej trzymać się go kurczowo. Ale to boli. Bardzo boli.

Kiedy widziała je po raz ostatni? Nagle jest tuż, tuż... razi w oczy. Udało się!

Próbuje otworzyć oczy, walczy z ociążałymi powiekami. Światło... Dlaczego jest tak jasno? Coś się nie zgadza... Oślepiąca i zdeorientowana, rozgląda się... Nie, nie zna tych nagich ścian, tych szarych zasłon w oknach.

Obok majaczy sylwetka mężczyzny. Rysy jego twarzy rozplývają się przez chwilę, ale w końcu stają się wyraźniejsze.

- Gdzie... - Sztywne, wysuszone wargi nie pozwalają jej mówić. Zwilżywszy je, próbuje jeszcze raz: - Gdzie ja jestem?

- *Américaine* - szepcze ktoś po francusku.

Wciąż jeszcze oszołomiona, stara się odgadnąć, skąd dobiega ten głos. Wreszcie u stóp łóżka dostrzega łysiejącego mężczyznę w wygodnej tweedowej marynarce i golfie. Wygląda jak miły, starszawy profesor.

- Pani jest w szpitalu, *mam'selle* - odzywa się młodszy mężczyzna.

- W szpitalu...? - Marszczy brwi, przekonana, że powinna się teraz znajdować zupełnie gdzie indziej. - Muszę iść. - Czuje, że to bardzo ważne. - Muszę stąd iść.

Próbuje podnieść głowę, ale natychmiast przesywa ją ból i powraca ciemność, gotowa znów porwać ją w swój wir. Z trudem udaje jej się nie poddać, uchwycić głos mężczyzny, chociaż właściwie go nie słyszy - słowa docierają do niej ze zbyt wielkiej odległości. W końcu ból ustępuje.

- ...leży spokojnie - teraz już łatwiej odróżnia poszczególne słowa. - Niech się pani stara nie ruszać.

Znowu otwiera oczy i spostrzega regularną, naznaczoną zmęczeniem twarz.

- Kim pan jest? - Bezskutecznie szuka czegoś znajomego w wyglądzie mężczyzny o ciemnych włosach i oczach.

- Jestem doktor Jules Saint Clair. - Kąciki ust podnoszą się w lekkim uśmiechu. - A jak się pani nazywa, *mam'selle*?

- Nazywam się, nazywam się... - Marszczy brwi, nie rozumiejąc, dlaczego nie może sobie tego przypomnieć. Ale czuje tylko otaczającą bezładną ciemność i pulsujący ucisk w głowie. Ucisk nie ustępuje. - Ja... nie pamiętam. - Napotyka zmieszane spojrzenie i dostrzega, że lekarz odwraca oczy. Stara się przewyciężyć rosnące przerażenie. - Co mi jest? To boli... Chyba... chyba nie mogę myśleć.

- Doznała pani poważnych obrażeń, *mam'selle*. Wstrząs mózgu. Pielęgniarka zaraz da pani środek przeciwbólowy i będzie pani mogła odpocząć.

- Ale jak ja się nazywam? Co się ze mną stało?

Z trudem zadając to pytanie, uświadamia sobie obietnicę, zawartą w słowach doktora. Jest bardzo zmęczona. Zmęczona walką, żeby nie dopuścić do siebie bólu, zmęczona próbami przedarcia się przez gęste i splecione oszołomienie.

- Później, *mam'selle*. Później będzie czas na pytania - powiedział lekarz.

Nie ma siły, by mu się przeciwstawić, więc zamyka oczy. Z daleka słyszy szept lekarza, który daje instrukcje komuś, kto również jest w pokoju. Teraz czuje, że już przy niej nie stoi, ale nie chce jej się otwierać oczu

jeszcze raz, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście odszedł. Zapada się znowu w ciemność, zostawiając bieg wydarzeń samemu sobie.

U stóp szpitalnego łóżka doktor St. Clair wziął kartę chorej i coś na niej notował. Inspektor Claude Armand patrzył na niego w milczeniu przez kilka sekund, wreszcie zapytał:

- Czy to możliwe, żeby ona naprawdę nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywa?

- Tak - odparł lekarz, nie podnosząc głowy znad notatek. - Pacjenci z takimi urazami głowy jak ona są często oszołomieni i zdezorientowani, kiedy odzyskują świadomość. Pewna utrata pamięci nie jest czymś niezwykłym. W większości przypadków po jakimś czasie mija.

- Po jakim?

- Trudno powiedzieć, inspektorze. Kilka godzin, kilka dni, kilka tygodni. - Wzruszył ramionami, nie potrafiąc udzielić bardziej konkretnej odpowiedzi, skończył pisać i schował długopis. - Kiedy pan mnie o to zapytał, zdałem sobie sprawę, że przecież nikt się tu nie zjawił, żeby ją zidentyfikować.

- Nikt.

- Osobiście, inspektorze Armand - lekarz zawiesił głos, równocześnie oddając kartę szpitalną czekającej pielęgniarki - osobiście nie widzę nic niezwykłego w tej tajemniczej niezdolności młodej damy do przypomnienia sobie, jak się nazywa. Ale przyjęliśmy ją, zaraz... prawie trzydzieści godzin temu. Jak można zapomnieć o takiej pięknej kobiecie? To mi się wydaje dziwne.

- *Oui.*

Ale kiedy inspektor Armand opuszczał szpitalny pokój, trapiło go nie tylko to pytanie. Chciał wiedzieć nie tylko jak, ale przede wszystkim, dlaczego?

3

Promienie słońca wpadały przez szpitalne okno i lśniły na jedwabnej sukni, którą przyniosła pielęgniarka.

- Śliczna, prawda? - spytała młoda niewysoka kobieta. Jej bujne kształty, oliwkowa cera i ciemne włosy zdradzały śródziemnomorskie pochodzenie.

Przesunęła dłonią po eleganckiej sukni, którą pielęgniarka położyła na łóżku.

- Bardzo piękna - zgodziła się i skinęła głową. Po czym, pokonując wstyd, dodała: - Ale nie pamiętam, żebym ją kiedykolwiek widziała, ani żebym ją miała na sobie.

Pielęgniarka zerknęła na łysiejącego mężczyznę przy oknie, ubranego w ciemnoszarą sztruksową marynarkę i perłowoszary sweter z golfem. Nosił okulary w złotej oprawie. Skinał głową i lekkim ruchem ręki dał znak, żeby zabrała suknię i dopasowaną do niej etolę.

Została już tylko biżuteria starej roboty: broszka i kolczyki z topazem, otoczone diamentami. Też ich nie poznała. Przycisnęła palcami skronie i żeby zmniejszyć ucisk, masowała je lekko. Wcześniej pielęgniarka dała jej jakiś środek uśmierzający, ale dokuczliwy, tępy ból nie ustępował. Nie chciała jednak silniejszego lekarstwa - nie teraz, kiedy musiała myśleć.

- Czy to już wszystko, co miałam przy sobie, kiedy przywieziono mnie do szpitala?

Za każdym razem, gdy spoglądała na mężczyznę przy oknie, przypominała sobie, że to inspektor policji. Nie

wyglądał na policjanta. Gdyby miała zgadywać, kim jest z zawodu, powiedziałyby, że wykładowcą albo nauczycielem, kimś, kto ma wystarczający autorytet, by sobie pozwolić to na surowość, to na dobrotliwość.

- Nie, nie miała pani ze sobą nic więcej. - Zdjął okulary i włożył je z powrotem do kieszeni marynarki na piersiach. - Ani dokumentów, paszportu, ani klucza do pokoju hotelowego czy torebki.

- A może ukradli mi torebkę? Co mi się właściwie stało? Pielęgniarki nie umiały mi powiedzieć. Czy pan wie, co mi się przydarzyło?

- Dwaj młodzi ludzie, Amerykanie, widzieli jak kłóciła się pani i szamotała z jakimś mężczyzną w parku Massena. Wydawało im się, że ten mężczyzna panią uderzył, co zresztą potwierdzałoby zadrapanie na twarzy. Kiedy zobaczyli, że pani upadła na ziemię, jeden z nich krzyknął i tamten rzucił się do ucieczki. Po oczyszczeniu pani rany, tutaj w szpitalu, znaleziono w niej kawałeczki kory. Na miejscu wypadku znaleziono ślady krwi i włosy tego samego koloru co pani. Można z tego wnosić, że upadając, uderzyła pani głową o drzewo i w ten sposób doznała pani dodatkowych obrażeń.

Teraz już wiedziała dokładnie, co to za obrażenia. Lekarz wyliczył je, kiedy odwiedził ją poprzednim razem: zadrapanie koło ust, wymagająca dwunastu szwów rana na głowie, pęknięcie czaszki, wstrząs mózgu i - co rzadkie - całkowita utrata pamięci. Całkowita w tym sensie, że zatarciu uległy wszystkie szczegóły z jej prywatnego życia, ale nie wiedza ogólna.

- Wiem, gdzie jest park Massena i bazar kwiatowy na Cours Saleya. Nicea leży we Francji. Stolicą jest Paryż - podała kilka faktów. - Ale co ja robiłam w parku Massena?

- Sądzę, że brała pani udział w karnawałowej zabawie.

- Karnawał... To słowo pochodzi od starowłoskiego *carnelevare*, co w wolnym tłumaczeniu oznacza „pożegnanie mięsa” - szepnęła, przypominając sobie jeszcze więcej szczegółów. - To święto ma pogańskie początki,

prawda? Wiosenne obrządki starożytnych Greków czczących co roku cudowne odrodzenie się przyrody, które Rzymianie następnie zmienili i przyswoili sobie wraz z nastaniem chrześcijaństwa, uznając że to okres świąteczny przed Wielkim Postem. Zwyczaj zakładania masek wziętą się jednak od Francuzów.

- Nic nie jest nigdy takie, jak nam się wydaje, prawda, *mam'selle*? - Inspektor uśmiechnął się lekko.

- A co ze mną? - spytała nagle z napięciem. - Jaka ja się panu wydaję?

Wahał się z odpowiedzią, a ona nagle zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak właściwie wygląda. Była uwięziona w ciele jakiejś osoby, o której absolutnie nic nie wiedziała.

- Czy jest tu jakieś lustro, żebym mogła się przejrzeć?

Inspektor zastanawiał się chwilę, a potem przystał na jej prośbę.

- Znajdzie się.

Wyszedł z pokoju i po kilku minutach wrócił z małym lusterkiem.

W napięciu sięgnęła po nie i uniosła powoli, by przyjrzeć się swojemu odbiciu. Jej uwagę przykuł najpierw opatrunek na głowie i ciągnące się od ust zadrapanie. Dotknęła sięgających ramion włosów w złotawym kolorze koniaku i dopiero wtedy zauważyła, jak bardzo jest blada. Zastanawiała się, czy to z powodu braku makijażu, jaskrawego światła czy szarości szpitalnego stroju.

Po chwili doszła jednak do wniosku, że to nie ma znaczenia, i zwróciła całą uwagę na subtelne rysy odbitej w lustrze twarzy: wyraźne kości policzkowe, łagodna linia podbródka i silnie zarysowane czoło. Piaskowobrązowe brwi były grubsze przy nosie i naturalnym łukiem wyginały się łagodnie ku skroniom. W ciemnych oczach, ocienionych długimi, złotawo zakończonymi rzęsami, lśniły bursztynowe ogniki. Usta miała wyraźnie zarysowane - pełna dolna warga i ostry łuk górnej. Przy najmniejszym nawet uniesieniu kącików ust na policzkach ukazywały się pociągające dołeczki. Poza nieco

zakłopotanym wyrazem oczu, odbicie w lustrze ukazywało twarz otwartą i dumną, jakby oczekującą wyzwania.

Czy to jest ona? Zawiedziona, opuściła lusterko. Nie było jej potrzebne. Nie pamięta tej twarzy. Nic nie pamięta.

- Kim ja jestem? - spytała zmartwiona. - Gdzie mieszkam? Co robię? Czy mam jakąś rodzinę, przyjaciół? Leżę w tym szpitalu prawie od dwóch dni. Dlaczego nikt mnie nie szuka? Czy przyjechałam do Nicei sama? Ta suknia... - Przypomniała sobie etykietkę z nazwą firmy. - Od Yves Saint Laurenta. Czy to znaczy, że jestem bogata?

- To całkiem możliwe - zgodził się inspektor. - Choć ta suknia i biżuteria mogły być równie dobrze podarunkiem od szczodrego kochanka. Na Lazurowe Wybrzeże przyjeżdża wielu dobrze zarabiających mężczyzn. A oni z kolei przyciągają tu piękne kobiety.

- I pan myśli, że ja należę do tych pięknych kobiet?

- To nie jest wykluczone. - Wzruszył ramionami. - Tyle że większość z nich to nędzne imitacje Brigitte Bardot Rozwiane blond włosy, zachęcające okrągłości i różowe, nadęte usta. Tylko nieliczne mają taką klasę i wygląd jak pani.

- Dziękuję za komplement - powiedziała odrobinę cierpko.

- Tak, rzeczywiście to był komplement. - Skrzywił usta równie cierpko jak ona. - W każdym razie piękna kobieta może przyjechać do Nicei sama. Ale rzadko kiedy jest sama przez dłuższy czas.

- Myśli pan, że znam tego mężczyznę, z którym się szarpałam?

- Może to była kłótnia kochanków. Albo on chciał zawrzeć z panią znajomość, a pani odrzuciła jego zaloty.

- Ale po co miałabym iść do parku Masséna wieczorem, podczas karnawału, sama i bez torebki? - Nie chciała się z nim zgodzić. - A może ten mężczyzna to złodziej, który mi ukradł torebkę? To mogło być właśnie przyczyną szamotaniny i wyjaśniałoby, dlaczego uciekł.

- A dlaczego w takim razie ukradł pani torebkę, a nie zabrał biżuterii?

- Nie wiem. - Westchnęła znużona, zmieszana i zawiedziona. Jej umysł wciąż tonął w ciemnościach, nie mogąc znaleźć odpowiedzi na żadne z dręczących ją pytań. - Musi być jakiś sposób, żeby dowiedzieć się, kim jestem. Na pewno jest gdzieś pokój, w którym są moje rzeczy, moje kosmetyki, biżuteria.

- Przeprowadziliśmy poszukiwania we wszystkich hotelach i pensjonatach w mieście - odpowiedział inspektor. - Ale niech pani weźmie pod uwagę, że w okresie karnawału ludzie często całe noce spędzają poza domem. Więc nieobecność gościa w pokoju przez jedną noc może ująć uwagi personelu. Dwie kolejne noce, to co innego. Przy odrobinie szczęścia jutro powinienem coś wiedzieć.

- Mam nadzieję. Muszę wiedzieć, kim jestem.

Uniósł brew i spojrzał na nią zaciekawiony.

- Powiedziała to pani z niezwykłym naciskiem, *mam'selle*.

- Wiem. - Usłyszała zaniepokojenie w swoim głosie i próbowała je wytłumaczyć. - Mam takie wrażenie, inspektorze, takie bardzo niejasne, natrętne wrażenie, że powinnam gdzieś być. To ważne. Więcej niż ważne. Tak, jakby coś strasznego miało się zdarzyć, jeżeli mnie tam nie będzie.

- Gdzie? - Inspektor zadał to pytanie spokojnym głosem, prawie bez zainteresowania, jak gdyby obawiał się, że nagły wstrząs rozwieje wspomnienia pacjentki. Ale ta ostrożność niewiele dała.

- Nie wiem. - W jej głosie słychać było zawód. Z takim napięciem usiłowała sobie coś przypomnieć. Im bardziej jednak wysilała pamięć, tym cięższa stawała się jej głowa. Nagle zabrakło jej sił do dalszych zmagania. Opadła na szpitalne poduszki i zamknęła oczy, pograżając się w ciemność.

- Zmoczyłem panią pytaniami. Przepraszam... - Uprzejmy głos inspektora był pełen ubolewania. - Niech pani teraz odpocznie. Przyjdę jutro.

Wyszedł i znów została sama. Sama z pustką w pamięci, pustką, której nie miała siły niczym wypełnić. Odwróciła głowę i spojrzała przez okno na błękitne niebo, od którego Lazurowe Wybrzeże wzięło swą nazwę. Gdyby tylko wiedziała, co ma zrobić, dokąd pójść... Ale gdzie można odnaleźć pamięć?

4

Z korytarza dobiegał ją szmer ściszonych, jak to w szpitalu, głosów i szelest nylonowych fartuchów pielęgniarek w białych butach i skarpetkach. Ale nikt nie podchodził do drzwi jej pokoju, gdzie żaden bukiet kwiatów nie ożywiał nagości ścian i nie rozsiewał słodkiego zapachu tłumiącego woń środków dezynfekcyjnych.

Zdenerwowana, rozdrażniona i zmęczona patrzeniem na ściany, których biel odbijała stan jej umysłu, odrzuciła nakrycie i usiadła na skraju łóżka. Zakręciło jej się w głowie. Chwyliła krawędź materaca, czekając, aż pokój przestanie wirować, i dopiero po chwili powoli opuściła nogi na podłogę i odważyła się stanąć. Poczowała chłód, ale nie miała przecież szlafroka. Tylko tę wieczorową suknię. Odwróciła się, ściągnęła z łóżka pled i zarzuciła go na ramiona jak indiańską szatę.

Była już w pół drogi do drzwi, kiedy zdała sobie sprawę, że jakiś wewnętrzny głos mówi jej, że musi iść, że jest potrzebna gdzie indziej. Ale gdzie? Dlaczego? I skąd ten pośpiech? Czy grozi jej niebezpieczeństwo? Czy ten mężczyzna, z którym się szamotała, rzeczywiście chciał ją zranić, czy też może próbował ją skłonić, żeby z nim gdzieś poszła? Ale dokąd? I co jej grozi? Z czyjej strony? Gdzie on jest teraz?

Dręczona pytaniami, podeszła do okna, z którego jak na pocztówce rozciągał się widok na całą Niceę, miasto radości i kwiatów, słońca, morza i miłości, miasto spokojnych dni i ożywionych nocy. W oddali promienie

słońca ślizgały się po głębokim lazurze morza w Baie des Anges, gdzie wzdłuż brzegu ciągnęły się prywatne plaże, zatłoczone w lecie leżącymi ciasno, jedno przy drugim, lśniącymi, opalonymi ciałami. Bliżej widziała czerwone dachy domów w kolorze ochry i podobne do włoskich kościoły w starej części miasta, pełnej wąskich, wychodzących na małe placzki uliczek.

Okryła się szczelniej pledem i oczyma poszukała sceny, która tak bardzo przypominała jej obrazy Matisse'a i Cezanne'a. To właśnie tutaj mistral, który w dolinie Rodanu wyrывa drzewa z korzeniami, zamienia się w lekką bryzę, ledwie falującą w koronach palm wzdłuż Promenade des Anglais. Architektura w swym charakterze była zdecydowanie bardziej śródziemnomorska niż francuska, przypominając w ten sposób, że przed niespełna stu pięćdziesięciu laty Nicea należała do Włoch.

Czy ona powinna być teraz właśnie tutaj, w Nicei? Czy dlatego się tu znalazła? Ale skąd mogła wiedzieć, czy tu nie mieszka? Mówi po angielsku z amerykańskim akcentem, tak twierdzi inspektor, ale przecież mówi także płynnie po francusku. Suknia zrobiona na zamówienie w znanej firmie, biżuteria... Niewykluczone, że naprawdę jest bogatą Amerykanką, która mieszka za granicą. Może właśnie w Nicei. Przecież zna nazwy ulic, wie, gdzie jest wspaniała herbaciarnia przy rue St. Francois de Paule... Ale jeśli często bywała w tym mieście, też mogła wiedzieć takie rzeczy.

Jeżeli miała być teraz gdzie indziej, to wobec tego gdzie?

Głowa znów zaczęła jej ciążyć. Odwróciła się od okna, machinalnie masując sobie skronie.

Inspektor Armand stał w drzwiach, a jego swobodna poza świadczyła o tym, że obserwuje ją już od jakiegoś czasu. Wyprostowała się i rzuciła okiem na łysiejącą głowę, szpakowate włosy przechodzące w zupełnie siwe na skroniach, przyjemną okrągłość rysów i sympatyczne niebieskie oczy. Nie słyszała, jak wszedł. Wślizgnął się do pokoju po cichu, tak jak dyrektor szkoły zakrada się do klasy, żeby obserwować uczniów.

- Widzę, że pani już wstała. - Jego oczy wpatrywały się w nią uważnie. - To dobrze.

Szybko zbliżyła się do niego i spytała głosem pełnym napięcia:

- Dowiedział się pan już, kim jestem?

- Niestety nie. Poszukiwania w hotelach nic nie dały. Wszyscy goście wrócili i w żadnym pokoju nic nie pozostawiono, poza paroma drobiazgami, których wyjeżdżający po prostu zapomnieli spakować.

Starła się nie okazywać rozczarowania.

- I przypuszczam, że nikt mnie nie szukał?

- Nie.

Skinęła głową.

- I co teraz, inspektorze?

- Teraz rozszerzymy nasze poszukiwania na apartamenty, domy, wille i jachty...

- To zajmie dużo czasu. - Popatrzyła na swoje ręce, na splecione palce, napięte teraz i skręcone, podobnie jak jej sytuacja.

- Niestety, trochę to potrwa.

- Nie wiem, czy mogę czekać tak długo, żeby dowiedzieć się, kim jestem. - Zmusiła palce, żeby przestały ścisnąć prześcieradło. - Musi być jakiś inny, szybszy sposób.

- Kiedy widziała pani rano doktora Saint Clair, czy był w stanie coś pani powiedzieć?

Naprężyła kącki ust.

- Jeżeli ma pan na myśli coś innego niż to, że rana na głowie dobrze się goi, to nie. Ale zamówił specjalistę, który obejrzy mnie dziś po południu. To jakiś psychiatra czy psycholog. Nie pamiętam dokładnie.

- Może będzie bardziej pomocny.

- Może. - Znowu skinęła głową. - Gdybym tylko potrafiła sobie coś przypomnieć, cokolwiek.

- A może wygodniej nie pamiętać.

Skupiła na nim całą swą uwagę.

- Co pan ma na myśli? - Spostrzegła, że obserwuje ją z napięciem, zwracając uwagę na najmniejszy szczegół jej reakcji na to zdumiewające stwierdzenie. - Czy pan

uważa, że ja tylko udaję amnezję? Dlaczego? Co mogłabym dzięki temu zyskać?

- Sam sobie zadaję takie pytanie.

Spojrzała na niego, zdumiona wnioskami, jakie mu się nasuwały w tej sytuacji.

- O Boże, pan mnie bierze za przestępczynię? Dlaczego pan nie sprawdzi, czy figuruję w kartotekach?

- To była jedna z pierwszych rzeczy, które zrobiłem. Działania rutynowe, rozumie pani. - Usta wykrzywił mu przepraszający uśmiech, którym złagodził jej podejrzenia.

- Oczywiście pańskie rutynowe działania nic nie przyniosły, bo inaczej by mnie pan aresztował.

- Rezultaty poszukiwań okazały się negatywne - przyznał inspektor.

- Chyba pan nie myśli poważnie, że to by było możliwe?

- W moim zawodzie nie zaszkodzi sprawdzić każdą możliwość, dopóki prawda nie wyjdzie na jaw.

- Rozumiem. Zastanawiam się, czy jeszcze coś wiem. Jestem tak zmęczona tymi nie kończącymi się pytaniami.

- Życie to jeden wielki znak zapytania, prawda? I przez całe życie próbujemy znaleźć odpowiedź. - Uśmiech rozjaśnił mu twarz. - Ale to jest właśnie ironia losu: podczas kiedy pani tak zawzięcie stara się swoją przeszłość przywołać, wielu ludzi pragnęłoby o niej zapomnieć.

W tym momencie do szpitalnego pokoju wkroczył niski, szczupły mężczyzna o gęstych włosach i krzaczastych brwiach. Pod pachą trzymał małą walizkę i papierową teczkę.

- Jestem doktor Gervais. Doktor Saint Clair prosił... - Zamilkł i spojrzał na inspektora. - Ma pani gościa...

- Inspektor Claude Armand - uprzejmie przedstawił się policjant.

- Przyszedł pan przesłuchać pacjentkę? - Lekarz spojrzał na niego jeszcze raz, z dość nieokreślonym wyrazem twarzy.

- A pan, żeby ją zbadać. - Inspektor uśmiechnął się, ale jak zwykle, jego uśmiech ominął oczy. - Nie ma pan

nic przeciwko temu, żebym został tutaj w trakcie badania, prawda?

Lekarz był wyraźnie zaskoczony pytaniem, ale w końcu wzruszył ramionami w krótkim, wyrażającym całkowitą obojętność geście.

- Może pan wyjść albo zostać, jak pan sobie życzy.
- Usiadł, odwrócił się do pacjentki i jeszcze raz się przedstawił. - Doktor Saint Clair powiedział mi, że obrażenia głowy spowodowały u pani zaburzenia pamięci.

- Zaburzenia to nie jest właściwe określenie, doktorze. Ja nic nie pamiętam. Nawet nazwiska, adresu, nawet rodziny, jeżeli przyjmiemy, że mam jakąś rodzinę.

- Hmm... - Zasepił się, ale odpowiedź pacjentki wydała mu się na tyle interesująca, że wycelował palec w jej stronę. - Proszę, niech pani usiadzie wygodnie i porozmawiajmy.

- Innymi słowy, niech się pani położy na leżance - mruknęła niechętnie.

Spojrzał na nią zdziwionym wzrokiem i rozejrzał się po pokoju.

- Tu nie ma leżanki - powiedział i zaintrygowany, zmarszczył brwi, wyciągając wniosek z tego, co usłyszał.

- Ach, pani żartowała. To dobrze, że zachowała pani poczucie humoru.

- To jedna z niewielu rzeczy, jakie udało mi się zachować.

Ominęła łóżko i usiadła na krześle, świadoma, że inspektor z boku słucha i obserwuje.

Lekarz usiadł na drugim krześle i założył nogę na nogę. Poruszając nią nerwowo, umieścił na kolanie teczkę, otworzył ją i zaczął wertować jakieś papiery.

- Możemy zaczynać? - zapytał w końcu.

Po trzydziestu minutach, podczas których badał jej zdolności pamięciowe i wypytywał o wiele rzeczy, zarówno z zakresu wiedzy ogólnej, jak i z jej własnej przeszłości, cierpliwość pacjentki była na wyczerpaniu. Kiedy na chwilę zapadła cisza, spytała:

- Do czego w ten sposób dojdziemy, doktorze?

Spojrzał na nią, jakby odpowiedź była zupełnie oczywista.

- Staram się określić, jak rozległe są luki w pani pamięci. Amnezja może przybierać różne formy i ma wiele przyczyn: starość, alkoholizm, terapia elektro-wstrząsowa, ostra encefalopatia, wstrząs mózgu... W zależności od przypadku, objawy amnezji wynikają z uszkodzenia takich części mózgu jak jądra limbiczne, *hipocampus*, *thalamus* i ...

Przerwała mu, zdezorientowana, potrząsając głową.

- Wyraża się pan zbyt fachowo, doktorze.

- Bardzo przepraszam. - Wymownie pochylił głowę.

- Pierwsze badanie wykazuje, że w pani przypadku mamy do czynienia z tak zwaną amnezją pourazową, na skutek doznanego wstrząsu mózgu. To częste następstwo poważnego uszkodzenia głowy.

- Ale kiedy wróci mi pamięć?

- Trudno powiedzieć. Może dzisiaj, jutro, w przyszłym tygodniu, za miesiąc. - Oparł się na krzesło i w zamyśleniu uniósł brew. - Prawdopodobnie pamięć będzie wracała stopniowo, fragmenty przeszłości będzie pani sobie przypominać albo w porządku chronologicznym, poczynając od tych ostatnich, albo przypadkowo, jak części układanki, które w końcu muszą się złożyć w całość.

- Ale to nie jest trwała amnezja?

- Zdarzało się, że pacjent nigdy nie odzyskał pamięci, ale takie przypadki są bardzo rzadkie. - Zawahał się i dodał: - Niemniej jednak jest możliwe, że nigdy nie przypomni sobie pani wydarzeń bezpośrednio poprzedzających wypadek.

- Innymi słowy, mogę nie pamiętać, kim był albo jak wyglądał mężczyzna, z którym się szamotałam - podsumowała.

- Właśnie.

- Nic pan nie mówi o leczeniu. - Była wyraźnie zmartwiona, że o tym zapomniał. - Jakieś lekarstwa, hipnoza...

- Hipnoza często daje pozytywne wyniki w przypadkach amnezji historycznej, kiedy nie istnieje przyczyna fizyczna, to znaczy uraz mózgu.

Spojrzała na niego uważnie.

- Chce pan powiedzieć, że wszystko, co mogę zrobić, to siedzieć i czekać, aż wróci mi pamięć, jeżeli w ogóle wróci?

- W zasadzie tak.

- Nie zgadzam się na to. Musi być coś, co mogłabym zrobić! - Podniosła się i podeszła sztywno do okna.
- Musi.

- Nie może pani skłonić swojej pamięci do powrotu, *mademoiselle*. Im bardziej będzie się pani o to starała, tym będzie to trudniejsze. Lepiej niech pani spróbuje odpocząć, wtedy pamięć wróci w sposób naturalny.

- To gorzkie lekarstwo, doktorze - szepnęła, nie mogąc ukryć rozczarowania w głosie.

- Ale najlepsze.

Przez kilka minut lekarz wyjaśniał jej proces rekonwalescencji, a potem wyszedł.

Stała przy oknie, walcząc ze łzami i ogarniającym ją poczuciem beznadziejności. Nagle jakiś szmer przypomniał jej, że w pokoju wciąż jeszcze jest inspektor. Rzuciła mu szybkie spojrzenie i podnosząc głowę trochę wyżej, utkwiała wzrok w kolorowych żaglach jachtów stojących w zatoce.

- Pan doktor nie okazał się zbyt pomocny, prawda?
- spytała ironicznie.

- Nie, poza tym, że z rozmowy wynikało, że pani znajomość medycyny i anatomii jest dość ograniczona. Możemy chyba przyjąć, że z medycyną nie ma pani nic wspólnego.

- Ale przecież ja muszę coś robić, mieć jakieś zainteresowania. - Ciemności, w jakich się obracała, męczyły ją coraz bardziej. Odwróciła się od okna.

- Suknia, którą miała pani na sobie, jest bardzo kosztowna. Być może jest pani bogata i nie musi pracować.

- Być może. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, że siedzę beczynn timer spaceruję po butikach albo wypełniam sobie czas przyjęciami i dobroczynnością. Takie życie byłoby dla mnie pozbawione celu.

- A jak pani myśli, co mogłaby pani robić?

Przez chwilę zastanawiała się, szukając odpowiedzi.

- Ja... nie wiem.

- Niech mi pani powie, co pani wie na temat prawa. Pierwsza rzecz, jaka przychodzi pani na myśl.

- Swobodne skojarzenia, mówi pan? - Spojrzała ponad nim, podczas gdy w duszy ciekawość walczyła z racjonalnym myśleniem.

- Coś w tym rodzaju.

- Prawo... - Zamknęła oczy i spróbowała się odprężyć, pozwalając myślom płynąć swobodnie. - Korporacje, przestępczość, nadużycia, kajdanki, wezwanie sądowe, *habeas corpus*... - Czuła, że próbuje grupować słowa i potrząsnęła głową. - To wszystko. Spróbujmy czegoś innego.

- Bankowość.

- Konto w Szwajcarii, depozyt, kurs wymiany, procentowanie, pożyczki, hipoteka, sprawdzanie rachunku, oszczędności.

Znowu rzeka szybko recytowanych terminów ogólnych. To samo z reklamą, naftą, wyposażeniem wnętrza, filmami, komputerami i turystyką.

- Spróbujmy jeszcze raz - nalegała, nie tracąc nadziei.

- Zna pani biegle francuski i angielski - zauważył inspektor po krótkiej chwili wahania. - Może jest pani tłumaczką? Kiedy znów zacznę, proszę równocześnie przekładać to, co będę mówił, na angielski.

- Dobrze. - Utkwiła wzrok w jego ustach i czekała w napięciu, mimo że ze wszystkich sił próbowała się odprężyć.

Zaczął mówić - ani zbyt szybko, ani powoli.

- Urodziłem się w prowincji Alpes Maritimes i wychowałem się w Levens, w takiej spokojnej wiosce w dolinie Vesubie...

Zdołała przetłumaczyć pierwsze dwanaście słów czy coś koło tego, ale potem zaczęła się mylić. Zapominała to, co już powiedział, kiedy próbowała słuchać tego, co właśnie mówi. Im bardziej się starała, tym gorzej jej wychodziło.

- Proszę, niech pan przestanie. - Śmiejąc się ze swojego kulawego tłumaczenia, podniosła ręce, jakby w geście kapitulacji. - Nie potrafię, nie mam podzielnej uwagi.

- To trudne, prawda?

- Tak - odparła z rozbawieniem, które jednak, wobec kolejnej nieudanej próby, szybko zamieniło się w smutek. - Co nam jeszcze zostało, inspektorze?

- Niewykluczone, *mam'selle*, że nie ma pani żadnego zawodu, to wciąż możliwe.

- Że jestem tylko ozdobą salonów, to pan ma na myśli?

- Powiedziała to pani z odrobiną pogardy.

- Wydaje mi się, że tak. - Ale nie interesowały jej własne reakcje. - Mam takie uczucie, że powinnam gdzieś teraz być. Jeśli to prawda, to dlaczego nikt nie zauważył mojej nieobecności? Dlaczego nikt mnie nie szuka?

- Być może, kiedy dowiemy się, kim pani jest, znajdziemy odpowiedzi i na te pytania.

- Ale kiedy to będzie? - Nie ukrywała już niepokoju i rozczarowania. Odwróciła się od niego i podeszła do okna, kurczowo zaciskając palce na pleidle. - Jak długo będę musiała czekać?

- Umówiłem się na dzisiaj z fotografem. Przyjdzie i zrobi pani zdjęcie - powiedział po krótkiej chwili milczenia. - Gazeta zgodziła się opublikować je w jutrzejszym wydaniu. Może ktoś panią pozna i się do nas zgłosi.

- Może...

Odpowiedziała uprzejmie, kiedy ją pożegnał, ale nie odwróciła się od okna. Całą uwagę skupiała na błękitnym niebie. Było równie bezkresne jak ten nie kończący się wir pytań i wydawało jej się, że tak już będzie. Zawsze.

5

— Znaleźliśmy ją - powiedział przez telefon mężczyzna, bacznie przyglądając się niewyraźnej fotografii na cienkim gazetowym papierze. Zdjęcie ukazywało młodą kobietę, z obandażowaną głową i z podrapaną bladą twarzą. W oczach, które patrzyły wprost na niego, nie było rozpaczy, jedynie stanowcze pytanie.

- Gdzie on jest? - rzucił krótko mężczyzna po drugiej stronie.

- W szpitalu w Nicei.

- W szpitalu?

- Tak. Właśnie dostałem kopię artykułu, który ukazał się w porannym wydaniu tamtejszej gazety, gdzie wydrukowano także jej zdjęcie.

Raz jeszcze rzucił okiem na artykuł. W gruncie rzeczy był tam tylko suchy opis faktów, niewiele więcej. Podano jej wzrost pięć stóp i cztery i pół cala, wagę: sto trzydzieści funtów, takie szczegóły jak ciemnoblond włosy, ciemne oczy i wiek, który oceniono na około dwadzieścia pięć do trzydziestu lat Wszystko to wiedział. Ale był jeszcze jeden dodatkowy element, który wiele wyjaśniał.

- Mój francuski jest trochę zardzewiały, ale zdaje się, że ona cierpi na zanik pamięci.

- Zanik pamięci! Mój Boże, czy to znaczy, że nic nie pamięta?

- Na to wygląda. - Nie potrafił ukryć nutki zadowolenia w głosie. - W gazecie nazywają ją *Demoiselle de Mystère*.

- To wspaniała wiadomość.
- Wiem.
- Musisz się tam dostać, i to szybko.
- Też tak sądzę.
- Koniecznie. Nie możemy sobie pozwolić, żeby odzyskała pamięć i zaczęła mówić. Liczę, że uda ci się ją uspokoić. A jeśli tobie się nie uda, to ja to zrobię. Siedzę w tym wszystkim zbyt głęboko, żeby czekać, aż ona mnie zniszczy. Przykro mi, ale tak to wygląda.
- Nie martw się.

Usłyszał krótki trzask odkładanej słuchawki.

Patrzyła na gruboziarnistą czarno-białą fotografię, dziwiąc się, że nie czuje z nią żadnego związku. Z drugiej strony, trudno się temu dziwić, skoro nie pamiętała własnej twarzy.

Szkoda, że fotograf nie przyszedł dwanaście godzin później. Doktor St. Clair zdjął jej dzisiaj ten wielki turban i zostawił tylko mały kwadratowy opatrunek na głębokiej ranie, który prawie w całości zasłaniały długie do ramion włosy.

Lekarz powiedział też, że już niedługo będzie czuła się wystarczająco dobrze, żeby wyjść ze szpitala. To stwarzało jednak zupełnie nowe problemy. Dokąd pójdzie? Jak będzie żyła, jeśli nie ma ubrań, pieniędzy, nawet imienia, poza tym melodramatycznym przydomkiem, jaki nadała jej gazeta: *Demoiselle de Mystère*. Obawiała się, że wszystko będzie przez to jeszcze trudniejsze. Dlaczego nie nazwali jej po prostu *mademoiselle X* albo jeszcze jakoś inaczej, równie prozaicznie i zwyczajnie?

Powstrzymując westchnienie, złożyła gazetę i rzuciła ją na stół w małej poczekalni. Wstała z krzesła i poprawiła pled na ramionach, zastanawiając się, czy ktokolwiek zdoła ją na tym zdjęciu rozpoznać. Chyba nie ma co na to liczyć. Nie, powinna raczej sama zaplanować, co robić, kiedy wypiszą ją ze szpitala.

Przeszła obok stanowiska pielęgniarek i zawróciła do swojego pokoju. Poprosi inspektora Armanda, żeby

poleciał jej jakiegoś jubilera, który zaproponuje dobrą cenę za antyczną broszkę i topazowe kolczyki. Ale kiedy już zdobędzie pieniądze, to co wtedy? Czy powinna zostać w Nicei i szukać pracy, Bóg raczy wiedzieć jakiej? Czy może powinna wyjechać? Ale dokąd?

Z zamyślenia wyrwały ją czyjeś podniesione głosy. Uniosła głowę i przestała wpatrywać się bezmyślnie w posadzkę. W korytarzu na wprost niej, obok drzwi prowadzących do jej pokoju, stał jakiś mężczyzna. Sądząc z zachowania pielęgniarki, która starała się go uspokoić, był wściekły. Raz jeszcze popatrzyła na mężczyznę, próbując zrozumieć, co to wszystko znaczy.

Miał ponad sześć stóp wzrostu i ubrany był w sportową marynarkę o wydłużonej linii, beżowo-brązowy krawat ze śliskiego jedwabiu i sztruksowe spodnie. Jego twarz o dość grubych rysach była ostra i pozbawiona tej rzeźbionej gładkości, która mogłaby ją przekonać, że jest przystojny. Była to twarz mężczyzny twardego, bez skrupułów i nie pozbawionego cynizmu. Ale nie mogła zaprzeczyć, że w jego wyglądzie jest jednak coś zniewalającego, coś zdecydowanie męskiego.

- Nic mnie nie obchodzi, czy macie w zwyczaju gubić pacjentów, czy nie - mówił do pielęgniarki, nie zwracając uwagi na jej uprzejme wyjaśnienia. - Ale radzę pani natychmiast znaleźć tę pacjentkę!

- *Oui, m'sieur.*

Odwrócił się na pięcie i stanął jak wryty widząc, że idzie w jego kierunku. W jednej chwili jego oczy z szarych stały się czarne i błyszczące z podniecenia.

- Remy... - powiedział cichym, niskim głosem.

Do kogo on mówi? Czy ktoś jeszcze za nią idzie? Rzuciła okiem przez ramię, ale w korytarzu nikogo więcej nie było. Rozejrzała się. Mężczyzna był teraz tuż przed nią. Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do siebie, a gwałtowność, z jaką to uczynił, wymownie świadczyła o uczuciach, których na próżno starał się nie okazywać. Zdała sobie sprawę, że mówi do niej. Remy... to ona.

Zbyt zdumiona, by się opierać, pozwoliła mu się objąć. Dobry wełniany materiał jego sportowej marynarki

drapiący ją w policzek, sandałowy zapach męskiej wody kolońskiej, lekkie drżenie - te i kilka innych wrażeń natychmiast do niej dotarło. Przede wszystkim jednak ogarnęło ją przemożne uczucie, że ma prawo znajdować się w jego ramionach. Że tu właśnie jest jej miejsce.

Rozkoszując się tą chwilą, przyłgnęła do niego i pozwoliła, by ręce, które w tak naturalny sposób gładziły jej plecy, przycisnęły ją mocniej. Kiedy dotknął ustami jej włosów, uświadomiła sobie, jak szybko bije jej serce.

- Już się zastanawiałem, czy nie przewrócić tu wszystkiego do góry nogami, żeby cię znaleźć, Remy.

Remy. Po raz drugi wymówił to imię. Czy tak się nazywa? Próbowała sobie przypomnieć, ale nie zdołała przebić się przez ścianę otaczających ją ciemności.

Na chwilę przedtem, nim odsunął ją na odległość wyciągniętej ręki, wyczuła, że zamierza się cofnąć. Spostrzegła błysk złości w jego oczach. Złości, która sugerowała, że źle zrobił, biorąc ją w ramiona. Kiedy wodził spojrzeniem po jej twarzy, jego oczy były wciąż ciemne i błyszczące.

- Na fotografii miałaś obandażowaną głowę. - Lekko i delikatnie dotknął jej włosów tam, gdzie przedtem był bandaż.

Powinna go znać, ale nic nie mogła sobie przypomnieć.

- Kim pan jest?

Zesztywniał ogłuszony, cofnął rękę, a twarz wykrzywił mu pozbawiony radości uśmiech.

- Oczywiście kimś, o kim raczej zapomniałaś.

- Nie to miałam na myśli.

- To jest pan Cole Buchanan - podpowiedziała ochotczo pielęgniarka; trzymała w ręku jego bilet wizytowy.

- Pani rodzina jest właścicielem międzynarodowego towarzystwa żeglugowego. Och, to musi być bardzo podniecające, *non?*

Zanim zdążyła spojrzeć na wizytówkę, usłyszała zbliżające się kroki.

- Chyba się spóźniłem z nowiną - usłyszała znajomy głos inspektora Armanda.

- Z nowiną? - powtórzyła bez wyrazu, wciąż próbując doszukać się sensu w tym, co się działo.

- *Oui*. Przyszedłem powiedzieć, że pani brat zaraz tu będzie, żeby zabrać panią do domu.

Starając się nie okazywać zdumienia, szybko popatrzyła na bilet wizytowy. Nazwisko i imię wypisane były wypukłą czcionką na środku, a zaraz pod spodem widniał tytuł prezesa. Ten mężczyzna nie może być jej bratem. W duchu wzdrygnęła się na myśl o tym, że kiedy przed chwilą trzymał ją w ramionach, zareagowała bynajmniej nie jak siostra. Doskonale wiedziała, że jej ciało lgnęło ku niemu w odruchu pożądania wywołanego pieśczośliwym dotknięciem jego rąk, i pamiętała dojmujące pragnienie, by odwrócić głowę i poszukać ust, które zmysłowo dotykały jej włosów.

Zmusiła się, żeby spojrzeć na wizytówkę i odczytać nazwę towarzystwa i jego siedzibę: Crescent Line. Patrzyła na nazwisko, z nadzieją, że rozbudzi w niej jakieś wspomnienia, choćby najbardziej mgliste. Ale nic takiego nie nastąpiło. Zamiast tego poczuła się zakłopotana. Dlaczego?

- Coś nie tak? - spytał niskim głosem Cole Buchanan.

- Nie, skądże.

Dlaczego odpowiedziała tak pośpiesznie? Owszem, coś było nie tak, tylko co? I dlaczego jest przekonana, że nie powinna go o to pytać? Przecież to jej brat

- Po prostu nie pamiętam niczego, co dotyczyłoby Towarzystwa czy żeglugi.

- Nigdy nie wciągaliśmy cię w sprawy firmy.

Czy wyczuła w jego głosie krytykę? Spojrzała na niego przelotnie, ale nie dostrzegła nic, co mogłoby potwierdzić jej przypuszczenia. Jeżeli już, to był raczej poważnie zaniepokojony, ostrożny, jakby się czegoś obawiał.

- Nic nie pamiętasz, tak? - powiedział w zamyśleniu.

- Cierpi na amnezję... - zaczął inspektor Armand, ale Cole przerwał mu, spoglądając na niego z rezerwą:

- Wiem. Poinformowano mnie o tym, ale nie wiedziałem, że to amnezja całkowita.

- Powiedział pan, że mam na imię Remy. - Skupiła na nim uwagę, gotowa do walki i konfrontacji. - Kim ja jestem? Co robię? Gdzie mieszkam?

- W Nowym Orleanie... w Luizjanie - dodał, jakby mogła nie pamiętać i tego. - Nadal mieszkasz w rodzinnym domu, w Garden.

Przez głowę przemknęły jej jakieś obrazy. Rozwiąły się jednak zbyt szybko - nim zdołała je schwytać, zatrzymać i zrozumieć. Obraz starych omszałych dębów, oplecionych bujną roślinnością, i ozdobnej żelaznej kraty. Czy to jej wspomnienia, czy też przypadkowe obrazy, ukazujące tylko jedno z miejsc, które kiedyś widziała? Nie potrafiła na to odpowiedzieć.

- Czy pani coś sobie przypomina? - spytał inspektor.

- Nie jestem pewna... - odparła z wahaniem. Kiedy jednak na niego spojrzała, nagle coś sobie uświadomiła. - Panowie, nie przedstawiłam was sobie. To jest inspektor Claude Armand, a ten pan...

Cole Buchanan przerwał jej zdecydowanie i wyciągnął rękę do inspektora.

- Miło mi, inspektorze. Moja cała rodzina na pewno pragnęłaby, żebym przekazał panu podziękowania za wszystko, co zrobił pan dla Remy.

Jego słowa zabrzmiały szczerze, ciepło i uprzejmie, ale powściągliwie. Uderzyło ją to. Inspektor Armand był dla niego kimś obcym i miała wrażenie, że chciał, by takim pozostał. Nie interesowało go zdobywanie sobie przyjaciół. Nie chciał, żeby ludzie się do niego zbliżali. Nawet ją odsunął na odległość wyciągniętej ręki. Dlaczego? Przecież była jego siostrą. Pamiętała, jak objął ją z wyraźnym wzruszeniem, którego zaraz pożałował. Zastanawiając się nad tym wszystkim, nie usłyszała, co powiedział inspektor. Teraz zorientowała się, że Cole mówi znowu:

- ...zorganizować jej wyjście ze szpitala. Musimy wyjechać. Jestem pewien, że pan to rozumie, inspektorze. Cała rodzina jest bardzo niespokojna i chciałaby, żeby Remy jak najszybciej wróciła do Nowego Orleanu.

Nowy Orlean! Tym razem aż podskoczyła na dźwięk tych słów. Teraz była już pewna.

- To właśnie tam miałam być, w Nowym Orleanie!
- Zaśmiała się krótko, kiedy opuściło ją nerwowe napięcie, i zwróciła się do inspektora: - Wreszcie rozwiązaliśmy tę zagadkę. I to w tak prosty sposób!

- Jaką zagadkę? - spytał Cole.

- Odkąd tylko znalazłam się tutaj, w szpitalu, miałam wrażenie, że jak najszybciej powinnam się gdzieś znaleźć. Wiedziałam to, ale... - Przerwała. - Dlaczego to takie ważne?

- Nie mam pojęcia - odparł bez wahania. - Ile trzeba ci czasu, żeby się ubrać i przygotować do wyjścia?

- Przepraszam, *m'sieur* Buchanan. - Inspektor wtrącił się uprzejmie do ich rozmowy. - Najpierw muszę zadać panu kilka pytań.

- Pytań? Dlaczego? - Nie mogła zrozumieć, co inspektor ma na myśli.

- Dowiedzieliśmy się już, Mm pani jest, ale musimy także ustalić tożsamość mężczyzny, z którym była pani przed wypadkiem - wyjaśnił.

- I pan myśli... - zaczęła i odwróciła się, by spojrzeć na Cole'a Buchanana - że to mógł być ten pan?

- To nie byłem ja. Nie było mnie wtedy w Nicei.

- To znaczy kiedy nie było pana w Nicei *m'sieur*?
- spytał inspektor i wyciągnął rękę w wymownym geście.
- Czy mogę zobaczyć pańskie dokumenty?

- Oczywiście. - Ze źle ukrywaną niecierpliwością Cole Buchanan sięgnął do wewnętrznej kieszeni sportowej marynarki, wyciągnął paszport i podał go inspektorowi.
- Są w porządku, inspektorze. Dowodzą, że jestem rzeczywiście tym, za kogo się podaję. - Popatrzył na dziewczynę. - To nie potrwa długo, Remy. Może być się przez ten czas ubrać?

- Nie mam nic do ubrania, w każdym razie nic, w czym mogłabym wyjść na ulicę - powiedziała widząc, że inspektor ogląda paszport z więcej niż przypadkowym zainteresowaniem.

- Tego się spodziewałem. Po drodze tutaj kupiłem ci parę rzeczy.

- *Oui, madame.* Pudła są w pani pokoju - wtrąciła się pielęgniarka.

Inspektor skinął przyzwalająco głową.

- Wolałbym porozmawiać z panem Buchananem sam na sam - powiedział. - Mój zawód polega na tym, żeby zadawać pytania, prawda?

- Znów ta rutyna, prawda, inspektorze? - spytała, przypominając sobie pytania, jakie zadawał, by sprawdzić jej kryminalną przeszłość.

- Właśnie. - Uśmiechnął się.

- W takim razie pozostawiam w pańskich rękach decyzję, czy powinnam z nim iść, czy nie.

Powiedziała to lekko, ale w jej głosie można było wyczuć ukrytą powagę. Nie przypominała go sobie, a poza jego słowami nic nie potwierdzało faktu, że jest jej bratem. Ale Nowy Orlean... Musi się tam dostać, musi. Inne, nawet poważne wątpliwości nie mają w tej chwili znaczenia.

Zamykając drzwi do pokoju zobaczyła, że inspektor zwraca paszport Buchananowi, i usłyszała, jak mówi:

- Dużo pan podróżuje.

- Tak, w interesach.

Zamknięte drzwi zagłuszyły resztę rozmowy. Pudła, o których wspomniała pielęgniarka, zawierały dwa komplety ubrań: koronkową bieliznę, cienkie pończochy, buty, czekoladowobrazowe spodnie z bluzką z kremowo-żółtego jedwabiu oraz za luźny miękki golf z bordowego tworzywa, z dopasowaną do niego jedwabną spódnicą.

Ze względu na czekającą ją długą podróż wybrała spodnie. Pasowało doskonale, jakby specjalnie dla niej uszyte, choć było zupełnie nowe. Nie miała pojęcia, dlaczego tak ją to zdziwiło. Skoro Cole Buchanan jest jej bratem, to naturalne, że zna jej wymiary i gust w doborze strojów.

Ubrana, usiadła na skraju łóżka i przysłuchiwała się głosom dobiegającym z korytarza. Inspektor zadawał

cicho pytania, a Cole Buchanan odpowiadał na nie krótko, czasami niecierpliwie, czasami ze złością. W końcu usłyszała pukanie do drzwi.

- Proszę.

Do pokoju wszedł Cole Buchanan. Spojrzenie, jakim ją obrzucił, było nie pozbawione pełnego podziwu zainteresowania.

- Widzę, że jesteś gotowa. Zapłacę rachunek za szpital i zaraz po ciebie wrócę. - Przerwał na chwilę i trochę cynicznie spojrzał ponad jej ramieniem. - Za pozwoleniem pana inspektora, oczywiście...

- Oczywiście. - Inspektor Armand wszedł do pokoju i został z nią, kiedy tamten wyszedł. - A więc opuszcza nas pani. Wraca pani do Nowego Orleanu, do domu...

To znaczy, że był zadowolony z rozmowy z Buchananiem.

- Czy on powiedział panu coś na temat tamtej nocy?

- Niestety nie. Sprawa jest nadal otwarta. - Podszedł bliżej i ujął ją za rękę. - Gdyby pani sobie przypomniała... Kiedy pani sobie przypomni - poprawił się - proszę się ze mną skontaktować.

- Oczywiście. I dziękuję panu, inspektorze. Za wszystko.

Wzruszył ramionami.

- Na tym polega moja praca.

Dwadzieścia minut później Remy wyszła ze szpitala na ulicę zalaną jaskrawym śródziemnomorskim słońcem. Zwolniła kroku i odetchnęła głęboko, napawając się świeżością powietrza i uwalniając się od silnego zapachu lekarstw, który wdychała przez kilka dni.

Odwróciła się, by coś powiedzieć do Cole'a, i omal się z nim nie zderzyła. Szedł tuż za nią. Podtrzymując ją, kiedy się zachwiała, przez ułamek sekundy musnął spojrzeniem jej wargi. To wystarczyło, żeby pomyślała o tym, jak ją całuje. Od kiedy opuścili szpitalny pokój, wygodne uczucie koleżeństwa gdzieś zniknęło. Była zdumiona, że coś takiego może jej przyjść do głowy, choćby przelotnie. Nie powinna na to pozwalać. Pytania

inspektora tylko nasiliły jej pierwszą reakcję. Dla niej był przede wszystkim mężczyzną.

- Przepraszam - powiedziała szybko, świadoma, że się czerwieni z zażenowania.

- Nie ma za co. Samochód jest tam. - Wskazał błyszczącego szarego Citroena na parkingu dla odwiedzających.

Szybko podeszła do samochodu, tym razem czując wyraźnie, że idzie tuż za nią. Kiedy znaleźli się obok wozu, wyminął ją, postawił walizkę z jej rzeczami, po czym otworzył zamek. Rezygnując z jego pomocy, wślizgnęła się szybko na siedzenie i poczekała, aż zamknie za nią drzwiczki. W lusterku wstecznym widziała, jak otwiera bagażnik i wkłada walizkę. Kiedy go zamknął, zauważyła, że nie ma na sobie sportowej marynarki. Siadając za kierownicą, odwrócił się i położył ją na tylnym siedzeniu.

Instynktownie wiedziała, że mimo swobody, z jaką nosił kosztowny garnitur, wygodniej czuje się w samej koszuli. Nie zawsze nosił krawat, ale musiał nauczyć się go nosić i to nosić jak należy. A ona? Nie umiała sobie wyobrazić, że jej skóra styka się z czymś gorszym niż jedwab. Dlaczego?

Zwrócił do niej przystojną twarz.

- Gotowa?

Skinęła głową i umknęła wzrokiem, ciesząc się w głębi ducha, że zdjął marynarkę. Podobały się jej rysujące się pod koszulą mięśnie, najwyraźniej wynik pracy, a nie długich i skomplikowanych ćwiczeń. Wyglądał jak człowiek sukcesu, człowiek wzbudzający zaufanie. Dlaczego jednak odnosiła wrażenie, że w drodze na szczyt toczył walkę? Dlaczego, mimo delikatności, z jaką gładził ją po plecach, wydawało się jej, że w razie konieczności może być okrutny? Skąd wiedziała, że potrafi grać ostrożnie i łagodnie jak teraz, ale i bardzo twardo?

I skąd brało się to fizyczne pożądanie, ta świadomość, że jest mężczyzną? Nie powinna się tak czuć, ale ustawione blisko siebie fotele małego europejskiego samochodu sprawiały, że wydawało jej się niemożliwe,

by mogło być inaczej. Z każdym oddechem czuła męski zapach jego wody kolońskiej, a zarys opalonych dłoni na kierownicy wypełniał część jej pola widzenia. Czuła to samo, co wtedy, gdy dotykał jej pleców... Powinna zmusić się, żeby o tym nie myśleć, inaczej zdradzi ją przyspieszony puls.

- Ile masz lat? - Patrzyła prosto przed siebie.

- Trzydzieści pięć - odpowiedział z lekkim zakłopotaniem w głosie.

- A ja?

- Dwadzieścia siedem.

Rzeczywiście mógł być jej starszym bratem. Czy widzi w nim bohatera? Czy zawsze patrzyła w niego jak w obraz? Przecież to chyba całkiem normalne, że dla siostry starszy brat jest atrakcyjny również jako mężczyzna? Siostry to też kobiety. A skoro nie pamięta, że są rodzeństwem, czy to nie naturalne i zgodne z logiką, że reaguje na niego właśnie jak kobieta? Tylko w taki sposób potrafiła wytłumaczyć sobie swoje zachowanie.

- Mówiłeś, że widziałeś zdjęcie w gazecie - przypomniała. - Przyjechałeś tu, żeby mnie odszukać?

- Nie. Wczoraj przyleciałem w interesach do Marsylii. Towarzystwo ma tam filię - wyjaśnił. - A dziś rano zadzwonił do mnie Frazier, w tej sprawie.

- Kto to jest Frazier? - Zmarszczyła brwi.

- Twój ojciec.

- I ty go tak nazywasz?

- Tak. - Skręcił na główną ulicę.

- A ja? - spytała.

- Czasami.

- Frazier... - Wymówiła to imię, ale nie mogła skojarzyć z nim żadnego obrazu i w końcu dała sobie spokój.

- A moja matka, jak jej na imię?

- Sybilla.

Wciąż nic. Oparła głowę o zagłówek i spróbowała się odprężyć.

- Nareszcie wiem, że mam rodzinę, nawet jeśli was nie pamiętam. Były takie chwile, że wątpiłam, czy mam kogokolwiek na świecie, kiedy zastanawiałam się, czy

ktokolwiek w ogóle mnie szuka. - Znowu zmarszczyła brwi. - Dlaczego potrzebowałeś aż tyle czasu, żeby mnie znaleźć?

- Nikt nie zdawał sobie sprawy, że zaginęłaś. Zaniepokoiłi się dopiero dwa dni temu, kiedy nie wróciłaś do domu samolotem, na który miałaś rezerwację. Najpierw myśleli, że spóźniłaś się na lotnisko i przylecisz następnym. Potem, że wyjechałaś gdzieś na kilka dni. Ale kiedy wciąż nie wracałaś, skontaktowali się ze mną. Pytali, czy zmieniłaś plany i przylecisz samolotem Towarzystwa. Oczywiście nic na ten temat nie wiedziałem i wtedy zacząłem cię szukać. - Przerwał i rzucił okiem w jej stronę. Usta miał zaciśnięte w coś na kształt uśmiechu. - Zaraz potem odkryli, że twoje ubrania i torba wciąż są na jachcie, i Frazier zrozumiał, że nigdzie nie wyjechałaś, jak sądzili.

Skoro mieszkała na jachcie, nic dziwnego, że w żadnym hotelu nie mogli jej rozpoznać.

- Więc przyjechałam do Nicei z rodzicami?

- Dołączyłaś do nich. Przez tydzień pływali po Morzu Śródziemnym. Potem ty i reszta rodziny przylecieliście na kilka dni, żeby uczcić ich trzydziestą piątą rocznicę ślubu.

- Ty też tam byłeś?

- Nie. Siedziałem w Nowym Orleanie, prawie na drugim końcu świata.

- I pracowałeś. - Znowu uderzyło ją wrażenie, że jest człowiekiem sukcesu. - Nic, tylko pracujesz, prawda?

Ich oczy spotkały się na krótką chwilę, ale Cole natychmiast skoncentrował uwagę na ruchu ulicznym.

- Już mi to mówiłaś.

Wjego głosie nie wyczuła rozbawienia i pomyślała, że kiedyś musiała go za to krytykować. Uznała, że lepiej nic więcej na ten temat nie mówić. Ale musiała mu zadać następne pytanie.

- A co ja robię? Mówiłeś, że nie wprowadzaliście mnie w sprawy Towarzystwa. Jednak nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym nic nie robić.

- Pracujesz, i to dużo, w Muzeum Stanu Luizjana. Jesteś rzeczoznawcą, potwierdzasz autentyczność niektórych darów dla muzeum. Zwłaszcza siedemnasto- i osiemnastowiecznej francuskiej porcelany, którą się chyba szczególnie interesujesz.

Nagle przed oczami stanął jej obraz starej, ozdobionej złotem żardyniery, z kwiatami i amorkami wymalowanymi na jasnorożowym tle po bokach. Wiedziała, że to porcelana z Sèvres, w kolorze *rose Pompadour*. Może nie była ekspertem, ale na pewno miała sporo wiadomości na ten temat. W równie niewytłumaczalny sposób wiedziała także inne rzeczy.

To, co jej powiedział - cel jej przyjazdu do Nicei, powody, dla których rodzina przez kilka dni się o nią nie martwiła - wszystko to brzmiało logicznie, prawdopodobnie i wiarygodnie. Ale... coś się tu nie zgadzało. Jak dotąd nic nie tłumaczyło uczucia, że czym prędzej musi znaleźć się w domu, że ma jakieś kłopoty.

Westchnęła i niewidzącym wzrokiem zaczęła obserwować mijane budynki w kolorze ochry. Kiedy skręcili w wysadzany drzewami bulwar, poznała, że jadą Avenue Félix Faure w kierunku parku Masséna. Spięta się i wyprostowała, czekając, aż ukaże się jej oczom.

W końcu zobaczyła wysokie jak wieże kaskady fontann, widoczne w przerwie między ciemnymi koronami drzew, i wyszczerzoną w uśmiechu twarz ogromnego Króla Karnawału, siedzącego na kolorowym tronie. Przyjrzała się uważnie rosnącym obok chodnika drzewom, zastanawiając się, o które z nich uderzyła głową. Jednocześnie nie mogła opędzić się od myśli, że teraz, kiedy po alejkach przechadzali się tylko nieliczni spacerowicze, skwer wygląda naprawdę pięknie i pogodnie.

Nagle spostrzegła, że Cole hamuje przed przejściem dla pieszych. Jakaś kobieta weszła na jezdnię, popychając dziecinny wózek. Po chwili ruszył gładko. Zdziwiła się, że nie skręcił na następnym skrzyżowaniu, tylko pojechał prosto Avenue de Verdun.

- Gdybyś tu skręcił, dojechalibyśmy na lotnisko, omijając cały ten ruch.

- Wiem - bąknął zwalniając, żeby skrócić w wysadzaną palmami Promenade des Anglais.

- To dlaczego jedziemy tędy? - Zmarszczyła brwi.
- O ile pamiętam, w szpitalu mówiłeś, że zaraz lecimy do Nowego Orleanu.

- I owszem, tylko najpierw muszę załatwić sprawę twojego paszportu.

- A co, coś nie w porządku?

- Nic, oprócz tego, że go nie masz... na razie. Powinien już czekać w hotelu.

6

Kilka minut później zahamował przed wejściem do hotelu Negresco. Portier - ubrany w ozdobioną piórem czapkę, w granatowej liberii ze szkarłatnym szamerunkiem i w błyszczących wysokich butach - otworzył drzwiczki samochodu od strony Remy. Oparła się na jego dłoni w rękawiczce, wysiadła i odwróciła się czekając, aż Cole włoży marynarkę, która starannie tuszowała jego potężną budowę. Jeszcze raz przyjrzała się wyraźnie zarysowanej twarzy i opalonej skórze bez śladu zmarszczek.

Dziwne, ale wiedziała, wiedziała na pewno, że prezesem rodzinnej firmy został nie przez nepotyzm. Stanowisko zawdzięczał wyłącznie agresywności i umiejętności kierowania ludźmi. Bez trudu wyobraziła go sobie gdzieś na przystani, jak w koszuli z podwiniętymi rękawami uwija się wśród robotników portowych, równie twardy i silny jak oni. Bardzo łatwo mogła go też sobie wyobrazić, jak przewodzi zebraniu rady nadzorczej, a partnerzy, choć niechętnie, szanują go za biegłość w interesach. Niechętnie... dlaczego tak pomyślała?

Nie miała jednak okazji tego przeanalizować dogłębniej, bo już stała naprzeciwko Cole'a. Jego spokojne szare oczy wpatrywały się w nią, jakby czegoś szukając. Przez chwilę zdawało się, że powietrze wokół nich eksploduje, naładowane napięciem, które się między nimi wytworzyło. Stała bez ruchu, zastanawiając się, o czym on myśli. Czego chce?

Ale kiedy zaproponował:

- Może wejdziemy?

...napięcie przysło jak sen.

- Oczywiście. - Odwróciła się gwałtownie i ruszyła do wejścia, słysząc, jak podąża za nią długimi krokami.

W środku ogarnęła spojrzeniem wspaniały wystrój Negresco. Hotel należał do typowych, wielkich gmachów rozrzuconych po całym Lazurowym Wybrzeżu, ale miał zupełnie inny styl i klasę. Oficjalnie był zarejestrowany jako obiekt historyczny, chociaż zdaniem Remy należałoby go uznać za pomnik przesady. Podczas drugiej wojny światowej wykorzystywany jako szpital, został później odrestaurowany z ostentacyjnym przepychem. Niewprawny obserwator mógłby uznać oszklony i wyłożony marmurem Salon Royal za krzykliwy choć nadzwyczajny okaz biżuterii, ale wspaniały żyrandol wykonano z kryształu Baccarat, a na ścianach wisiały autentyczne gobeliny.

Cole położył jej rękę na plecach i ruszyli w stronę recepcji. Świadomość dotyku przenikała ją na wskroś. Ogarnął ją nagły dreszcz pożądania, pragnienie, by zostać z nim sam na sam, by dotykać i być dotykana. Dlaczego? Czyżby już tak dawno nie miała mężczyzny?

- Czy jestem mężatką? - spytała nagle.

- Nie. - Jeżeli pytanie go zaskoczyło, nie dał tego po sobie poznać.

- Rozwiedziona?

- Nie.

- A czy kiedykolwiek miałam zamiar...?

- Jaki? Wyjść za męża, czy się rozwieść? - zapytał, po raz pierwszy wykazując przebłysk poczucia humoru.

- Żeby się rozwieść, najpierw chyba trzeba wyjść za męża, prawda? - odcięła się z lekkim uśmiechem, który wyłobitł dołeczki w jej policzkach. - O ile mi wiadomo, przed rozwodem jest ślub.

- Pewnie tak - przytaknął i jakby się od niej odsunął. Po jego twarzy przemknął cień. - Byłaś zaręczona.

- I co się stało?

- Utonął podczas katastrofy na jeziorze Pontchartrain.

Poczuła nagły smutek.

- Jak on się nazywał?

- Nick Austin.

Czy to imię i nazwisko coś dla niej znaczy? Nie wiedziała. Miała tylko nieokreślone odczucie czegoś, może kogoś, z dawnych, bardzo dawnych czasów. Ale wychwycwszy zwięzłość odpowiedzi Cole'a, podniosła wzrok i napotkała jego chłodne, nieobecne spojrzenie.

- Nie lubiłeś Nicka.

- Nie znałem go.

Znów odpowiedział zwięzle, jakby już samo wspomnienie jej byłego narzeczonego sprawiało mu przykrość. Dlaczego? Chyba nie był zazdrosny? Zazdrosny, że inny mężczyzna zajmuje pierwsze miejsce w jej sercu? Przyszło jej do głowy następne pytanie:

- A ty? Jesteś żonaty?

Zanim odpowiedział, zerknął na nią szybko i gwałtownie spuścił wzrok.

- Nie.

Zdziwiła ją ulga, z jaką przyjęła tę odpowiedź, i silne poczucie własności, jakie do niego żywiła. Kiedy podszedł do recepcji i zamienił kilka słów z pracownikiem hotelu, czekała, próbując dojść do siebie po świeżym odkryciu, że owo poczucie własności to nic innego, jak zwykła zazdrość.

Po chwili wrócił.

- Twojego paszportu jeszcze nie ma, więc wynająłem apartament. Nie sędzę, żebyś chciała czekać w holu, aż go przyniosą.

Zesztywniała, wyczuwając w jego głosie nutkę sarkazmu i podejrzenie, że czekanie w holu hotelowym mogłaby uznać za coś uwłaczającego. Chciała się odciąć, ale przeszkodziło jej nadejście portiera.

W milczeniu przeszli do windy w głębi holu. Na górce podeszła do okna bogato umeblowanego salonu, czekając, aż portier skończy rytualne pokazywanie Cole'owi wszystkiego, co było w apartamencie do pokazania. W końcu usłyszała odgłos otwieranych drzwi i odwróciła się od przepięknego widoku na lazururowe wody zatoki.

Cole zamknął za portierem drzwi, rozluźnił krawat i rozpinając górny guzik koszuli, podszedł do telefonu stojącego na hebanowym sekretarzyku. Nawet na nią nie spojrzął.

- Zamówię kawę. Chcesz coś jeszcze?

- Tak. Chciałabym wiedzieć, o co ci tam na dole chodziło. A może po prostu lubisz się droczyć z młodszą siostrą?

- Z siostrą? - Zatrzymał się i uniósł brew. - Nie jestem twoim bratem, Remy.

Ze zdumienia otworzyła usta.

- Ale... w szpitalu... Myślałam... - Umilkła, próbując sobie dokładnie przypomnieć, kto i co właściwie tam mówił.

- Nie jestem twoim bratem, Remy - powtórzył, wykrzywiając usta w twardym, cynicznym uśmiešku.

- Więc kim?

- Dokładnie tym, za kogo się podaję: prezesem Towarzystwa Żeglugowego Crescent Line. Cole Buchanan, do usług.

- Inspektor Armand powiedział, że przyjdzie po mnie brat. A skoro ty nie jesteś moim bratem, to gdzie on jest?

- Gabe zaraz tu przyjedzie, z twoim paszportem.

- To kim ja w końcu jestem? Jak się nazywam? Remy... i co dalej? - spytała, nawet nie próbując ukryć zmieszania i zdenerwowania.

- Remy Jardin.

Mając w pamięci poczucie winy, jakie wzbudziła w sobie, pożądamc tego mężczyzny, podeszła bliżej i stawiła mu czoła, demonstrując cały swój temperament

- Ty draniu!

Chciała uderzyć go w twarz, ale Cole błyskawicznie złapał ją za nadgarstek i zatrzymał jej rękę, nim dosięgła celu. Kiedy podniosła drugą, w stalowym uścisku przytrzymał i tę.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi w szpitalu, że nie jesteś moim bratem? - spytała ostro, próbując uwolnić dłoń tak, by się z nim otwarcie nie szamotać.

- Nie mówiłem też, że nim jestem. Skoro tak to odebrałaś, to już twoja sprawa.

- Pozwoliłeś, żebym tak myślała.

- Nie mam wpływu na to, co sobie myślisz i do jakich wniosków dochodzisz. A szkoda, bo... - Nie dokończył zdania. - Nie miałem pojęcia, że bierzesz mnie za brata, Remy. Ale gdyby nawet, prawdopodobnie i tak nie wyprowadziłbym cię z błędu. Wiesz dlaczego? Dlatego, że amnezja, nie amnezja, masz nieprawdopodobnie silne uczucia rodzinne. Z kimś obcym nie wyszłabyś ze szpitala.

- Cel uświęca środki, co?

Słyszając tę uwagę, szybko podniósł głowę.

- Wierz sobie, w co chcesz, Remy. Jak zawsze.

Patrząc na niego, uświadomiła sobie szorstki dotyk rąk ściskających jej nadgarstki. Przypomniała sobie ich nacisk, kiedy ją przytulił, kiedy ją objął z płynącą z przyzwyczajenia wprawą, i naturalny sposób, w jaki wymówił jej imię. Co więcej, przypomniała sobie, jak wtedy zareagowała.

- Czy my... Czy jesteśmy kochankami?

Nie od razu zauważył tę zmianę nastroju. Zwolnił uchwyt i, chyba nieświadomie, zaczął rozcierać jej nadgarstki.

- Tak.

- Sama powinnam na to wpaść - mruknęła i zamyśliła się. - Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Nie pamiętałaś. Myślałem, że tak będzie lepiej.

- Dlaczego? - spytała i natychmiast sama odgadła. - Pokłóciliśmy się?

- Można by tak powiedzieć. - Jego odpowiedź zabrzmiała jak niedomówienie.

- O co? - Czy były to kłopoty, które przeczuwała? Przyczyna tego poczucia, że dzieje się coś ważnego?

- Czy to ważne, biorąc pod uwagę, że nie pamiętasz?

- Puścił jej rękę i podszedł do okna, masując sobie kark w geście, który zdradzał napięcie.

- Czy ja cię kocham, Cole?

Westchnął.

- I jak mam ci na to odpowiedzieć, Remy?

Bez słowa czekała, aż jej milczenie sprowokuje go do wyznań.

- Mówiłaś, że tak - przyznał w końcu.

Podeszła do niego.

- Cole... - Poczekała, aż na nią spojrzysz. - A ty mnie kochasz?

Ich oczy spotkały się na kilka długich sekund. Potem objął ją w talii i przyciągnął do siebie, jednocześnie dotykając jej ust w gorącym, pełnym miłości pocałunku, nie pozbawionym jednak pewnej szorstkości. Niejasno czuła, że w jego ramionach jest na swoim miejscu, choć nie zdawała sobie wówczas sprawy, jak silnie to na nią działa.

Oderwał usta od jej warg i musnął nimi policzek.

- To silniejsze ode mnie. Tak było od pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy - szepnął, a jego gorący oddech odebrała jako jeszcze jedną, jakże podniecającą, pieszczotę.

- Kiedy to było? - Zamknęła oczy, przypominając sobie smak ust, które teraz dotykały jej skroni, włosów, ucha...

- Z rok temu, na przyjęciu, które Frazier wydał u Antoine'a po tym, jak zostałem nowym prezesem Towarzystwa.

Wciąż żywo pamiętał ten pierwszy raz, kiedy ją zobaczył. W jednej chwili stała się dla niego jedyną interesującą osobą w całej sali. Na wpół oświetlona, na wpół ocieniona twarz, proste, pełne wdzięku ramiona - cała postać promieniowała pięknem, pięknem, które odebrał jak wyzwanie. Frazier przedstawił ich sobie i kiedy wziął ją za rękę, jej bliskość wstrząsnęła całym jego ciałem. Zdawało mu się, że iskierki złota w jej oczach jaśnieją tylko dla niego, ale nie był na tyle szalony, żeby w to uwierzyć. Wtedy jeszcze nie.

- I z miejsca się we mnie zakochałeś, prawda? - Przejechała mu palcami po włosach, które nastroszyły się jak u kota, podczas gdy ustami błędziła po jego brodzie.

- Chyba żartujesz. Przysięgałem sobie, że nie podejść do ciebie bliżej niż na dziesięć stóp. - Podpowiedział mu to zdrowy rozsądek.

- I co było dalej?

- Niestety, jakieś pół roku temu przekroczyłem granicę dziesięciu stóp i rozpętało się piekło. - Wcale nie przesadzał. Kłopoty zaczęły się właściwie od chwili, kiedy związali się ze sobą, i odtąd regularnie rosły. Ale w takich chwilach jak ta, kiedy tulił jej ciepłe i miękkie ciało i czuł gorące pocałunki, niemal potrafił przekonać samego siebie, że gra jest warta świeczki.

- Jak dotąd to twoje pierwsze słowa, w które wierzę - szepnęła, szukając jego ust.

Odbierała to jak ten pierwszy raz. Przecież nic nie pamiętała. Co do tego, że byli kochankami, nie miała najmniejszych wątpliwości. Jej ciało znało go równie dobrze jak serce, nawet jeśli umysł nie mógł przywołać żadnych wspomnień. Tak, to mężczyzna, którego kocha.

Ale wszystkie wrażenia były zupełnie nowe. Jak wspaniale jest czuć jego ręce na plecach, ich pieśczoć, ich dotyk wzdłuż kręgosłupa, coraz niżej i niżej, smak jego ust, język, który ściera się i walczy z jej własnym. Pod palcami czuła jego włosy na piersiach, ciemne, gęste, delikatne, ale trochę szorstkie, tak jak on sam...

Pragnąc go coraz goręcej, przyłgnęła z jeszcze większą siłą, wyginając się w tył i przyciskając do niego rozpalone ciało, jakby miał ją pochłonać. Nienasycona, nieopatrznie przygryzła mu wargę aż do krwi. Usłyszała słumiony jęk bólu i zaczęła całować go delikatnie, przepraszając. Rozplótł jej ręce i położył je sobie na piersi, ciężko falującej przy każdym oddechu. Spróbowała przesunąć je w kierunku szerokich ramion, ale marynarka i koszula uniemożliwiały dostęp do nagiej skóry.

Niecierpliwie pociągnęła rozluźniony węzeł krawata. Cole pomógł jej się z nim uporać. Nie przerywając pocałunku, zaczęła zsuwać mu z ramion marynarkę. Po chwili zabrała się do guzików koszuli. Pomimo wysiłków, trzeci z kolei nie chciał przejść przez dziurkę. W końcu szarpnęła materiał i guziki odskoczyły jeden po drugim.

Jej ręce delikatnie gładziły teraz obnażony tors, twardy, opalony i muskularny, a zarazem gładki i ciepły w dotyku, skórę, która przypominała jedwab na wypolerowanej stali. Ale pragnęła poczuć go jeszcze silniej. Oderwała usta od jego ust i przesunęła głowę niżej, ku pulsującej żyłce najego szyi. Poczwała, jak przeszło go lekkie drżenie.

- Pewnego dnia, Remy... - zachrypnięty z przejęcia, niski głos wibrował w jej włosach, podczas gdy palce błądziły wokół kołnierzyka żakietu - ...pewnego dnia zapłacisz mi za wszystkie koszule, które zniszczyłaś.

Koniuszkiem języka przesunęła po jego ramieniu, muskając jego gorącą i słoną skórę. Podniosła głowę, przechylając ją ku niemu.

- Zapłacę, Cole - szepnęła odważnie, a jej oczy roz-błysły, kiedy patrzyła w jego coraz bardziej ciemniejsze źrenice. - Każ mi zapłacić. Teraz!

Przyjmując jawne wyzwanie, ujął klapy żakietu, zsunął go z jej ramion i przytrzymał jej ręce po bokach, by mogła uwolnić je z rękawów. Z taką samą niecierpliwością, jaką okazała wobec niego, rozpiął jej bluzkę, obrywając przy tym guziki. Zerwał ją jednym ruchem, odsłaniając złocistą biel ramion. Nim jeszcze bluzka dotknęła podłogi, jego dłonie chwyciły koszulkę i nie zważając na kosztowną koronkę, ściągnęły ją w dół. Wielkie, silne ręce natychmiast zakryły małe, wrażliwe piersi.

Westchnęła, kiedy przeszył ją nagły dreszcz rozkoszy, i poczuła, że jego usta pozbawiają ją tchu. Objęła go mocno za szyję i jeszcze bardziej przyciągnęła do siebie, rozchylając wargi do pocałunku. Kiedy położył jej ręce na biodrach, przylgnęła do niego, tuląc się do muskularnej piersi, spragniona ciepła, które dać może tylko zetknięcie dwóch ciał.

Pragnęła go. Pragnęła go z zapamiętaniem przenikającym ją bez reszty. Ta gwałtowna namiętność świadczyła o kryjącym się tuż pod powierzchnią pożądaniu, o pożądaniu, które sprawiało, że czuła się niezwykle silna i niesłychanie słaba zarazem. Męskie ręce zacisnęły się teraz wokół jej talii. Podniósł ją bez wysiłku, niczym

żelazną obręczą otoczył ramieniem uda i delikatnie przygarnął. Jej stopy znalazły się parę cali nad ziemią. Nie przerywając pocałunku, zaniósł ją tak do jednej z sypialni apartamentu. Remy nie wiedziała, do której, ale nic jej to nie obchodziło. Wierzgała nogami, próbując zrzucić buty.

W sypialni zatrzymał się przy łóżku i zwolnił uchwyt, by powoli ześlizgnęła się wzdłuż jego piersi. Gdy dotknęła stopami podłogi, jego dłonie natychmiast zaczęły szukać zatrzasku, by uwolnić ją ze spodni. Remy, której udzielił się gorączkowy pośpiech, szybko skończyła go rozbierać.

Po chwili ubrania walały się bezładnie na podłodze, a oni leżeli nago obok siebie. Nareszcie Remy mogła mu się do woli przyglądać. Wspierając się na łokciu, musnęła wargami jego usta, kwadratowy podbródek i odwróciła głowę, patrząc z podziwem na szerokie ramiona i piersi.

Silne i sprężyste ciało przyciągało ją, kazało siebie dotykać. Przyłgnęła ustami do jego ramienia i przesunęła je wzdłuż szyi, aż po zagłębienie u podstawy krtani, czując pieśczośliwy dotyk rąk na plecach i biodrach, rąk, które muskały, szczypały i rozbudzały, zapraszając i dodając odwagi. Zeszła ustami niżej, po płaskiej klatce piersiowej, i zatrzymała się na chwilę, by ścisnąć wargami sterczące sutki. Uśmiechnęła się, słysząc pełne zadowolenia westchnienie. Przesunęła ręką jeszcze niżej, wzdłuż płaskiego brzucha, który prężył się pod dotykiem, aż do kępki jedwabistych włosów na samym dole. Zacisnęła dłoń i usłyszała jego stłumiony okrzyk.

Po chwili palce, które dotąd gładziły ją po głowie, wpiły się w jej włosy. Próbowwała się opierać, kiedy chwycił ją i odwrócił na plecy. Uwolnił jej włosy, przytrzymał ramiona nad głową, przyciskając nadgarstki do łóżka, i unieruchomił ją swoim ciężarem.

- Nie - tchnął jej w usta, delikatnie chwytając zębami jej dolną wargę. - Zbyt długo cię nie miałem, Remy. Nie chcę skończyć, zanim się jeszcze zaczniesz.

Znowu ujął zębami jej wargi i lekko uszczypnął. Jęknęła pod wpływem pieśczoły, delikatnej i podnieca-

jącej zarazem. Potem, kiedy wreszcie zaczął całować ją długo i namiętnie, pod kojącym dotknięciem jego ust odkryła uczucia, których istnienia nawet nie podejrzewała. Poczwała wilgoć między udami, kiedy obsypywał pocałunkami jej twarz i bawił się koniuszkiem ucha. A gdy przesunął ustami wzdłuż szyi, zadrżała z rozkoszy.

Wciąż przytrzymał jej ręce na łóżku; leżała niczym spragniona tysięcy wrażeń i odczuć ofiara w pułapce pożądania. Musnął językiem nabrzmiały sutek. Poczwała nagły, bolesny, a jednocześnie zachwycający skurcz i uświadomiła sobie, że pieści ją tak samo, jak wcześniej ona pieściła jego. Cudowne uczucie... cudowne.

Wyprężyła się ku niemu, nadstawiając pierś, zmuszając go, by wziął więcej. Z jej krtani wyrwał się okrzyk rozkoszy. Cole patrzył, jak z zamkniętymi oczyma i na wpół rozchyłonymi ustami przewraca głowę z boku na bok. Nie mógł się już powstrzymać, musiał jej dotknąć. Puścił jeden nadgarstek i przesunął rękę wzdłuż jej ciała.

Drobna i delikatna, wszystko miała doskonale proporcjonalne: łuk żeber, wąskie biodra i małe jędrne piersi. A ileż siły drzemało w tym rozkosznym ciele! Siły nie tyle nawet fizycznej, co wewnętrznej, biorącej się z nieposkromionej woli, woli, która daje śmiałość i odwagę, która czyni człowieka sobą. To właśnie ta siła sprawiała, że tak bardzo jej pragnął i pożądał.

Ale zapomniał o tym, kiedy rękami, ustami i językiem pieścił jej piersi i wsłuchiwał się w pełne pożądania westchnienia i jęki.

Przesunął rękę i zatrzymał dłoń na spojeniu ud. Zadrżała.

- Jak mogłam zapomnieć, jak to jest? - szepnęła z bólem w głosie. - Jak mogłam, Cole?

Nie miał na to dobrej odpowiedzi, ale wyszeptał:

- Czy to ma jakieś znaczenie? Teraz?

- Nie - przyznała i poszukała jego ust. - Kochaj mnie, Cole.

Zaczął ją całować. Prężyła się pod nim, jej ręce, usta, całe ciało zachęcały go i prosiły. Wiedział, że Remy nie

ma pojęcia, dlaczego z takim pośpiechem do siebie przyłgnęli; w przeciwieństwie do niego nie zdawała sobie sprawy, że są razem być może po raz ostatni.

Ale tu i teraz należała do niego, a on do niej. Tylko to się liczyło. Z braku wyboru uczepił się tej myśli, choć chciałby czegoś więcej.

Wyszeptała jego imię i chwyciła go zębami za ramię.

- Nie każ mi dłużej czekać, Cole. Weź mnie. Szybko!

Nie potrafił się jej oprzeć. Nigdy mu się to nie udawało, teraz też nie. Kiedy rozsunał jej uda, poczuł, jak pod nim zadrżała. A kiedy w nią wszedł, wyszeptała jego imię. Była rozpalona, ciasna, wilgotna. Pozbawiony zdolności myślenia, wiedział tylko, że otoczyła go nogami, że jej biodra prowadzą go nawet wtedy, kiedy sądził, że to on nią kieruje. Jak przed nadejściem letniej burzy, stali się błyskawicą, wiatrem, gorącym rozpalonym oddechem. W końcu rozpętał się potok wyzwolonych żywiołów, zalewając ich falą, po przejściu której znieruchomieli, ciasno spleceni w swoich objęciach.

7

Wtulona w zagłębienie silnego ramienia, Remy przysunęła się jeszcze bliżej i potarła policzkiem o jego pierś. Zastanawiała się nad swoją dwoistą reakcją - poczuciem krańcowej satysfakcji z jednej strony i nagłym przyływem energii z drugiej.

Odchyliła głowę, żeby mu się przyjrzeć, i nie mogąc się powstrzymać, przejechała palcami po jego ostro zarysowanym podbródku.

- Zawsze tak z nami było?

- Nie zawsze. - W jego uśmiechu malowało się pełne spełnionej namiętności lenistwo. - Bywało lepiej.

- Niemożliwe - zakpiła z nutką sceptycyzmu w głosie.

Wziął ją za rękę i z figlarnym błyskiem w szarych oczach przycisnął jej palce do ust

- Pewnie masz rację.

Wybuchnęła śmiechem, bo to, co usłyszała, było całkowicie sprzeczne z typowo męskimi przechwałkami, których się spodziewała.

- Zdumiewasz mnie.

Jego oczy spoważniały.

- Postaraj się o tym nie zapomnieć. - Przez chwilę leżeli bez ruchu, w kompletnej ciszy. Wreszcie Cole stwierdził: - Trzeba wstawać, Remy.

- Jeszcze nie! Tak mi tu dobrze! - zaprotestowała.

Objął ją delikatnie, bez słowa, i jeszcze przez jakiś czas leżeli przytuleni. Z zamkniętymi oczyma wdychała zapach pożądania, jaki ich spowijał. Pragnęła, żeby ta

chwila trwała jak najdłużej. Nie musieć się ruszać, nie musieć pamiętać... Zmarszczyła brwi, tknięta nagłą myślą. Dlaczego nie chciała pamiętać?

Coś zaświtało jej w pamięci. To miało związek z Cole'em. Była tego pewna na tej samej zasadzie, na jakiej wiedziała, że są kochankami, choć nie mogła sobie przypomnieć szczegółów ich romansu.

Leżała, usiłując sobie przypomnieć, co to jest. Co powinna o nim wiedzieć? Ze wszystkich sił starała się zamienić owo nieokreślone przeczucie w konkretne wspomnienie. Bez skutku. Wspomnienia odpłynęły.

Westchnęła rozczarowana i coraz bardziej zniecierpliwiona. Niedawne zadowolenie gdzieś znikło.

- Myślę, że lepiej będzie... - Uniosła się na łóżku, a ręka Cole'a ześlizgnęła się bezwładnie z jej uda. Odwróciła się i zobaczyła, że kochanek głęboko śpi.

Z uśmiechem dotknęła jego ramienia, by go obudzić, ale powstrzymał ją widok jakże męskich rysów przepojonych teraz spokojem i niewinnością. Nic się nie stanie, jeśli pozwoli mu spać dalej. Cofnęła rękę i ostrożnie wyslizgnęła się z łóżka.

Cicho przeszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Szybko wzięła prysznic, włożyła szlafrok, przygotowany przez służbę hotelową, i odgarnęła mokre włosy. Ostrożnie otworzyła drzwi do sypialni i rozejrzała się po pokoju. Leżał dokładnie w tym samym miejscu i w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła.

Bezszelestnie podeszła do stosu ubrań na podłodze i zaczęła je zbierać, przypominając sobie, w jakim pośpiechu rozbierali się nawzajem. Rozdzieliła je, ułożyła starannie i przeszła do salonu po resztę.

Na widok stojącego na sekretarzyku aparatu telefonicznego zawahała się i spojrzała w kierunku sypialni. Powodowana nagłym impulsem, wzięła słuchawkę, wykręciła numer baru i zamówiła kawę, o której mówił Cole, jak tylko przyszli. Zadowolona z siebie, odłożyła słuchawkę. Kiedy się obudzi, będzie mogła podać mu kawę do łóżka, a nie miała nic przeciwko temu, żeby go trochę porozpieszczać.

Bez pośpiechu zebrała leżące na podłodze salonu ubrania i zniosła je do sypialni. Rzeczy Cole'a położyła na krześle, a swoje zabrała do drugiej sypialni, gdzie portier zostawił jej bagaż. Otworzyła walizkę i zaczęła w niej grzebać, zastanawiając się, w co się ubrać.

Przerwał jej dzwonek do drzwi apartamentu. Odwróciła się zdziwiona, bo nie sądziła, że służba hotelowa może działać tak sprawnie. Bosa, szybko podeszła do drzwi, żeby kelner nie zadzwonił ponownie i nie obudził Cole'a. Jedną ręką otworzyła zasuwę, a drugą uchyliła drzwi.

Stał przed nią mężczyzna w granatowym garniturze, z szarym płaszczem przeciwdeszczowym przewieszonym przez ramię i małą skórzaną teczką w ręce. Na jej widok napięcie i niepokój malujące się na jego twarzy zniknęły.

- Remy, to ty! Dzięki Bogu! - Mówiąc to, wszedł do pokoju, z hałasem postawił teczkę na podłodze, a na wierzch rzucił płaszcz. Nie mógł oderwać oczu od Remy.

Patrząc na niego, przypomniała sobie inny widok tej samej twarzy. Zastygłe w serdecznym śmiechu rysy, brązowe, zwężone w kącikach oczy, opadający na czoło kosmyk kasztanowych włosów.

- Gabe! - Poznała brata i przed oczami stanęły jej migawki z dzieciństwa: Gabe popychający ją na starej huśtawce, ścigający się z nią konno wzdłuż przystani i kpiący z niej bezlitośnie, kiedy szła na pierwszą randkę. Gabe, zawsze roześmiany, zawsze beztroski, nie przejmujący się niczym.

Teraz jednak w brązowych oczach dorosłego brata nie dostrzegła kpiarskich iskerek. Stał przed nią uśmiechnięty, lecz uśmiech ten wyrażał zadowolenie i ulgę. Kiedy wyciągnął ręce, rzuciła się w jego objęcia i uściśkała.

- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziała, przypominając go sobie. Utulił ją w ramionach, kołyszając jak dziecko, a potem odsunął od siebie, jakby raz jeszcze chciał się jej przyjrzeć.

- Byłbym tu wcześniej, ale Cole poleciał naszym samolotem do Marsylii i musiałem czekać na zwykły lot

Potem było jakieś opóźnienie z przyczyn technicznych i... - Zamilkł i westchnął uszczęśliwiony. - Nawet nie wiesz, jak to dobrze cię widzieć, Remy. Nigdy więcej nie rób nam takich niespodzianek. Myśleliśmy, że trzeba będzie przewrócić cały świat do góry nogami, żeby cię znaleźć.

- Ja też nie marzę o tym, żeby przeżyć to jeszcze raz.

- Jak zobaczyłem fotografię, wiedziałem, że to musisz być ty - powiedział i zaraz dodał z naganą: - Zdajesz sobie sprawę, że w życiu nie zrobili ci gorszego zdjęcia? Mam na myśli te bandaże na głowie, te siniaki... Co się stało?

- Nie wiem. A raczej: nie pamiętam.

- To znaczy, że ta historia z amnezją to prawda?

- Jego twarz spoważniała, stała się niemal ponura. Nagle zmienił się całkowicie: nie był już młodym, uśmiechniętym Gabe'em, jakiego znała. - Nic nie pamiętasz?

- Nie. Tylko ciebie. Właściwie to jesteś pierwszą osobą, którą sobie przypomniałam. - Przerwała i wzięła go za ręce, świadoma silnych więzów, jakie ich łączyły. Podniosła wzrok, żeby popatrzeć na nową, starszą twarz brata. - Zmieniłeś się od czasu, gdy byłeś tym Gabe'em, którego pamiętam. Nie jesteś już kpiącym, żartującym ze wszystkiego kilkunastoletnim braciszkiem, z diabłem za skórą. Urosłeś, stałeś się poważnym, odpowiedzialnym mężczyzną. - Uśmiechnęła się i wskazała na jego granatowy garnitur. - I jesteś nawet bardziej konserwatywny ode mnie.

- Dzisiaj każdy dobrze ubrany prawnik tak się nosi - odparł z uśmiechem.

- Jesteś prawnikiem?

- Skoro już nie zostałem aktorem, to najlepsze, co mogło mnie spotkać.

Roześmiała się.

- Zawsze trzymały się ciebie dowcipy - stwierdziła i nagle coś sobie przypomniała. - Jesteś specjalistą od prawa morskiego, zgadza się?

- Z towarzystwem żeglugowym w rodzinie, cóż innego mogłem wybrać? - odparł i znowu spoważniał. - Wszyscy

tak się o ciebie martwiliśmy, Remy. Ja... Ojciec był niemal pewien, że zostałeś porwana albo zamordowana, albo przytrafiło ci się coś równie strasznego.

- Szkoda, że go nie pamiętam... - Zmarszczyła brwi, zmartwiona brakiem jakichkolwiek wspomnień, jakichkolwiek uczuć związanych z ojcem. - Może kiedy go zobaczę... - mruknęła, starając się otrząsnąć. - Niedobrze, że nie przyjechał razem z tobą.

- Chciał, ale nie mógł.

- Dlaczego? - Znów ogarnęło ją przecucie nadchodzących kłopotów. Zaniepokojona spytała: - Czy coś mu się stało? Jest chory?

- Nie, tylko... tylko to nie byłoby teraz zbyt mądre, po prostu. Poza tym... - Uśmiechnął się, jakby chciał w ten sposób pokryć lekkie wahanie, i objął ją czule. - Masz tutaj brata prawnika. Przydam ci się dużo bardziej niż tata, biorąc pod uwagę wszystkie trudności z cłem i biurem imigracyjnym. A przy okazji, gdzie jest Cole?

- Ciii...

- Tutaj. - Cole stał w drzwiach do sypialni, spokojnie wsuwając nową koszulę w sztruksowe spodnie. - Jakoś sobie poradziłeś, Gabe.

- Tak, owszem.

Pomimo uśmiechu, jakim brat obdarzył Cole'a, zauważyła zmianę w jego zachowaniu i lekką, ledwie wyczuwalną rezerwę. Dlaczego? Czyżby się nie lubili? A może po prostu się zdziwił, widząc go tutaj?

- A właśnie, dziękuję, że zabrałeś Remy ze szpitala - dodał Gabe.

Miała wrażenie, że to trochę spóźnione podziękowanie wynikało raczej z dobrego wychowania niż szczerzej wdzięczności. I chociaż w zachowaniu brata nie wyczuwała wrogości, co najwyżej pewną powściągliwość, to coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Gabe nie ma o jej ukochanym zbyt wysokiego mniemania.

Zapinając mankiety koszuli, Cole zerknął na Gabe'a i uśmiechnął się sardonicznie.

- Daruj sobie podziękowania - rzucił i dodał jednym tchem: - Wybaczcie, ale wezmę marynarkę i pójdę

sprawdzić, co z naszym lotem. Trzeba by wracać do Nowego Orleanu.

Gdy wyszedł, zaciekawiona Remy zwróciła się do brata:

- Nie lubisz go, prawda?

Unikając jej wzroku, podniósł ręce w wymownym geście.

- Nawet nie wiesz, ile kłopotów sprawia ta twoja amnezja. - Przerwał na chwilę, napotkawszy jej spojrzenie. - Nie wiem, co o nim pamiętasz, jeżeli w ogóle cokolwiek pamiętasz, ale przez jakiś czas byliście całkiem blisko.

- Tyle wiem. - Uśmiechnęła się na wspomnienie chwil, jakie właśnie spędziła z Cole'em.

- Nie wyobrażasz sobie, jak mi ulżyło, kiedy z nim w końcu zerwałaś.

- To my ze sobą zerwaliśmy? - Jeszcze niedawno nie miała takiego wrażenia.

- Nie powiedział ci tego, co? - W jego głosie brzmiała nagana.

- Wiem, że się kłóciliśmy - odrzekła ostrożnie.

Gabe potrząsnął głową i wykrzywił twarz.

- Zawsze wiedziałem, że to człowiek pozbawiony skrupułów, więc nie wiem, dlaczego się teraz dziwię, że wykorzystał twoją sytuację.

Kiedy na nią spojrział, Remy odwróciła wzrok. Nie chciała przyjąć do wiadomości wniosków płynących z jego słów. Zaledwie dwadzieścia minut temu wierzyła, że jest w Cole'u zakochana. Jej uczucia i wrażenia były prawdziwe, w to nie wątpiła. Ale czy to możliwe, żeby były tak źle ułożone, jak sugerował to brat? Czy Cole z rozmysłem ją okłamał? A może powiedział tylko połowę prawdy? Ale dlaczego...?

- Dlaczego zerwaliśmy?

- Nigdy o tym nie mówiłaś, w każdym razie nie mnie. I nigdy cię o to nie pytałem. Czułem, że sama mi powiesz, jeżeli będziesz miała ochotę. Ale wiem, że przynajmniej z twojej strony decyzja była ostateczna. Skończyłaś z nim.

- I on to zaakceptował?

- Nie.

Odpowiedź brata potwierdzała to, co sama już odgadła: Cole chciał, żeby do niego wróciła. Dlatego właśnie tak śpieszno było mu się z nią kochać, zwłaszcza że i ona miała na to ochotę. Czy łudził się, że w ten sposób doprowadzi do pojednania? Czy ona tego chciała? Skąd ma wiedzieć, skoro nawet nie pamięta, dlaczego ze sobą zerwali? Oczywiście, nie przestała go kochać. Ale to oznaczało, że musiał powiedzieć albo zrobić coś, czego nie mogła mu wybaczyć. Cóż to by mogło być? Coś związanego z przecuciem, że jakaś pilna, ważna sprawa zmusza ją do powrotu do Nowego Orleanu?

- Prawdę mówiąc, Remy - odezwał się Gabe - nigdy nie byłem zadowolony z tego, że się z nim związałaś. Nazwij to instynktem opiekuńczym, ale jako brat pragnę dla mojej siostry tylko tego, co najlepsze. I wiem, że Cole Buchanan to nie mężczyzna dla ciebie. Zawsze twierdziłem, że będziesz tego żałować. Wierz mi, nie czuję żadnej satysfakcji widząc, że się co do niego nie myliłem.

- Co masz na myśli? Co znaczy, że się co do niego nie myliłeś?

Odwrócił się, z lekka zakłopotany jej pytaniami, i podszedł do okna, rozpinając marynarkę i kładąc ręce na biodrach.

- Szkoda, że nie pamiętasz. Wolałbym ci tego nie mówić, ale wygląda na to, że ktoś musi cię uświadomić. - Wyjrzał przez okno. - Ten człowiek po prostu ma inną skalę wartości, wyznaje inne zasady. Pochodzi z całkowicie innego środowiska, wyrastał w innym otoczeniu. Fakt, urodził się i wychował w Nowym Orleanie, tak samo jak my, ale po drugiej stronie rzeki, w Algiers. W Nowym Orleanie nie ma miejsca bardziej odległego od Garden niż Algiers.

Remy skinęła w zamyśleniu głową, przypominając sobie tę najuboższą dzielnicę miasta, leżącą dokładnie po przeciwnej stronie Missisipi. Kontrast między Algiers, z jego obdrapanymi domami i ponurymi studniami podwórek a dzielnicą Garden, gdzie przy szerokich, wysa-

dzanych drzewami ulicach, w otoczeniu bujnej zieleni ogrodów, stały stare, ozdobione kolumnami domy, nie mógł być większy.

- Przecież nie można wychować się w Algiers - mówił dalej Gabe - i nie przyswoić sobie tej ich twardości, tego braku skrupułów.

Zmarszczyła brwi i przypomniała sobie swoje pierwsze wrażenie, że Cole w pewnym stopniu posiada obie te cechy. Nie uważała jednak, by któraś z nich świadczyła przeciwko niemu, jak sugerował Gabe. To, co mówił o odmiennych wartościach i zasadach, też nosiło znamiona krytycyzmu.

- Nie ufasz mu, prawda?

Zawahał się, a potem nachylił ku niej, przelotnie napotykaając jej spojrzenie.

- Nie.

- Ale on jest prezesem Towarzystwa. Skoro masz o nim takie zdanie, to dlaczego...

- Posłuchaj... - Gabe odwrócił się od okna i podniósł rękę. - Kiedyś myśleliśmy, że jest najlepszym kandydatem na to stanowisko. Miał doświadczenie, kwalifikacje i reputację człowieka potrafiącego kierować liniami morskimi, które mają kłopoty. Owszem, krążyły pogłoski, że czasami stosuje niezbyt czyste metody, ale nie nielegalne - a w każdym razie nic takiego mu nie udowodniono - więc podkupiliśmy go konkurencji. Wszyscy specjaliści twierdzili, że Cole Buchanan to świetny kandydat na to stanowisko. Trudno się dziwić, że podpisaliśmy z nim kontrakt

- A teraz podejrzewasz, że zrobił coś złego.

Miała wrażenie, że jej słowa zaskoczyły go i zmartwiły, jak gdyby powiedział więcej, niż zamierzał.

- Zbaczamy z tematu. Mówiliśmy o tobie i o tym, dlaczego nie podoba mi się, że zadajesz się z człowiekiem, którego nazwisko łączy się z jakimiś ciemnymi, a pewnie nawet brudnymi sprawami. Jeżeli chodzi o Towarzystwo, to może odzywa się we mnie prawnik, ale nie podoba mi się umowa, którą z nim zawarliśmy. Wiąże ręce radzie nadzorczej, za to jemu daje zbyt dużą władzę. Moim

zdaniem Buchanan jest żądny władzy, a ty byłaś częścią jego łupu.

Czyżby miał rację? Na zdrowy rozum, to więcej niż prawdopodobne. Człowiek, który dorastał w biedzie i ponurej atmosferze przemocy Algiers, wyniesiony z takiego otoczenia na stanowisko prezesa wielkiego towarzystwa żeglugowego, musiał być agresywny i ambitny. A kiedy już posmakował władzy, mógł dojść do wniosku, że pragnie jeszcze więcej.

- Częścią łupu? W jakim sensie? - Podniosła na brata zaciekawione i zmartwione oczy.

- Posiadasz sporo udziałów w Towarzystwie i zasiadasz w radzie nadzorczej - odparł, przyglądając jej się z pełną współczucia cierpliwością. - Poza tym nasza rodzina ma pewne wpływy...

To chyba zbyt łagodnie powiedziane - pomyślała Remy, ale nie zawracała sobie tym głowy, bo zastanowiło ją zupełnie co innego. Nie pamiętając niczego, znalazła się w sytuacji, w której każda informacja wymagała oceny i mogła przyczynić się do wyjaśnienia dręczącego ją przecucia nadchodzących kłopotów.

- Powiedziałeś, że Cole ma opinię człowieka, który umie wyciągać firmy z kłopotów. Czy to znaczy, że Crescent Line ma problemy finansowe?

Nieznacznie wzruszył ramionami.

- W ostatnich latach Towarzystwo straciło trochę pieniędzy, ale to nic dramatycznego i z pewnością nic, czym należałoby się szczególnie przejmować. Każdy interes przynosi czasami straty.

- Więc to nie dlatego przyjęliście go do pracy. - Machinalnie przeciągnęła ręką po włosach, które były już prawie suche. Usiłowała to wszystko jakoś poskładać.

- Nie. Ojciec chciał wycofać się z interesów. Kierował firmą przez trzydzieści lat, a Marc nigdy nie miał do czynienia z interesami.

- Marc?

- Brat ojca, nasz stryj. - Zmarszczył brwi i przyglądał jej się przez chwilę. Wreszcie rozpogodził się. - Zapomniałem, że jego prawdopodobnie też nie pamiętasz.

- Nie, nie pamiętam.

- Marc jest kilka lat młodszy od ojca. Ma brązowe oczy, ciemne kręcone włosy, tu i tam przyprószone siwizną... - Przerwał, jakby zastanawiając się, co jeszcze mógłby o nim powiedzieć. - Po śmierci dziadka on i ojciec zaczęli prowadzić firmę. Powiedzieć, że Marc zajmuje się kontaktami z prasą, to za mało. Jest rzecznikiem Crescent Line, pomostem między zarządem a robotnikami, reprezentantem Towarzystwa, wreszcie naszym ambasadorem dobrej woli. To wspaniały człowiek, Remy. Zna imię każdego pracownika, nawet najnowszego. Może spokojnie iść do doków, zdjąć marynarkę i krawat i opowiadać kawały przy piwie, jakby był jednym z dokerów. A wieczorem wkłada białą muchę, frak i w grupie odwiedzających nas dygnitarzy rozprawa na temat polityki ze swobodą dyplomaty. Jest tak uroczy i czarujący, że nie sposób go nie lubić.

Ale jedyny obraz wuja, jaki rysował się w jej pamięci, to ten, który Gabe właśnie naszkicował. Nie miała żadnych własnych wspomnień.

- Przykro mi. - Z żalem pokiwała głową. - Nie mogę go sobie przypomnieć.

- A jego syna, Lance'a? Jest w tym samym wieku, co ja... Obchodzimy urodziny zaledwie kilka miesięcy po sobie. Lance też pracuje dla firmy, w rachunkowości. - Czekał na jakiś znak, że jego słowa poruszyły w niej znaną strunę. - Może ci coś pomoże, jeśli powiem, że go nie lubisz.

- Dlaczego? - spytała, zdumiona tym stwierdzeniem.

- Chyba uważasz, że jest zarozumiały i lekceważy kobiety.

- A jest taki?

- Być może - odparł. - Ale wystarczy, że spojrzysz na jakąś, a ta już wskakuje mu do łóżka, więc nic dziwnego, że nie żywi dla nich specjalnego szacunku. Kiedyś byłem o niego zazdrosny, jeszcze w szkole średniej. Niemal go wtedy znienawidziłem. Jak byliśmy gdzieś razem, żadna dziewczyna nawet na mnie nie spjrzała.

- Rozumiem, że jest przystojny.

Roześmiał się.

- Określenie „diabelnie przystojny” wymyślono pewnie na jego użytek. Ciemne włosy, ciemne oczy i niezwykle pociągająca zadumana mina. To taki ciemny typ, przed którym matki ostrzegają swoje córki, ojcowie czekają na niego w progu ze strzelbą, a dziewczyny za nim szaleją.

- To brzmi jak opis zatwardziałego kawalera i podrywacza. - Czuła, że aż zaciska zęby, instynktownie reagując na Lance'a ze wstrętem i obrzydzeniem. A może reagowała tak nie na słowa brata, lecz na jakieś wspomnienie? Trudno powiedzieć.

- Zatwardziały kawaler? A skąd! Od trzech lat jest żonaty, ma dwuletniego synka i następane dziecko w drodze. A podrywacz? - Gabe machnął ręką, dając do zrozumienia, że różnie można na to patrzeć.

- Innymi słowy jest żonatym podrywaczem - stwierdziła cierpko Remy.

- Bądźmy realistami - zaprotestował Gabe, występując otwarcie w obronie kuzyna. - Jeżeli jesteś na przyjęciu i podają ci na tacy słodkości i wspaniałe frykasy, to czy masz siłę woli za każdym razem mówić nie? Żaden mężczyzna nie jest tak silny, Remy.

- A Lance jest trochę słabszy niż inni, prawda? - Odgadła czy przypomniała sobie? Chciałaby to wiedzieć, ale uznała, że jak wiele innych, także i to pytanie pozostanie bez odpowiedzi. - Mówiłeś, że pracuje u nas w rachunkowości?

- Tak. Widzisz więc, że ani Lance, ani ja nie byliśmy zainteresowani stanowiskiem prezesa, zresztą nie mieliśmy odpowiednich kwalifikacji. A zatem na miejsce ojca musieliśmy szukać kogoś z zewnątrz.

Ktoś zadzwonił do drzwi apartamentu, a zaraz potem dał się słyszeć głos z silnym obcym akcentem:

- *Room service.*

- Pewnie przynieśli kawę - powiedziała Remy i podeszła do drzwi.

Kelner wślizgnął się do pokoju, z wystudiowaną wprawą balansując tacą. Pokazowym gestem zestawił z niej

chińskie talerzyki i filiżanki, dzbanuszek ze śmietanką i cukiernicę, jednocześnie poprawiając na stoliku wazon z kwiatami, całkowicie obojętny na ciszę, która zapadła w pokoju.

Podniósł dzbanek z kawą.

- Czy mam nalać, proszę pani?

- Nie, dziękuję.

- Dobrze, proszę pani - odparł, ale w rzeczywistości okazywał w ten sposób swoją dezaprobatę. Przesadnym gestem podał jej rachunek.

Remy pospiesznie naskrobała na nim swoje nazwisko i oddała go kelnerowi. Kiedy wyszedł, zamknęła drzwi i wróciła do pokoju.

- Napijesz się? - Podeszła do tacy i wzięła dzbanek.

- Chętnie.

Remy nalała gorącej kawy do filiżanek i sięgnęła po dzbanuszek ze śmietanką.

- Dużo śmietanki i mało cukru, prawda?

- Tak - potwierdził. - Zaczynasz to i owo sobie przypominać.

- Mam nadzieję - odparła z udawaną nonszalancją.

- Co się stało, Remy? Co spowodowało tę amnezję? Jak dotąd nie zdołałem się dowiedzieć, co to za historia. Miałaś wypadek, czy co?

- Zgodnie z tym, co mówi inspektor policji, widziano, jak kłóciłam się... szarpałam z jakimś mężczyzną. - Ostrożnie upiła łyk kawy, pamiętając o pokaleczonych wargach. - Popchnął mnie i przewróciłam się, uderzając głową o pień drzewa. Straciłam przytomność. Kiedy się ocknęłam w szpitalu, miałam tuzin szwów na łbie, wstrząs mózgu i amnezję. Nie wiedziałam, kim jestem, gdzie mieszkam, czym się zajmuję, no i nie miałam przy sobie żadnych dokumentów.

- Ten mężczyzna, który cię uderzył... Złapali go?

- Nie. Uciekł i zniknął w tłumie. Policja nie zdobyła dokładnego rysopisu, a ja oczywiście nic nie pamiętałam. Wciąż nie wiem, czy to był jakiś znajomy, czy ktoś obcy. - Przerwała na chwilę. - Czy wiesz, co się zdarzyło

tej nocy, Gabe? Dlaczego byłam w parku Massena? Co tam robiłam? Dokąd szłam?

- Tamtej nocy wszyscy byliśmy na przyjęciu... w hotelu, niedaleko parku. - Zawahał się, jakby nie był pewien, co odpowiedzieć. - Ty, ja, Marc, ciocia Christine, Lance i jego żona, Julie, Diana i Kathy z mężami... - Dostrzegł jej puste spojrzenie, kiedy wymieniał dwa ostatnie imiona, i przerwał, żeby wytłumaczyć: - Diana i Kathy to córki Marca, młodsze od Lance'a. - Smutny uśmiech wykrzywił mu twarz. - To nasze kuzynki, ale prawdę mówiąc, obie są dość puste i płytkie. Interesują się głównie bywaniem w odpowiednim towarzystwie, sukniami szytymi przez odpowiednich projektantów i wysyłaniem dzieci do odpowiednich szkół. W każdym razie one też tam wtedy były. Kiedy widziałem cię po raz ostatni, wszyscy byliśmy na przyjęciu. I nagle wyszłaś. Sądziłem, że wróciłaś na jacht. Nic dziwnego, myślałem, ostatecznie wszystkie przyjęcia karnawałowe są takie same. A kiedy nie zastaliśmy cię rano na jachcie, nikt się nad tym nie zastanawiał. Tego dnia miałaś zamiar wyjechać, więc sądziliśmy, że po prostu wyjechałaś i już. Ani ja, ani nikt inny nie przypuszczał, że coś ci się stało. Inaczej byśmy nie odpłynęli.

- Wiem.

Usłyszała obracający się w zamku klucz i z lekkim poczuciem winy wstała. Cole wszedł do pokoju. Utkwił w niej spojrzenie szarych oczu, ale ona unikała jego wzroku. Nie była już pewna, czy może mu wierzyć, a jednocześnie gnębiło ją poczucie, że jej wątpliwości są w pewnym sensie zdradą.

- I jak, zdołałeś skompletować załogę? - spytał Gabe.

- Są już w drodze na lotnisko, żeby przedstawić plan lotu i dostać konieczne zezwolenia. Powinniśmy móc wystartować, jak tylko się tam dostaniemy.

- Dajcie mi dwadzieścia minut - powiedziała Remy i szybko wyszła z pokoju.

8

Przez okienko samolotu patrzyła na złote światło zachodzącego słońca, które rozsiewało swój blask ponad plażą i zabudowaniami Nicei. Kiedy samolot znalazł się nad lśniącymi wodami zatoki, hotele wzdłuż Promenade des Anglais - te potężne bastiony elegancji - zmniejszyły się, a słynna Góra Zamkowa, z fontanną widoczną z prawie każdego zakątka starej części miasta, stała się małą kupką ziemi pośród zielonych pagórków i nieco oddalonych gór, otaczających miasto. Potem samolot wszedł na przewidziany kurs i Remy usiadła głębiej w fotelu, kładąc głowę na oparciu.

Lecą do domu. Wraca do domu, do domu w Nowym Orleanie, w stanie Luizjana. Nie czuła potrzeby uprzedzania wydarzeń, ale myśl o tym wzbudzała w niej lęk.

- Zmęczona? - zapytał Gabe ze swojego fotela po przekątnej, mylnie biorąc jej ledwo słyszalny oddech za westchnienie.

- Nie bardzo - odparła, chociaż chciałyby, żeby tak było.

Światło informujące o konieczności zapięcia pasów zgasło. W nagłym przypływie energii Remy sięgnęła po torebkę i wstała. Kiedy odwróciła się, żeby przejść na tył samolotu, do toalety, napotkała wzrok Cole'a. Siedział na miękkim fotelu bezpośrednio za nią, z uniesionymi brwiami i palcem na ustach, najwyraźniej pogrążony w zadumie.

Co kryło się w tych stalowych oczach? Remy nie potrafiła powiedzieć. Miał twarz, która zdradzała jego

najgłębsze uczucia tylko wtedy, gdy chciał. Po chwili wahania przeszła do toalety i zaczęła przeglądać się w lustrze, zastanawiając się, czy potrafi ukrywać uczucia równie dobrze, jak on. Wątpiła w to. Wręcz przeciwnie, podejrzewała, że nigdy nie starała się nawet nauczyć kontrolowania uczuć ani wyrażanych opinii. Wspominając swoje ostatnie zachowanie, doszła do wniosku, że jest brutalnie szczerą nawet wobec tych, których lubi czy kocha.

Poprawiła makijaż, dotykając brązowym tuszem rzęs, podkreślając kilkoma muśnięciami różu zarys kości policzkowych i nakładając świeżą warstwę brzoskwiniowej szminki na usta. Kiedy skończyła, opłukała nadgarstki zimną wodą, daremnie usiłując ostudzić ogarniające ją podniecenie. Wytarła ręce w ręcznik z symbolem jej rodzinnej firmy i wzięła torebkę z półki.

Wychodząc z toalety, w wąskim przejściu zauważyła Cole'a. Pochylony, by nie uderzyć głową o sufit, trzymał filiżankę z kawą i talerzyk. Słyszając trzask drzwiczek do toalety, utkwiał wzrok w Remy. Był tak samo nieprzenikniony, jak wyraz jego twarzy.

- Kawy? - Podniósł filiżankę.

Już miała ją przyjąć, kiedy przypomniała sobie, że kofeina często potęguje sensacje wywołane lotem. Jakby czytając w jej myślach, dorzucił:

- Bez kofeiny.

- To poproszę.

Stojąc w progu kuchenki, obserwowała go, jak nalewa kawę. Kiedy podał jej filiżankę, ich palce nieuchronnie się zetknęły. Po raz drugi napotkała jego wzrok i powróciło dojmująco żywe wspomnienie tego, co czuła, kiedy się kochali. Pamiętała gwałtowną harmonię ich ciał i swe głębokie uczucie, które teraz wahała się nazwać miłością.

Jego twarz stwardniała, a usta zwięziły się. Odwrócił się raptownie i sięgnął do kuchenki po drugą filiżankę. Czyżby dostrzegł jej wątpliwości? — zastanawiała się Remy. Być może. Miała wątpliwości zarówno co do swoich uczuć, jak i co do niego.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że zerwaliśmy ze sobą, tylko pozwoliłeś mi sądzić, że się zwyczajnie pokłóciliśmy? - Trzymała filiżankę oburącz, jak gdyby potrzebowała ciepła gorącej kawy.

Popatrzył na nią z zimnym uśmiechem.

- Byłem pewien, że Gabe czym prędzej sam ci o tym powie.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? - powtórzyła z uporem. - Nie sądzisz, że mnie wykorzystałeś?

- Teraz pewnie żałujesz tego, co się stało. - Podniósł filiżankę do ust.

- Owszem, żałuję.

Patrzyła, jak sączy kawę. Nagle zrozumiała swój błąd i przeniosła wzrok z jego ust na oczy. Niezależnie od wątpliwości, nadal go pragnęła, silnie i gorąco.

- Szkoda, że nie poczekałimy, aż przypomnę sobie, że cię kocham, zanim poszliśmy do łóżka. - Remy wbiła wzrok w filiżankę i ściskające ją dłonie. - Szkoda... - urwała, zdając sobie sprawę z niestosowności tego, co mówi.

- Wszyscy czegoś żałują - skonstatował zimno Cole.

Spojrzała na niego, zaciekawiona.

- A czego ty żałujesz?

Błądził tęsknym spojrzeniem po jej twarzy; błysk w oczach i ślad gorzkości w wyrazie ust świadczyły, że dostrzegł i jej tęsknotę.

- Żałuję, że nie powiedziałem pani Franks, że jestem zbyt zajęty, by się z tobą zobaczyć, i wpuściłem cię za próg.

Dopiero po chwili zrozumiała, co miał na myśli.

- To właśnie wtedy przekroczyłeś tę dziesięciostopową granicę? Pół roku temu?

- Tak.

- Opowiesz mi o tym? - Była ciekawa, więcej niż ciekawa okoliczności, w jakich się spotkali. - Muszę sobie przypomnieć. Kto to jest pani Franks?

- Moja sekretarka. - Patrzył na nią, przypominając sobie własne słowa, kiedy tamtego dnia zaterkotał na jego biurku wewnętrzny telefon...

- Co jest? - rzucił, nie podnosząc oczu znad sprawozdania dotyczącego kosztów operacyjnych za czerwiec.

- Panna Jardin do pana - padło z głośnika.

- Kto? - rzucił w stronę interkomu, który teraz niepodzielnie skupił na sobie jego uwagę.

Zapadła cisza, po czym znów rozległ się głos sekretarki, jakby trochę przyspieszony i zakłopotany.

- Panna Remy Jardin.

- Córka Fraziera... - Mars na jego czole pogłębił się.

- Czego ona... no nic. - Odłożył raport i rozparł się w fotelu, coraz bardziej zaciekawiony. - Wpuść ją.

Klamka w drzwiach obróciła się prawie natychmiast. Kiedy weszła do pokoju, Cole odruchowo wstał. Dobre wychowanie, które wpoić mu matka, nie dawało o sobie zapomnieć. Jeśli to możliwe, Remy Jardin wyglądała jeszcze bardziej atrakcyjnie niż podczas ich krótkiego spotkania kilka miesięcy wcześniej. W sztucznym świetle pokoju jej włosy lśniły blaskiem starego złota, podkreślając matową bladość twarzy. Regularne rysy naznaczono były jakimś ciepłem i szczerą ciekawością.

Kiedy szła przez pokój, szelest koralowego jedwabiu skierował jego uwagę na lekką sukienkę, którą miała na sobie. Cienki materiał skrojony był tak, że opływał ciało dziewczyny i naturalne wypukłości w wymyślny, ale subtelny sposób. Zobaczył, jak jej wzrok prześlizguje się po gabinecie urządzonej w staroeuropejskim stylu, który wymagał poświęcenia całego lasu mahoniowego, żeby wyłożyć ściany boazerią. Na widok portretu dziadka, wiszącego na swoim zwykłym miejscu, uśmiech ożywił jej usta i tak rozpromieniona, stanęła przy masywnym biurku. Złotawe ogniki w ciemnych oczach, błyszczących ciepłem i odrobiną rozbawienia, były niezwykle pociągające.

Znając kobiety z jej sfery czekał, aż zacznie mówić i rzuci mu prowokujące spojrzenie spod długich rzęs. Tymczasem popatrzyła na niego z zadziwiającą otwartością.

- Myślałam, że zdążył już pan urządzić biuro na nowo - powiedziała. - Wszystko jest tu dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy za tym biurkiem siedział mój ojciec.

- Biorąc pod uwagę sytuację finansową firmy, myślałem, że lepiej wydać pieniądze na co innego - odparł lekko, wiedząc, że szerokość biurka wyklucza możliwość uścisku dłoni. - Proszę usiąść, panno Jardin. - Wskazał dwa skórzane fotele przy biurku.

- Dziękuję.

Zaczekał, aż usiądzie i dopiero wtedy zajął swoje miejsce.

- Zdaje pani sobie sprawę, panno Jardin, że ta wizyta jest więcej niż nieoczekiwana. Po co chciała się pani ze mną zobaczyć?

- Przyszłam zabrać pana na lunch, panie Buchanan - oświadczyła z beztroską i pewnością siebie bogatej młodej kobiety, przyzwyczajonej do robienia tego, co chce.

Zareagował szybko, instynktownie, pokrywając wszystko uprzejmym uśmiechem.

- Przykro mi, ale...

- Już sprawdziłam pański rozkład dnia, panie Buchanan - przerwała mu. - Nie ma pan żadnych spotkań aż do trzeciej po południu. A tu chodzi o interesy.

- Co za interesy? - Wdychał zapach jej perfum, mieszaninę słodkiej gardenii i drzewa sandałowego, tak samo mocnych i kobiecych jak ona cała.

- Interesy firmy.

- Doprawdy? Pani wybaczy, jeśli jestem nieco zdziwiony, ale myślałem, że pani nie zajmuje się sprawami Towarzystwa, pominąwszy uczestnictwo w zebraniach rady nadzorczej i odbieranie za to wynagrodzenia.

Zjechał ją, i to otwarcie, a ona nie mrugnęła nawet okiem. No, może głos miała teraz odrobinę chłodniejszy.

- Ma pan absolutną rację, panie Buchanan. Nigdy nie zajmowałam się sprawami firmy, ale interesuje mnie, kto ją prowadzi. Teraz, kiedy został pan prezesem, nadszedł czas, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

- Może należało to zrobić, zanim objąłem stanowisko, panno Jardin? V

Uśmiechnęła się, ani trochę nie zakłopotana pytaniem, a on nie mógł nie zauważyć uroczych dołeczków, jakie pojawiły się na jej policzkach.

- Zna pan to stare przysłowie: lepiej późno niż wcale. Poza tym wzbudził pan moją ciekawość, kiedy w zeszłym tygodniu poinformował pan ojca, że nie jest pan zainteresowany członkostwem w jego klubie. Zdaje się, że dokładnie powiedział pan tak: „Mam to w nosie, nawet jeżeli ten klub jest jedną z najbardziej elitarnych i politycznie ustosunkowanych organizacji w tym stanie”.
- Uśmiechnęła się. - Biedny ojciec do dzisiaj nie może otrząsnąć się z szoku po pańskiej odmowie. - Przerwała, patrząc na niego z nie ukrywanym zainteresowaniem.
- W swoim życiorysie pisze pan, że wychowywał się pan w Nowym Orleanie, więc musi pan wiedzieć, że są ludzie, którzy zapłaciliby każdą cenę, byleby tylko ich nazwiska wymieniono w tym samym zdaniu, co nazwę klubu.

- Ja nie jestem z tej dzielnicy, panno Jardin, i wcale nie pragnę zadawać się z takimi ludźmi. - Mówiąc o „tej dzielnicy” Cole miał na myśli nie tyle miejsce, co styl życia.

- Mógłby pan nawiązać bardzo ważne kontakty.

- Być może, ale te ważne kontakty nie przyniosły pani ojcu nic dobrego, prawda? W każdym razie nie uchroniły Crescent Line od finansowych kłopotów. To przecież dlatego mnie zatrudniliście.

- Owszem. - Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale przerwał jej terkot intercomu.

- Słucham? - W jego głosie brzmiało napięcie. Do diabła, dlaczego jej na to pozwala?!

- Przykro mi, że panu przeszkadzam, panie Buchanan - odezwała się wyraźnie zdenerwowana sekretarka - ale przyszedł posłaniec z jakąś paczką. Mówi, że kazano mu ją tu przynieść.

- Tak, tak, wiem. Proszę ją przyjąć.

- Ale z jednej strony jest trochę wgnieciona. Może najpierw powinien pan ją otworzyć i sprawdzić, czy nic nie zostało uszkodzone.

Cole nie czekał, aż sekretarka skończy mówić. Wstał z biurka i ruszył do drzwi.

- Pani wybaczy - rzucił po drodze.

Kiedy wszedł do drugiego pokoju, spojrzął najpierw na chudą jak szczapa panią Franks i stojącego przed nią posłańca w brązowym uniformie, ale zaraz skupił uwagę na prostokątnej paczce opartej o biurko. Obejrzał przewiązane sznurkiem kartonowe pudło i z kieszeni spodni wyjął scyzoryk.

Nie spieszył się. Jeżeli coś zostało uszkodzone, nie chciał, żeby znalazło się w jeszcze gorszym stanie z powodu jego nieuwagi i pośpiechu. Kiedy w końcu zdjął opakowanie i z wzmocnionego drewnem pudełka wyjął pożądaną ramę, odetchnął głęboko, bo utrzymany w błękitnej tonacji sztych był najwyraźniej cały.

- Wszystko w porządku? - zapytała z niepokojem pani Franks.

- Rama jest trochę podrapana, ale poza tym nic się chyba nie stało.

Zaniósł obraz na kanapę i pochylił się, by obejrzeć go z bliska. Przeciągnął ręką po powierzchni, szukając śladów zadrapań, ale ich nie znalazł. W końcu, zadowolony, cofnął rękę i spojrzął na sztych dla czystej przyjemności.

Prawie w tej samej chwili usłyszał za sobą delikatny szelest jedwabiu. Stanęła za nim Remy Jardin. Wyciągnęła rękę, pokazując na obraz.

- To stary sztych, scena sportowa. Były bardzo popularne w drugiej połowie osiemnastego i na początku dziewiętnastego wieku, zanim rozpowszechniła się fotografia. - Rzuciła mu lekko zdziwione spojrzenie. - Takie sztychy, a zwłaszcza w tak doskonałym stanie, są niezwykle rzadkie.

- Wiem. - Musnął spojrzeniem jej włosy w kolorze ciemnego miodu, rozpuszczone tak, jakby zapraszały mężczyzn, by je gładzili.

- Wspaniały obraz. - Jej podziw był zupełnie szczery. - Tak wiele szczegółów, takie delikatne wykończenie... Ci ludzie wokół dwóch bokserów...

- Pięściarzy - poprawił Cole. - Anglicy uważali boks za bardzo szlachetną sztukę i zajęcie dla prawdziwych dżentelmenów, natomiast Amerykanie zrobili z boksu

sport dla plebsu. Ten sztych przedstawia walkę Amerykanina Johna C. Heenana z mistrzem Anglii Tomem Sayersem. Wśród dwustu osobistości wokół ringu są twarze księcia Alberta, Thackeraya i rysownika Thomasa Nasta.

Wyprostował się i ujął ją lekko za łokieć, starając się nie zwracać uwagi na dziwny błysk w oczach dziewczyny. Ale nie potrafił nie zwracać uwagi na jej obecność. Była pociągająca, cholernie pociągająca, i reagował na nią jak każdy normalny, zdrowy mężczyzna. A już mu się wydawało, że jest uodporniony na kobiety w jej typie.

- Czy mam zgłosić uszkodzenie ramy, panie dyrektorze? - spytała sekretarka.

- Nie, szkoda zachodu. Proszę tylko pokwitować odbiór.

Wziął sztych i zaniósł go do gabinetu, wiedząc, że Remy Jardin idzie za nim. Oparł go o orzechowy kredens za biurkiem, odwrócił się i spojrzał na swego gościa.

- Czy ma pani do mnie coś jeszcze, panno Jardin?

Uśmiechnęła się lekko.

- Zaprosiłam pana na lunch, pamięta pan?

- Pamiętam. - Miał nadzieję, że już zapomniała albo zmieniła zdanie.

- Z pewnością nie odmówi pan zjedzenia lunchu z członkiem rady nadzorczej Crescent Line, prawda?

Chciał odmówić. Instynkt podpowiadał mu, że powinien unikać Remy Jardin. Nie masz już dwudziestu lat, do cholery - upominał siebie w duchu. Wiedział, kim ona jest i skąd pochodzi, ale widoczna na pierwszy rzut oka klasa i staranne wychowanie nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Nie dawał się takim jak ona.

- To dokąd się wybieremy? - Postanowił mieć to z głowy i uwolnić się od niej jak najszybciej.

- Do Galatoire. - Uśmiechnęła się szczerze. - A leniech się pan nie martwi, panie Buchanan. Dyrektorowi nie przysługuje fundusz reprezentacyjny, więc może pan spać spokojnie, bez obaw, że firma będzie musiała za to zapłacić.

Ogarnęło go dziwne przecucie, że jednak będzie musiał zapłacić, w dodatku osobiście, w ten czy inny sposób.

Poszli do restauracji w Dzielnicy Francuskiej, chociaż „poszli” nie jest w tym wypadku odpowiednim określeniem. W lecie nikt po Nowym Orleanie nie chodzi. Upał, wilgoć i ciężkie powietrze zmuszały do leniwego spaceru. Kiedy minęli Canal Street, która oddziela Centralną Dzielnicę Handlową od wąskich uliczek gęsto zabudowanego Vieux Carré, Cole poczuł, że ogarnia go specyficzna atmosfera starej części Nowego Orleanu: żelazne kraty balkonów, drzwi prowadzące na ukryte podwórza, stukot kopyt konia zaprzęzonego do wozu, stłumione dźwięki trąbki wygrywającej rzewny dixieland... Usiłował nie słuchać niskiego, przytłumionego głosu dziewczyny i skupić się tylko na słowach. Bez skutku.

Przebywając latami poza Nowym Orleanem, zapomniał o zmysłowej energii, jaka unosi się nad tym miastem, energii przesiąkniętej prawdziwym erotyzmem. Ale nie tym, jaki można znaleźć na Bourbon Street, lecz subtelną i namiętną wonią przezroczystej sukienki, którą miała na sobie, i dusznego, ciężkiego zapachu magnolii. Dlaczego nie myślał o tym przez te sześć miesięcy, odkąd wrócił? Dlaczego przyszło mu to do głowy akurat teraz, przy niej? Czy specjalnie unikał dotąd wspomnień, czy też naprawdę był aż tak zajęty? Chciał wierzyć w to drugie.

Doszli do Galatoire, gdzie długa kolejka urzędników, którzy przychodzili tu w porze lunchu, znacznie się już zmniejszyła. Remy szepnęła coś *maitre d'* i natychmiast zaprowadzono ich do stolika w obszernej, jasno oświetlonej sali, z lustrami na wszystkich ścianach. Restauracja wrzała od plotek, których spokojnego biegu nie zakłócały wirujące nad głowami wentylatory.

Remy zapytała kelnera, które z rybnych dań są naprawdę świeże. Zwracała się do niego po imieniu i traktowała go z bezpośredniością, która świadczyła o długiej znajomości. Cole słuchał tego cynicznie, wiedząc, że w jej sferach takie znajomości są szczególnie kulturowane, bo pozwalają uniknąć wyczekiwania w takich miejscach jak na przykład u Antoine'a, gdzie imię kelnera jest sekretnym i niezbędnym hasłem.

Po konsultacji z puciołowatym Josephem Remy wybrała na przystawkę ostrygi *en brochette*, a jako danie główne kotlet barani w sosie *béarnaise*. Cole zamówił *remoulade* z krewetek i solę *à la meunière*.

Kiedy kelner oddalił się poza zasięg głosu, Remy szepnęła:

- Dam panu dobrą radę. Jeżeli nie chce pan, żeby całe miasto o czymś wiedziało, niech pan nie wspomina o tym przy Josephie. Jak by powiedziała Nattie, on ma język dłuższy niż Missisipi.

- Kto to jest Nattie?

- Nasza kucharka, chociaż jest u nas tak długo, że praktycznie stała się członkiem rodziny.

- Rozumiem. - Przed oczami stanął mu obraz potężnej Murzynki z pyzatymi policzkami, ale powstrzymał się od komentarza. W wyższych sferach utrzymuje się takie stosunki, by móc się obnosić z liberalnymi poglądami.

Po chwili, patrząc mu prosto w oczy, powiedziała:

- Przyznaję, że ryba zapowiada się nieźle. Sama chciałam ją wziąć. Lubi pan *frutti di mare*?

- Prawdę mówiąc, moje ulubione danie to czerwona fasola z ryżem.

Jeśli chciał ją zaszokować niezbyt wyszukany smakiem, pomylił się w rachubach.

Roześmiała się z wesołym błyskiem w oku.

- Niech pan tego nie powtarza Josephowi, ale to także moje ulubione danie. - Sięgnęła po szklankę wytrawnego *rosé*, które kelner podał razem z whisky dla Cole'a. - Nattie robi najlepszą fasolę, jaką kiedykolwiek jadłam, gęstą i przyprawioną na ostro, jak trzeba. Podaje ją z niesamowicie sypkim ryżem. A kiełbaski są domowe, Nattie je własnoręcznie nadziewa. Musi pan kiedyś wpaść do nas na kolację.

- Niestety, nie mam czasu na życie towarzyskie, panno Jardin.

- Tak słyszałam. Mój brat uważa, że z pana nałogowy pracuś.

- Może gdyby pani ojciec i wuj poświęcali więcej uwagi interesom, a mniej stosunkom towarzyskim, nie musiałbym przesiadywać w pracy po nocach.

- Zasłużyłam sobie na to, prawda? - Uniosła kieliszek jak do toastu, upiła trochę i odstawiła go. - Nie przypominam sobie, żeby w pańskim życiorysie było coś na temat rodziny. Ale ma pan chyba rodzinę?

- Owszem - odparł chłodno.

- Siostry? Braci?

- Nie.

- A rodzice? Gdzie mieszkają?

- Ojciec umarł, kiedy miałem osiem lat. Matka mieszka tu, w Nowym Orleanie.

- Tutaj? Często ją pan widuje, czy może jest pan zbyt zajęty? - spytała z lekką naganą w głosie, ale złagodziła te słowa uśmiechem.

Powinien warknąć, że to nie jej interes, tymczasem grzecznie odpowiedział na pytanie. Czyżby to przez ten uśmiech?

- Zwykle dzwonię albo zaglądam do niej do sklepu raz na tydzień czy coś koło tego. Czasem wpadam do niej do domu na kolację.

- Pana matka ma sklep?

- Owszem, taki mały, ze starociami.

- Naprawdę? Na Royal?

Uśmiechnął się lekko.

- Nie, na Magazine. Jej klienci to ludzie w dżinsach i trampkach, a nie w kapeluszach i białych rękawiczkach.

Joseph podał przystawki. Gdy odszedł, Remy nadzieją na widelec kilka ostryg.

- A co sprzedaje pańska matka?

- Nie tyle antyki co drobiazgi dla zbieraczy: zabawki, koronkowe zasłony, kiczowate figurki, takie tam starocie...

- Jak się nazywa ten sklep?

- Lemon Tree. A dlaczego pani pyta?

- Po prostu jestem ciekawa - odparła, z nonszalancją wzruszając ramionami. Ruch ten sprawił, że materiał

sukienki przez chwilę ciasno opinał jej piersi, uwydatniając ich kształt, czego starał się nie dostrzegać. Choć nigdy by się do tego nie przyznał, jej obecność budziła w nim pożądanie - odkąd poszli do restauracji, odkąd weszła do jego biura... odkąd spotkał ją po raz pierwszy, pół roku temu. Próbował o tym nie myśleć.

Nadział krewetkę na widelec.

- Zdawało mi się, że mieliśmy rozmawiać o interesach.

- Nic podobnego nie mówiłam - zaprzeczyła szybko i swobodnie. - Powiedziałam tylko, że chcę pana lepiej poznać. - Przerwała, by włożyć do ust następną ostrygę. - A przy okazji, gdzie udało się panu znaleźć ten sztych?

Cole wahał się przez chwilę.

- W zeszłym miesiącu w Londynie miałem trochę czasu między spotkaniami, więc zajrzałem do Christie's i tam go wypatrzyłem.

- Do domu aukcyjnego Christie's? Tam właśnie miałam kurs z osiemnastowiecznej porcelany francuskiej.

- Uśmiechnęła się z nieobecnym wyrazem twarzy, jak gdyby inna myśl przemknęła jej właśnie przez głowę.

- Ciekawe, czy Jacques wciąż tam jest.

- Kto taki? - zdziwił się Cole.

- Taki Francuz, zupełnie nie do wytrzymania, facet, który na wszystkim się znał. Serdecznie go nie znosiliśmy. A śmiał się jak hiena! - Przerwała na chwilę, podnosząc brew. W jej oczach mrugały wesołe iskierki.

- Nie ma pan pojęcia, czego nie robiliśmy, żeby go rozśmieszyć, zwłaszcza jeżeli w pobliżu był jakiś ważny klient

- Wyobrażam sobie. - Niemal widział konspiracyjnych stażystów, którzy wyłazą ze skóry, żeby doprowadzić faceta do śmiechu.

- Nie wątpię. - Uśmiechnęła się do niego wesoło i zajęła się przystawką. - Zbiera pan sztychy o tematyce sportowej?

Cole przypomniał sobie podziw malujący się na jej twarzy, kiedy przynieśli obraz. Bez trudu mógłby z nią

rozprawiać o swoich zainteresowaniach i właśnie dlatego nie chciał.

- Wątpię czy według pani standardów pięć, sześć sztuchów może uchodzić za kolekcję.

- Tak pan sądzi? A jakie są moje standardy? - Była wyraźnie rozbawiona.

- Pani i pani przyjaciele niewątpliwie zbieracie oryginalne dzieła sztuki, nie sztuchy. Ale sztuchy to wszystko, na co mogę sobie pozwolić.

Podniosła kieliszek do ust i nie odrywając oczu od Cole'a, powiedziała:

- Chyba nie ma pan zbyt wysokiego mniemania o mnie, o mojej rodzinie i przyjaciółach.

Zawahał się, lecz postanowił być szczery.

- Prawdę mówiąc, nie.

- Dlaczego? - Przyglądała mu się zamyślona i zaciekawiona.

Skończył *rémoulade* z krewetek, odłożył widelec i spokojnie odpowiedział na jej wyzywające spojrzenie.

- Niech pani spojrzy na stan Crescent Line, a pozna pani odpowiedź. Pani i pani rodzina wyszaliście z niej życie, wypłacając sobie dywidendy od kapitału, kiedy Towarzystwo nie mogło sobie na to pozwolić, bo pieniądze należało natychmiast zainwestować. Byliście zajęci tylko sobą i utrzymaniem waszego poziomu życia. Nie obchodził was los firmy, dopóki wydawało się, że jakoś to przetrzyma.

- Sąd uznaje oskarżonego winnym - przyznała. - Ale w naszej obronie muszę powiedzieć, że na początku nikt z nas nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji.

- Sytuacja była i nadal jest poważna. Może gdyby pani przejrzała rachunki i zadała parę pytań na spotkaniach rady nadzorczej, zamiast podpisywać wszystko, co tylko ojciec albo wuj pani podetkali, dowiedziałaby się pani więcej.

- Ma pan rację, oczywiście - przyznała, znowu nie przejmując się krytyką. - Tym niemniej sądzę, że skoro ja nie znam się na interesach, oni mieli lepsze kwalifikacje, żeby podejmować decyzje.

- Ponieważ jest pani jednym z właścicieli, panno Jardin, dla własnego dobra musi się pani na nich znać. Powinna pani znaleźć na to trochę czasu, zamiast poświęcać go całkowicie na muzeum, na te zabawy w rzeczoznawcę czy zakupy.

Dołączki w jej policzkach pojawiły się znowu.

- To brzmi jak sugestia, że powinnam pracować i w firmie, i dla firmy. Ale chyba nie oczekuje pan ode mnie, że wezmę to dosłownie, bo jakoś nie mogę sobie wyobrazić, żeby popierał pan nepotyzm.

Nadszedł kelner, żeby zabrać talerze z resztkami przystawki i podać główne danie. Jego obecność zwolniła Cola'a z konieczności udzielania odpowiedzi i rozmowa na chwilę ustała.

- Ciekawi mnie coś innego - powiedziała, kiedy Joseph odszedł. - Biorąc pod uwagę wszystkie problemy finansowe Towarzystwa, dlaczego podjął się pan tej pracy?

- To proste. Zgodziliście się na moje warunki.

- Tak ... - przerwała na chwilę, zamyślona. - A pańskie warunki to całkowita i kompletna władza we wszystkim, co dotyczy firmy. Każda decyzja, którą pan podejmuje, jest ostateczna i nie wymaga zgody rady nadzorczej. Jeżeli w trzy lata uda się panu uratować sytuację finansową Towarzystwa, otrzyma pan dziesięć procent udziałów plus bardzo korzystne warunki, jeśli zechce pan nabyć więcej akcji.

- A jednak czytała pani mój kontrakt.

- Szczerze? Po raz pierwszy przeczytałam go wtedy, kiedy ojciec powtórzył mi, co mu pan kazał zrobić z członkostwem tego klubu.

- Przyznaje się pani do tego? - Był zdumiony jej szczerością.

- Prawda boli, ale tak, przyznaję się. Oczywiście, cieszy mnie, że pomimo dawnych błędów mieliśmy przynajmniej na tyle zdrowego rozsądku, żeby pana zaangażować.

- Najpierw interes, teraz pochlebstwa, panno Jardin? - zakpił.

- Chyba nie zdołam pana przekonać, żeby mówił mi pan po imieniu.

- W jakim celu?

- Powiedzmy... żeby nawiązać bardziej przyjacielskie stosunki między właścicielami a kierownictwem.

- Powtarzam: w jakim celu?

Odłożyła nóż i widelec i oparła łokcie na stole, składając razem ręce i w zamyśleniu pocierając brodę.

- Ma pan mi za złe, że jestem, kim jestem, ma pan mi za złe moje pochodzenie, prawda? Chyba zdaje pan sobie sprawę, że nic nie mogę na to poradzić. I, rzecz jasna, nie będę się usprawiedliwiać albo poczuwać do winy tylko dlatego, że zdarzyło mi się urodzić w rodzinie Jardinów. Nie miałam na to żadnego wpływu. A może nie o to chodzi? - Podniosła brodę na tyle wysoko, by wymierzyć w niego palcem.

- A o co? - Cole zmarszczył brwi.

- Woli pan krótkowłose brunetki. - Sięgnęła ręką, zdjęła z rękawa jego marynarki czarny włos i trzymała go w ręku niczym dowód rzeczowy.

- Nie jest pani Sherlockiem Holmesem, panno Jardin. - Odebrał jej włos i upuścił go na podłogę. - To sierść kota.

- Ma pan kota? - Wzięła nóż i widelec, i odkroiła kawałek mięsa.

- Jak widzę, na kotach to się pani nie zna, bo inaczej wiedziałaby pani, że kota mieć nie można. Czasami można z nim trochę pomieszkać, ale to wszystko.

- A ten, z którym pan czasem mieszka?

- Dachowiec, zwykły buras.

- Jak ma na imię?

Zawahał się:

- Tom.

- Pan żartuje. - Popatrzyła na niego z niedowierzaniem, a potem wybuchnęła śmiechem.

On także się roześmiał, wbrew sobie.

- Nie jest to bardzo oryginalne, zgadzam się, ale to imię do niego pasuje.

- Na pańskim miejscu nie robiłabym tego zbyt często.

- Czego? - Nagle zdał sobie sprawę, że usidliły go jej spojrzenia; poczuł się zakłopotany ciepłym zainteresowaniem bijącym z jej oczu.

- Nie śmiałabym się - powiedziała po prostu. - Śmiech sprawia, że wygląda pan tak jakoś zwyczajnie, normalnie...

Przyłapał się na tym, że chciał jej odpowiedzieć twardo, jak mężczyzna, ale natychmiast stłumił w sobie ten impuls.

- Będę o tym pamiętał - odrzekł poważniejąc.

- Poza tym, że czasami pomieszkuje pan z Tomem, zbiera pan sztychy i od czasu do czasu jada kolację z matką, co jeszcze pan robi? Czy uprawia pan jakieś sporty? Piłkę nożną, tenis?

- Nie mam czasu.

- Musi pan coś robić, skoro utrzymuje pan taką formę.

- Przemknęła wzrokiem po jego piersi i ramionach.

- I jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że ćwicz pan ciężarkami.

- Dwa, trzy razy w tygodniu staram się powalczyć przez kilka rund.

- To znaczy, że uprawia pan boks? - zapytała niepewna, czy dobrze go zrozumiała.

- Tak.

Do diabła, po co on o tym gada?! Czyżby specjalnie chciała mu przypomnieć, jak spotkał...? Ale Remy Jardin była inna. Nie sprawiała wrażenia, że pociągają to, co uznawano za sport brutalny, nie miała w sobie nic, co choćby w najmniejszym stopniu przypominało fascynację krwią, brudną posoką.

- Kolekcjoner sztuki uprawiający boks. To musi być naprawdę wspaniała terapia na wyzbycie się frustracji i tłumionej złości. - Była zachwycona. - Worek treningowy. To jest to. Po prostu nic lepszego nie przychodzi mi do głowy. Od jak dawna pan trenuje?

- Zacząłem, jak byłem jeszcze dzieckiem. Moja matka wykombinowała sobie, że i tak będę się wdawał w bójkę, więc postanowiła, że lepiej będzie, jeśli pójdę na ring

i stłukę kogoś pod okiem trenera, zamiast prac się z jakąś bandą na ulicy.

- I to, oczywiście, podziałało.

- W większości przypadków, owszem.

- Niemal boję się pana zapytać, jaką pan lubi muzykę.

- Słucham trochę jazzu, za to dużo bluesa.

Dał się jej podpuścić i teraz zastanawiał się, dlaczego do diabła odpowiada na te wszystkie pytania. Przecież wiedział, że ona należy do innego gatunku ludzi. Nic by z tego nie wyszło.

- Więc lubi pan chyba Lou Rawlsa. Czy był już pan na jego występach w Blue Room? Ma wspaniałe recenzje.

- Wszystkie bilety są wyprzedane.

- To prawda. - Obdarzyła go głębokim spojrzeniem i wszystkowiedzącym uśmiechem. - Ale tak się składa, że zdobyłam dwa bilety na dzisiejszy wieczór. Miał ze mną iść Gabe, ale wypadło mu spotkanie z jakimś ważnym klientem, który, jak twierdzi braciszek, zamierza powierzyć mu sprawę. Nie widzę żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy pójść razem.

- Jak przypuszczam, będzie mnie pani usiłowała przekonać, że to zaproszenie umożliwi nawiązanie bardziej przyjacielskich stosunków między właścicielami a kierownictwem - powtórzył cynicznie Cole i dał znak kelnerowi, żeby zabrał jego talerz i przyniósł kawę.

- Czy sugeruje pan, że to coś złego? - Przyniesiono im pachnącą nowoorleańską kawę, mocną i czarną, wprost niezrównaną, oraz dzbanuszek gorącego mleka.

Cole pił czarną i zauważył, że Remy idzie w jego ślady.

- Panno Jardin, proponowałbym... żeby znalazła sobie pani inną eskortę, bardziej odpowiednią dla dziewczyny z Newcomb.

Popatrzyła na niego zdziwiona.

- Skąd pan wie, że skończyłam Newcomb College?

- Biorąc pod uwagę tradycje pani dzielnicy, zagadka nie była trudna. Nie mam żadnych wątpliwości, że chodziła tam pani matka i matka pani matki, i wszyscy z tej linii.

- A pan? Gdzie pan studiował?

- Mogę panią zapewnić, że nie w Tulane - odparł, próbując nie myśleć o stypendium, którego o mały włos nie dostał na ten właśnie uniwersytet, stypendium, które zostało ostatecznie przyznane komuś innemu, bo rodzina tamtego należała do „właściwej” sfery, tyle że nie miała odpowiedniego konta w banku. - Pani brat też tam chodził, prawda? I zdobył dyplom prawnika, żeby nie zostać przypadkiem czarną owcą wśród tak utytułowanej rodziny.

Oparła łokieć na stole, a brodę na dłoni.

- Nie potrafię zrozumieć logiki pańskiego myślenia. Bo co to ma wspólnego z pójściem ze mną na koncert Lou Rawlsa?

- Stosunki między niektórymi ludźmi są martwe już od samego początku. To właśnie jeden z takich przypadków, panno Jardin. Nie widzę żadnego powodu, żeby zaczynać coś, co nigdy do niczego nie doprowadzi.

- Skąd ta pewność?

- To proste, panno Jardin. Ludzie jak woda: szukają wyrównanego poziomu. - Tej prawdy nauczyła go ciężka praca i nie raz miał okazję ją zweryfikować.

Podniosła brew.

- I pan to akceptuje?

- To nie jest kwestia akceptacji. To skrzeczy rzeczywistość.

- Gdyby wszystkie kobiety miały do tego takie podejście, dalej tkwiłybyśmy w kuchni.

- Śmiem wątpić, żeby wiedziała pani, jak wygląda kuchnia od środka, chyba że skarży się pani na kucharkę.

- Byłby pan zdziwiony wiedząc, jak dobrze znam swoją kuchnię, ale nie o to chodzi. - Wzruszyła ramionami, nie spuszczając z niego oczu. - Rozczarował mnie pan, panie dyrektorze. Myślałam, że z pana gracz, że lubi pan ryzyko.

- Nie ryzykuję, jeżeli jestem bez szans, panno Jardin.

Roześmiała się i jej gardłowy śmiech pobudził jego zmysły. Sięgnęła po torebkę. Usłyszał trzask zameczka. Wyjęła coś i pokazała mu, otwierając dłoń.

- To jest taka gra, panie Buchanan. Bilet na dzisiejszy wieczór. I niech pan spojrzy. - Pomachała nim. - Tu nie ma żadnego sznurka, to nie kuglarska sztuczka. Gramy fair i bez zobowiązań.

Wziął bilet i zawahał się.

- O jaką stawkę, panno Jardin? Co się za tym kryje?

- Nic. A jeżeli nawet robię to z jakiegoś powodu, to pewnie dlatego, że pamiętam słowa Nattie.

- Co mówiła?

- Odrobina cukru nigdy cytrynie nie zaszkodzi.

Wbrew sobie uśmiechnął się i wsunął bilet do kieszonki na piersi marynarki.

Po południu siedział w biurze i co jakiś czas wyjmował ten bilet i oglądał. Za każdym razem, kiedy na niego patrzył, ogarniał go niepokój. I chyba ze sto razy zastanawiał się, czy powinien tam iść.

W końcu wziął w domu prysznic i przebrał się. Jak większość rdzennych mieszkańców Nowego Orleanu, o hotelu Fairmont dalej myślał jako o hotelu Roosevelta. W hotelowym klubie Blue Moon pokazano mu stolik na dwie osoby. Puste krzesło po drugiej stronie rzucało mu oskarżycielskie spojrzenia. Jedno słowo podczas lunchu i siedziałyby na nim Remy Jardin. Zastanawiał się, czy wytrzyma tak przez całą noc. W końcu zdecydował, że nie i zaczął zbierać się do wyjścia.

Wtedy właśnie weszła, niezwykle kobieca w zapiętej pod szyję garsonce z jedwabnego żakardu, ozdobionej haftem na górze i na dole. Włosy ułożyła w koronę miękkich loków, wyszukanych i wzbudzających pożądanie.

- Przepraszam za spóźnienie. Mam nadzieję, że nie kazałam panu zbyt długo czekać - powiedziała, jakby cały czas spodziewał się, że przyjdzie. A może jednak tak było...?

- Remy ... - Stało się, zwrócił się do niej po imieniu.

- Tak, Cole? - odpowiedziała miękko.

- Nie, nic takiego... - Odwracając wzrok, gwałtownie wysunął drugie krzesło zza stolika.

Miała na sobie kostium w kolorze kości słoniowej, ale efekt, jaki wywierał ten strój, był całkowitym przeci-

wieństwem dziewiczej czystości, z czego Cole zdał sobie sprawę, kiedy zobaczył ją z tyłu. Głębokie rozcięcie na plecach pozwoliło mu wyraźnie dostrzec miejsce, gdzie plecy przechodziły w delikatną i jakże kształtną... wypukłość.

- Zaczynasz grę, a wszystko, co jesteś w stanie powiedzieć, to: nic takiego?

- Widzę, że się przebrałaś. - Usiadł wyprostowany, spięty, podczas gdy instykt mówił mu, że powinien natychmiast stamtąd zmiatać.

- Podoba ci się moja garsonka?

- To nie garsonka. To broń.

- Hm... mam nadzieję, że skuteczna. - Uśmiechnęła się w rozmyślnie prowokujący sposób.

- Dlaczego wzięłaś mnie na muszkę?

Usiadł wygodniej na krześle, usiłując zwiększyć dystans między nimi i zneutralizować wrażenie, jakie na nim wywarła. Usłyszał szelest jedwabiu, kiedy pod stołem założyła nogę na nogę.

- Szczerze? - Nieoczekiwanie spoważniała, co nadało jej twarzy surowy wygląd. - Na początku, jak ci już mówiłam, przyszłam zobaczyć cię z czystej ciekawości. Zamierzałam porozmawiać z człowiekiem, który nie chciał należeć do jednego z najbardziej elitarnych klubów w Nowym Orleanie. Byłeś, przynajmniej wtedy, prawie dokładnie taki, jak oczekiwałam. Potem zobaczyłam, jak patrzysz na ten sztych. Nie szacowałeś jego wartości, jak wielu kolekcjonerów, ani nawet nie zastanawiałeś się, jakie wrażenie wywrze on na innych. Nie, to sztych jako taki ci się podobał. Przemawiał do ciebie jego styl, technika, kolor, uczucia, jakie wywołuje. Przypuszczam, że poznałam to twoje spojrzenie, bo bardzo często tak właśnie się czuję, kiedy trzymam w dłoniach jakąś figurkę z Sèvres, której nigdy przedtem nie widziałam.

Przerwała na chwilę, ale nadal uważnie go obserwowała. Nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo spoważniała i szybko uśmiechnęła się, trochę kpiąco, podnosząc do góry szklanekę z wodą.

- Coś mi mówi, że nie jesteś tak twardy, tak zimny i tak cyniczny, jakby się wydawało. Jesteś mężczyzną wystarczająco wrażliwym, żeby rozumieć koty.

Cole pochylił się naprzód, zakłopotany jej słowami.

- Czy analiza już skończona, pani doktor, czy też powinienem zamówić tu kanapę?

- Całkiem interesująca myśl.

- Co? Zabawa w psychoanalitka?

- Nie. Mieć cię na kanapie tylko dla siebie, choćby przez godzinę...

Z wieczoru wiele nie zapamiętał. Niemal cały czas obserwował grę blasków i cieni na jej twarzy, kiedy na scenie zmieniało się światło, i jej ręce - zauważył, że nie nosi żadnych pierścionków - kiedy klaskała entuzjastycznie po każdej piosence. To wszystko, co pamiętał, kiedy występ się skończył.

W holu bogato urządzonego hotelu z przełomu wieków Cole przeprowadził ją przez tłum niespiesznie wychodzących gości.

- Zastanawiam się, czy będę miała tyle szczęścia, żeby złapać taksówkę - zauważyła Remy.

- Nie wzięłaś samochodu? - Był przekonany, że przyjechała samochodem.

- Nie. Gabe mnie podwiózł. Wracał do biura na spotkanie z tym bogatym klientem, mówiłam ci. - Posłała mu długie spojrzenie. - Nie jedziesz przypadkiem w moją stronę?

Upuściła następną chusteczkę. Cole miał wrażenie, że zbierał je przez cały dzień. Za każdym razem, gdy je podnosił i zwracał właścicielce, odkrywał, że posunął się trochę dalej, niż zamierzał. Ba! Najgorsze było to, że chciał, by go tak prowadziła.

Usłyszał własny głos:

- Mogę tamtędy pojechać.

Powiedział to kilka minut później, kiedy pomagał jej wsiąść do wozu. Podczas krótkiej jazdy do rodzinnej posiadłości Jardinów w dzielnicy Garden, w samochodzie unosił się jej zapach, a kiedy się poruszyła, choćby leciutko, towarzyszył mu delikatny szelest jedwabiu.

Rytm jazdy wyznaczały latarnie wzdłuż St. Charles Avenue, których światła tonęły wśród ciężkich gałęzi starych dębów po obu stronach alei. Dzięki nim prawie cały czas mógł ją widzieć. Zastanawiał się, czy teraz już zawsze będzie ją wspominał.

Jadąc według jej wskazówek, skręcił z St Charles w boczną uliczkę, potem skręcił jeszcze raz i zatrzymał samochód przed jednym z wielu starych domów, których w tej dzielnicy było pełno. Wysiadł i przeszedł na drugą stronę samochodu, żeby otworzyć drzwiczki. Jego matka była w wielu sprawach trochę staroświecka i uczyła go, że nie wolno zostawiać dziewczyny na krawężniku i odjeżdżać, tylko zawsze trzeba ją odprowadzić do drzwi. Zakorzeniło się to w nim zbyt silnie, żeby mógł teraz postąpić inaczej, chociaż wiedział, że znów popełnia błąd.

W świetle księżycy, za delikatnym rysunkiem żelaznej kraty i czarnym cieniem bujnego listowia, błyszczały białe doryckie kolumny przed domem. Kiedy szli chodnikiem w stronę bramy, delikatnie trzymał ją za łokieć. Otworzyła ją jednym pchnięciem; zawiasy były dobrze naoliwione, nie zagrzytały, co Cole od razu zauważył.

Zza matowych szyb w dużych dębowych drzwiach sączyła się z holu słaba poświata; na twardej cyprysowej podłodze ganku wykwiwały mgliste, rozmyte plamy. Kiedy stanęli przed drzwiami z błyszczącą mosiężną kołatką, odwróciła się i wyjęła z torebki klucz. Patrzył na ten klucz, bojąc się, że jeżeli po niego sięgnie, podniesie kolejną chusteczkę.

Kiedy po chwili wyjmował klucz z jej dłoni i wkładał go do zamka - jednocześnie chyba pierwszy raz w życiu przeklinał w duchu własną matkę - robił wszystko, żeby zachować kamienny wyraz twarzy. Przekręcił szybko klucz w zamku, powtarzając sobie nieustannie, że to przecież nie randka, że nie musi całować jej na dobranoc. Ba! Że w ogóle nie musi jej całować. Słyszac, że zamek ustępuje, nacisnął klamkę i popchnął drzwi. Kiedy odsunął się, żeby oddać jej klucz, wyciągnęła do niego rękę, otwierając dłoń. Zawahał się, a potem upuścił na nią klucz.

Jej palce natychmiast się zacisnęły; w świetle holu zalśnił lakier na wypolerowanych paznokciach.

- Bardzo mi się podobał występ, Cole. I dobrze się z tobą bawiłam. - Złociste ogniki w jej oczach zaatakowały go wyzywająco. - Dziękuję za podwiezienie.

- Bardzo proszę - odpowiedział jak robot.

- Dobranoc - powiedziała i ku jego zdumieniu postąpiła krok do przodu, wchodząc do holu i odwracając się wdzięcznie, żeby zamknąć mu przed nosem drzwi. Kiedy już je do połowy zamknęła, wysunęła głowę, jakby o coś sobie nagle przypominając. - Aha, spotkałam dziś po południu twoją matkę. Bardzo mi się podoba.

- Spotkałaś moją matkę? Gdzie?

- Po tym, jak rozstaliśmy się w Galatoire, przechodziłam obok sklepu na Magazine - powiedziała, zerkając za siebie i rzucając wieczorową torebkę na stolik obok przeszklonych drzwi, prowadzących na wewnętrzny dziedziniec.

- Dlaczego tam poszłaś? - Był zakłopotany tym, że tak jawnie wtargnęła w jego prywatne życie.

Popatrzyła przez ramię z lekkim, kpiącym uśmiechem.

- Zgadnij. Nie potrafisz? - spytała i pchnęła skrzydła drzwi tak, że otworzyły się na oścież. Weszła na ciemny dziedziniec.

- Nie chcę zgadywać, Remy. Chcę, żebyś odpowiedziała. - Ruszył za nią i natychmiast poczuł, jak ogarnia go lepkie gorąco letniej nocy.

- Dobrze. - Zatrzymała się w alejce wyznaczonej przez dwa rzędy białych kolumn i odwróciła się, oparta plecami o jedną z nich. - Chciałam spotkać kobietę, która dała życie człowiekowi takiemu jak ty.

Patrząc jej prosto w twarz, nie mógł powstrzymać złości. Wciąż było mu gorąco, ale teraz wynikało to ze zmysłowego spokoju nocy.

- Dlaczego? Co to ma za znaczenie?

- Bo kiedy dziś po południu dałam ci bilet, postawiłam na to, że przyjdiesz. Miałam nadzieję, że widząc twoją matkę, dowiem się, czy się pokażesz czy nie. - Na

ułamek sekundy zawiesiła głos. - Wtedy, w restauracji, ani razu nie dałam ci do zrozumienia, że nie przyjdę. Podświadomie wiedziałeś, musiałeś wiedzieć, że tam będę. Więc... gdybyś przyszedł, znaczyłoby to, że nie jestem ci obojętna, pomimo tego wszystkiego, co powiedziałaś.

- A gdybym nie przyszedł?

Wzruszyła lekko ramionami, jakby nic ją to nie obchodziło.

- Wtedy musiałabym przyjąć, że byłeś ze mną szczery. Ale przyszedłeś, więc to bez znaczenia.

- Tak, przyszedłem. - Żałował tego, i to bardzo, szczególnie teraz, kiedy był z nią sam na sam, a powietrze stało między nimi, ciężkie od napiętności.

- Wiem, czego chcę, Cole. A chcę cię lepiej poznać.

- Przechyliła głowę. - Myślisz, że jestem zbyt agresywna? U mężczyzny to cecha, którą na ogół się podziwia. Ale niektórzy z was uważają, że u kobiety to cecha odpychająca. Ty też jesteś tego zdania?

- Nie. - Cholera, nie mógł ruszyć się z miejsca, ani do przodu, ani do tyłu. - Czego ty właściwie ode mnie chcesz? Znudziłaś się swoim własnym światem i dla odmiany postanowiłaś znaleźć sobie kogoś z niższej sfery?

- Czy jesteś w stanie coś odmienić, Cole? - Płynnym, pełnym wdzięku ruchem oderwała się od kolumny i zdał sobie sprawę, że stoją teraz bardzo blisko siebie. Zwróciła ku niemu twarz. - Czy możesz odmienić mnie?

Czekała, chciała, żeby ją pocałował, czuł to. Tak samo jak czuł, że ją pocałuje, zanim jeszcze ujął w dłonie jej twarz. Pomimo odważnego spojrzenia wydała mu się mała i delikatna, jak porcelanowa figurka w szklanej gablotce w sklepie jego matki. Powoli dotknął ustami jej warg. Były miękkie i zadziwiająco ciepłe. Starał się całować ją delikatnie, ale nie było to łatwe, bo przecież pragnął tę miękkość przeniknąć, posmakować jej ciepła tak, żeby odeszła z jego imieniem na ustach. W chwilę później pragnienie stało się rzeczywistością.

Nagle zaczęły mu drżeć ręce, nagle zadrżał cały. Oderwał się od niej wstrząśnięty, że tak łatwo złamała jego wolę. Kiedy przysunęła się bliżej, położył dłonie na spowitych w jedwab ramionach, jednak wciąż utrzymywał bezpieczną odległość.

Jej twarz jaśniała, a Cole nie pamiętał, żeby widział coś takiego kiedykolwiek przedtem. Podniosła rękę i musnęła palcami jego usta.

- Czy zawsze tak całujesz?

- Nie zawsze. - Głos miał zachrypły, gruby, świadczący o jego zakłopotaniu.

Roześmiała się bezgłośnie.

- Rozwiąłeś moje wątpliwości, Cole: ty na pewno mnie odmienisz.

Patrząc na niego, słuchając opowieści o tamtej nocy, Remy czuła, jak silne są jej pragnienia.

- I co na to odpowiedziałeś? - spytała, kiedy zamilkł.

- Nic. O ile pamiętam, nie potrzebowaliśmy słów.

Powietrze między nimi zdawało się wibrować napięciem i pożądaniem, tak jak musiało wibrować tamtej nocy.

- Czy myśmy się wtedy... kochali? - zapytała.

- Nie. Było na to za wcześnie. Wszystko zdarzyło się zbyt nagle, dla nas obojga.

- Chyba tak...

Zauważyła ostrożność, z jaką się jej przyglądał, ostrożność, która sugerowała, że już go ktoś kiedyś zranił. Zastanowiła się nad tym, co od niego przed chwilą usłyszała, i nad tym, co powiedział o ludziach z jej sfery.

- Cole, co się stało, że tak bardzo nie ufasz nikomu z mojego środowiska, z mojej rodziny?

Skurcz, prawie gorzki uśmiech, wykrzywił mu usta. Odwrócił się w stronę kuchenki.

- Jeszcze kawy?

- Ja...

Nagle samolotem zaczęło gwałtownie rzucać. Wstrząsy pchnęły Remy w bok, w stronę blatu kuchenki, i wytrąciły jej filiżankę z ręki.

Pochylona, o mało nie uderzyła o przeciwległą ścianę, ale uchroniło ją od tego zderzenie z Cole'em. Przez chwilę stała tak, wtulona w niego, otoczona jego zapachem. Turbulencje trwały przez kilka nieskończenie długich minut, lecz wreszcie ustały, przechodząc w słabe wibracje.

Cole odzyskał równowagę, ale nie przestawał jej obejmować.

- Nic ci się nie stało?

- Nie. - Miała dość miejsca, by skinać głową, chociaż tak samo jak on wcale nie była pewna, czy wstrząsy nie powrócą.

Wystraszona, poczuła w biodrze pulsujący ból. Musiała się uderzyć, kiedy cisnęło ją na blat Ale była też coraz bardziej świadoma twardego nacisku jego ud, gdy przytrzymywał ją przy ścianie.

- Zdaje się, że napotkaliśmy jakieś turbulencje.

Patrząc na niego, Remy wiedziała, że turbulencje nie minęły, że ogarnęły teraz ich dusze i ciała.

- Chyba tak... - szepnęła.

Jego stalowe oczy ściemniały z pożądania.

- Remy, nic ci nie jest? - zawołał Gabe; słowom towarzyszył odgłos kroków zbliżających się do kuchennej wnęki.

Jego nadejście przerwało chwilę, kiedy tak bardzo odczuwali bliskość swych ciał. Cole cofnął się, ale przedtem zdążył ją jeszcze przytulić.

- Nie, wszystko w porządku - rzuciła.

Ale Gabe był już w kuchence i uważnie się w nią wpatrywał. Natychmiast poczuła, że musi coś jeszcze dodać. Uśmiechnęła się.

- Trochę rzucało, ale nic mi nie jest. Przyszłam, żeby napić się kawy i cała kawa jest teraz na podłodze. Cole, podaj mi jakąś ścierkę - poprosiła. - Lepiej to zaraz wytrzymy, zanim któreś z nas się poślizgnie.

Samolot znów wpadł w lekkie turbulencje i Remy natychmiast chwyciła się brzegu ścianki działowej, żeby nie stracić równowagi.

- Ja to wytrę - powiedział Cole. - Wracaj na swoje miejsce i zapnij pasy. Spróbuj zasnąć, może ci się uda. To będzie długi lot

Wróciła do kabiny nie po to jednak, by spać. Chciała przemyśleć kilka rzeczy, o których dowiedziała się od Cole'a. To oczywiste, że w tym polowaniu była myśliwym. Równie oczywiste jak to, że trudno mu było jej wierzyć, choćby z racji wcześniejszych kontaktów z ludźmi jej pokroju. Zawsze wydawał się taki silny i twardy, że z pewnością nigdy nie określiłaby go słowem „delikatny”. Co się stało? Coś się musiało stać, bo dlaczego jest taki podejrzliwy? Czy jej to kiedyś wyjaśnił? I czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Bez zaufania żadne uczucie się nie utrzyma. Czy to właśnie z tego powodu z nim zerwała? Czy zmęczyła ją ta ciągła konieczność udowadniania mu, że jej na nim zależy? Czy czuła się zmęczona ciągłą koniecznością obrony własnej rodziny?

To pociągało za sobą coś jeszcze: zgodnie z tym, co mówił Cole, Towarzystwo przeżywało poważne kłopoty finansowe. Przecież jawnie i otwarcie zarzucił jej rodzinie, że wysysa z firmy pieniądze. Wcześniej Gabe przyznał, że firma poniosła pewne straty, chociaż zdecydowanie zapewniał, że to nic poważnego. Więc gdzie leży prawda? Który z nich kłamał? I co mógł przez to zyskać?

9

Gdzieś nad Atlantykiem Remy zdołała się zdrzemnąć. Kiedy samolot zaczął schodzić do lądowania na lotnisku w Nowym Orleanie, Cole dotknął jej ramienia.

- Za dziesięć minut lądujemy - powiedział. - Sprawdź pasy. Pada deszcz, jest mgła, więc może trochę rzucać.

Jeszcze zaspana, posłuchała rady i starała się ocknąć na dobre. Cole ostrzegł Gabe'a, po czym usiadł i też zapiął pasy.

Światła w kabinie sprawiały, że za iluminatorami panowała niemal aksamitna ciemność. Remy widziała przez nie tylko gwiazdy i wschodzący księżyc. Miasto zakrywała warstwa ciemnych chmur. Niezdolna odczuć najmniejszego nawet podniecenia na myśl, że oto wraca na łono rodziny, że wraca do domu, poczuła się takjakoś dziwnie, niezręcznie.

Po niezbyt spokojnym zejściu do lądowania samolot przebił się przez zwały chmur na wysokości zaledwie czterystu stóp. Pod brzuchem maszyny zalegała nieprzenikniona czerń. Remy przypominała sobie, że nowoorleańskie Moisant International Airport położone jest nad jeziorem Pontchartrain. I nagle w ciemnościach zaśnił pas startowy: dwa rzędy świateł ukazujących drogę w ciemnościach i gęstej mgle.

Kiedy wysiadła z samolotu, zmoczył ją zimny deszcz. Ktoś z obsługi naziemnej odprowadził ją pod parasolem do terminalu.

Po szybkiej odprawie celnej i paszportowej Remy, w towarzystwie Gabe'a i Cole'a, znalazła się w dużym holu. Z tyłu tragarz niósł ich walizki. Cole przechylił ku niej głowę i utkwivszy wzrok gdzieś przed nimi, szepnął:

- Zdaje się, że przyszła cię powitać cała rodzina.

Idąc za jego spojrzeniem, Remy ujrzała w oddali grupkę osób. Zawahała się. Wyglądali jak całkowicie obcy ludzie. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak wielką miała nadzieję, że kiedy ich zobaczy, odzyska pamięć, choćby tylko pamięć wydarzeń odległych, jak wtedy, gdy zobaczyła Gabe'a. Ale nie, pamięć nie wróciła.

Nie chcąc dać za wygraną, Remy zaczęła przyglądać się każdemu z osobna, poczynając od kobiety o wyraźnie zaniepokojonej twarzy. Miękki kapelusz, niebieski jak jej płaszcz od deszczu, przykrywał krótkie blond włosy, ufarbowane na twarzowy odcień platyny. Nosiła rękawiczki. Palce zaciskały się kurczowo na torebce.

Kiedy kobieta ujrzała Remy, wyraz zaniepokojenia zniknął z jej twarzy i zastąpił go promienny uśmiech, który jej delikatnym rysom przydawał subtelnego, iście renoirowskiego blasku.

- Remy, kochanie... - W głosie kobiety brzmiała szczerą radość. Podeszła i uściskała Remy, trzymając ją przez chwilę w objęciach. Potem odsunęła ją, by się jej lepiej przyjrzeć. - Jak to dobrze, że znów jesteś w domu. Bardzo się o ciebie martwiliśmy, kiedy tak nagle zniknąłś. I co my teraz z tobą zrobimy...? - Czule musnęła ręką jej policzek i pogładziła włosy w macierzyńskim, uspokajającym geście. - Jak się czujesz? Wszystko dobrze? Powiedzieli nam, że masz amnezję. O mój ty Boże drogi! - Zamrugła w nagłym olśnieniu. - Czy ty mnie sobie w ogóle przypominasz? Jestem twoją matką.

- Hodujesz róże... - Oczyma wyobraźni ujrzała tę samą kobietę w dużym słonecznym kapeluszu, z koszykiem świeżo ściętych róż w jednej i parą ogrodowych nożyczek w drugiej ręce. Nosiła rękawiczki, białe rękawiczki. To wszystko. Ale i tak to już było coś: drobny ułamek wspomień, który pozwolił Remy powiedzieć prawdę:

- Tylko tyle pamiętam.

- O Boże, to prawda! Hoduję róże. Biorę udział w wystawach!

- A mnie pamiętasz? Pamiętasz swojego starego ojca?
- usłyszała niski, żartobliwy głos.

Remy odwróciła się niepewnie do mężczyzny podającego się za jej ojca. Jej spojrzenie prześlizgnęło się powoli od jego brązowych oczu po ciemne, prawie całkowicie wolne od siwizny włosy, ogarniając wreszcie całą twarz, opaloną i tryskającą zdrowiem.

- Chciałabym móc powiedzieć, że cię pamiętam, ale... nie mogę.

W jego oczach ujrzała błysk bólu i natychmiast pożałowała swojej szczerości.

- Ale wiem, że mam ojca, który mnie kocha. To mi na razie musi wystarczyć.

Chyba mu się to spodobało, bo pokiwał głową.

- Który ojciec nie kochałby takiej córki jak ty...
- Skupił wzrok na widocznym jeszcze zadrapaniu koło ust. Na jego twarzy znów pojawił się wyrazu bólu.
- Remy, czy pamiętasz cokolwiek z tego, co zdarzyło się tamtej nocy?

- Nie, nic. Ale lekarz w szpitalu powiedział, że tamtych wydarzeń prawdopodobnie nigdy sobie nie przypominę. Tę część pamięci straciłam chyba na zawsze.

- No tak... Tak... - mruknął, przenosząc wzrok na jej rękę.

Matka wzięła go pod ramię.

- Frazier, chyba nie powinniśmy się teraz rozwodzić nad tym okropnym wypadkiem.

- Oczywiście, oczywiście - zgodził się jakby z lekkim wahaniem.

- Remy, to bez znaczenia, czy mnie pamiętasz, czy nie - usłyszała inny głos, a jego serdeczny ton kontrastował ze spokojnym, poważnym głosem ojca. - Jednak chcę uściskać moją ulubioną bratanicę. Ba! Stanowczo na to nalegam!

Remy odwróciła się do wuja, który okazał się być szczuplejszą wersją Frazia. Nosił nienagannie skrojony włoski garnitur, a twarz jaśniała mu uśmiechem.

- Wujek Marc... Musisz być wujkiem... - tyle zdołała powiedzieć, zanim znalazła się w uścisku jego ramion. Na lewym policzku poczuła suchy pocałunek.

Odsunął Remy od siebie, trzymając jej ręce w swoich.

- Niech no ci się przyjrzę - rzucił, taksując ją od stóp do głowy. - Muszę powiedzieć, że nie widać po tobie niedawnych przeżyć. - Urwał na chwilę. - Och, Remy, nawet nie wiesz, jak bardzo się o ciebie denerwowaliśmy.

- A ty nie wiesz, jak bardzo chciałam to usłyszeć kilka dni temu, kiedy czułam się całkowicie zagubiona i przez wszystkich zapomniana. - Uśmiechnęła się.

- Nigdy o tobie nie zapomnieliśmy, Remy - zaprzeczył stanowczo. - Nigdy, nawet na chwilę.

Roześmiała się.

- Czy ty zawsze masz na wszystko właściwą odpowiedź?

- Staram się - odparł, skromnie wzduszając ramionami.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabyś zapomnieć mnie, Remy, twojego drogiego kuzyna Lance'a. - Usłyszała niski jedwabisty głos, w którym pobrzmiwała nutka wyraźnej kpiny. - Zwłaszcza, jeśli weźmiesz pod uwagę, że jestem ostatnim z twoich faworytów.

Obróciła głowę i z wysiłkiem zachowując spokój, wytrzymała leniwe, urągliwe spojrzenie jego ciemnych, prawie czarnych oczu.

- W takim razie może nie powinnam mówić, że miło cię znów widzieć, Lance.

Stał przed nią z jedną ręką w kieszeni szerokich spodni, w pozie niedbałej arogancji. Jego odgarnięte z czoła włosy miały prawie ten sam odcień co niezwykle ciemne oczy. Usta miał pełne, kobiece, ale wyglądał przy tym pociągająco, a nie zniewieściale. Kiedy się uśmiechał, jak teraz, wyginał trochę górną wargę, jakby z sarkazmem. Gabe miał rację: Lance był przystojny jak sam Lucyfer.

- Nie wiem, dlaczego wszyscy się o ciebie tak niepokoiłi - powiedział. - Z twoją pamięcią może coś i nie tak, ale język masz ostry jak zwykłe.

Zanim mogła mu szerzej zademonstrować, jak ostry potrafi mieć język, otoczyły ją trzy nieznajome kobiety i zaczęły wylewnie ją ścisnąć, i obcałowywać powietrze obok jej policzka.

- Wyglądasz wspaniale, Remy - skonstatowała jedna z córek Marca, bujnowłosa południowa piękność, z ciemnymi, błyszczącymi oczyma i próżnym uśmiechem królowej piękności. - Kiedy powiedzieli mi, że masz zanik pamięci, myślałam, że będziesz jakaś taka... No wiesz, taka zaszczuta, z zapadniętymi oczami i pustą, bladą twarzą i w ogóle. A przecież wyglądasz dokładnie tak, jak powinna wyglądać prawdziwa Remy! Poza tym...

- Słyszałyśmy, że założyli ci na głowie aż dwanaście szwów! - przerwała jej druga z sióstr, wyciągając szyję, żeby zobaczyć opatrzone miejsce.

- Nie, nie dwanaście - poprawiła ją odruchowo Remy.

- Niezależnie od tego, ile ich jest, i tak nic nie widać. Włosy wspaniale ci wszystko zakrywają. Bardzo dobrze, że nienosisz krótkich włosów. Pomyśl tylko, jak śmiesznie byś wyglądała z łysiną na czubku głowy!

- Po prostu musiałyby nosić kapelusz, Diano - wtrąciła się pierwsza z sióstr, co znaczyło, że musiała to być Kathy, najstarsza z nich.

- Właściwie to szkoda - westchnęła Diana, która była najwidoczniej mniej udaną wersją swojej siostry. - Piszą, że w tym roku kapelusze są znowu w modzie.

- Remy, czy to prawda, że ty niczego nie pamiętasz? - Do głosu doszła wreszcie ciotka Christina, gruba kobieta o rysach typowej matrony, która już dawno temu dała za wygraną i nie rywalizowała z pięknymi córkami.

- Właśnie! Właśnie! Czy to prawda? - Kathy natychmiast przejęła pałeczkę. - Niczego sobie nie przypominasz? Naprawdę niczego? Nawet...

- To nie pora, żeby zasypywać Remy pytaniami - uciął delikatnie Marc. - Wsiadła przed chwilą z samolotu po długim i bardzo męczącym locie. Później, jak trochę odpocznie, opowie nam swoją historię...

- ...której nie możemy się już doczekać. - Dokończyła Kathy. - Amnezja... - dodała z odrobiną zazdrości. - Tylko ty potrafisz wrócić z czymś tak cudownie niezwykłym.

- Nie z wyboru, zapewniam cię. - Remy uśmiechnęła się. Ich paplanina wydawała się dziwnie znajoma. Była niemal pewna, że w przeszłości to babskie gadulstwo bardzo ją irytowało, ale nie dziś w nocy, nie teraz, kiedy otaczała ją cała rodzina.

Kiedy rozejrzała się dookoła, zauważyła, że nie ma wśród nich Cole'a. Odszukała go wzrokiem. Stał samotnie, na uboczu.

Nagle ogarnęło ją uczucie, że Cole jest tu obcy, że do nich nie należy. W jej głowie odezwały się jakieś głosy: „żaden z nas...”, „metody co najmniej nie ortodoksyjne...”, „wrodzona złośliwość...”, „nieodpowiedni pod każdym względem...”, „bezlitosny, sprytny...”

Patrząc na jego twarz, tak teraz twardą i cyniczną, Remy zdała sobie sprawę, jak wiele z tego było prawdą. Cole Buchanan nie urodził się w wyższych sferach Nowego Orleanu, nie urodził się w jej świecie, gdzie pochodzenie było wszystkim, gdzie oczekiwano od ludzi określonego sposobu zachowania, gdzie oceniano ich na podstawie szkoły, do której chodzili, na podstawie ilości przyjęć karnawałowych, na jakie zostali zaproszeni. Powiedziała sobie, że to przecież nie ma znaczenia, ale... Przez ten zanik pamięci czuła się jak w potrzasku i nie wiedziała, czy powinna mu wierzyć czy nie. Jakaś jej część chciała do niego iść, włączyć go w tę chwilę, ale bała się zaufać instynktowi, być może po raz pierwszy w życiu.

- Ile ona pamięta z ...

Remy rozpoznała głos Lance'a. Lance obniżył go do poziomu konspiracyjnego szeptu na chwilę przed tym, jak Gabe przerwał mu szybkim i spokojnym:

- Nie, nic z tego nie pamięta.

Zwróciła się do nich:

- Czego nie pamiętam?

- Gabe. - Wuj włączył się do rozmowy, klepiąc jej brata po ramieniu. - Chyba ci jeszcze nie podziękowali-

śmy, że odbyłeś całą tę podróż i przywiozłeś ją z powrotem.

Remy już miała powiedzieć, że Gabe nie był sam, jak sugerował wuj Marc, że tak naprawdę to odnalazł ją Cole, ale kiedy rzuciła okiem w stronę Buchanana... Stał odwrócony do nich plecami. W jednej ręce trzymał teczkę, a na jego ramieniu wisiała ciężka skórzana torba. Kiedy zobaczyła, jak rusza do wyjścia, nie oglądając się nawet za siebie, coś ścisnęło ją w gardle.

- Hej, słodziutka! - Lance strzelił palcami tuż przed jej twarzą. - Straciłaś nie tylko pamięć, ale i słuch?

- Przepraszam, zamyśliłam się. - Zmieszana i zakłopotana nagłym odejściem Cole'a, Remy objęła spojrzeniem rodzinę, patrząc na każdego z jej członków w sposób raczej mało skupiony. - Co mówiłeś?

- To nie ma znaczenia - uciął ojciec, patrząc na nią z niepokojem. - Marc ma rację. Ta podróż musiała cię dużo kosztować. Zawieziemy cię do domu, żebyś mogła odpocząć. - Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął pęk kluczy. - Przyprawdź samochód, Gabe. Trzeba załadować bagaże.

Nagle Remy stwierdziła, że jest zmęczona bardziej, niż się jej wydawało. To był długi, bardzo ruchliwy dzień, podczas którego zdarzyło się zbyt wiele rzeczy, widziała zbyt wiele nowych twarzy i poznała zbyt wiele nowych imion, łącznie z własnym. I wraz ze zmęczeniem wrócił tępy ból głowy. Będzie dość czasu, żeby to wszystko zrozumieć. Jutro, kiedy się wyśpi.

10

Wolno wznoszące się słońce paliło przez resztki niskiej mgły, nadając powietrzu niezwykły, kryształowy odcień. Ale wilgotny chłód pozostał i Remy włożyła ręce trochę głębiej do kieszeni dopasowanego, dwurzędowego blazera z czarnej wełny, zadowolona ze słonecznożłotego swetra, który miała pod spodem i wełnianych luźnych spodni w biało-czarną pepitkę, które okrywały jej nogi.

Obudziła się o świcie, za bardzo zniecierpliwiona i rozemocjonowana, żeby zostać w pokoju, dopóki nie wstanie reszta domowników. Jej pierwszą myślą było przejść się po domu i sprawdzić, czy znajomy teren nie obudzi w niej jakichś wspomnień, jak sugerował doktor Gervais. Przeszła się po lawendowym i wiśniowym salonie, potem zajrzała do solarium, gdzie stały wiklinowe meble wykładane poduszkami i mnóstwo roślin w doniczkach. Wewnętrzne napięcie rozsadzało ją jednak tak bardzo, że nie mogła wchłaniać w siebie tego, co ją otaczało. Dręczyła ją pustka domu i echo własnych kroków.

Wreszcie wyszła na zewnątrz, na spowity mgłą dziedziniec; nad ogrzewanym basenem wisały gęste, wilgotne opary. Chęć, żeby wyjść, dokądś pójść, stawała się coraz silniejsza. To pragnienie zdawało się być w jakiś sposób związane z nurtującym ją uczuciem, że coś, gdzieś na nią czeka.

W końcu podjęła decyzję i zostawiła w pokoju kartkę, informując rodziców, że poszła na spacer. Opuściła cichy,

śpiący dom i wyszła na dwór, dając się prowadzić przecuciom, pełna nadziei, że odzyska więcej wspomnień. Kiedy na St. Charles zatrzymał się autobus, wsiadła i objechała całą trasę aż do Kanału, a potem przeszła przez ulicę i znalazła się w Dzielnicy Francuskiej.

Uderzyła ją cisza i senny spokój wąskich uliczek Vieux Carré. Było jeszcze za wcześnie, by usłyszeć tętent kopyt koni zaprzęgniętych do wózków, za wcześnie na ulicznych grajków, na mimów i tancerzy, za wcześnie na artystów, którzy rozwieszali liny wokół Jackson Square, i za wcześnie na to, by ostatni balowicze wstali już i choćby wyściubili nos. Było tak, jakby całe miasto należało do niej. Ale nie, nieprawda - pomyślała, kiedy jakiś człowiek w trykotowej koszulce i szortach podniósł żaluzje w oknie na drugim piętrze i wychylił się odurzony wczesnym rankiem. Remy zobaczyła kobiece ramiona obejmujące go w pasie i oplatające mu pierś. Skrzywił usta w leniwym uśmiechu i odwrócił się. Żaluzje opadły. Remy uśmiechnęła się także, trochę rozmarzona, trochę zaniepokojona własnymi pragnieniami, spotęgowanymi jeszcze ospałością ulicy.

Idąc dalej, napawała się widokiem starych budynków Dzielnicy, z roztargnieniem podziwiając piękno delikatnie zdobionych fasad i żelaznych balustrad balkonów. A przecież nic w tych fasadach nie zdradzało ukrytych w głębi dziedzińców. Czy w ogóle cokolwiek jest takie, jak się nam wydaje? To była Dzielnica Francuska, ale architektura - hiszpańska.

Ciszę zakłóciło delikatne, melodyjne popiskiwanie klarnetu. Remy przystanęła, żeby zlokalizować źródło dźwięku. O, tam na balkonie siedział ciemnoskóry mężczyzna, wciąż ubrany w białą koszulę i czarny wieczorowy garnitur. Jedną stopę opierał o balustradę i bujając się na tylnych nogach krzesła, wygrywał hymn do wczesnego słońca. Nie było w nim żadnego zawodzenia, ani zwawego jazzowego rytmu. Był to hymn tęskny i słodki.

Remy zdała sobie sprawę, że to przecież też jest Nowy Orlean. Za wspaniałą twarzą, którą ukazywał światu, za

twarzą pustej radości, rozgorączkowania i łatwego życia, za tym wszystkim kryła się subtelna melancholia. Kolebka jazzu, owszem, ale tutaj wyrastał też blues. Jak brzmiało to francuskie zdanie? *Les tristes tropiques*.

Remy znów zaczęła iść spokojnym krokiem, oddalając się od słodko zamyślonego klarnetu. Nie chciała już spokoju i samotności Dzielnicy. Wiedziała o istnieniu takiego miejsca, które nigdy nie zaznało ciszy niezależnie od pory dnia bądź nocy, i ruszyła w tamtą stronę, idąc aleją między Cabildo i katedrą St. Luis o trzech strzelistych wieżach i wciąż jeszcze zamkniętych drzwiach, która wyłaniała się z wybrukowanej kocimi łbami ulicy na wprost Jackson Square. Kiedy przecięła skwer i szła koło historycznych Pontalba Apartments, do lotu wzbijała się srebrna chmura gołębi, a ich skrzydła rozpędzały woń ciastek i świeżo parzonej kawy.

Z filiżanką kawy zaprawionej cykorią - kupiła ją w Cafe du Monde - wspięła się nad przystań i spojrzała na mętną, pachnącą jak ziemia Missisipi. Dzwony w katedrze wybiły godzinę i na Decatur zawarczał samochód dostawczy. W tym miejscu rzeka zakręcała niby rogalik, dlatego Nowy Orlean nazywano niegdyś Miastem Półksiężycy.

Na rzece zawsze panował ruch, zawsze coś się działo, zawsze coś po niej pływało: barki i statki, frachtowce i tankowce, łodzie pilotów i łodzie wiosłowe. Ruch na Missisipi był dwustronny: statki dalekomorskie powoli płynęły wzdłuż brzegu wschodniego, wzdłuż zachodniego rozładowywano barki.

Remy przełknęła łyk kawy i ujęła w dłonie plastikową filiżankę, ogrzewając sobie ręce. Bombardowały ją zapachy, światła i dźwięki. Jakiś głęboko zanurzony tankowiec płynął w dół rzeki; słyszała łoskot silników. Skądś w górze rzeki dobiegł ją głęboki ryk syreny.

Kiedy ujrzała tankowiec, nagle, zupełnie nieoczekiwanie, w jej pamięci powstał jakiś obraz. Ale stało się to tak szybko, że minęła cała sekunda, nim zdała sobie sprawę, że widziała inny tankowiec, okręt zanurzony w ciemność i mgłę. Obraz był tak ulotny, że nie zdołała

zapamiętać z niego nic więcej. Przyglądała się intensywnie tankowcowi płynącemu w dół rzeki pragnąc, żeby ów obraz powrócił, ale nadaremnie.

Zniecierpliwiona zawróciła i zaczęła iść w górę przystani; przyciągał ją nieustanny ruch wielkiej rzeki. Minęła część przystani, gdzie znajdowały się magazyny. Potem zobaczyła znak Towarzystwa, ten sam, który widziała na bilecie wizytowym Cole'a: litery „C” i „L” połączone emblematem widniejącym na ścianie jednego z budynków. Zatrzymała się z lekka zdziwiona. Czyżby podświadomie szła do przystani Towarzystwa? Dlaczego?

Patrzyła zamyślona na budynek, trochę zniszczony przez pogodę, trochę brudny jak większość budynków wzdłuż rzeki. Chciała, żeby wydał się jej znajomy. Ale na próżno. Czy to tylko przypadek, że tutaj przyszła? Odrzucając taką możliwość, obeszła budynek i znalazła się na wprost pirsów.

Przy nabrzeżu cumował smukły frachtowiec. Wyładowywano zeń towar. Przez chwilę stała i przyglądała się tej scenie: słyszała głębokie zgrzytanie dźwigów, chrzęst podnośników, krzyki robotników portowych i nabrzeżnych, czuła rozchodzący się wszędzie zapach ropy, zapach rzeki i tysiąc innych zapachów, których nie mogła określić.

Powietrze przeciął długi, niski gwizd i ktoś krzyknął:
- Hej, dziewczyno, co dzisiaj robisz?

Kącikiem oka Remy zobaczyła ciemnego, śmiejącego się szeroko robotnika portowego, który taksował ją wzrokiem. Odwrócił się, żeby powiedzieć coś koledze, niższemu i mniej postawnemu mężczyźnie, który wszedł na przystań, ubrany w białą koszulę z krótkimi rękawami, z bloczkiem do notatek w ręce i kieszenią koszuli pełną długopisów i ołówków. Ten z bloczkiem mruknął coś do mężczyzny, który na nią gwizdnął. Mówił zbyt cicho, żeby Remy mogła zrozumieć, ale w jego głosie brzmiała wyraźna złość.

Nagle przez jej pamięć przemknęło jakieś wspomnienie. Przemknęło i rozproszyło uwagę. Zamyśliła się, zdając sobie sprawę, że niemal coś sobie przypomniała.

Ale co? Całą siłą woli skupiła się na statku cumującym przy pirsie; coś jej mówiło, że wspomnienie było związane właśnie z tym.

Nie zauważyła mężczyzny, który do niej podszedł.

- Bardzo przepraszam, panno Jardin. Ten wariat Bosco ma kurzy mózdzek. Nie chciał pani urazić. On po prostu nie wiedział, kim pani jest.

- Wszystko w porządku, naprawdę.

- Wcześniej dzisiaj pani wstała. Czy pani ma jakieś życzenie, panno Jardin?

Tym razem uchwyciła specyficzny akcent w jego głosie, ale to też nic jej nie pomogło.

- Nie. Tylko się przechadzam.

Dostrzegła inicjały Towarzystwa na kominie statku.

- Jak się nazywa ten statek?

- To jest *Crescent Lady*. Właśnie przyplynał.

Coś błysnęło jej w pamięci, ale jeszcze raz przemknęło zbyt szybko, by mogła pochwycić wspomnienie. Skupiła się, żeby przywołać obraz, nie zwracając uwagi na mężczyznę, który kręcił się niespokojnie tuż obok. To było coś ważnego. Nie miała wątpliwości.

- Przepraszam, panno Jardin, ale muszę wracać do roboty - odezwał się w końcu. - Gdyby pani czegoś potrzebowała, niech pani krzyknie do któregoś z chłopaków, żeby poszukał Henry'ego.

- Dziękuję - odpowiedziała machinalnie, nie słysząc nawet, co powiedział.

Zaczynała mieć coraz więcej przebłysków pamięci. Stała bez ruchu, starając się nie myśleć, pozwalając płynąć obrazom. Nie zauważyła, jak mężczyzna odszedł. Nie zauważała też spojrzeń, jakie na nią rzucali speszzeni jej obecnością robotnicy, nie słyszała półgłosem wymienianych uwag, szorstkich rozmów związanych z wykonywaną właśnie pracą.

Minuta, dwie, pięć - nie miała pojęcia, jak długo tak stała, patrząc na okręt. Nagle czyjaś ręka spoczęła na jej ramieniu i brutalnie ją obróciła.

- Co ty, do diabła, tutaj robisz!?! - Cole kipiał wściekłością. Nie chciał uwierzyć, kiedy Henry powiedział mu,

że na przystani jest panna Jardin. - Spacerujesz o tej porze po porcie?! Nie masz nic lepszego do roboty?!

Poza wszystkim innym Nowy Orlean jest wielkim miastem portowym. I jak wszystkie miasta portowe na całym świecie przyciąga podejrzanе elementy. Cole o tym wiedział, on z tą wiedzą dojrzewał. Ale ona nie.

- Byłam tu już wcześniej. - Błądziła po jego twarzy niewidzącym spojrzeniem. - Przyprowadziłeś mnie... - Przerwała na chwilę, rzucając okiem na pirsy - ...żebym zobaczyła najnowszy statek Towarzystwa, *Crescent Lady*.

Cole stał bez ruchu i bez słowa, mając żywo w pamięci tamto popołudnie. Pamiętał wszystko: i ciepłe promienie słońca, i sposób, w jaki lekka bryza bawiła się w chowanego z dżersejową spódnicą Remy...

— Co?! Żadnego szampana?! - Spojrzała na niego spod oka, żartobliwie i strofująco. - Myślałam, że przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby ochrzcić najnowszy statek naszej floty. Rozczarowujesz mnie, Cole.

- Ta ceremonia odbywa się tylko raz, przy wodowaniu okrętu, moja droga. *Crescent Lady* ma już rok.

Zaprowadził ją do trapu, trzymając rękę na jej plecach. Jak zawsze czuł delikatne kołysanie bioder i naturalne ciepło jej ciała.

- Przypuszczam, że macie jakiś głupi przesąd, który zabrania chrzcic statek po raz drugi - powiedziała i westchnęła z udawanym żalem. - Zawsze chciałam rozbić butelkę szampana o burtę.

- Żeby spełnić to marzenie, będziesz musiała pocze-kać, aż Towarzystwo będzie stać na nowy statek.

- A jakim cudem stać nas było na ten, biorąc pod uwagę kłopoty finansowe, w jakich, jak twierdzisz, się znajdujemy?

Cole zignorował zaczepkę.

- Strata *Dragona* okazała się w gruncie rzeczy błogosławieństwem. Kiedy dostaliśmy odszkodowanie, część pieniędzy wykorzystałem na zakup tego statku. Poza tym dostałem kredyt.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

- Więc na to wydałeś pieniądze z ubezpieczenia?
- Nie wszystkie.
- Pamiętam, że ojciec był zły - rzuciła obojętnie.
- Myślał, że podzielicie dywidendy.
- Te pieniądze należą do Towarzystwa, nie do twojej rodziny.

Roześmiała się.

- Uwielbiasz sprawować władzę nad sakiewką Jardionów, prawda?

Kapitan statku czekał, żeby powitać ich na pokładzie, co uniemożliwiło Cole'owi odpowiedź. Zresztą i tak by temu nie zaprzeczył. Owszem, rzeczywiście cieszył się posiadaną władzą. Z drugiej zaś strony, chętnie zamieniłby tę władzę na choćby odrobinę kontroli nad tym, co tak gwałtownie wybuchnęło między nim a Remy trzy miesiące temu. Od tamtej pory spotykali się regularnie, czasem dwa, czasem trzy razy na tydzień. Najczęściej w jego mieszkaniu, ale chodzili też na kolacje albo na miejscowe festyny bądź koncerty, na wernisaże, wystawy w muzeach czy w galeriach. Jednak nigdy nie chodził z nią na żadne spotkania towarzyskie, stanowczo odrzucając wszelkie sugestie Remy, żeby poznał jej przyjaciół.

Ostatnio coraz więcej czasu spędzali w jego mieszkaniu. Myślał, że to pomoże. Myślał, że zapanuje nad tą...tą całą historią. Chciał wykorzystać Remy w taki sam sposób, w jaki ona wykorzystywała jego. Ale ileż razy w ciągu dnia musiał powtarzać sobie, że powinien przestać wreszcie o niej myśleć? Ileż to razy siadywał przy biurku, wpatrując się w raporty i przypominając sobie jej szczupłe, nagie ciało tuż przy jego ciele i - niczym promienie słońca schwyte w pułapkę - złote iskierki w jej oczach, błyszczących pożądaniem.

Ale to musiało się skończyć. Wiedział o tym i ta wiedza była jego tarczą.

Cole przedstawił jej kapitana statku, Pedera Van der Horna, Skandynawa o zaczerwienionych policzkach i żółto-siwych włosach. Po krótkim spacerze po statku, głównie po mostku, kabinach oficerskich i kuchni - na pokładzie ciągle się coś działo, bo akurat frachtowano

pierwszy ładunek - kapitan zostawił ich na kilka minut na mostku, dając Remy możliwość obserwowania szybkich dźwigów przenoszących specjalnie zaprojektowane kontenery do ładowni.

Kiedy znalazł się sam na sam z Remy, uderzyła go nagła cisza, jaka zapadła na mostku - cisza między nimi, bo słychać tu było skrzywienie dźwigów i krzyki robotników na nabrzeżu. Podszedł do niej, celowo skupiając wzrok na tym, co działo się na niższym pokładzie.

- Koszty operacyjne *Crescent Lady* będą znacznie niższe od kosztów *Dragona*. *Crescent Lady* nie wymaga tak licznej załogi, co obniża koszty pracy, a nowe kontenery zmniejszają ryzyko kradzieży, co z kolei zmniejsza opłaty ubezpieczeniowe. Poza tym, możliwość wykorzystywania kontenerów oznacza, że statek można załadować i rozładować w kilka godzin, zatem przestoje w portach będą krótsze. To znów obniża koszty i przynosi większe korzyści Towarzystwu - powiedział, żeby coś powiedzieć.

- Kapitan twierdzi, że szybkość, jaką może osiągnąć statek...

- Dość - przerwała Remy, unosząc do góry ręce, co znaczyło, że się poddaje. Potrząsnęła ze śmiechem głową.

- To się na nic nie zda, Cole. Nigdy nie odróżnię kontenerowca od tankowca.

- Nie ma się czym chwalić - stwierdził z lekka rozbawiony.

- Ja się nie chwale, to szczerą prawdą. - Obróciła się plecami do barierki, odrzucając włosy na wiatr.

- Hmm, gdybyś tak chciał rozmawiać o porcelanie, to co innego.

Ta uwaga przypomniała mu, że to właśnie ona jest z porcelany, gdy tymczasem on ze zwykłej rzecznej gliny. Nie był to fakt, o którym łatwo zapominał, o nie, nawet jeśli Remy by sobie tego życzyła. Spojrzał na statek sunący w oddali po błyszczących wodach kanału. Płynął do przystani po drugiej stronie rzeki i Cole odwrócił się, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

- Bierze kurs na Algiers. - Ruchem głowy wskazał okręt i patrzył, jak Remy odwraca się, odgarniając fale

bursztynowych włosów, które zakrywały jej twarz. - Tam się wychowałem. W takiej ruderze, niedaleko Sokrates.

Ściślej mówiąc, miejsce to nazywano Algiers Point, ale dlaczego...? Nikt już o tym nie pamiętał. Za Hiszpanów i Francuzów budowano tam chaty dla niewolników, w których umieszczano Murzynów świeżo przybyłych z Zachodnich Indii i z Afryki. Choć oddzieliła go od miasta Missisipi, Algiers Point stanowił jednak część Nowego Orleanu. Przez wielu nazywany był Czarnym Algierem i to nie z powodu swoich prapoczątków.

- Niektórzy mówią, że blues zaczął się właśnie w Algiers - rzekła Remy, rzucając okiem na wrastający w morze kawałek lądu. Potem obróciła głowę i, jak zwykle, spojrzała mu prosto w oczy. - Byłeś tam ostatnio? Podobno wszystko tam teraz renowują i odbudowują. Algiers staje się modną dzielnicą mieszkaniową.

Cole wyczuł od razu, że miała na myśli coś więcej; w jej głosie pobrzmiwały jakieś dziwne nutki.

- Chcesz powiedzieć, że byłoby ci ze mną do twarzy?

- Czy ja wiem... - odpowiedziała ze słabym uśmiechem, igrającym w kącikach ust. - A sądzisz, że dałoby się ciebie jakoś odrestaurować?

- Nie.

Roześmiała się.

- Też tak sądzę. I naprawdę nie mogę sobie wyobrazić, żebyś mógł być kimś innym. Bierz mnie takim, jakim jestem, to cały ty. - Odepchnęła się od barierki delikatnym, pełnym wdzięku ruchem i stanęła na wprost niego. Przesunęła dłońmi po jego koszuli. Marynarka jej nie przeszkadzała, bo wraz z krawatem zostawił ją na tylnym siedzeniu samochodu. - Dobrze, że zdecydowałam się ciebie wziąć.

Zatrzymał jej ręce, nim zdążyła opleść jego szyję.

- Pytanie tylko, dokąd chcesz mnie zabrać, Remy. Twoja rodzina nie pochwała naszego związku.

Lekki uśmiech nie opuścił jej twarzy, ale palce zaprzestały pieszczot. Wyprostowała się i odsunęła od niego.

- Czy ktoś ci to kiedykolwiek wypomniał?

- Nie. - Wcale go to nie dziwiło. - Twój ojciec jest w delikatnej sytuacji. Jestem wystarczająco dobry, żeby zarządzać rodzinnym interesem, ale nie na tyle dobry, żeby być partnerem dla jego córki. Dyskwalifikuje mnie badanie krwi, badanie na krew błękitną.

- Dlaczego tak uparcie wracasz do tych bzdur?

Spostrzegł, że powoli ogarnia ją złość, mimo to odpowiedział:

- Bo taka jest prawda, czy się z tym zgadzasz czy nie.

- Chcesz wiedzieć, jaka jest prawda, Cole? - W jej oczach zaśniły ogniste iskierki. - To fakt, że wychowałeś się w Algierze, a ja pochodzę z Garden. Byłeś biedny, gdy ja zawsze wszystkiego miałam w bród. Musiałeś walczyć, żeby przeżyć. Moim życiem były jachty na jeziorze, tańce i bale karnawałowe. Musiałeś pracować, żeby zarobić na college, mnie po prostu wysłano do najdroższej szkoły. Stoczyłeś walkę, żeby znaleźć się gdzie jesteś, a ja nie! No i pytam cię: co z tego? Mój Boże, czy myślisz, że oceniam wartość człowieka po tym, gdzie się urodził i czym kiedyś był?

Powiedziała to teraz równie gorąco i równie gwałtownie, pamiętając dokładnie dawne słowa i emocje. Mimo całej rezerwy, jaką sobie narzucił, Cole znowu poczuł wzbierającą w nim falę uczucia.

Wtedy, kilka miesięcy wcześniej, Remy gwałtownie odwróciła się od niego. Ale Cole nie pozwolił jej odejść. Chwycił ją za ramię i odwrócił. Musiał zajrzeć jej w twarz, musiał zobaczyć, czy mówiła prawdę. I pocałował ją, tam, w porcie, wśród gwizdów aprobaty robotników portowych, i gniew Remy przeobraził się w miłosną pasję.

Gorąco pragnął odtworzyć tę scenę aż do samego finału; w oczach Remy również wyczytał pożądanie. Ale już raz jej uwierzył, uwierzył, że jest inna, uwierzył i zapłacił za to cenę, która z czasem mogła być jeszcze wyższa. Nie, zbyt wiele się zmieniło, zbyt wiele zmieniło się wokół niego. Nie był już tak łatwowierny, co więcej, ona też nie.

Cole widział, jak jej pożądanie gaśnie i nawet nie drgnął, nie zrobił nic, byje podtrzymać. Może powinien? Może na zawsze zapomniała? Może już nigdy sobie nie przypomni? Wiedział jednak, że jej rodzina pamięta.

Poranna bryza zarzuciła kosmyk jej włosów na policzek. Zaczesując go do tyłu, odwróciła wzrok.

- Przypominam sobie tę chwilę - stwierdziła spokojnie. - Tak właśnie było, prawda?

- Tak - odparł krótko, zdając sobie sprawę z ostrości tonu swego głosu. Chcąc zmienić temat, zerknął na zegarek. - Za dziesięć minut muszę być w biurze. Lepiej chodź ze mną. Znajdę ci taksówkę, pojedziesz do domu.

Remy zaprotestowała ruchem głowy.

- Mogę pójść na piechotę.

- Nie o tej porze i nie w tej okolicy. - Ujął Remy pod ramię, chcąc wyprowadzić ją z przystani.

Zesztywniała na moment, stawiając lekki opór, po czym zrezygnowała i poszła z nim do samochodu.

Milczała, gdy wyjeżdżali z portu. Wychodząc rano z domu, liczyła, że zdoła coś sobie przypomnieć. I przypomniała. Znalazła okruchy wspomnień, wspomnień pięknych.

Ale zaraz potem przyszło uczucie, że coś straciła. Dlaczego? Skąd taki wniosek? Skąd to uczucie?

Rzuciła okiem na Cole'a. Nawet z profilu jego twarz miała zimny i zawzięty wyraz, taki sam jak w porcie. Jakbyjej nienawidził - mężczyzna, który kochał się z nią tak zapamiętale, z taką desperacją, tak bez reszty! Dlaczego tak się zmienił? Co ona zrobiła? Albo może... co zrobił on?

Całą siłą woli usiłowała to sobie przypomnieć; czuła ogarniające ją napięcie, ale natychmiast spróbowała się odprężyć. Nie mogła pamięci niczego nakazać, tyle już zdążyła się nauczyć.

Szukając czegoś, co by odwróciło bieg myśli, Remy skupiła uwagę na nowoorleańskiej dzielnicy biurowców, przez którą przejeżdżali. Oglądała ulice-wąwozy wciśnięte między wyniosłe gmaszyska, oglądała eklektyczną kolekcję dziewiętnastowiecznych przykładów archite-

ktury i nowoczesnych wieżowców ze stali i szkła. Sądziła, że skręca w Poydras Street i wjadą do centrum dzielnicy. Tymczasem Cole zakręcił i zatrzymał się przy budynku International Trade Mart.

- Po co tu przyjechaliśmy? - zdziwiła się, marszcząc brwi, kiedy otwierał dla niej drzwiczki samochodu i podawał rękę. - Myślałam, że musisz wracać do biura. Nie podała mu dłoni.

- Właśnie tutaj mieszczą się biura dyrekcji Crescent Line - odparł, wskazując trzydziestopiętrowy wieżowiec.

- Nie pamiętałam tego. Dlaczego? Czy te biura są tu od dawna?

- Od początku lat sześćdziesiątych, krótko po tym, jak ukończono ten budynek. O ile wiem, to jeszcze twój dziadek przeniósł tu dyrekcję Towarzystwa. - Wzięła ją pod ramię i poprowadził w kierunku wejścia. - Dobre pociągnięcie, biorąc pod uwagę fakt, że właśnie tutaj mieści się około trzydziestu konsulatów i biur handlowych. Są także biura firm eksportowo-importowych, spółek okrętowych i innych towarzystw morskich.

Skomentowałyby ten rzadki objaw aprobaty dla swojej rodziny, gdyby nie była tak zakłopotana odkryciem tak rażącej luki w pamięci. Wiedziała, że Cole mówi prawdę, choć nie opuszczało jej niejasne przeczucie, że chyba nie całą. Jeszcze trochę, a sama to sobie przypomni.

- Jest taksówka. - Zacisnął dłoń na jej ramieniu.

Idąc do taksówki, Remy stanęła.

- Nie, nie chcę jeszcze wracać do domu. Chcę obejrzeć biura.

Otworzył usta, żeby się sprzeciwić, ale zrezygnował i zawrócił w stronę wieżowca.

Wjechali windą na piętnaste piętro, gdzie na drzwiach zobaczyła emblemat Towarzystwa, a pod nim złote litery na czarnym tle: Crescent Line. Mapa świata, na której zaznaczono największe porty i linie morskie, zajmowała całą ścianę w holu i stanowiła aż nazbyt typową dekorację biura żeglugowego, podobnie jak modele statków i nowoczesnych okrętów dalekomorskich.

Wiódł ją szerokim korytarzem do biura dyrekcji. Machinalnie odpowiedziała na pozdrowienie sekretarki, ale nie zatrzymała się przy jej stoliku jak Cole.

- Już przyszli? - spytał, gdy tymczasem Remy niespokojnie przechadzała się po sekretariacie, szukając czegoś, co wydawałoby się jej znajome. Gładziła oparcie obitej skórą sofy, zastanawiając się, czy to właśnie o nią Cole oparł ten stary sztych. Odeszła stamtąd, kiedy nie udało się jej poruszyć żadnej struny pamięci.

- Jeszcze nie, panie dyrektorze - odparła niezwykle szczupła sekretarka. - Listy do podpisania położyłam na pańskim biurku.

Remy zatrzymała się w rogu sekretariatu, na wprost drzwi dyrektorskiego gabinetu, i usłyszała, jak Cole mówi do sekretarki:

- Panna Jardin będzie niedługo wychodzić. Proszę wezwać dla niej taksówkę.

- Zaraz to załatwię.

Nagły impuls kazał jej zajrzeć do środka. Dotknęła klamki. Nacisnęła ją i pchnęła drzwi. Zawahała się i wolno przekroczyła próg. Obcasy jej pantofli zastukały głośno na drewnianej podłodze. Później weszła na miękki perski dywan.

Poranne światło wpadające przez szerokie okna dodawało blasku boazerii z mahoniem. Pokrywała ją patyna lat, wielu dziesiątek lat. Kto wie, może nawet stuleci? Krzesła dla gości, wyściełane bordową skórą, miały wygięte oparcia i błyszczały od dotyku wielu, wielu rąk. Zaś masywne biurko było najprawdziwszym antykiem. Sheraton - pomyślała.

Oszołomiona, odwróciła się i zobaczyła, że Cole obserwuje ją, stojąc w drzwiach.

- Nie rozumiem. To biuro jest... stare.

- Tak. Twój dziadek przeniósł tu całą dyrekcję Towarzystwa, ale zachował swój gabinet. Został tu przewieziony w częściach, łącznie z podłogą, ścianami i sufitem - powiedział, wskazując ręką mahoniowy sufit. - Wszystko złożono na miejscu, z niezbędnymi poprawkami, bo na przykład okna tego gabinetu okazały się dużo szersze.

- Podświadomie musiałam pamiętać, jak bardzo stary jest ten gabinet, choć zapomniałam, że w ogóle go przenieśli. - Podeszła do biurka i zakręciła stareńkim globusem na chippendalowskiej podstawie. Zastanawiała się, czy bawiła się nim, kiedy przychodziła tutaj jako dziecko, żeby odwiedzić ojca.

- Zaspokoiłaś już ciekawość? Mam pilną robotę - oświadczył stanowczo i zdecydowanym krokiem podszedł do biurka.

Remy spojrzała na niego wiedząc, że chce się jej pozbyć, chociaż wątpiła, czy tylko z powodu pracy.

- Mam jeszcze jedno pytanie.

- Tak? - W jego twarzy widziała tę samą zawziętość, którą dostrzegła wcześniej w porcie. Reagował na nią tak, jakby była jego wrogiem.

- Dlaczego wczoraj wieczorem odszedłeś z lotniska bez słowa pożegnania?

- Ja też chciałbym cię o coś zapytać: dlaczego nie poszłaś za mną?

- Nie wiem, co odpowiedzieć.

- A może to jest właśnie odpowiedź na twoje pytanie?

- Być może. - Odsunęła się od globusa. Światło wpadające przez okno odbijało się od oprawionego w ramy obrazu, nie pozwalając dostrzec rysunku. Promienie słońca przyciągały jej wzrok. W przeblysku wspomnień przypomniawszy sobie sztywno upozowanego, siwego mężczyznę w marynarce z szerokimi wyłogami.

- *Grand-pere...* - Od razu rozpoznała tę twarz. - Czy to jego portret?

Nie czekając, aż Cole przytaknie, Remy podeszła, żeby przyjrzeć się obrazowi. Stała zdziwiona, widząc pełną werwy postać ubraną w czarny frak i srebrną brokatową kamizelkę. Włosy mężczyzny nie były wcale siwe, tylko bardzo ciemnorude; obcięte całkiem krótko, przykrywały tylko koniuszki uszu. Przedziałek na boku stanowił jedyny uładowany element postaci. Mężczyzna miał roześmiane oczy, a uśmiech unosił kąciki ust pod wąsami i rzeźbił bruzdy w gładko wygolonych policzkach. Sprawiał wrażenie człowieka silnego,

energicznego, który dąży do celu bez względu na przeszkody.

- Kto to jest? Czy to może część twojej kolekcji? - spytała Remy. Odwróciła się, z lekka blednąc. - Już cię o to pytałam, prawda? - Skinął głową i czekał, jakby chciał sprawdzić, co jeszcze pamięta. Ale reszta ginęła w otchłaniach niepamięci. - Co odpowiedziałeś, kiedy cię spytałam?

- To jest portret założyciela Crescent Line. Znalazłem go pod stuletnią warstwą kurzu w jednym ze składów Towarzystwa na nabrzeżu.

Raz jeszcze spojrzała na obraz.

- Jakie to dziwne. On wcale nie wygląda na Jardina.

- Bo też nim nie był - odparł Cole.

- Jak to? Niemożliwe! Crescent Line zawsze należała do naszej rodziny!

- Nie zawsze. Z całą pewnością nie na początku. Crescent Line założył ten człowiek, Brodie Donovan.

- Donovan... - Nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Może Cole się mylił? Ale nie mogła sobie przypomnieć. A jeśli miał rację? Czyżby natrafiła na tajemnicę rodzinną, ukrytą za murem nicości?

- Zgodnie z prawem, Remy - mówił dalej Cole - powinnaś nosić nazwisko Donovan, a nie Jardin.

- O czym ty mówisz? - spytała zdumiona.

Już chciał jej odpowiedzieć, ale rzucił okiem na drzwi łączące jego gabinet z pokojem, w którym urzędowała sekretarka i zawahał się na ułamek sekundy, uśmiechając się obojętnie.

- Może lepiej spytaj o to swojego wuja.

Remy spojrzała w stronę drzwi. W ich progu stał Marc Jardin. Utkwił ciemne oczy w obrazie i zacisnął usta z wyrazem niesmaku. Lecz nagle twarz mu się zmieniła i pojawił się na niej lekki uśmiech.

- Remy! Cóż za niespodzianka! - Podeszedł do niej.

- Wujek Marc. Dzień dobry. - Była pewna, że słyszała, co Cole mówił o ich rodzinie, ale najwyraźniej rozmyślnie to zignorował. Dlaczego? Czyjego milczenie potwierdzało słowa Cole'a? A może nie chciał przy nim roztrzą-

sać tej sprawy? Jakiś cichy, wewnętrzny głos podpowiedział jej: „Sekrety rodzinne muszą pozostać sekretami”. Usłuchała go. - Wyszłam dziś rano na spacer... no i dotarłam aż tutaj.

- Co cię tak wcześniej sprowadza, Marc? - spytał Cole z udawanym brakiem zainteresowania. - O tej porze pijasz zwykle kawę z przyjaciółmi w hotelu Pontchartrain.

- Zazwyczaj tak - zgodził się Marc. - Ale dzisiejsze zebranie...

- Rzeczywiście, mamy dzisiaj umówione spotkanie. Ale co to ma wspólnego z tobą? - Głos Cole'a zabrzmiał lodowato i zdawało się, że temperatura w pokoju spadła o kilka stopni.

- Uważałem, że to mój obowiązek - odpowiedział Marc z nieco wymuszonym uśmiechem.

- Dlaczego?

Na szyję Marca wypełzła rumieniec.

- Dlaczego? - Roześmiał się sztucznie. - Jestem takim samym członkiem zarządu jak dyrektor i główny udziałowiec.

- Owszem - zgodził się Cole. - Ale zapomniałeś chyba, że to ja prowadzę rozmowy w imieniu towarzystwa. I twoja obecność nie jest wcale konieczna.

- Rozumiem - mruknął sztywno wuj.

Zdając sobie sprawę, że nie ma sposobu, żeby Marc wyszedł z tego z twarzą, Remy powiedziała szybko:

- Jeśli nie jesteś tu potrzebny, to może namówię cię, żebyś mnie podwiózł do domu?

Odwrócił się do niej z błyskiem wdzięczności w oczach.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Remy.

Podał jej ramię aż nadto kurtuazyjnie. Remy przyjęła je i u jego boku wyszła z biura.

11

Skulona na przednim siedzeniu szarego Mercedesa wsłuchiwała się w łagodny głos wuja. Jechali St. Charles Avenue w stronę domu. Od chwili, kiedy wyszli z gabinetu Cole'a, Marc opowiadał wesołe dykteryjki o swoim synu i córkach, o ich dzieciach, zdając relację z ostatnio urządzanych zabaw i uroczystości, w których brały udział jego wnuki. Remy uśmiechała się w odpowiednich momentach, ale jej uwaga zwrócona była gdzie indziej. Patrzyła przez okno, podziwiając aleję w jasnym blasku dnia - ciemność poprzedniego wieczoru i wczesnoporanna mgła gdzieś zniknęły.

Wzdłuż całej alei, która stanowiła tradycyjną trasę parad i pochodów, widoczne były ślady karnawału: na ziemi walały się jaskrawokolorowe perełki, z gałęzi majestatycznych dębów zwiisały resztki serpentyn, a plastikowe kubki, z których uczestnicy zabawy popijali ulubione trunki, leżały na wpół ukryte za krzaczkami azalii na trawnikach; ich nabrzmięte pączki mówiły, że wkrótce nadejdzie dzień, kiedy rozkwitną wspaniałą różowością.

Tu i tam Remy widziała powiewające jeszcze flagi klubu Rex, najbardziej elitarnego klubu zrzeszającego najzamożniejszych uczestników karnawału. Powiewały przed solidnymi domami w dzielnicy Garden, za kratami z kutego żelaza i na wielkich magnoliach strzegących wejścia. Widząc te insygnia „władzy królewskiej”, przypomniała sobie, że zgodnie z tradycją tylko byli wodzi-

reje balów ostatnich - eks-królowie i ich królowe - mieli prawo wywieszać przed domem purpurowe, zielone i złote flagi. Purpura oznaczała sprawiedliwość, zieleń wiarę, a złoto oczywiście władzę.

Lecz ślady minionego karnawału mimo wszystko zmuszały ją do rozmyślań nad tym, dlaczego Marc Jardin unikał rozmowy o tym, co powiedział jej Cole. Dlaczego nie wyjaśnił jej, kim był Brodie Donovan? Pamiętała wzrok Marca, gdy patrzył na portret, i nie miała żadnych wątpliwości, że słyszał, jak Cole mówił, że to Donovan założył Crescent Line. Wuj Marc nie zająknął się słowem na ten temat i nie dopuszczał, żeby go o to spytała. Z drugiej strony, nie chciała zmuszać go do wyjaśnień. Tylko właściwie co ją powstrzymywało?

Możliwość przerwania milczenia, jakie sobie narzuciła, została bezpowrotnie stracona, kiedy wuj oznajmił:

- No i jesteśmy na miejscu. - Wprowadził Mercedesa między dwie smukłe żelazne kolumny szeroko otwartej bramy, wiodącej na posesję. - Chyba dobrze jest znów być w domu, po tym wszystkim, co ci się przydarzyło, prawda?

- Gdybyś powiedział mi to dwa dni temu w Nicei, prawdopodobnie bym się z tobą zgodziła - odpowiedziała Remy, kiedy parkował samochód przed starą wozownią, zamienioną na garaż dla czterech samochodów. - Teraz mam wrażenie, że próba ogniowa dopiero się zaczęła.

Nie skomentował tego; zapadła między nimi cisza, która zdawała się być tym bardziej brzemienne, że nastąpiła po tak banalnych rozmowach. To jeszcze mocniej utwierdziło Remy w przekonaniu, że jej odczucia są nawet bliższe prawdy, niż się jej się przedtem wydawało.

Gdy wchodzili do domu bocznym wejściem, Remy natychmiast poczuła kuszące zapachy dochodzące z kuchni. Wuj milczał i z przesadnym uznaniem wdychał unoszący się w powietrzu aromat

- Pachnie, jakby Nattie upiekła na śniadanie Bóg wie co.

- Nareszcie jesteście!

W końcu korytarza stała wysoka, ciemnoskóra kobieta, ubrana w sztywny czarny uniform i przepasana białym, świeżo nakrochmalonym fartuchem. Miała krótko obcięte włosy i masę szarych jak pieprz kędziorów na czubku głowy. Była to fryzura stylowa i jednocześnie praktyczna, i najlepiej eksponowała jej wysokie kości policzkowe. Ciemne oczy kobiety spoczęły na Remy.

- Wygląda na to, że to uderzenie w głowę odebrało ci nie tylko pamięć. Odebrało ci też zdrowy rozsądek. Kto to widział, żeby spacerować po ćmoku!

- Ty jesteś Nattie... - Remy podeszła do kobiety, czekając na jakieś wspomnienie.

- Biorąc pod uwagę, że jestem jedyną czarną kobietą w domu, nie wydaje mi się, żebyś mogła pomylić mnie z kimś innym.

Remy roześmiała się zaskoczona.

- Czy zawsze jesteś tak bezceremonialna?

- Tak, nauczyłam się tego od ciebie. - Szybkość jej odpowiedzi kazała Remy sądzić, że taka wymiana zdań była w stylu ich wcześniejszych rozmów.

- Gdzie jest... - zaczął Marc.

- Pan Frazier i pani Sybilla są na werandzie i piją poranną kawę - przerwała mu Nattie, nim zdążył dokończyć pytanie.

- Powiem im, że jesteś już w domu - rzucił do Remy Marc i szparkim krokiem pomaszerował w stronę oszkłonej werandy z jasnego drewna.

- Znaleźli moją kartkę, prawda? - domyśliła się Remy.

- Ja ją znalazłam, kiedy wysłali mnie na górę z kawą dla ciebie - odparła Nattie. - Zaraz potem twoja mama zaczęła się martwić, jak wrócisz do domu, skoro straciłaś pamięć i pewnie nie wiesz, gdzie mieszkasz.

- Przysięgam ci, że dałabym sobie radę.

- To spróbuj ją o tym przekonać - zripostowała zirytowana kucharka, potrząsając głową.

Mimo bezceremonialności, z jaką czarnoskóra kobieta zdawała się z nią rozmawiać, Remy zwróciła uwagę, że

Nattie ani razu nie zapytała jej, gdzie była, dlaczego wyszła ani co robiła. Pamiętała, co powiedział Cole. Mówił, że traktowała Nattie jak kogoś, kto należy do rodziny, ale przecież nie do tego stopnia, żeby czuła, że musi się jej tłumaczyć z tego, co robi. Najwyraźniej Nattie też tego nie oczekiwała.

Nagle Nattie dotknęła wnętrzem dłoni policzka Remy.

- Cieszę się, że jesteś w domu. Martwiłam się o ciebie - powiedziała trochę zbyt gwałtownie i zaraz szybko cofnęła rękę. - Zupełnie nie wiem, po co ja tutaj stoję i gadam, skoro mam tyle rzeczy do zrobienia. Idź powiedzieć mamie i tacie, że jedzenie będzie na stole za dwadzieścia minut. I zapytaj pana Marca czy zostanie na śniadaniu.

- Dobrze - obiecała Remy, ale Nattie nie czekała na odpowiedź i szła już do kuchni.

Uśmiechając się, Remy zawróciła i ruszyła w stronę werandy. Gdy Nattie zniknęła, Remy znów zaczęła roztrzasać w myślach to, co zdarzyło się rano w gabinecie Cole'a. Kiedy podeszła do zalanej słońcem werandy, usłyszała głosy i odruchowo zwolniła kroku.

Usłyszała zaniepokojony i zdenerwowany głos ojca:

- Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ten Buchanan wyrzucił kogoś z zebrania. To bardzo utrudnia całą sprawę.

- Ująłeś to nader delikatnie - odparł wuj. - Musimy teraz poszukać innego sposobu, żeby sprawdzić, jaki to niby dowód mają w ręku ci z towarzystwa ubezpieczeniowego. Dopóki tego nie sprawdzimy, nie będziemy wiedzieć, co robić dalej.

- Dlaczego nie spotkać się z nimi prywatnie, poza biurem? - Ta sugestia wyszła od Gabe'a. - Możesz w imieniu rodziny wyrazić niepokój, spytać o te domniemane zarzuty.

- Niezależnie od tego, jak bardzo ważne mogłoby się to okazać, myślę, Gabe, że na tym etapie nie jest to najmądrzejszym posunięciem - stwierdził Marc Jardin. - Mogłoby to sugerować, że uważamy ich oskarżenia za uzasadnione. Stracilibyśmy tym samym ważny argument w negocjacjach.

- Prawdę mówiąc - wtrącił ojciec - bardzo się niepokoję, że gotowi są spełnić pogroźki i podać sprawę *Dragona* do publicznej wiadomości. Taki skandal byłby dla nas niezwykle szkodliwy.

- Tym bym się nie martwił, tato. Idę o zakład, że towarzystwo ubezpieczeniowe chce uniknąć skandalu tak samo jak my. Ale Marc ma rację. Zanim zdecydujemy się podjąć jakiegokolwiek kroki, musimy wy badać, co trzymają w zanadrzu. I czy w ogóle coś mają.

- A Buchanan to wie! - stwierdził ojciec. - Przekłęty spryciarz!

Remy wykorzystała chwilę ciszy, która zapadła po jego słowach, żeby przebyć ostatnie kilka kroków, jakie dzieliły ją od otwartych drzwi werandy.

- Dzień dobry. - Wyczuła napięcie wiszące w powietrzu, choć uśmiechy zebranych go nie zdradzały. Ojciec siedział w wiklinowym fotelu wykładanym poduszkami, matka przy stoliku - właśnie wlewała śmietankę do kawy. Gabe opierał się o białą framugę mozaikowego okna, Marc Jardin stał pośrodku pokoju, jakby coś zatrzymało go w pół drogi.

- Mam wam powiedzieć, że śniadanie podadzą za dwadzieścia minut i zapytać, czy wujek Marc będzie z nami jadł.

Na chwilę ogarnęło ją zdumienie - chociaż wiedziała, kim jest każde z nich, nie poznawała nikogo. Tworzyli rodzinę, ale wciąż byli obcy, byli ludźmi, których nie pamiętała. Odnosiło się to nawet do Gabe'a i matki. Wspomnienia z dzieciństwa dotyczące brata nie mówiły jej o nim nic jako o człowieku dorosłym; podobnie jak zamazany obraz matki, stojącej w ogrodzie pełnym róż nie zdradzał, jaką jest kobietą. Nieświadomie Remy uniosła głowę wyżej i usiłowała odpędzić od siebie niepokojące myśli.

- Obawiam się, że dzisiaj nie będę mógł zostać na śniadaniu, chociaż bardzo bym chciał skosztować ciepłych bułeczek z jagodami. Tak, Nattie to znakomita kucharka. Niestety, muszę wracać do biura. - Odstawił filiżankę i talerzyk na tacę.

- Słyszałam, jak rozmawialiście o oskarżeniach, jakie towarzystwo ubezpieczeniowe wysuwa wobec Crescent Line - wtrąciła szybko Remy, by zdążyć przed jego wyjściem. - O co im właściwie chodzi? - Zauważyła, że wymienili znaczące spojrzenia. - A może nie powinnam pytać?

- To bez znaczenia, Remy - oświadczył wuj z uśmiechem, ale i z lekką naganą w głosie. - Oni po prostu badają zasadność naszych roszczeń. Wiesz, jakie są towarzystwa ubezpieczeniowe. Płacisz im astronomiczne składki, a kiedy zgłaszasz roszczenia z tytułu polisy, robią co mogą, żeby ci nie zapłacić. I to jest właśnie ten przypadek.

Remy zdziwiła się.

- Ale mówiliście o tym tak poważnie...

- Och, Remy... - Wuj roześmiał się, otoczył ją ramieniem i potrząsnął z sympatią. - Interesy są zawsze sprawą bardzo poważną - oświadczył przesadnie serio i spojrział na jej ojca. - Frazier, pamiętasz, co się działo, kiedy postanowiliśmy zmienić znak Crescent Line? Dumaliśmy nad tym i rozważaliśmy różne warianty chyba ponad miesiąc.

- O Boże, ja też pamiętam - wtrąciła matka, przecinając werandę, żeby podać Gabe'owi filiżankę kawy ze śmietanką. - Tak nad tym debatowali, tak się spierali, jakby od tego zależały losy świata!

- Teraz już rozumiesz, prawda? - spytał wuj i klepnął ją po ramieniu. - No, muszę uciekać. - Podeszedł do drzwi. Zatrzymał się w nich na chwilę i odwrócił. - Zadzwoń, jak tylko się czegoś dowiem, Frazier.

- Dobrze.

Remy odprowadzała go wzrokiem, zastanawiając się, czy sprawa towarzystwa ubezpieczeniowego jest tak jasna, jak to przedstawił, czy też wiąże się w jakiś sposób z niepokojem, który cały czas odczuwała. Ale jakim cudem? Przecież Remy nie angażowała się w przedsięwzięcia Crescent Line. Obydwaj, i Cole, i Gabe, wyraźnie jej to mówili. Zatem, to nie jej zmartwienie, nikt na nią nie liczył, nawet jeżeli firma naprawdę znalazła się

w tarapatkach. Więc skąd ten niepokój? Musiała być inna przyczyna.

- Chcesz kawy, Remy?

Remy odwróciła się od drzwi.

- Poproszę. - Dostrzegła, jak matka lekko ścisnęła ramię ojca, przechodząc obok jego krzesła. W odpowiedzi na to, ojciec poklepał ją odruchowo, co świadczyło o ich wzajemnym zrozumieniu i uczuciu, najwyraźniej umocnionym jeszcze w ciągu trzydziestu pięciu lat małżeństwa.

Remy zamyśliła się. Czy dawniej też zauważała takie gesty? A może brała je za coś całkiem naturalnego?

Obserwowała, jak matka bierze srebrny dzbanek i nalewa kawę do porcelanowej filiżanki. Przyglądała się jej delikatnym dłoniom i pociągniętym bezbarwnym lakierem krótkim paznokciom z wyraźnymi białymi półksiężycami. Tylko niebieskawe żyłki na grzbiecie dłoni zdradzały wiek, któremu przeczył młodzieńczy wygląd matki.

Podnosząc wzrok, Remy zauważyła, że tak samo jest z jej twarzą. Na pierwszy rzut oka wyglądała dziewczęco, dopiero przy bliższym przyjrzeniu się można było dostrzec drobne zmarszczki wokół oczu i ust. Nic wszakże nie mąciło jej spokojnej elegancji i wystudiowanego wdzięku. Remy czuła w niej siłę, nie tę z gatunku „stalowej magnolii”, nie, łagodniejszą, cieplejszą. Zastanawiała się, jakie łączyły je stosunki. Czy Sybilla Jardin stanowiła dla niej autorytet i wzór? Czy były ze sobą blisko związane? Remy nie mogła sobie jakoś wyobrazić, że powierza tej kobiecie najgłębsze sekrety, ale też nie wyobrażała sobie, że mogłaby się z nią kłócić.

A z ojcem? Jej stosunki z Frazierem zdawały się być jeszcze większą enigmą. Jeśli chodzi o to, Remy nie pamiętała dosłownie nic. Zerknęła na niego jeszcze raz, szukając w jego obliczu choćby najmniejszego śladu, czegoś, co pomogłoby przywołać wspomnienia. Ale nic nie znalazła. Widziała tylko twarz o surowych, ściągniętych zamyśleniem rysach i brązowe oczy, przyciemnione troską czy może obawą.

- Twoja kawa, Remy.

Zaskoczona, spojrzała na matkę i wzięła od niej filiżankę i talerzyk. Kiedy znów popatrzyła na ojca, siedział ze spuszczoną głową i Remy była jeszcze mniej pewna, czy w jego oczach ujrzała strach czy tylko głębokie zaniepokojenie.

- A może przeszlibyśmy już do jadalni? - zapytał Gabe, odpychając się ramieniem od okna. - Obawiam się, że jeśli zostaniemy tu choć chwilę dłużej, nic nie powstrzyma mnie od tego, żeby walnąć się na kanapę i odespać to, co straciłem oblatując pół świata.

- Jesteś zmęczony. - Remy uśmiechnęła się do niego ze współczuciem, widząc jego podkrążone i trochę zapuchnięte oczy.

- Zmęczony? - uniósł brew, powątpiewając, czy właściwie to ujęła. - Czuję, że przydałyby mi się zapałki, żeby podeprzeć powieki.

- Nie rób tego - ostrzegła kpiąco. - Będzie bolało.

- Co tam ból, skoro i tak lecę z nóg ze zmęczenia - odparł, podchodząc bliżej i obejmując ją ramieniem. Oparł się na Remy całym ciężarem ciała. - A może zaniósłabyś mnie do jadalni?

- Jesteś taki ciężki, że padnę, zanim dojrniemy do drzwi.

- Wiedziałem, że to powiesz. - Lekko się wyprostował i wciąż obejmując siostrę, ciągnął ją w stronę jadalni. Za nimi szli rodzice. - Remy, skąd wzięłaś siłę, żeby spacerować takim bladym świtem?

- To dla mnie betka. Ja też obleciałam pół świata i musiałam tylko wrócić z powrotem. - Rozmawiali zupełnie bez sensu, ale Remy czuła, jak łatwo im to przychodzi. I właśnie owa łatwość sugerowała, że byli sobie bliscy, i to nie tylko w dzieciństwie.

- Że też na to nie wpadłem! I oto najlepszy dowód, jaki jestem zdechły - powiedział z żartobliwym przestraszaniem. - A tak naprawdę, to gdzie ty się wybrałaś?

- Wsiadłam do autobusu i pojechałam nad Kanał. Później spacerowałam po okolicy. Zdziwiłbyś się, jak tam o tej porze cicho i spokojnie. Potem zajrzałam do Cafe

du Monde i wypijałam kawę. A jeszcze potem spacerowałam brzegiem rzeki i nagle znalazłam się na przystani Crescent Line.

- Na przystani! - W głosie ojca usłyszała nie tylko zdumienie, ale i naganę. - To nie jest odpowiednie miejsce do samotnych spacerów, zwłaszcza dla młodej dziewczyny.

Remy stanęła w progu jadalni w kolorze mlecznych orchidei i chłodnego błękitu. Długi orzechowy stół nakryty był dla czterech osób; lśnił w blasku złotawego żyrandola z brązu, identycznego jak ten, który wisiał w salonie. Na marmurowym blacie empirowej serwantki stały cztery szklanki i wysoka kryształowa karafka ze świeżym pomarańczowym sokiem. Remy wyslizgnęła się spod ramienia Gabe'a i podeszła do wykładanego lustrami pomocnika.

- Cole zareagował podobnie, kiedy mnie tam nakrył. Tak naprawdę, wyraził się dosadniej. Powiedział chyba: „Co ty tu robisz, do diabła?” Coś w tym rodzaju.

- Zastanawiałem się, jak to się stało, że spotkałaś go dzisiaj rano. - Ojciec usiadł u szczytu stołu.

- Właśnie tak. - Odstawiła filiżankę z kawą na marmurowy blat, wzięła karafkę i napełniła sokiem dwie szklanki: jedną dla siebie, drugą dla brata. - Potem nalegał, żebym pojechała razem z nim do biura i stamtąd taksówką do domu - Podała Gabe'owi szklankę, wzięła filiżankę z kawą i podeszła do stołu. - A le kiedy...

- Nie, nie tutaj, kochanie - zwróciła jej uwagę matka, gdy Remy chciała usiąść za stołem. - To jest miejsce Gabe'a.

Puściła oparcie krzesła, jakby parzyło jej palce. Zmroziło ją. Jakże niezręcznie się poczuła! Przypomniała sobie podobną scenę z czasów, kiedy miała siedem czy osiem lat. Wtedy matka też zwróciła jej uwagę, by nie siadała na miejscu brata. „To jest miejsce Gabe'a” - matczyne upomnienie wciąż dzwoniło jej w uszach. Pamiętała, że jako mała dziewczynka zaczęła tupać w dziecięcym proteście. - „Ale ja też chcę siedzieć obok Tatusia!”

Remy popatrzyła na krzesło, na którym o mało nie usiadła i szepnęła:

- Zapomniałam.

- Siadaj, Remy - zapraszał Gabe. - Nie będę się gniewał.

- Nie, nie. - Wiedziała, że czułaby się źle, gdyby tam teraz usiadła. Wysunęła sobie inne krzesło, trochę dalej od Gabe'a. - Usiądę tutaj.

- Jak chcesz. - Wzruszył ramionami.

- To dziwne, że nie mogliście znaleźć taksówki na Trade Mart - zaczął ojciec obojętnym tonem. - Na ogół sporo się tam ich rano kręci.

- Były i dzisiaj - przyznała Remy. - Ale chciałam zobaczyć biura Crescent Line.

- Po co? - Rzucił jej ostre spojrzenie i jego ręka zastygła w bezruchu w pół drogi do szklanki z sokiem, którą Sybilla przed nim postawiła.

Nie miała ochoty tłumaczyć, co ją skłoniło do odwiedzenia biur Crescent Line.

- Jak to po co? Głównie z ciekawości. Chciałam sprawdzić, czy czegoś sobie nie przypomnę.

- No i...? - spytał Gabe.

- Przypomniał mi się właściwie tylko obraz. Pamiętałam, że na ścianie zawsze wisiał portret *grand-pere'a* - odpowiedziała w chwili, kiedy drzwi łączące jadalnię z kuchnią otworzyły się i weszła Nattie z tacą w ręku.

Frazier odstawił szklankę z sokiem pomarańczowym i oparł się na krześle, a uśmiech rozjaśnił jego surową twarz.

- Ach, w końcu jest śniadanie! - ucieszył się. - Pachnie wspaniale, Nattie.

- A jak ma pachnieć? - odparła i postawiła przed nim talerz z porcją jajek w jasnym holenderskim sosie, ozdobionych truskawkami, jeżynami, grapefrutem i zielonym kiwi. - Wszystko, co robię, zawsze cudownie pachnie, a jeszcze lepiej smakuje. Dobrze pan o tym wie, proszę pana.

- A gdybym zapomniał, wystarczy, jak zerknę na swój brzuch - odparł żartobliwie.

Nattie zachichotała i podała talerz Sybilli.

- A skoro zaczęliśmy o tym mówić... - odezwała się Remy, rozkładając serwetkę na kolanach - czy ktoś zechce mi może przypomnieć, kim był Brodie Donovan? Cole twierdzi, że Donovan założył Crescent Line. To prawda?

Ojciec natychmiast zeszywniał, a na jego twarzy odmalowała się złość i przykrość zarazem.

- Ujmując rzecz zasadniczo, trzeba stwierdzić, że tak. - Włożył do ust kęs jedzenia - Donovan wzbogacił się na wojnie i zbił fortunę, przedzierając się przez blokady w czasach wojny domowej. Szmuglował satynę i jedwab, whisky i wino, i wiele innych luksusowych towarów. Sprzedawał je po paskarskich cenach, kiedy południe zebrało o leki, bandaże, jedzenie i koce dla chorych i zziębniętych. Na początku statki i nazwa Towarzystwa rzeczywiście należały do niego, ale to Jardin uczynił z Crescent Line godne szacunku towarzystwo okrętowe - zakończył stanowczo. Nattie mruknęła z powątpiewaniem, a Frazier natychmiast spiorunował ją wzrokiem. - Czy coś nie tak, Nattie?

- Ze mną? Nie. - Postawiła talerz przed Remy i spokojnie spojrzała na Frazierę: - A z panem?

Przyglądał się jej chwilę i wtedy odezwał się Gabe:

- Czy to nie Balzac powiedział, że wszystkie wielkie fortuny powstały na zbrodni?

Frazier rzucił mu ostre spojrzenie. Nattie zabrała do kuchni pustą tacę.

- To nie było zabawne, Gabe.

- Przepraszam. - Gabe spuścił głowę niczym winowajca i rzucił Remy wesołe spojrzenie.

- To należy już do przeszłości i lepiej niech tam zostanie. Niezależnie od tego, co Buchanan teraz wygaduje - uciał krótko ojciec.

- Tak, ale... - zaczęła Remy, chcąc spytać dlaczego Cole stwierdził, że właściwie powinna nazywać się Donovan, a nie Jardin.

- Musimy porozmawiać o dniu dzisiejszym - przerwał jej ojciec. - A w szczególności o twojej amnezji, Remy, i o tym, co powinniśmy w tej sytuacji zrobić.

- A co powinniśmy zrobić? - powtórzyła zdziwiona Remy. - Co masz na myśli?

- Kiedy usłyszałem, co się stało, zatelefonowałem do doktora Johna...

- Do kogo? - Nazwisko nic jej nie mówiło.

- Doktor John Lucius Sebastian jest od lat naszym lekarzem. Opiekował się twoim dziadkiem w ostatnich latach jego życia i przyjmował cię, kiedy przyszłaś na świat - tłumaczył cierpliwie. - Zawsze bardzo cię lubił. Nawet jeżeli go nie pamiętasz, jestem pewien, że zrozumiesz, iż bardzo się zmartwił, gdy powiedziałem mu o twojej amnezji. Mama i ja długo z nim rozważaliśmy, co najlepiej byłoby teraz zrobić. Polecił nam pewną klinikę niedaleko Houston. Tamtejsi lekarze mają spore doświadczenie w leczeniu takich przypadków.

- Doktor John mówił, że tam jest bardzo pięknie - wtrąciła matka. - Klinika leży wśród lasów, jest cicha i spokojna. Każdy... gość ma swój własny domek, pokojówkę, może mieć nawet swojego kucharza. To prawie jak lotnisko, naprawdę.

- I życzycie sobie, żebym tam pojechała, tak? - Remy powiodła po nich wzrokiem, nie chcąc wierzyć w to, co usłyszała.

- Doktor John zapewniał, że wyposażenie i personel są tam absolutnie najlepsze. Wie, że zależy nam, byś miała najlepszą opiekę i warunki. - Ojciec przełknął następną porcję sycącego dania. - Myślę, że moglibyśmy polecieć tam już jutro. Mają własne lotnisko.

- Nie - zaprotestowała szybko i ze złością, i sama spostrzegła, że zabrzmiało to zbyt głośno. - Chciałam, powiedzieć, że nigdzie nie jadę - dodała spokojniej, ale nadal stanowczo.

- Ale dlaczego? - zaproponował. - Znajdziesz tam właściwą opiekę. Zorganizowaliśmy to po to, żebyś odzyskała pamięć. Przecież zależy ci na tym tak samo jak nam.

- Oczywiście.

- I właśnie oni ci pomogą, Remy.

- Nie - zaprzeczyła. - Ten rodzaj amnezji nie może być leczony narkotykami czy psychiatryczną terapią, ani

hipnozą. Wierz mi, na własną rękę zbadałam już wszystkie możliwości, kiedy byłam w szpitalu w Nicei, i kiedy desperacko usiłowałam dowiedzieć się, kim jestem. Niestety, moja amnezja spowodowana jest urazem mózgu i tylko czas może mnie wyleczyć. Lekarz specjalista powiedział mi to bardzo wyraźnie.

- Nie mogę się z tym zgodzić - odrzekł Frazier. - Myślę, że powinniśmy zasięgnąć dodatkowej opinii. Poza tym, któż to był, ten lekarz, z którym rozmawiałaś? Jakie miał doświadczenie? Skąd możesz być pewna, że ten twój specjalista zna najnowsze środki i terapie?

- Sprawdziałam. - Nadziała na widelec kawałek bekonu, ociekającego stygnącym, holenderskim sosem i czuła, że ogarnia ją coraz większa wściekłość. Nie umiała sobie tego wytłumaczyć. Wściekała się na kogo? Na rodziców? Dlaczego? Przecież robili wszystko dla jej dobra. A może chcieli ją kontrolować? Kontrolować jej życie. Czy tak samo zachowywali się dawniej? Czy właśnie dlatego czuła taką złość?

- Jeśli leczenie tej amnezji wymaga czasu, to klinika z pewnością okaże się idealnym miejscem - stwierdziła matka. - Będiesz tam mogła odpocząć i odprężyć się. Z dala od wszelkich stresów szybko odzyskasz siły.

- Równie dobrze mogę wyzdrowieć tutaj, mamo - upierała się Remy. Odłożyła widelec. - Dlaczego tak bardzo chcecie się mnie pozbyć? Nie upłynęła nawet doba, odkąd wróciłam do domu.

- Bardzo pragniemy, żebyś odzyskała pamięć, Remy - rzekła matka z bolesnym wyrazem twarzy. - To nie znaczy, że cię tutaj nie chcemy. Ale staramy się myśleć nie o sobie, ale o tym, co byłoby najlepsze dla ciebie.

- Tu właśnie jest mi najlepiej. - Raz jeszcze ogarnęła ją uczucie, że nie może się stąd ruszyć ani na krok, że trzyma ją tutaj jakaś niezwykle ważna sprawa. Przez chwilę wahała się, czy gdyby te odczucia miały okazać się bezzasadne, nie byłoby jednak lepiej dać się namówić na wyjazd. - Niektóre rzeczy zaczęłam już sobie przypominać: was, Gabe'a, portret dziadka. Doktor Gervais powiedział mi, że znane otoczenie może ożywić

wspomnienia. Nie ma lepszego miejsca niż dom, w którym spędziłam praktycznie całe życie.

- Muszę się z nią zgodzić - odezwał się po raz pierwszy Gabe. - Jeżeli zaczyna coś sobie przypominać, powinna tutaj zostać. Miejmy nadzieję, że będziemy mogli pomóc jej wrócić do zdrowia.

- Hmm, niewykluczone - przyznał Frazier, nie wykazując jednak entuzjazmu dla takiego rozwiązania. - Osobiście nadal jestem przekonany, że klinika jest dla niej najlepszym miejscem.

- Ja... - Remy chciała jeszcze raz wyrazić swoją opinię, ale Gabe położył rękę na jej ramieniu.

- Pozwól mi bronić twojej sprawy, siostrzyczko. Jestem twoim bratem i w dodatku prawnikiem. - Mrugnął do niej i porozumiewawczo ścisnął za ramię. Wdzięczna za poparcie, Remy uśmiechnęła się do niego i zamilkła.

- O której zaczyna się to twoje zebranie, Tato?

- O dziesiątej, dlaczego?

- Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać razem do miasta i po drodze porozmawiać o Remy.

- Już sobie rozmawialiśmy.

- Tak? - Gabe wzruszył ramionami. - Możemy zrobić to jeszcze raz. Ale nie kłóćmy się teraz i nie psujmy doskonałego śniadania.

- Dobrze - zgodził się ojciec.

Do końca śniadania nikt nie wracał do tematu kliniki, choć sprawa wyjazdu Remy wisiała w powietrzu jak miecz Damoklesa. Chcąc ją wysłać z Nowego Orleanu, rodzice mogli mieć jak najlepsze intencje, ale Remy wiedziała, że nie powinna nigdzie jechać, i że na pewno nie pojedzie. Nie może wyjechać z miasta, dopóki nie przypomni sobie, dlaczego tak bardzo chciała tu wrócić.

12

Niedługo po tym, jak Nattie sprzątnęła ze stołu, Gabe i Frazier wyszli razem z jadalni. Kilka minut później Remy usłyszała samochód odjeżdżający sprzed domu. Upiła łyk kawy, zdając sobie sprawę z ciszy, jaka zapadła między nią i matką. Nie miała ochoty jej przerwać.

- Remy - zaczęła Sybilla z wahaniem. - Nie chciała-bym, żebyś nas źle zrozumiała...

- Nie pojedę do kliniki, mamó. I nie mówmy już o tym.

- Nalegamy tylko dlatego, że jesteśmy głęboko przekonani, że to wyłącznie dla twojego dobra.

Remy westchnęła. Było jej przykro, że zareagowała tak gwałtownie.

- Dziękuję za troskę, ale...

- O Boże, Remy - matka przerwała jej i roześmiała się. - Nie musisz nam za to dziękować. Jesteśmy twoimi rodzicami. Kochamy cię.

- Wiem. - Żałowała, że nie pamięta miłości do nich, że nie pamięta tego domu, tego pokoju.

Odruchowo rozejrzała się wokoło, szukając czegoś znajomego w umeblowaniu. Jej wzrok padł na patere z Sèvres na stoliku, z wymalowanym na błękitnym tle widoczkiem ogrodów w Wersalu. Wiedziała, że patera jest z początków XIX wieku, złotego okresu porcelany topograficznej. I wiedziała też, że przedmiot ten od dawna należy do rodziny.

- Mamó, czy twierdziłam kiedyś, że ta patera jest tylko pojedynczą sztuką, czy upierałam się może, że należy do

jakiegoś kompletu? - Czuła, że kiedyś musiała tego dociekać.

- Zawsze sądziłaś, że stanowi część serwisu, ale nie pamiętam, czy znalazłaś inną sztukę na tyle podobną do tej w stylu i rysunku, żeby mieć absolutną pewność - odpowiedziała. - Dwa albo trzy lata temu udało ci się znaleźć materiał źródłowy, na podstawie którego zdobiono tę paterę. Była to kopia oryginalnego rysunku. Na pewno gdzieś tu jeszcze jest. - Odstawiła filiżankę na porcelanowy talerzyk i zaciekawiona przechyliła głowę. - Dlaczego pytasz? Coś sobie przypominałaś?

Remy pokręciła głową.

- Tylko tyle, że od lat należy do rodziny.

Sybilla chciała to jakoś skomentować, ale się powstrzymała.

- Omal nie zapomniałam! Paula dzwoniła do ciebie dziś rano. Słyszała, że wróciłaś i chciała, żebyś przyszła na małą kolację, którą urządza wieczorem. Czy to nie zadziwiające, jak szybko rozchodzą się tutaj nowiny?

- Kto to jest Paula? - zapytała Remy, pragnąc, żeby dźwięk tego imienia wydał się jej znajomy. Na próżno.

- Paula Michels. Nazywała się Michels, nim wyszła za mąż za Daryla Haylorda. Byłyście najbliższymi przyjaciółkami, od dzieciństwa. Przyjaźniłyście się we trzy: ty, Paula i Jenny D'Anton.

Remy z rezygnacją pokręciła głową.

- Nie pamiętam ich.

- Jestem pewna, że z czasem sobie przypomnisz.

- Tak - szepnęła Remy, zastanawiając się w duchu, jak długo to jeszcze potrwa. - Czy powinnam do niej zadzwonić?

- Nie musisz. Kiedy powiedziała mi o tej kolacji, na wszelki wypadek starałam się w twoim imieniu wymówić. Nie masz mi chyba za złe?

- Ależ skąd.

- Pomyślałam sobie, że dzisiejszy wieczór zechcesz spędzić z nami. - Jakiś ruch za oknem przykuł jej uwagę.

- Przyjechał ogrodnik. Mam nadzieję, że tym razem kwiaty będą ładniejsze niż te, które przysłał w zeszłym

tygodniu. Dalej natychmiast opadły, a płatki lilii zbrązowiały na końcach. Niestety nie było mnie w domu, kiedy przyjechał z dostawą, inaczej nigdy bym ich nie przyjęła. Wróciłam dopiero koło szóstej, za późno, żeby cokolwiek na to poradzić. W niecałe dwie godziny mieli zjawić się Girardowie i D'Antonowie. Jeszcze o siódmej obcinałam zbrązowiałe krawędzie płatków lilii i oplatałam drutem łodygi dalii. Stawałam na głowie, żeby uratować coś z tego pomoru, bo chciałam ułożyć kilka świeżych bukietów. I wyobraź sobie, że róże nie przetrwały nawet trzech dni! Ostrzegłam Roberta, że jeśli w tym tygodniu kwiaty nie będą absolutnie wyjątkowe, odeślę mu wszystkie i zacznę składać zamówienia gdzie indziej. - Zdjęła lnianą serwetkę z kolan i złożyła ją obok filiżanki. - Wybacz mi, muszę iść i sprawdzić, co dzisiaj przywiózł.

- Oczywiście. - Remy odprowadziła matkę wzrokiem. Skończyła pić kawę i nie miała najmniejszej ochoty siedzieć sama przy stole. Wyszła z jadalni i trochę bez celu przeszła przez hol do salonu.

Mimo subtelного przepychu i wielu antyków wysoko sklepiony salon sprawiał wrażenie przytulnego i wygodnego pomieszczenia. Na konsolce z epoki Ludwika Napoleona walały się rozrzucone kolorowe pisma, na oparciu wiktoriańskiej sofy obitej żywym śliwkowym brokatem leżała niedbale udrapowana biała narzuta z kaszmiru. Tuż obok stały również wiktoriańskie krzesła. Przy miękkim, wygodnym fotelu, wyłożonym kremowym welwetem w cienkie purpurowe prążki, stała rama do haftowania, a obok pudełko z przyborami. Należały do matki.

W rogu przy oknie stał orzechowy stół. Remy podeszła bliżej i przesuwając ręką po powierzchni blatu, zastanawiała się, czy siadywała tutaj, żeby odrobić lekcje, i czy spoglądała wtedy w balkonowe okno. Dotknęła firanek w kolorze bladych orchidei i uśmiechnęła się. Jeszcze raz spojrzała na pokój, tym razem zauważając kominek z czarnego marmuru i wschodni dywan na podłodze, którego nasycone barwy odzwierciedlały bogactwo kolorów salonu.

Ile godzin tutaj spędziła? Bez wątpienia setki. A przecież nic z tego, co widziała, nie ożywiało jej pamięci.

Powstrzymała westchnienie i przeszła do holu, w którym dominował wdzięczny łuk wielkich mahoniowych schodów. Jej spojrzenie powędrowało w kierunku ozdobnego fryzu, obrysowującego sklepienie i wypracowanego pysznego medalionu, z którego zwisał złocisty żyrandol z brązu. Ściany pokryte były tapetą, a przedstawione na niebieskim tle historyczne sceny stanowiły replikę słynnych scen Dufoura. Wzdłuż całej cyprysowej posadzki rozciągał się brukselski dywan.

Jakieś wspomnienie zamigotało w jej pamięci. Remy zamknęła oczy. Obraz, jaki ujrzała, był identyczny jak ten sprzed sekundy, tyle tylko, że tym razem wokół rzeźbionej balustrady schodów wiły się gałęzie zielonej magnolii. Usłyszała dźwięk dzwonka i zobaczyła samą siebie, jak zbiega ze schodów, starając się prześcignąć Gabe'a. Przyszedł Święty Mikołaj! Jako bardzo mała dziewczynka nazywała go po francusku: „*Pere Noel*”.

Za pierwszymi okruciami pamięci przyszły następne: wspomnienia z karnawału tego roku, kiedy szła na bal debutantek. Przypomniała sobie wieczór, gdy zjeżdżała po balustradzie schodów w balowej sukni z białej satyny i koronki, z szamerowanym obrąbkiem i imitacją diamentów. A potem zjeżdżała po niej w innej balowej kreacji, ozdobionej śnieżną egretą i perłami. Ku wielkiej radości matki została królową aż dwóch balów! To zaszczyt tak rzadki, że prawie bez precedensu; wskazywał na potęgę i prestiż nazwiska Jardinów.

Marszcząc brwi, Remy starała się przypomnieć sobie, co wtedy czuła. Czy cieszył ją ten korowód przyjęć, kolacji i balów, czy może uczestniczyła w nich z niechęcią, uważając, że w dzisiejszej wyzwolonej dobie cała ta ceremonia wprowadzania w świat to relikw przeszłości? Czy więc przyjęła na siebie obowiązek godnego reprezentowania rodziny, czy może nie sprawdziła się w tej roli? Nie wiedziała.

Ponieważ należysz do rodziny Jardinów, oczekuje się od ciebie określonego postępowania - te słowa odbijały się

echem w jej pamięci, ale nie mogła sobie przypomnieć, kto je powiedział. A jednak wciąż delikatnie dźwięczały jej w uszach i zdawało się, że nie straciły nic ze swej mocy.

Otworzyła oczy. Czar prysnął i hol wejściowy znów stał się tylko holem domu, z którym łączyły ją odległe wspomnienia. Wahala się przez chwilę, a potem, stąpając po dywanie, minęła schody i podeszła do podwójnych drzwi prowadzących do gabinetu.

Zatrzymała się, zrobiwszy kilka kroków w głąb pokoju, i chłonęła głęboką zieleń ścian. Po obu stronach kominika wyciosanego z bloku czarnego carraryjskiego marmuru, artystycznie ozdobionego szarymi pasemkami, stały dwa orzechowe regały na książki. Obok okna znajdował się stół do czytania z ciemnego hebanu, wykończony tłoczoną czarną skórą. Głębokie kolory, masywność solidnych mebli oraz pokryte skórą kanapa i krzesła nadawały pomieszczeniu zdecydowanie męski wygląd.

Podeszła do starego fotela na biegunach, wyłożonego ciemnozieloną skórą, przybitą mosiężnymi ćwiekami. Na jednym z hebanowych stolików leżał oprawiony w twarde okładki egzemplarz *Eneidy* Wergiliusza. Delikatnie musnęła palcami okładkę i poczuła słaby zapach tytoniu. Jej wzrok przyciągnęła orzechowa fajka leżąca obok książki.

Obrazy błyskały w jej pamięci jak klatki filmu. Starła się na nich skupić i zapanować nad potokiem wspomnień, wyłaniających się z podświadomości. Nagle ujrzała ojca odpoczywającego w fotelu; każdy kosmyk jego ciemnych, kręconych włosów układał się jak trzeba. W surowych rysach widziała ślad uśmiechu, dumy i aprobaty, kiedy sięgał, żeby wziąć coś z jej rąk.

Fajka! Remy chwyciła starą fajkę z białego wrzosu z na wpół zjedzonym ustnikiem, z cybuchem naznaczonym plamami tytoniu i popiołu. Obok fajki leżał srebrny niezbędnik z inicjałami ojca, który ofiarowała mu na Gwiazdkę, gdy miała dwanaście lat. Remy spojrzała na fotel, słysząc niemal tembr jego głosu, nabrzmiały ciepłem uczucia i pochwałą. Ten głos nasycony miłością przepełnił ją uczuciem na nowo, jak za dawnych lat. \

Do gabinetu weszła matka, niosąc kryształowy wazon z bukietem białych tulipanów; zieleń liści wzmagała ich biel. Widząc Remy, wzdrygnęła się, z lekka zdumiona.

- Przestraszyłaś mnie. Nie wiedziałam, że ktoś tu jest.
- Podeszła do stołu w bibliotece i postawiła wazon na rogu, na tłoczonej skórce blatu. - Spójrz, jakie są wspaniałe. Robert przysłał je z przeprosinami za ten kwiatowy niewypał w zeszłym tygodniu. Pomyślałam sobie, że będą tutaj wspaniale wyglądały i wiem, że spodobają się twojemu ojcu.

- Pamiętam go, mamo. - Zbyt przejęta wspomnieniami, by zwracać uwagę na rzadkie okazy tulipanów, powtórzyła: - Pamiętam Tatę. - Przestał być dla niej kimś obcym, nic nie znaczącą twarzą, nazwiskiem bez osobistych wspomnień. - Pozwalał mi nabijać fajkę i uczył, jak układać tytoń, żeby się równo palił. Nikomu innemu na to nie pozwalał, bo tylko ja umiałam się do tego zabrać. - Spojrzała na fajkę i coś ścisnęło ją za gardło, coś, co pojawiło się wraz z odkryciem, jak bardzo ojca kocha i jak bardzo podziwia. Przedtem nie była pewna, jakie uczucia żywiła w stosunku do niego i czy byli sobie bliscy. Czy zależało mu na niej? Czy może Gabe, syn, skupiał całą jego uwagę? Teraz już wiedziała. - To jego ulubiona fajka. - Przypomniała sobie.

- Tak... niestety. Od lat chcę wyrzucić tego śmierdziucha, ale Frazier nie chce nawet o tym słyszeć. Nie mam pojęcia dlaczego. Zupełnie tak, jakby nie miał innej - oświadczyła Sybilla, wskazując fajki w orzechowym stojaku.

- Nie wiesz nawet, jak bardzo podniosło mnie to na duchu - zwierzyła się Remy. - Tak się martwiłam, że nie mogę go sobie przypomnieć.

Sybilla uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- On także się tym martwił... Jestem pewna, że się domyśliłaś. Był bardzo o ciebie niespokojny, Remy. I czuł się winny, że odpłynęliśmy z Nicei przekonani, że gdzieś na parę dni wyjechałaś, jak to zresztą miałas w planie. Kiedy w końcu zdaliśmy sobie sprawę, że

stało się coś złego, ojciec bez końca powtarzał, że powinniśmy byli wiedzieć, że nie wyjechałabyś bez pożegnania.

- Niepotrzebnie siebie obwiniał.

- Wiem, ale tak właśnie uważał. I to pogarszało tylko już i tak trudną sytuację. Gryzł się tym. Nadal się gryzie.

- Zaczęła poprawiać tulipany w wazonie. - Jestem pewna, że właśnie dlatego był wobec ciebie taki szorstki.

- Kiedy spierałam się z nim o tę klinikę - domyśliła się Remy.

Zaskoczona matka rzuciła jej krótkie spojrzenie, a potem chciała to ukryć szybkim:

- Tak, wtedy też.

Remy wiedziała, że źle odgadła.

- Miałaś na myśli sprawę Donovan, prawda?

Po krótkim wahaniu Sybilla przyznała:

- Tak, właśnie to miałam na myśli. - Odwróciła się do kwiatów. - Niedobrze się stało, że zapytałaś o to akurat ojca, choć w gruncie rzeczy to nie twoja wina. To wina Buchanana. Nie miał żadnego prawa zdejmować portretu dziadka i wieszać w tym miejscu tego...tego obrazu. To może strasznie zabrzmi, Remy, ale mam nadzieję, że nigdy nie przypomnisz sobie niczego, co cię kiedyś łączyło z Buchananiem. Tak bardzo się bałam, że zrobisz jakieś głupstwo i... - Urwała.

- I na przykład wyjdę za niego? - podsunęła Remy, nagle zdając sobie sprawę, że matka nigdy nie mogłaby Cole'a zaaprobować, bo wywodził się z niewłaściwego środowiska.

Sybilla odwróciła się od wazonu z tulipanami.

- Remy, czy to takie przestępstwo, że chcę cię widzieć w bezpiecznym związku z porządnym człowiekiem?

Remy miała wrażenie, że tuż po „porządnym” należało by dodać „możliwym do przyjęcia”.

- Mamo, chyba nie da się wyjść za mąż bezpiecznie - zauważyła z udanym rozbawieniem.

- Nie kpj z takich bezpiecznych związków, córeczko. Małżeństwo nie daje gwarancji szczęścia. Dla kobiety zawsze lepiej jest kochać mądrze.

- Tak, jak ty kochałaś, mamó? - Remy czuła, że zaczyna ogarniać ją złość.

- Jestem oddana twojemu ojcu, a on mnie. Przeżyliśmy razem trzydzieści pięć wspaniałych lat - broniła się szybko. - I dużo zawdzięczamy temu, że tak wiele nas łączy. Wychowanie, znajomi...

- I te same poglądy na to, kogo i co można zaakceptować - wtrąciła Remy. - Wybacz, ale moim zdaniem nasza rozmowa staje się żenująca.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, ale nim zrobiła trzy kroki, matka znalazła się przy niej i chwyciła ją za ramię.

- Remy, przepraszam. Naprawdę nie chciałam cię urazić - powiedziała, sprawiając wrażenie szczerze skruszonej. - Może to, co mówię zakrawa na snobizm, ale nie raz widziałam, co się dzieje, kiedy dwoje ludzi z bardzo różnych środowisk zakłada wspólny dom. Widziałam zmieszanie, niezręczności, niedopasowanie tych ludzi i próby wyrównania poziomów. Bardzo szybko okazuje się, że uniesienia w sypialni to nie wszystko. W rzeczywistości sypialnia to tylko drobna część małżeńskiego pożycia. Jeśli małżeństwo nie może przetrwać poza łóżkiem, w końcu nie może przetrwać w ogóle. Dlatego właśnie cieszę się, że nie popełniłaś tego straszliwego błędu z Buchananem. Rozumiesz mnie?

Remy sztywno skinęła głową.

- Rozumiem.

- Mam nadzieję. - Pogładziła Remy po policzku - Wiem, że z nim skończyłaś i przepraszam, że o tym wspomniałam.

Skończyła z nim. Wszyscy to mówili, łącznie z Cole'em. Choć dzisiaj rano w porcie, gdy zobaczyła ten kontenerowiec, przypomniała sobie ich dawne spotkanie i to, jak bezbrzeżnie go kochała oraz to, jak wściekła była za jego insynuacje, że pochodzenie może stanowić dla nich przeszkodę. I pamiętała, jak zamknął jej usta pocałunkiem. Nawet teraz czuła przeszywające ciepło jego warg. Po chwili, kiedy podniosła głowę i zobaczyła jego rozbawiony uśmiech, oświadczyła z mo-

ca: „Kocham cię, Buchanan, i nikt nigdy tego nie odmieni”.

A jednak coś się zmieniło. Tę część jej wspomnień spowijała ciemność.

- Wydajesz się zmęczona, Remy. I nic dziwnego, wstałaś przecież przed wschodem słońca - powiedziała ciepło matka, biorąc ją pod ramię i prowadząc do holu.

- Dlaczego nie położysz się na chwilę i nie odpoczniesz?

- Może tak zrobię. - Ale Remy nie miała pewności, czy to właśnie zmęczenie sprawiło, że dała się wyprowadzić z biblioteki.

Matka przystanąła u stóp kręconych schodów.

- Idź odpocząć, a ja zajmę się kwiatami. Zobaczysz, że dom będzie nimi promieniał, kiedy zejdziesz na dół. Będzie dokładnie tak, jak to sobie umyśliłam na twoje powitanie.

Remy odprowadziła ją wzrokiem do werandy, po czym odwróciła się i weszła na piętro. Drzwi do sypialni były otwarte. Kiedy Remy podeszła bliżej, usłyszała, że ktoś jest w środku - ktoś na przemian to nucił, to podśpiewywał starą jazzową melodię. Od razu poznała głos Nattie i uśmiechnęła się, wchodząc do sypialni.

- Mam węzowe ruchy, co? Biodra z dwudziestoletnią gwarancją.

- Tylko dwudziestoletnią? - zażartowała Remy. Nattie sięgnęła po poduszkę, leżącą na antycznym łóżku - Szko-da.

Kucharka rzuciła jej krótkie spojrzenie, wyprostowała się i wzięła pod boki.

- Czy przyszłaś, żeby się położyć? - zaatakowała. - Bo jeżeli tak, to nie ma sensu, żebym ci słała łóżko.

Remy spojrzała na rozrzuconą pościel; poduszki leżały na podłodze. Bez względu na intencje, które przywiodły ją na górę, wiedziała, że teraz mogłaby się już tylko przewracać z boku na bok, i że absolutnie nie zaśnie.

- Nie, myślę, że wezmę prysznic i przebiorę się - odpowiedziała i zaczęła rozpinać dwurzędową marynarkę z czarnej wełny. Nattie nachyliła się nad materacem i sięgnęła po ostatnią poduszkę.

- Czy ty także sprzątasz, Nattie?

- Ja? Miałabym sprzątać w takim wielkim domu?

- Potrząsnęła poduszką, grzmotnęła w nią kilka razy pięścią i położyła obok innych na podłodze. - Dnia by nie starczyło. Nie, macie dochodzące, dwa razy w tygodniu. One wszystko czyszczą i sprzątają. Ja w tym domu tylko ścielę łóżka, gotuję i z grubsza utrzymuję ład.

- Tak myślałam. - Remy zdjęła żakiet i po zielono-żółtawym dywanie z Aubusson przeszła do garderoby. Otworzyła drzwi i weszła do środka. Biorąc wieszak, rozejrzała się dookoła i ze zdziwieniem zauważyła:

- Myślałam, że takie stare domy nie mają garderoby.

- Tutaj mieściła się alkowa. Dawno temu, jeszcze w czasach twojego dziadka, jego ojciec zabudował ją i zrobił garderobę. - Odpowiedzi Nattie towarzyszył szelst rozkładanej na łóżku narzuty.

Remy powiesiła żakiet i zapięła guzik.

- Od jak dawna pracujesz dla naszej rodziny, Nattie?

- spytała, wychodząc z garderoby.

- Trzeciego listopada minie dwadzieścia lat. - Zręcznie skończyła słać łóżko.

- Trzeciego listopada? Tak dokładnie pamiętasz tę datę? - Remy podeszła do Nattie i oparła się ramieniem o wysokie zwieńczenie w nogach łóżka.

- Pamiętam, bo przyszłam tu pracować w dwa dni po tym, jak straciłam restaurację, a to było w Dzień Wszystkich Świętych - odparła bardzo rzeczowo, choć jej palce lekko zadrżały.

- Miałaś restaurację? - Remy zastanawiała się, czy wiedziała o tym wcześniej.

- Miałam, przez pół roku. Była wspaniała. Nazwałam ją Nathalie. Oczywiście po francusku. Myślałam, że to zrobi lepsze wrażenie na ludziach. - Przerwała na chwilę, odpłynęła myślami w przeszłość, a potem roześmiała się, kpiąc z samej siebie. - Kiedy ją otwierałam, byłam przekonana, że ludzie od razu zaczną mówić „u Nathalie” jak mówili „u Antoine'a”, czy „u Brennana”. To najlepiej świadczy o tym, jakie miałam pomysły.

- I co się stało?

- Co się stało? A to, że zbankrutowałam. Całe to szkolenie, jakie przeszłam we Francji w *haute cuisine*, wszystkie lata przepracowane w kuchniach wielkich restauracji, lata, kiedy pomagałam sporządzać składniki potraw, choć wiedziałam, że jestem lepsza niż ci wielcy szefowie kuchni, wszystkie moje marzenia... - Uniosła ramiona w geście, który nie wyrażał takiej obojętności, jak mogłoby się zdawać. - Wszystko to na nic.

- Dlaczego? - zdumiała się Remy, odczuwając cząstkę bólu, jakiego musiała doświadczać Nattie.

- Bo zawsze tak jest. Jeśli w kuchni postawisz mężczyznę, to ludzie nazywają go szefem, a jeśli w kuchni jest kobieta, to mówią: kuchara. A jak przy kuchni stanie czarna baba, to wszyscy od razu myślą, że będzie gotować jak dla czarnuchów. Spodziewają się na talerzu karkówki, żołądków, wołowych ogonów i ciemnego ryżu, a nie zupy kalafiorowej z kawiolem, kaczki pieczonej w porto, czy plastra piersi młodego gołębia. No i znalazłam się w długach wyżej uszu. Miałam do tego jeszcze dziewięcioletnią córeczkę. Moja babka pracowała u twojego dziadka przez prawie czterdzieści lat. Załatwiła mi tę pracę i od tamtej pory jestem tutaj.

- Przykro mi, Nattie.

Nattie wzruszyła ramionami, układając narzutę.

- Tak to już w życiu bywa.

Remy, nieco zmieszana, pokręciła głową.

- Jak możesz mówić o tym tak obojętnie? Na pewno jesteś rozczarowana. Na pewno czujesz się skrzywdzona, rozgoryczona...

- Czuję to i jeszcze kilka innych rzeczy - przyznała Nattie. - Po prostu nie okazuję tego jak ty. Ludzie, którzy urodzili się biedni i wychowali w biedzie, nie obnoszą się ze swoimi uczuciami. Wykorzениliśmy to z siebie, prawdopodobnie dlatego, że zbyt wiele rzeczy na tym świecie może złamać nam serce. Płacz, rozprawianie o krzywdach, zamartwianie się - to dobre dla tych, którzy mogą sobie na to pozwolić.

Remy natychmiast pomyślała o Cole'u, pamiętając, jak żelazne ma nerwy, jak znakomicie kamufluje wszel-

kie uczucia. Robił to tak świetnie, że nie raz zastanawiała się, czy w ogóle jest do nich zdolny. Być może Nattie wytłumaczyła jej to najlepiej, i tę powściągliwość, i cynizm.

Przypomniała sobie, co mówił dziś rano o Donovanie i reakcję Nattie na wyjaśnienia ojca.

- Przy śniadaniu, kiedy ojciec mówił o Brodiem Donovanie, miałam wrażenie, że mu wcale nie wierzysz.

- Bo i nie wierzę. - Zebrała z podłogi poduszki i zdecydowanym gestem umieściła je na łóżku.

- Dlaczego?

- Bo to było zupełnie inaczej.

Remy spojrzała na nią zdumiona.

- Skąd wiesz?

Nattie zerknęła na nią i uśmiechnęła się przebiegle.

- Ludzie, którzy do tego domu wchodzą frontowymi drzwiami, widzą wysokie białe kolumny, mahoniową klatkę schodową i kryształowe krople na żyrandolach. Ale ci, którzy wchodzą od kuchni, wiedzą, gdzie jest brudno.

Nie mogąc kwestionować tak bystrej uwagi, Remy zapytała:

- Ale dlaczego mój ojciec miałby mnie oszukiwać?

- Być może chciałyby, żeby jego pobożne życzenia stały się rzeczywistością. - Przykryła poduszki, upychając pod nimi brzeg narzuty. - Czasami człowiek tak bardzo pragnie, żeby prawda wyglądała inaczej, że sam zaczyna wierzyć w to, co sobie wymyślił. Ileż to rodzin tak właśnie poprawia swój rodowód. Przyjrzyj się historii. Spójrz tylko, co się działo, kiedy Nowy Orlean walczył o prawa miejskie i mężczyźni stawali na głowie, żeby znaleźć żonę. Rząd francuski przysłał tutaj osiemdziesiąt osiem dziewcząt, wszystkie z La Salpêtrière. Nawrócone na drogę cnoty, tak się o nich mówiło. Potem, siedem lat później, w tysiąc siedemset dwudziestym ósmym rząd zaczął wysyłać dziewczęta ze średnio zamożnych rodzin, trochę bardziej okrzęsane w domowych sprawach. Nazwano je „dziewczęta z tobołkami”, z powodu tobołków z rzeczami, jakie ze

sobą przywoziły. Zdziwiłabyś się dzisiaj, jak wiele dobrych, starych kreolskich rodzin wywodzi się od tamtych dziewczyn właśnie. Ale wszystkie „nawrócone” musiały być chyba bezpłodne, bo żadna z nich nie ma potomków. Zdumiewające, prawda?

- Rzeczywiście - zgodziła się Remy z uśmiechem, natychmiast jednak spoważniała. - Nattie, powiedz, co wiesz o Brodiem Donovane? Kim on był? Czy to on założył Crescent Line? W jaki sposób moja rodzina weszła w jej posiadanie?

- No więc... - Nattie wzięła poduszkę pokrytą tym samym pastelowym żółto-zielonym kwiecistym dese-niem co narzuta i stanęła nieruchomo, jakby zbierając myśli. - Nie wiem, ile pamiętasz z historii Nowego Orleanu, ale około roku 1830, krótko po tym, jak zbudowano czteromilowy odcinek linii kolejowej Pontchar-train Railway między miastem a jeziorem, niektórzy ludzie interesu z nowej amerykańskiej dzielnicy postanowili przekopać sześciomilowy kanał przez bagna, żeby szkunery i inne statki z Mobile miały krótszą drogę do Missisipi. Pieniądze znaleźli szybko, za to o robotników było niełatwo. Nie dało się załatwić sprawy niewolnikami, z kilku powodów. Widzisz, przywożenie Murzynów z Afryki i wykorzystywanie ich do niewolniczej pracy było nielegalne. Można było kupić sobie tylko tych, którzy byli już na miejscu. Biorąc pod uwagę fakt, że do tej roboty potrzebowaliby kilka tysięcy niewolników, rzecz stawała się nazbyt kosztowna. Zwłaszcza że z góry wiedzieli, jak wielu z nich umrze przy budowie kanału.

- Ale dlaczego?

- Pomyśl tylko, w jakich strasznych warunkach pracowali: duszący upał, głębokie bagna i insekty, żeby już nie wspomnieć o węzach i aligatorach. I nie zapomina-j o żółtej febrze, która w tamtych czasach stanowi-ła istną plagę Luizjany. Dopiero w następnym stule-ciu odkryto, że to moskity roznoszą żółtą febrę, bo dawniej ludzie sądzili, że przyczyną są opary unoszące się nad podmokłymi gruntami, jak na przykład bagna.

W każdym razie uznali, że czarni niewolnicy są zbyt cenni, żeby pracować w takim miejscu - ciągnęła po krótkiej przerwie. - Więc wymyślili, że ściągną robotników z Irlandii. I to właśnie do Nowego Orleanu zaczęły przyplływać pierwsze statki z Irlandii. Brodie Donovan miał piętnaście lat, kiedy trafił tu z ojcem i trójką braci. To było w tysiąc osiemset trzydziestym piątym roku. Jak większość Irlandczyków, poszli do pracy przy kopaniu kanału. Nim minął rok, stracił brata, który zmarł na żółtą febrę i ojca, który zmarł na cholera. Podczas siedmiu lat budowy kanału febra i cholera pochłonęły wiele tysięcy ofiar. Czasami było tak wiele ciał, że po prostu upychano je na taczkach i wrzucano do rowów wzdłuż kanału. - Nattie zamilkła na chwilę, żeby zebrać myśli. - Zabrzmia to może trochę ironicznie, ale wtedy nikogo nie obchodziło, że jakiś Irlandczyk umarł, bo w kolejce czekał już następny. Kiedy New Basin Canal został wreszcie ukończony, Brodie Donovan miał dwadzieścia lat i był dorosłym człowiekiem. On i jego bracia złapali robotę w porcie. Babka opowiadała mi, że już w drodze z Liverpoolu do Nowego Orleanu Brodie Donovan marzył o tym, żeby mieć własny statek. - Natti ułożyła poduszkę, opierając ją o wezgłowie łóżka. - Możliwe, że to prawda, chociaż sądzę, że to marzenie zaczęło się krystalizować dopiero wtedy, kiedy zaczął pracować nad rzeką.

Lekki uśmiech wygiął jej usta i zapatrzyła się gdzieś w dal.

- Co to musiał być za widok, rzeka w tamtych czasach! Nazywali ją wtedy Główną Drogą Świata. Wyobraź sobie statki najróżniejszej wielkości i rodzaju, klipry, szkunery oceaniczne, statki rzeczne, kutry, parowce, barki... Wszystkie stały na odcinku czterech, pięciu mil, po dwa, po trzy w jednej linii. Myślę, że Brodie Donovan widział parowce wyładowane po brzegi belami bawełny, rozmawiał z robotnikami na nabrzeżu i słuchał, jak mówią o bawełnie, która czekała w górze rzeki na transport do Nowego Orleanu, a potem jeszcze dalej. Widział, słyszał i zamienił marzenie w czyn. Po mniej więcej roku pracy

na nabrzeżu razem z braćmi opuścił Nowy Orlean i udał się w górę rzeki do Bayou Sara. Dostali pracę u miejscowego plantatora. Karczowali kawał zalesionego gruntu w zamian za część wyciętego drewna. Z tego drewna sami zbudowali barkę. Potem załadowali ją bawełną i popłynęli w dół Missisipi do Nowego Orleanu, gdzie sprzedali łódź razem z ładunkiem. Udali się znowu w górę rzeki i znów zrobili to samo. Po trzech takich rejsach kupili stary parowiec. Dwa lata później kupili następny, a potem co roku kupowali dwa nowe. Wreszcie, w tysiąc osiemset czterdziestym siódmym, Brodie nabył pierwszy statek oceaniczny, szkuner. I to był początek... Crescent Line.

- To brzmi jak amerykański sen - powiedziała Remy.

- No właśnie - zgodziła się ochoczo Nattie. - Po kilku rejsach szkunerem sprzedał stare łodzie rzeczne i kupił kilka nowych okrętów. Po roku miał ich już cztery. Wspaniałe osiągnięcie, jeśli weźmiesz pod uwagę fakt, że ledwie piętnaście lat wcześniej babrał się w błocie, kopiąc kanał.

- Ale w jaki sposób rodzina Jardinów przejęła jego firmę? I dlaczego Cole mówił, że powinnam się raczej nazywać Donovan, a nie Jardin?

- To z powodu Adrienne.

- Kto to jest Adrienne?

- Adrienne Louise Marie Jardin - odparła Nattie. - Należała do tych ciemnowłosych, ciemnookich kreolskich piękności, o jakich ludzie lubią pisać książki. Jej rodzice zmarli, kiedy miała raptem rok; padli ofiarą epidemii żółtej febry. Adrienne i jej starszego brata Dominika wychowywał dziadek, Emil Gaspard Jardin, i ciotka, którą nazywali *tante* ZeeZee. Musisz wiedzieć, że Jardinowie mieszkali w Nowym Orleanie prawie od początku, od 1780 roku. W czasie, kiedy Brodie Donovan się z nimi zetknął, Jardinowie zdążyli już obrosnąć w piórka. Mieli domy w mieście, składy na nabrzeżu, plantację bawełny w Feliciana Parish i kilka plantacji trzciny cukrowej na południe od Baton Rouge. Nie wspominam już o drobiazgach.

- Innymi słowy byli zamożni - wtrąciła Remy.
- Hmm... - mruknęła Nattie. - Byli jednymi z najbogatszych Kreoli w mieście.
- Powiedziałaś, że Brodie Donovan zetknął się z Jardinami. Kiedy?
- Zetknął się z Adrienne - sprostowała Nattie. - A było to w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym drugim...

13

Wysokie, dumne maszty oceanicznych parowców i żaglowców wznosiły się wzdłuż przystani, sięgając błękitnego nieba niczym las martwych drzew. Szare płótna na żagli powiewały na wietrze. Pokłady i pomosty statków tętniły życiem: zakurzeni tragarze biegali tam i z powrotem, uginając się pod ciężarem ładunków na plecach, kapitanowie nerwowo przemierzali mostki, robotnicy portowi wtaczali beły bawełny na statki, inni usiłowali wtłoczyć jak najwięcej beł do ładowni, a marynarze najróżniejszych narodowości schodzili na brzeg bądź właśnie wracali na pokład. I wszędzie słychać było nieustanny, ogłuszający hałas - kakofonię krzyków i przekleństw, śmiechu i głośnych przechwałek, nawoływań i śpiewu, dzwonienia dzwonów i syren parowców.

A nad tym wszystkim hulał wiatr przesiąknięty słodkim zapachem melasy i ostrą wonią przypraw, wiatr, który porywał kłęбки bawełny z piętrzących się beł na nabrzeżu i unosił je w powietrze.

Port żył.

Brodie Donovan stał na nabrzeżu i obserwował ten nieustanny ruch, wsłuchiwał się w hałas, we wrzawę, wdychał zapachy i radował energią tak dobrze mu znaną, znaną mu lepiej niż jego własny dom. Uniósł rękę, pozdrawiając kapitana na mostku *Crescent Glory*, a potem odwrócił się tyłem do rzeki i mocniej chwycił płaską paczuszkę, którą trzymał w lewej ręce.

Na wprost niego wznosiły się ciasno stłoczone zabudowania wąskich uliczek dzielnicy francuskiej, bastionu kreolskich rodzin. W czasach, kiedy Nowy Orlean otaczały jeszcze mury, Canal Street, ulica Kanałowa - nazwana tak z powodu biegnącego tu dawniej kanału, obecnie czegoś w rodzaju rowu - była nieoficjalną granicą oddzielającą stare dzielnice od dzielnic nowych, hałaśliwych, amerykańskich, które teraz stały się handlowym centrum miasta. Biura Towarzystwa Żeglugowego Donovanana, czyli biura Crescent Line, znajdowały się w amerykańskiej części miasta i Brodie często tam chadzał. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj miał zamiar przejść się po Vieux Carré.

Zamaszystym krokiem ruszył nabrzeżem obok krytych cynową blachą sklepików z pamiątkami dla marynarzy, mijając po drodze pełne bary z grogiem i stragany z ostrygami. Ulica zatłoczona była kupcami z towarem; rozkwit handlu rzecznoego sprawił, że Nowy Orlean stawał się miastem nadzwyczaj ruchliwym.

Kiedy przedarł się już na drugą stronę ulicy, rozpoznał niektórych woźniców i zaczął rubasznie do nich pokrzykiwać:

- Hej, O'Shaughnessy, co ty tak dziwnie trzymasz łepetynę? Czy aby wczoraj nie za wiele wypiełeś?

- Micheleen, powiedz twojej ślicznej panience, że wpadnę do niej na bułeczki, kiedy nie będzie cię w domu!

- Skąd ta śliwka pod okiem, Dolan? Znów zapomniałeś się schylić?

A oni odpowiadali mu podobnie:

- Przecież to on! We własnej osobie! A może teraz powinniśmy nazywać cię „Wasza Miłość”?

- Patrzcie tylko, co za kaftan ma na sobie!

- Ludzie, Brodie robi się coraz wytworniejszy!

- Co ty tam niesiesz w tej paczce, Donovan? Koronkowe chusteczki do nosa?

W tych okrzykach słychać było i sympatię, i dumę, że proszę, patrzcie tylko, jednemu z nich się udało i wcale nie zapomniał o kumplach. Tak jak i Brodie, inni też

przeszli przez krwawą rzeźnię, jak nazywano tu budowę kanału.

Był jednym z nich i zarazem był zupełnie inny. Różnica nie polegała jedynie na tym, że chodził w eleganckim czarnym fraku, brokatowej kamizelce, płaskim kapeluszu i w błyszczących skórzanych butach. Różnił się od nich już wówczas, kiedy jak oni ubierał się w łachmany.

To prawda, nadal czuł się związany z dawnymi kumplami i nadal przeżywał chwile rozpacz, choć już nie tak często. Lubił się śmiać i miał temperament. I tak samo jak oni był dumny i niezależny, lecz potrzeba niezależności zaprowadziła go na zupełnie inną ścieżkę i zwróciła jego myśli ku innym celom.

Razem z innymi przekopywał błoto kanału, wdychał stęchły zapach bagna i smród zwłok rozkładających się wzdłuż brzegów, a nocą walił się na posłanie, mokry od potu. Ale w przeciwieństwie do nich nigdy nie rozpamiętywał zielonych dolin Irlandii. Jedyną myślą, która pozwalała mu przeć naprzód i która nadawała sens morderczej pracy, zmęczeniu i widokowi śmierci, było to, że po tym właśnie kanale będą kiedyś pływały jego własne statki. Statki, takie jak ten, którym przypłynął do Ameryki. Marzył o tym i rzeka powiedziała mu, co robić. Tak, żmudna to była droga. Najpierw płaskodenne łodzie, potem statki rzeczne, wreszcie statki dalekomorskie. Ale już wiedział, że znajdzie, że musi znaleźć sposób, żeby osiągnąć cel.

Pozostawiając za sobą nabrzeże, Brodie wszedł do starej dzielnicy. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po trzech nowych iglicach katedry St. Louis, które zastąpiły starą dzwonnice i zmieniły panoramę miasta. Ostatnio zmieniło się tu wiele rzeczy: dodano mansardowe dachy na Calibdo i Presbytère, a rudowłosa baronowa Pontalba kazała wybudować dwa bliźniacze, dwupiętrowe domy z czerwonej cegły i żelaza, takie w renesansowym stylu, i zamieszkała w luksusowych apartamentach na samej górze. Brodie nie wątpił, że Place d'Armes będzie świadkiem jeszcze wielu, wielu zmian. Wszyscy wokół

wciąż rozprawiali o konieczności przemianowania placu i nazwania go imieniem Jacksona na cześć jego bohater-
skich czynów w bitwie o Nowy Orlean. I tak się pewnie
stanie. Amerykanie mieli teraz większość miejsc w ra-
dzie miejskiej i na pewno postawią na swoim - na
pohybel Kreolom!

Jeszcze dwa kroki i iglice katedry zniknęły mu z oczu.
Wszedł w wąską ulicę, gdzie po obu stronach wznosiły
się budynki o fasadach ozdobionych stiukami i pomalo-
wanych w delikatnym odcieniu brzoskwini, błękitu lub
różu. Wszystkie domy miały na piętrach galeriejskie wspa-
rte na żelaznych słupach, wyrastających z chodnika, i by-
ły spięte bogato zdobionymi barierkami dla pieszych.
Brodie szedł pod balkonami, bo znajdował tam schro-
nienie przed słońcem, które rozgrzewało zimowyjeszcze
i wilgotny poranek.

Wozy z piwem dudniły i kołatały po brudnej ulicy, od
czasu do czasu dzieląc błotnistą jezdnię z wytwornymi
powozami zaprzężonymi w konie pełnej krwi, w eleganc-
kiej uprzęży, które stąpały, unosząc wysoko nogi. Na
wprost niego jakiś biały nadzorca z batem kierował
pracami przy czyszczeniu obsadzonych cyprysami kana-
łów; pilnował gromady zbiegłych niewolników, zakutych
w kajdany i łańcuchy.

Brodie kroczył brukowanym chodnikiem. Mijał małe
sklepiki i ślepe nory dla niewolników. Minął sprzedawcę
owoców i stragan z kwiatami na rogu, przeszedł obok
turystów podziwiających odnowione miasto, obok mło-
dych, bogato ubranych synów arystokratycznych kreol-
skich rodzin - kto wie, może właśnie szli na lekcję
fechtunku do jednej z renomowanych szkół przy Ex-
change Street albo na filiżankę kawy z przyjaciółmi?
Ominął kremowoskórą, nieprawdopodobnie piękną mu-
latkę *femme de couleur*. Na znak, że jest wolna, okręciła
głowę misternie drapowanym, barwnym turbanem.
Skromnie spuściła oczy, a kosztowne stroje i klejnoty
zostawiła w swoim małym domku, gdzie czekała, by
obdarować rozkoszą białego kochanka. Brodie uniósł
rękę do kapelusza i pozdrowił po francusku młodziutką

Kreolkę i jej opiekę, zauważając, że szybko wymieniły ostrzegawcze spojrzenia. Uśmiechnął się, słysząc cichy szept: *Yanqui*.

Kreole w Luizjanie dzielili Amerykanów na dwie kategorie: niepiśmienną i głośną hałastrę nazywali *Kaintucks*, resztę zaś, czyli, kupców, plantatorów, bogaczy i ludzi wykształconych, określali mianem *Yanquis*. Tych pierwszych w ogóle nie zauważali, ale ze względu na ogromny napływ zamożnych Amerykanów i co ważniejsze, ze względu na sytuację ekonomiczną Luizjany, Jankesom okazywali umiarkowaną tolerancję. Robili z nimi interesy, pijali kawę i brali udział we wspólnych uroczystościach oficjalnych, ale rzadko zapraszali Jankesów do domu. Owszem, istniały mieszane małżeństwa, ale jak Brodie zauważył, w większości przypadków małżeństwa takie zawsze niosły korzyści rodzinie kreolskiej. Bo taki związek albo stanowił znaczny zastrzyk finansowy, albo cementował wspólnotę interesów.

Amerykanie i Kreole reprezentowali dwie całkowicie różne kultury. Po prawie pięćdziesięciu latach nauczyli się ze sobą współżyć, często nieufnie, często ścierając się ze sobą i zawsze, choćby nader subtelnie, z sobą współzawodnicząc.

W odróżnieniu od swoich współziomków z amerykańskiej dzielnicy, Brodie zadał sobie trud opanowania kreolskiego, choć często korzystniej było udać, że tym językiem nie włada, a w każdym razie na pewno nie tak dobrze, jak władał. Nauczył się też kontrolować własną niecierpliwość i nie poganiać partnera w interesach; wiedział już, że lepiej jest, gdy rozmowa toczy się leniwie i wolno schodzi na właściwy temat. W rezultacie z dzielnicą kreolską łączyło go wiele interesów; miał również dużo wartościowych kontaktów w Europie. Tak, robił interesy w Dzielnicy, ale nie tylko z arystokratami.

Na rogu grał na skrzypcach niewidomy Murzyn w okularach. Murzyn miał siwe kręcone włosy; przed nim, na trotuarze, leżał kapelusz. Brodie zatrzymał się i wrzucił weń dolara.

- *Merci*. - Stary człowiek pochylił głowę w chwili, gdy srebrna moneta z brzękiem spadła na miedziaki.

- Jak ci się wiedzie, Cado? - Brodie zwrócił się po francusku do starego wyzwolenca.

Stary człowiek pokiwał głową.

- *Michie* Donovan... - Natychmiast rozpoznał głos i zwracając się do Donovana, tytułował go zniekształconym francuskim *monsieur*. Jednak ani na chwilę nie przestał grać i nie pomylił ani jednej nuty. - Stary Cado ma się dobrze, Michie, zwłaszcza dzisiaj, kiedy słońce ogrzewa jego stare kości.

- Słysząc coś ciekawego?

- Słysząc jęki i modły u Gautierów przy Royal. Młody Gautier obraził się, bo plantator znad rzeki mu coś powiedział. Oni spotkali się pod dębami o zmierzchu. Teraz krew wylewa się z młodego Michie, bo plantator przekłuł mu rapierem pierś.

- Przekłute płuco - mruknął Brodie i spytał: - Coś jeszcze?

Murzyn uśmiechnął się lekko.

- Michie Varnier z plantacji Julian stracił pięćdziesiąt tysięcy zeszłej nocy. Cado myśli, że pan Varnier tanio dziś sprzeda swoją bawełnę.

Brodie skrzywił usta w nieznacznym grymasie uśmiechu.

- Pięknie grasz, Cado - stwierdził i wrzucił jeszcze dwa dolary do kapelusza starego Murzyna.

- Ty także, Michie Donovan, ty także - Stary Murzyn zachichotał i zagrał mu na pożegnanie kilka taktów irlandzkiej piosenki.

Brodie musiał zaczekać na krawężniku, aż przejadą dwa wyładowane po brzegi wozy i dopiero wtedy wszedł na błotnistą jezdnię i zatrzymał trzeci. Woźnica ściągnął lejce i po galicku nakazał mułom stanąć. Brodie wspiął się na wóz, starannie przytrzymując paczuszkę, i wyciągnął notes i ołówek.

- Przejdź się pod biura Crescent Line, Flannery, i daj to mojemu bratu Seanowi. - Oderwał kartkę, złożył

ją i wręczył woźnicy, nie zważając na gniewne krzyki i głośne gwizdy tych, których zablokowali z tyłu.

- Jasne, że to dla ciebie zrobię, ale będziesz mi winien jedną whisky, Brodie - oznajmił rudowłosy Flannery.

- Dostarcz to Seanowi w dziesięć minut, a dostaniesz całą butelkę. Tylko nic nie mów żonie.

- Trzymam cię za słowo! - Zaciął batem i ruszył z kopyta, poganiając zwierzęta krzykiem, nawołując woźniców, żeby ustąpili mu z drogi.

Omijając wozy z piwem, które ruszyły śladem Flannery'ego, Brodie przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do zakładu modniarskiego *madame Rideaux*; niewielka informacja w witrynie obiecywała najmodniejsze paryskie fasony. Paczuska, którą trzymał w rękę, była właśnie spełnieniem tej obietnicy - najnowsze fasony wprost z Paryża, zaledwie sprzed dwóch tygodni, które trafią do sklepu dzięki uprzejmości Brodiego, bowiem przyplłynęły jego statkiem, *Crescent Glory*.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi, a potem ruszył w głąb sklepu, odruchowo szukając wzrokiem modystki o barwionych henną włosach. Jego spojrzenie spoczęło najpierw na lśniącem welwecie spacerowej sukni w kolorze głębokiego, nasyconego granatu. Potem przyjrzał się jej właścicielce. Zwrócona tyłem do drzwi, stała przed dużym lustrem i mierzyła czepeczek. Brodie zauważył dwie rzeczy równocześnie: wąską talię, podkreśloną szeroką spódnicą i lśniącą czerń jej włosów, tak odmienną od ciemnobrązowych włosów większości kreolskich kobiet. Miała pewnie w sobie domieszkę hiszpańskiej krwi.

Potem spojrzął na jej odbicie w lustrze i stanął jak wryty, porażony uczuciem, które na chwilę go oszołomiło. W jej owalnej twarzy ujrzał tę spotykaną tylko w kameach perfekcję rysów, zaś skupienie, z jakim dziewczyna mierzyła czepeczek, miało w sobie jakąś wibrację, która ożywiała jej poważną buzię. Patrzył na nią, czując, że za wszelką cenę musi się dowiedzieć, kim ta panna jest, ale tymczasem nie ruszał się z miejsca, zadowolony ze swojego punktu obserwacyjnego.

Opanowując wyraźne niezadowolenie, Adrienne Jardin odłożyła czepeczek na bok i wzięła kapelusik z perłowego jedwabiu, przybrany aksamitnymi liśćmi, kwiatami i wstążkami. Przymierzyła go. Wstążki opadły i Adrienne luźno je zawiązała. Kiedy odwróciła z lekka głowę, żeby obejrzeć się w lustrze, zobaczyła tam męską twarz. Na ułamek sekundy ich oczy spotkały się w szklanej tafli lustra. Między ciemnymi brwiami panienki pojawiła się zmarszczka. Brodie przeniósł wzrok na czepek i z dezaprobatą potrząsnął głową.

Adrienne natychmiast odwróciła wzrok i skupiła go na własnym odbiciu, sztywniejąc z oburzenia na taką bezczelność i zuchwałość. Nie miała żadnych wątpliwości, że to Jankes. Skąd u niego to przekonanie, że ona zechce liczyć się z jego opinią?

Lecz jak na złość, czepek też się jej nie podobał. Nie zdjęła go od razu, bawiąc się wstążkami, wyciągając ciemny kosmyk to tu, to tam, a wszystko po to, żeby było jasne, iż to nie pod wpływem Jankesa rezygnuje ze stroiku. Cały czas starała się nie patrzeć na jego odbicie w lustrze. Pilnowała się, żeby ograniczyć pole widzenia i nie zauważać wysokiego czoła mężczyzny, lekkiej krzywizny nosa, mocno zarysowanej brody - ani zbyt ostrej, ani zanadto wystającej - wydatnych kości policzkowych, mocnych szczęk, mahoniowej czerwieni włosów pod czarnym kapeluszem i ciemnego brązu jego oczu. Uczciwie musiała przyznać, że jest przystojny, w ten szorstki, ostry sposób, w jaki bywali przystojni Jankesi.

Wzięła do ręki biały jedwabny czepek ozdobiony satynowymi różyczkami i białą wstążką, i zaczęła się zastanawiać, co on właściwie robi w sklepie *madame Simone*. Pamiętała odgłos otwieranych drzwi, ale nie wiedziała, czy wszedł sam czy może w towarzystwie. Może przyszedł tu z żoną? Albo z siostrą? A może przyprowadził swoją *demimondaine*? Ostatnie przypuszczenie wydawało się najbardziej prawdopodobne. Było w nim coś z cieszącego się życiem hultaja, coś, co sprawiało, że stać go było na to, by pokazać się publicznie z taką kobietą.

Adrienne rozejrzała się dyskretnie po wnętrzu sklepu, odwracając głowę w taki sposób, jakby ze wszystkich stron oglądała jedwabny czepek na głowie. Nikogo nie dostrzegła. Nikogo oprócz *tante* ZeeZee, stojącej przy kontuarze z cierpliwą sprzedawczynią, która dzielnie sekundowała jej w śmiertelnie ważnym wyborze rękawiczek. Zupełnie tak, jakby te rękawiczki mogły odmienić wygląd ciotki - pomyślała Adrienne w nagłym porywie litości wobec kobiety, która ją wychowała. Biedna *tante* ZeeZee odziedziczyła potężny nos dziadka; jemu ten nos dodawał szlachetności, ale w jej przypadku... Adrienne rozumiała, dlaczego ciotka rozwinęła tak niepohamowaną skłonność do zielonego absyntu.

Jeszcze raz zerknęła na swoje odbicie, czując, że ciągle szuka odpowiedzi na jedno i to samo pytanie: co ten Jankes robi w sklepie *madame* Simone? Dlaczego przyszedł sam? Łączyły go jakieś interesy z właścicielką? Ale jakiego rodzaju? Jak na handlarza ubrany był zbyt dobrze i wcale nie pytał o właścicielkę, która przed chwilą zniknęła w pracowni na tyłach sklepu, by pomóc w rozwiązaniu jakichś krawieckich problemów.

Z rosnącą ciekawością Adrienne pozwoliła sobie zerknąć na niego raz jeszcze. Ich oczy spotkały się znowu i znowu spostrzegła, że Jankes ruchem głowy odradzając kolejny czepek. I jeszcze raz Adrienne udała, że go nie widzi. Musiała przyznać, że najprostszym rozwiązaniem byłoby przejść do drugiego lustra, ale to znaczyłoby z kolei, że zwróciła na niego uwagę i się do tego przyznała. Nie, nie da mu tej satysfakcji. Nie chciała, by wiedział, że jego obecność ją cokolwiek obchodzi. Zawsze lepiej jest Jankesów ignorować.

Złośliwa perwersja pchnęła ją do przymierzenia szczególnie nietwarzowego czepeczka z dodatkowym rondem. Lustro pokazało, że nietwarzowy to mało powiedziane. Adrienne pozwoliła sobie na lekki uśmiech i posłała szybkie spojrzenie Jankesowi. Miał spuszczone oczy, jakby coś ukrywał, ale jego usta się uśmiechały, na policzkach zaś ukazały się dwa bardzo miłe dołeczki.

Jeszcze raz pokręcił głową, ale tym razem chyba z zabawieniem.

Powściągając uśmiech, Adrienne zdjęła czepek i włożyła na głowę kapelusz, który upatrzyła sobie już wcześniej. Zmierzyła go i od razu polubiła; miał czarną półwoalkę i nadawał Adrienne taki dramatyczny wygląd. Była pewna, że nawet Jankes pochwali ten wybór. Ale kiedy spojrzała w jego stronę, okazało się, że... zniknął!

Zdumiona, zerknęła przez ramię, chcąc stwierdzić, gdzie się podział, ale nigdzie go nie widziała. W momencie, gdy zdała sobie sprawę z tego, co robi, gwałtownie odwróciła się do lustra, oszołomiona dziwnym uczuciem rozczarowania, jakiego doznała. W chwilę później, zdziwiła się jeszcze bardziej, widząc go tuż przed sobą, obok dużego zwierciadła. Czuła szybkie, urywane bicie serca, spowodowane naturalnie szokiem, że Jankes tak niespodzianie znalazł się tuż obok. Nie szukała innej przyczyny.

- Ten kapelusz jest bardzo atrakcyjny - powiedział po francusku ze zdecydowanie amerykańskim akcentem. - Niestety, ukrywa pani oczy. Jestem pewien, że nie raz słyszała pani, jak piękne są pani oczy, ciemne niczym morze w bezksiężycową noc...

Nie odpowiedziała. Szczerze mówiąc, Brodie bardzo by się zdziwił, gdyby było inaczej. Dobrze urodzone panny z kreolskich rodzin nie odzywały się do nieznanym, a ta bez wątpienia do nich należała. Ale nie musiała nic mówić; miała bardzo wyrazistą twarz i to, co przemilczała, dała mu wyraźnie do zrozumienia.

Po pierwszej chwili zaskoczenia, kiedy ujrzała go tak blisko, z godną podziwu zręcznością odzyskała panowanie nad sobą. W jej oczach nie było śladu zmieszania ani niepokoju. Ba! Nawet stamtąd nie odeszła! Czy to wścikłość wmurowała ją w miejsce? A może ciekawość? Albo duma?

Brodiego to nie interesowało. Bo chociaż chciała być chłodna i zachować dystans, przecież została przy nim i go słuchała.

Zamieniła kapelusz z woalką na biały, letni, z szerokim rondem pełnym kwiatów i z satynowymi wiązaniami

po bokach. Zamiast przemienić ją w uosobienie niewinności, kapelusz czynił ją jeszcze bardziej kobiecą, choć bez śladu kokieterii.

I tym razem Brodie nie był zadowolony.

- Zgadzam się, że rondo będzie chroniło pani twarz przed słońcem, ale zmusi również mężczyzn do zachowania dystansu. Nie chciałbym, żeby nosiła pani ten kapelusz, opierając się na moim ramieniu.

Raz jeszcze jego uwaga spotkała się z ciszą. Zdjęła kapelusz i zastąpiła go czepeczkiem przybranym po obu stronach białymi piórami. Brodie zmarszczył brwi z przesadną dezaprobatą.

- To na pewno połaskocze mężczyznę w nos i każdy szept zamieni w... kichanie.

Kąciki jej ust wygięły się w coś na kształt uśmiechu, jedyny znak, że jego obserwacje ją bawiły. Brodie nie potrzebował niczego więcej.

Zdjęła czepek i odruchowo uniosła rękę, żeby przygładzić niesforne włosy, a jej gest sprowokował go do spojrzenia na jedwabistą czerń jej włosów, rozdzielonych pośrodku i spiętych na karku w niski węzeł.

- Z całą szczerością, *mam'selle*, nigdy nie powinna pani chować włosów pod kapeluszem czy czepek. Są taką ozdobą jak zasłona nocy rozświetlona blaskiem gwiazd - oświadczył cichym głosem, kiedy sięgnęła po następny czepek. - Przykrywać takie piękno to grzech.

Spokojnie założyła na głowę własny czepek, którego głęboki, aksamitny granat pasował do sukni. Nie zaszczycił go ani jednym spojrzeniem, małym bukietkiem sztucznych kwiatów zaczęła spinać troczki pod brodą.

Madame Simone wyszła z głębi sklepu, zerknęła na Brodiego i ruszyła w jego stronę. Na jej twarzy odmalowało się najpierw przerażenie, potem złość, wreszcie panika i uraza.

- Bardzo przepraszam za spóźnienie, *mademoiselle* - zaczęła się usprawiedliwiać. - Jeśli ten pan przeszkadzał...

- Wręcz przeciwnie, *madame* Simone - odezwała się w końcu bezbłędna angielszczyzną, głosem miękkim,

delikatnym i zupełnie opanowanym. Ta dziewczyna - pomyślał Brodie, może zrobić z mężczyzną, co zechce.

- Zdaje się, że to ja mu przeszkadzałam. - Brodie uśmiechnął się, omal nie wybuchnął głośnym śmiechem, słysząc tak sprytną i prowokacyjną uwagę. Rzeczywiście mu przeszkadzała. I to w bardzo ekscytujący sposób!

- Proszę mi wybaczyć, *madame*, zdaje się, że moja ciotka dokonała już zakupu.

Odwróciła się wdzięcznie i odeszła. *Madame* Simone ruszyła za nią, ale Brodie chwycił ją za ramię.

- Niech mnie pani przedstawi.

- *Nom de Dieu*, pan nie zdaje sobie sprawy... - zaprotestowała szeptem.

- Niech mnie pani przedstawi - powtórzył równie cicho i wziął do ręki paczuszkę, którą z sobą przyniósł.

- Niech mnie pani przedstawi albo te rysunki skończą na błotnistym dnie Missisipi zamiast u pani w pracowni. Dodam jeszcze, że *Sea Star* został uszkodzony w czasie sztormu i musiał zatrzymać się w Hawanie. Naprawy zajmą najmniej tydzień. Oznacza to, że zanim pani konkurentka, modystka Trussard, otrzyma kopie ostatnich fasonów, minie dobrych kilka dni.

- Cały tydzień... - szepnęła podniecona.

- A teraz niech mnie pani przedstawi.

Wyprostowała się. Tygodniowa przewaga nad konkurencją pomogła rozwiązać jej wątpliwości i postanowiła spełnić jego prośbę. Odwróciła się i z uśmiechem na twarzy podeszła z nim do pięknej panny i jej towarzyski - kobiety w nieokreślonym wieku, o twarzy nie zdradzającej żadnego rodzinnego podobieństwa do młodej podopiecznej.

- *Monsieur* Donovan, proszę pozwolić mi przedstawić *madame* Jardin i jej bratanicę *mademoiselle* Adrienne Jardin. - Zwróciła się do kobiet. - To jest *m'sieu* Brodie Donovan, właściciel Towarzystwa Żeglugowego Crescent Line.

Madame Jardin popatrzyła na niego zbolałym wzrokiem.

- Pan jest *Yanqui*.

- Niestety tak. Z przykrością stwierdzam, że nie miałem żadnego wpływu na tragiczne okoliczności moich narodzin. Tuszę, że nie będą mi panie miały tego za złe, *madame, mademoiselle*. - Skłonił się dwornie każdej z nich i pochwycił rozbawiony i pełen aprobaty uśmiech Adrienne Jardin oraz ciemny błysk w jej oczach, oznakę niekłamane go zainteresowania.

- Miło nam, *monsieur Donovan*. - Adrienne skłoniła głowę. No bo skoro już zostali sobie oficjalnie przedstawieni...

- Tak, miło nam *m'sieu* - powtórzyła jej ciotka z nieco mniejszym przekonaniem. - Teraz jednak musimy powiedzieć *adieu*.

- Nie *adieu* tylko... *au revoir*. Zobaczymy się znowu - odrzekł Brodie, patrząc w oczy Adrienne i zdając sobie sprawę, że jego cierpliwość wystawiona zostanie na poważną próbę. Będzie musiał działać i zachowywać się zgodnie z rytuałem narzuconym przez kreolską społeczność. Odprowadzał ją wzrokiem, gdy wychodziła z ciotką ze sklepu, a potem zwrócił się do właścicielki: - Jardin... Gdzieś już słyszałem to nazwisko...

- Pewnie słyszał pan o Emilu Gaspardzie Jardin. Mówi się, że należy do niego połowa Vieux Carré. Ma też kilka plantacji w górze rzeki. Adrienne jest jego wnuczką - odpowiedziała i wyciągnęła rękę. - Dotrzymałam słowa i przedstawiłam pana, chociaż nic z tego nie wyniknie. Teraz proszę o moją przesyłkę.

Brodie dał jej paczuszkę.

- Skąd w pani tyle sceptycyzmu?

- Słyszał pan tego starego kruka, jej ciotkę - rzekła, głaszcząc szary papier, w który opakowane były rysunki. - Jest pan Jankesem. Emil Jardin też ma swoje zdanie o Amerykanach.

- Zobaczymy. - Wiedział, że jest na to sposób. Bo zawsze jest jakieś wyjście.

Zostawiwszy *madame Simone* przy intensywnych oględzinach rysunków, Brodie wyszedł ze sklepu i przystanął na trotuarze, żeby popatrzeć na znikającą w oddali postać w granacie. Dobięły go dźwięki skrzypiec Cado.

Zawrócił i przeszedł przez ulicę na róg, gdzie stał ociemniały grajek.

- Cado, gdzie mieszka Emil Jardin?

- Chcesz dowiedzieć się o nim, Michie? - Starzec tak się zdumiał, że aż zgubił nutę.

- Chcę dowiedzieć się czegoś o jego wnuczce Adrienne. Nie czegoś, wszystkiego. Chcę o niej wiedzieć wszystko, absolutnie wszystko, rozumiesz? Czy jeździ na zakupy? Jeśli tak, to w jakie dni i czy o stałych porach? Czy bywa w operze, w teatrze, i gdzie zazwyczaj siedzi? Czyje zaproszenia przyjmuje? Na jakich będzie balach i zabawach? Chcę znać dokładne daty i godziny.

- Ale takie szczegóły...

- Służba będzie wiedziała, a służbę można zachęcić do zwierzeń. - Tym razem nie wrzucił monet do kapelusza Cado. Zamiast tego wcisnął mu w kieszeń kilka banknotów.

14

Nattie podeszła do kozetki i wzięła satynową podomkę, którą Remy rzuciła dziś rano na oparcie.

- Na pewno się bardzo nie zdziwisz, jak ci powiem, że Brodie Donovan dostał szczegółowe informacje na temat codziennych zajęć Adrienne i kalendarzyk jej wyjść. - Zniosła szlafroczek do ubieralni i powiesiła go na gąbkowym wieszaku na drzwiach. - Postarał się o to, żeby w ciągu następnych dwóch tygodni ciągle się gdzieś spotykali. Dwa razy stał pod arkadami francuskiego targu, gdy wybrała się z ciotką na zakupy. Wysłuchał niedzielnej mszy w katedrze Świętego Ludwika, dokąd chadzała z rodziną. Kiedy dowiedział się, że idzie na przymiarkę do *madame* Trussard, czekał w pobliskiej kawiarni i niby przypadkiem spotkał ją na ulicy. Był także w operze. W tamtych czasach co tydzień odbywały się cztery przedstawienia operowe w Theatre d'Orleans; dwa spektakle poważne i dwie opery komiczne - wyjaśniła Nattie. - Kiedy już wiedział, co Adrienne chodzi oglądać, od razu kupił bilety na dwa spektakle. Babka opowiadała mi, że w czasie antraktów odwiedzał Adrienne w łoży. Naturalnie nie zagadywał do niej, przynajmniej nie za każdym razem.

- Ale Adrienne chyba go do siebie nie zniechęcała i na pewno wiedziała, że ich spotkania nie są przypadkowe. - Remy usiadła w nogach łóżka, marszcząc narzutę, którą Nattie tak pedantycznie wygładzała.

- Oczywiście - zgodziła się szybko Nattie. - Nie ulega żadnym wątpliwości, że Brodie bardzo ją interesował. Po części pewnie dlatego, że był inny niż młodzi kreolscy mężczyźni, których znała. Ubierał się dobrze, ale nie był dandysem jak niektórzy z nich. Nie był też kłótliwym pyszałkiem, zwariowanym na punkcie honoru i pojedynków. No i poza tym przestrzegał wszystkich zasad przyzwoitości, bo gdyby tego nie robił, natychmiast by go odrzuciła. A to, że był Jankesem? Zakazany owoc zawsze smakuje najlepiej. - Nattie wzruszyła ramionami. - W końcu każda młoda dziewczyna w pewnym okresie życia marzy o spotkaniu mężczyzny, który napawałby ją odrobiną lęku, mężczyzny śmiałego i przystojnego, gotowego narazić się na każde niebezpieczeństwo, byleby tylko ją zdobyć. Czasy się zmieniają i ludzie wraz z nimi, ale nie zmienia się miłość ani marzenia o niej. Marzą kobiety i marzą mężczyźni.

Remy nie mogła temu zaprzeczyć.

- W każdym bądź razie - ciągnęła dalej Nattie - po tych kilku spotkaniach Brodie dowiedział się, że Adrienne idzie na bal do hotelu St. Louis. Tam właśnie odbywały się najelegantsze bale, a przynajmniej te, w których uczestniczyli Kreole. Amerykanie urządzali swoje przyjęcia w hotelu St. Louis, w amerykańskiej części miasta. Zwłaszcza ten bal, tak zwany *bal de societe*, był zabawą organizowaną w najściślejszym gronie, za specjalnymi zaproszeniami. Brodie Donovan musiał najpewniej wykorzystać swoje wszystkie znajomości w Dzielnicy i uściśnąć wszystkie najbardziej wpływowe ręce, żeby znaleźć się na liście zaproszonych. No i musiał słono za ten przywilej zapłacić. Ale najwyraźniej był równie zdecydowany, żeby zdobyć Adrienne, jak kiedyś, gdy zakładał Towarzystwo Żeglugowe. Nie zważał na nic, ani na czas, ani na trud, ani na koszty czy ryzyko...

Rotundę hotelu St. Louis otaczały wysokie filary. Jej podłoga z beżowego marmuru w różowe żyłki lśniła pod bogato ornamentowanym sufitem, malowidła zdobiły ściany, a solidny, długi, marmurowy stół wił się niemal

przez pół sali. Goście, łącznie z Brodkiem Donovanem, wyglądali równie strojnie. W białych rękawiczkach do czarnego fraka i białej kamizelki - taki obowiązywał strój - Brodnie zdjął z połyskującego kontuaru kieliszek brandy i obracał go w rękę. Podniósł głowę i jeszcze raz spojrzął w stronę wejścia.

Muzyka rozbrzmiała głośniejsze, bo orkiestra zagrała kadryla. Brodnie przeniósł wzrok na parkiet i na tańczących, nie wierząc co prawda, by wejście Adrienne mogło mu jakoś umknąć, jednak na wszelki wypadek sprawdził. Zadowolony, że nie ujrzał jej wśród tancerzy, zaczął przyglądać się gościom stojącym kręgiem między filarami. Widział białą satynę, kremową taftę, pastelowe jedwabie, suknie przybrane kwiatami, biżuterię, ale nigdzie nie dostrzegł ciemnowłosej i ciemnoookiej Adrienne Jardin.

Łyknął trochę brandy i spojrzął na grupkę gości wchodzących do rotundy. Rozpoznał plantatora z rodziną, tego, który mieszkał w górnym biegu rzeki. Już miał obrócić głowę, gdy nagle spostrzegł starszą kobietę w surowej szarej sukni i koronkowym stroiku, bogato przystrojonym różowymi wstążkami, który i tak nie krył jej rzadkich, siwych włosów. Oto kostyczna i nieco smutna *tante ZeeZee!*

W chwilę później plantator i jego rodzina odeszli w prawo, a w progu stanęła Adrienne. Czarne włosy upięła wysoko i ozdobiła purpurową różą, zaś nisko opadający gorset jedwabnej sukni obnażał białą krągłość ramion. W jednej chwili noc stała się przejmująco wyrazista, a każda woń bajecznie słodka i miła. Na jej widok wyparowały z niego zdenerwowanie i niecierpliwość.

Odstawił kieliszek na kontuar i zeszytniał, gdy ujrzał przy niej mężczyznę. Jej szczupły towarzysz w czarnym ubraniu wyglądał nader wytwornie. Miał hebanowoczarne włosy tak samo jak Adrienne i równie ciemne oczy, a i w rysach twarzy można było dostrzec pewne rodzinne podobieństwo, choć on urodę miał chyba bardziej drapieżną. Dominik, brat Adrienne i jedyny wnuk stare-

go Emila. To on miał zostać spadkobiercą fortuny Jardinów.

Brodie odetchnął troszkę swobodniej, ale tylko troszkę. Cado wywiedziało się, że Dominik Jardin nie jest wcale kreolskim dandysem i nie można go zbyt lekko traktować. W wieku dwudziestu pięciu lat był już weteranem dobrych kilkunastu pojedynków, a w fechtunku dorównywał najwybitniejszym mistrzom. Co więcej, Adrienne i Dominik byli bardzo zżyci jako rodzeństwo. Dominik nigdy nie ukrywał, że jest dumny z urody siostry i bardzo dbał o jej reputację.

Brodie sięgnął w zamyśleniu po kieliszek i przez chwilę zastanawiał się nad nową przeszkodą. Przedtem miał do czynienia tylko z ciotką ZeeZee, która jej wszędzie towarzyszyła i radził z nią sobie bez trudu. Miała ugruntowaną opinię wyjątkowej sknery, wystarczyło więc, że zaczynała targować się z jakimś kupcem, a Brodie już miał Adrienne tylko dla siebie. Cado twierdził, że ciotka Jardin za zaoszczędzone pieniądze po cichu kupowała absynt. Służba w domu wiedziała, że w tajemnicy pociąga z butelki.

Niestety, Dominik tej ułomności nie miał. Przeciwnie, mówiono, że jest ostry i szybki jak rapier, którym tak świetnie władał, że jest odpowiednim dziedzicem rodzinnej schedy, człowiekiem, który nie zniesie kręactwa. Brodie po raz ostatni umoczył usta w brandy i odszedł od marmurowego baru, powoli kierując się w ich stronę.

Kiedy Adrienne weszła do sali balowej, opierając się na ramieniu brata, napotkała cały las pomachujących jej rąk i morze eleganckich głów, skłaniających się w jej stronę. Uważnie odpowiadała na pozdrowienia, czujna, by nie pominąć nikogo i dla każdego zachować miły uśmiech. Żywe takty kadryla wypełniały salę, zagłuszając rozmowy, szmer tafty, satyny i jedwabiu. Cichy szept jej marszczonyj sukni nikał wśród tego hałasu, a metalowe obręcze krynoliny podtrzymywały sutą spódnicę, nadając Adrienne wygląd porcelanowej lalki, płynącej po marmurowej posadzce.

Tu i ówdzie Adrienne i Dominika zatrzymywały czyjeś ręce obleczone w rękawiczki.

- Adrienne, gdyby tylko twoja *mère* mogła tu z nami być i zobaczyć, na jaką piękną dziewczynę wyrosłaś!

A ktoś inny mówił:

- Och, *chère*, wydaje się, że to raptem wczoraj zasnąłaś w naszej łoży w operze!

- Dominiku, czy pamiętasz naszą córkę Gisette?

- A gdzie *wasz grand-père*? Miałem nadzieję, że go dziś spotkam.

Dominik wyjaśniał, że jakiś drobny wypadek na jednej z ich plantacji w górze rzeki wymagał obecności dziadka, ale nie, nie zabawi tam długo, nie więcej niż dzień czy dwa. I szli dalej pod galeriami, które otaczały salę pod kopułą sufitu.

Kiedy ucichły ostatnie takty kadryla, Adrienne spojrzała na tancerzy odprowadzających partnerki i nagle poczuła, że jest bardzo spięta, że zaciska kurczowo dłoń na zamkniętym wachlarzu. Raz jeszcze jej wzrok przeslizgnął się po twarzach wieczorowo ubranych mężczyzn. Nie interesowały jej otulone satyną kobiece ramiona i lśniące balowe suknie. Nawet przed sobą nie chciała się przyznać, że szuka tylko jednej, jedynej osoby...

Zanim miejsce do tańca opustoszało, orkiestra już zaczęła grać inną melodię, tym razem walca. Dominik zwrócił się do ciotki:

- Chodźmy, *tante ZeeZee*. Niechaj mi wolno będzie ten pierwszy taniec zatańczyć z tobą.

Chrząknęła w odpowiedzi i choć jej twarz wyrażała przyganę za tak niestosowną propozycję, jej oczy patrzyły na niego z miłością.

- Jestem za stara, żeby fikać po sali jak podfruwajka. Spełniłeś swój obowiązek, prosząc mnie do tańca, ale nie mówmy już więcej o tych głupstwach.

- Czuję się dotknięty, że nie chcesz zatańczyć ze swoim ulubionym siostrzeńcem - odparł Dominik, udając urażonego.

- Cóż, jesteś moim jedynym siostrzeńcem - odrzekła.
- Za chwilę tego kosza przebolejesz. Lepiej zrobię, stając

pod ścianą wśród innych starych rupieci. Jeżeli chcesz być miły, przynieś mi później szklaneczkę absyntu.

Zostawiając ich samych, dołączyła do innych matron przy ścianie, usadowionych na krzesłach, które ustawiano tam dla nie tańczących. Spędzi ten wieczór, słuchając ploteczek i od czasu do czasu wtrąci uszczypliwe słówko. Adrienne raz jeszcze pomyślała o samotnym życiu ciotki, relegowanej na miejsce ważniejszej służącej, gospodyni w domu własnego ojca i całkowicie od niego zależnej. Jej samotność łągodziły tylko dwie rzeczy na świecie: ciemnozielony napój i Dominik.

- Omalże zmusiłeś ją do uśmiechu. - Adrienne spojrzała na swego przystojnego brata. - Uwielbia cię.

- To źle? - Odrzucił głowę do tyłu, udając obrażonego.

- Bardzo źle. Uwielbia cię tyle kobiet, że kolejna adoratorka może ci wreszcie przewrócić w głowie - odpowiedziała w tej samej konwencji.

Zamiast podtrzymać lekki ton rozmowy, Dominik spoważniał.

- Kobiety uwielbiają nie mnie, tylko moje nazwisko i bogactwo, które się z nim wiąże.

Zerknęła na brata i pomyślała o obowiązkach i odpowiedzialności, jakie pewnego dnia Dominik uroczyście przejmie, do czego przygotowywano go zresztą niemal od dnia narodzin. Ileż to miała lat, gdy zrozumiała, że mimo ogromnej miłości dziadka - a przecież nie miała powodów, by wątpić w jego uczucie - nigdy nie będzie dla niego tak ważna jak brat. Ona była radością dziadka, Dominik jego dziedzicem. Dzięki niemu Emil Jardin osiągnie nieśmiertelność. Dzięki niemu nazwisko Jardin nie zginie. To było zupełnie naturalne i Adrienne za bardzo kochała brata, żeby zazdrościć mu pozycji.

Obserwując jego szlachetny profil, powiedziała:

- Każda kobieta, która na ciebie patrzy, widzi tylko, jak bardzo niegodna jest takiego mężczyzny.

- Komplementy od siostry? - Dominik uniósł brew w kpiącym zdumieniu. — Jakie jeszcze niespodzianki czekają mnie dziś wieczorem?

- Miejmy nadzieję, że wiele.

Adrienne zwróciła się znowu w stronę par stojących do walca i przesunęła wzrokiem po tłumie gości. Kątem oka dostrzegła błyszczącą czerwień włosów, głęboką i ciemną jak mahoń. Był tutaj. Niecałe trzydzieści stóp od niej. Wymieniał uprzejmości z *monsieur* Rousseau. Przyglądała mu się przez chwilę, nadspodziewanie uradowana odkryciem, że tak wspaniale wygląda w eleganckim wieczorowym stroju. Miał biały jedwabny krawat zawiązany w mały, ścisły węzeł przy szyi i czarny frak, doskonale uwydatniający jego szerokie ramiona. Potem odwróciła wzrok i w przypływie nagłej radości uśmiechnęła się szerzej.

- Mogą się zdarzyć nawet cudowne niespodzianki
- powiedziała.

Choć celowo na niego nie patrzyła, wiedziała, że Brodie idzie w jej stronę. Zdołała nawet udać zaskoczenie jego obecnością i z satysfakcją zauważyła, że kobiety odwracają ukradkiem głowy i zerkają na Brodiego z ciekawością i niekłamany podziwem.

Zaczekała, aż jego wysoka postać wyrosła tuż przed nią i dopiero wówczas skierowała na niego pytające spojrzenie. Ale błysk jego ciemnych, wszechwiedzących oczu zasiał w niej ziarno wątpliwości, czy rzeczywiście zdołała go nabrać.

- *M'sieu* Donovan - powiedziała pierwsza.

- *Mademoiselle* Jardin. - Skłonił z szacunkiem głowę i spoglądał jej w oczy trochę zbyt długo, niż przystało, dając tym dowód swojego zainteresowania. Potem odwrócił się do brata Adrienne, demonstrując raz jeszcze, że stosuje się do obowiązujących konwenansów.

- Dominik, pozwól, że ci przedstawię pana Brodiego Donovana. - Adrienne szybko i zręcznie dokonała koniecznej prezentacji. - Mój brat: Dominik Jardin.

Usłyszała chłodną odpowiedź brata i zauważyła, jak nieufnie wymienili uścisk dłoni. Dominik zadał mu kilka zawołanych pytań - tego się spodziewała - na które Brodie udzielił właściwych odpowiedzi - tak, jak oczekiwała.

W ostatnich kilku tygodniach Adrienne na własną rękę spróbowała zasięgnąć języka o Brodiem Donovanie

i dowiedziała się, że obiekt jej zainteresowania cieszy się szacunkiem wielu poważnych biznesmanów w Vieux Carré. Wszyscy podkreślali jego uprzejmość, cierpliwość i fachowość, zawsze dodając:

- Obyśmy więcej mieli takich Jankesów!

Ale kiedy spotkali się kilka razy, zaczęła się obawiać, że choć stosował się do reguł gry narzuconych przez jej środowisko, wewnątrz mógł być jednak zupełnie innym człowiekiem. Tak bardzo różnił się od młodych Kreolów, których znała. Nie płaszczył się jak kreolscy słabeusze, nie puszył się jak kogut, nie umizgał się do niej na wzór tych bawidamków, którzy przyprawiali ją o niemiłe dreszcze, jakże inne od podniecenia, które odczuwała, patrząc w bystre, roześmiane oczy Brodiego.

Nie, w Brodiem Donovanie była nieskrywana otwartość, o czym świadczyły jego oczy, gdy patrzył na nią jak mężczyzna, który pragnie kobiety i który postanowił, że ją w końcu zdobędzie.

- Za pozwoleniem, *m'sieu* Jardin, chciałbym zatańczyć z pańską siostrą - powiedział i znów spojrzął na nią tak, że...

Poczuła na sobie wzrok Dominika i odwróciła się, by popatrzeć mu w twarz, niepomna ciemnego błysku swoich oczu, gdy ledwie dostrzegalnie skinęła głową, okazując, że przyjmuje zaproszenie. Dominik zamyślił się i lekko zmarszczył brwi. Ale uśmiechnął się i kiwnął głową, wyrażając zgodę.

- Bardzo proszę - powiedział, uwalniając Adrienne.

Kiedy Brodie podał jej ramię, Adrienne wsparła się na nim i powiódł ją w krąg tańczących. Gdy stanął na wprost niej, ujrzała przed sobą szerokie, męskie ramiona i biały gors wytwornej koszuli. Poczuła silny uścisk jego obleczonych w rękawiczki palców na swojej dłoni i ciepły nacisk ręki na talii, kiedy ruszyli do walca; krynolina jej sukni utrzymywała między nimi dystans. Adrienne podniosła oczy na delikatny zarys jego szczęk i brody, potem na usta, lekko wygięte w leniwą, ciepłą linię.

- Dobrze pan tańczy *m'sieu* Donovan. - Napotkała jego wzrok, czując miłe zakłopotanie.

- Jak na Jankesa, ma pani na myśli. - Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu, na policzkach pojawiły się rowki. Adrienne roześmiała się lekko, domyślając się, że pewnie często to słyszał i teraz sam powtórzył.

- Nie, pan w ogóle dobrze tańczy.

- Komplement z ust pięknej *mademoiselle* Jardin. - Z rozbawieniem w oczach skłonił głowę w podziękowaniu. - Przychodzi mi na myśl tylko jedna rzecz, która dziś wieczór mogłaby mi sprawić większą przyjemność.

- Jaka, *m'sieu*? - Naśladowała ton jego głosu na wpół poważny, na wpół żartobliwy.

- Pani... pocałunek.

Nieświadomie spojrzała na jego usta, wyobrażając sobie przez chwilę... A głośno powiedziała:

- Jak pan śmie mówić do mnie w ten sposób?

- Jak pani śmie słuchać? - Jego ręka zacisnęła się na jej talii i zaczął z nią tak wirować, że aż zaparło jej dech i uniemożliwiło odpowiedź. Kiedy w końcu zwolnili, nawiązanie do poprzedniego tematu zdawało się być nie na miejscu.

Melodia się skończyła, lecz jego słowa wciąż dźwięczały jej w uszach:

- Pani pocałunek... Pocałunek... Pocałunek...

Te słowa bez końca dudniły jej w głowie za każdym razem, gdy w czasie balu napotykała jego wzrok, gdy z nim tańczyła, gdy o nim myślała.

Znów przyszedł prosić ją do walca i znowu poszła z nim tańczyć. Znała już dotyk jego rąk, długość jego posuwistych kroków, widok jego twarzy nad swoją głową.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, *m'sieu*, że to już po raz dwunasty tańczymy razem dziś wieczór? - spytała świadoma spojrzeń, kierowanych w ich stronę.

- Więc liczy je pani - stwierdził i uśmiechnął się leniwie, tak jak się spodziewała. - Ja także.

- Ludzie zaczynają zwracać na nas uwagę...

- Niech sobie zwracają. Cokolwiek nie myślą, to pewnie prawda. - Zwolnił kroku i szybko rozejrzał się dokoła. - Czy nie jest pani już zmęczona, *mademoiselle*?

- Dlaczego? - spytała zaskoczona nieoczekiwanym pytaniem.

- Proszę pójść ze mną. - Nie powiedział nic więcej i spokojnie wyprowadził ją z grupy tancerzy, jakby przewanie walca w połowie było najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Bez pośpiechu przeprowadził ją przez krąg nie tańczących uczestników balu. Adrienne zorientowała się, że Brodie wiedzie ją do wyjścia na St. Louis Street. Nie odezwała się, gdy ujął ją mocniej pod ramię, jakby w obawie, że Adrienne rozmyśli się i zechce zostać w sali. Rozejrzał się spiesznie wokół i dalej prowadził ją w kierunku wyjścia. Wymienili konspiracyjne spojrzenia, po kryjomu uciekli z sali balowej i weszli pod arkady modnych sklepów. Jej ciotka byłaby zaszokowana, gdyby odkryła, że Adrienne umyślnie wymknęła się spod jej troskliwego nadzoru, ale Adrienne nie przejmowała się tym nic a nic.

Gdzieś w połowie pasażu handlowego przestali już słyszeć muzykę i rozbawione głosy. Znow silniej ścisnęła jej ramię. Obróciła się i spojrzała na niego, czując, że gdy patrzy w jego oczy, ogarnia ją jakaś słodka niemoc. Stanęli tuż przy schowanych, lekko cofniętych drzwiach do sklepu. Adrienne zatrzymała się, żeby przejrzeć się w szybie wystawy, a potem odwróciła się do Brodiego i splotła ręce za sobą, wtulając się plecami w róg wejściowej niszy.

- Nie powinien mnie pan tu przyprowadzać - powiedziała.

Oparł rękę na framudze drzwi, nad głową Adrienne.

- Nie powinna pani tu ze mną przychodzić. Dlaczego pani przyszła?

Odpowiedziała mu z całą szczerością:

- Chciałam być z panem sama.

Usłyszała, że wciągnął gwałtownie powietrze, a jego wzrok spoczął na jej wargach. Widziała, jak wolno zbliżyła twarz do jej twarzy i zaczęła wolniutko opuszczać powieki i gdy dotknął jej ust gorącymi wargami, zamknęła oczy. Pierwszy kontakt był krótki, rozpoznawczy. Brodie leciutko dotykał jej warg, ledwie je muskając, by w końcu

przywrzeć do nich pełnymi ustami i złożyć czuły, ale bardzo podniecający pocałunek.

Kiedy uniosł głowę, przeniknęła ją fala żalu. Powoli otworzyła oczy, żeby na niego popatrzeć i zdumiona stwierdziła, że nie wziął jej w ramiona. Zetknęły się tylko ich usta, to wszystko. Nadal dzieliła ich przestrzeń. Uważnie spojrzała mu w twarz, szukając wyjaśnienia napięcia, które ją ogarniało. On też przyglądał się jej z uwagą.

- Adrienne... - wyszeptał jej imię.

I niemal w tej samej chwili wyciągnął po nią rękę, i przytulił do siebie, a jego usta wpiły się mocno w jej wargi. W głowie Adrienne przez chwilę kołatała się myśl, że przecież nie zezwoliła mu zwracać się do siebie po imieniu. Ale ten Janek nie był z tych, którzy czekają. Brał to, na co miał ochotę, takjak teraz właśnie brał jej pocałunek. Dała mu wszystko, czego chciał, nawet więcej; oplótła mu szyję ramionami, wsunęła palce we włosy. Ogarnęła ją fala gorąca, ale nie chciała analizować dłaczego. Tyle cudownych rzeczy się w niej działo, a żarliwe pocałunki Brodiego budziły w niej wszystkie skrywane dotąd pragnienia i uwolniły głębiej uczuć i siłę namiętności, których istnienia przedtem nie podejrzewała.

Kiedy oderwał się od niej, patrzyła na niego bez słów, czując przyspieszone bicie serca i wewnętrzne drżenie, które jednak nie miało nic wspólnego ze słabością. Przeciwnie, wiedziała, że sprawiła to moc gorących pocałunków Brodiego. Uśmiechnął się cokolowiek niepewnie.

- Myślę, że nadszedł czas, żebym porozmawiał z twoim dziadkiem.

- Tak - przyznała, zgadzając się z nim całkowicie.
- Nie ma go teraz. Spodziewamy się go z początkiem przyszłego tygodnia.

Uniosła rękę i przesunęła palec wzdłuż wygiętej linii jego ust, pamiętając dotyk jego warg na swoich.

- Dostałeś swój pocałunek. Dzisiejszego wieczoru nie zabrakło ci chyba radości.

- Za to moje życie wydaje się bardziej puste. - Ujął jej palce i przycisnął do ust. - Lepiej wracajmy na bal, zanim zachowam się jak Jankes i cię stąd porwę.

Wracając do rotundy, Adrienne nieświadomie trzymała trochę wyżej głowę; rozpierało ją szczęście, że tak bardzo czuje się teraz kobietą. Kiedy po powrocie do sali Brodie zaproponował jej kieliszek szampana, zgodziła się zadowolona z okazji, że będzie mieć troszkę czasu dla siebie, żeby przeanalizować te nowe uczucia. Ale chwila jej samotnego skupienia trwała bardzo krótko, bowiem niemal natychmiast u jej boku znalazł się Dominik.

- Wydajesz się bardzo z czegoś zadowolona - powiedział.

- Jestem - przyznała. - *M'sieu* Donovan zamierza poprosić *grand-pere* o pozwolenie, żeby się ze mną spotykać.

Popatrzył na nią zdumiony.

- Adrienne, czyś ty straciła rozum? Przecież to Jankes!

- Wiem.

- *Grand-pere* będzie...

- ... będzie krzyczał i złościł się, będzie wzywał wszystkich świętych na świadków. Będzie kipiał oburzeniem przez kilka dni, a potem wyrazi zgodę - zakończyła Adrienne z niezachwianym przekonaniem.

- Skąd ta pewność? - Dominik pokręcił głową, nie skrywając wątpliwości.

Uśmiechnęła się z wyrzutem.

- Dominiku, czy *grand-pere* kiedykolwiek mi czegoś odmówił?

- Ale nigdy przedtem nie chciałaś spotykać się z Jankesem - zauważył.

15

Ściany domu przy Royal Street aż trzęsły się od odgłosów furii, dobiegających z biblioteki na piętrze, która zgodnie z europejską modą stanowiła największe pomieszczenie domu. Biblioteczny żyrandol drżał od gniewnych, podniesionych głosów. Awantura rozpętała się w kilka sekund po tym, jak Brodie Donovan został stanowczo wyproszony z domu.

Emil Jardin stał przy stole w bibliotece i zbulwersowany zachowaniem młodej kobiety, która stała przed nim, odrzucił w tył srebrzystosiwą głowę. Jego głęboko osadzone oczy nie błyszczały teraz miłością do wnuczki, radości jesieni jego życia, tylko iskrzyły się złością. Nie wyciągał rąk, żeby pogłodzić jej włosy czy policzek, ale wywijał nimi wściekle w powietrzu. W jego głosie nie słychać było uczucia, jak wtedy, gdy co chwilę mówił jej *ma petite* czy *ma mignonne*, ale dźwięczał w nim krewki, galijski temperament.

Adrienne już nie raz widywała dziadka kipiącego złością i oburzeniem, od których twarz nabiegała mu purpura i nabrzmiewały żyły. Nie cofnęła się przed nim i teraz. Ba, sama podniosła głos:

- Mogłeś go wysłuchać ze zwykłej grzeczności!

- Niby czego? Obrażliwych zapewnień, że nie jesteś mu obojętna? *Non*, nigdy! Lepiej żeby mnie szlag trafił, niżbym miał słyszeć, jak on wymawia twoje imię. *Non!*
- powtórzył jeszcze raz z mocą, wymachując rękami.

- Dla tego jankeskiego barbarzyńcy drzwi mojego domu będą zawsze zamknięte!

- Nie masz do tego żadnego prawa! - huknęła.

- Mam wszelkie prawa! To jest mój dom!

- Mój także!

- Jesteś moją wnuczką! Postąpisz tak, jak ci powiem, a ja zabraniam ci raz na zawsze rozmawiać z tym człowiekiem!

- Zabraniasz mi?! Dlaczego? - spytała Adrienne, zaciskając pięści. - Dlatego, że jest Jankesem? Te twoje uprzedzenia wobec Amerykanów są bardzo przestarzałe. Oni tu są. Są i będą. Nawet ty prowadzisz z nimi interesy!

- *Oui*, owszem, prowadzę interesy. A mój dziadek handlował z Indianami. Ale nie wpuściłby Indianina do domu, tak samo jak ja nie wpuszczę tego Jankesa!

- To nieuczciwe!

- *Chut!* - kazał jej milczeć. - Podjąłem już decyzję. Nie będzie na ten temat żadnych dyskusji, słyszysz? A teraz idź do swego pokoju.

- Nie jestem dzieckiem, żeby odsyłać mnie do pokoju, *grand-pere*. Jestem dorosłą kobietą.

- Kobieta, która dała sobie głupio zawrócić w głowie jakiemuś pyskatemu Jankesowi. To, że *tante ZeeZee* pozwoliła ci rozmawiać z tym... z tym człowiekiem, jest dla mnie obrazą, a to, że mi o tym nie powiedziała, jest wprost niewybaczalne. Już nigdy się z nim nie zobaczysz, Adrienne. Koniec! Powiedziałem!

- *Non*, mylisz się!

- Nie spieraj się ze mną! Nie pozwolę na to.

Patrząc na niego, Adrienne zdała sobie sprawę, że jest zbyt rozgniewana, żeby z nim dyskutować, a on zbyt wściekły, żeby jej słuchać. Odwróciła się gwałtownie na pięcie i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami tak, że huk było słychać w holu na dole. Zawahała się, wsłuchując w nagłą ciszę, która, jak jej się zdawało, zwiastowała burzę.

W końcu holu dostrzegła jakiś ruch. Odwróciła się i ujrzała murzyńską służącą, Sulie Mae, wychylającą się

ostrożnie zza rogu. Szybko zebrała spódnicę i pobiegła bezszelestnie przez hol. Młoda ciemnoskóra kobieta wyszła jej na spotkanie, z niepokojem rzucając okiem na drzwi biblioteki. Adrienne ujęła ją za ramię i zaprowadziła do głównego salonu, by nikt nie mógł ich tam zobaczyć. Tu wyszeptała z napięciem:

- Sulie Mae, widziałaś, w którą stronę poszedł *m'sieu* Donovan?

- *Oui*, Missy. - Pokiwała głową - Poszedł chyba w stronę Kanału.

Adrienne usiłowała uzmysłwić sobie, ile czasu minęło od jego wyjścia. Pięć minut? Na pewno nie więcej niż dziesięć.

- Chcę, żebyś go dogoniła, Sulie Mae, i przyprowadziła z powrotem.

- Tutaj?! - Odsunęła się przerażona. - Ale Michie Jardin powiedział...

- Wiem, co powiedział. - Adrienne przerwała jej ostro.

- Ale zrobisz tak, jak mówię. Przyprowadź go tutaj. Spotkam się z nim przy wjeździe dla powozów. A teraz idź. *Vite*.

Jak wszystkie domy w dzielnicy Vieux Carré, dom rodziny Jardin zbudowany był na podmurówce i miał balkony z żelaznymi balustradami, ale stał tyłem do ulicy, odwrócony w kierunku podwórza. Wiodły do niego dwa wejścia. Pierwsze, frontowe, znajdowało się między dwoma półkolumnami i zwieńczone było ozdobnym łukiem; prowadziło doń kilka schodków. Drugie było bramą dla powozów i tworzyły je masywne podwójne wrota z niedużą furtką z boku. Za drzwiami znajdował się tunelowy podjazd, brukowany kamieniami. Na końcu podjazdu widniała wysoka dwuskrzydłowa żelazna brama, która wiodła na zalany słońcem dziedziniec z fontanną, obrosniętą soczystą zielenią.

Po środku ocienionej *porte cochère* znajdowało się drugie zwieńczone łukiem wejście i drewniana Matka schodowa, która prowadziła do głównej rezydencji na piętrze. U podnóża schodów, za murem, stała zdenerwowana Adrienne. Z ulicy dobiegał stukot kopyt mułów,

lecz Adrienne nie tego nasłuchiwała z taką niecierpliwością. Nasłuchiwała skrzypnięcia małej furtki, co byłoby znakiem, że Sulie Mae już wróciła.

Ledwie zdążyła wyrzeć za róg, kiedy ciemnozielona furta uchyliła się i Sulie Mae ostrożnie wślizgnęła się do środka. Czarnoskóra służąca szczelniej otuliła się szalem; na głowie miała chustę, której końce fruwały w powietrzu niczym para rogów. Dostrzegła swoją panią i spojrzała przez ramię, ruchem głowy ponagłując kogoś na ulicy. W chwilę później ujrzała Brodiego. Pochylił się wchodząc, stanął z boku i czekał, aż Sulie Mae zamknie furtkę. Wyglądało na to, że opiera się czarnej dziewczynie, gdy popędzała go do wejścia, gdzie czekała Adrienne. Zauważyła, że Brodie kroczy sztywno wyprostowany, siłą woli panując nad gniewem, ale dopiero gdy do niej podszedł, dostrzegła kamienny wyraz jego twarzy i zimny błysk w oczach. Zawahała się. Wiedziała już, jak obraźliwie, jak pogardliwie potraktował go jej dziadek, gdy kazał Brodiemu opuścić dom.

Stanął na wprost niej, widziała napięte mięśnie jego twarzy i twardy zarys szczęk.

- Twoja Murzynka powiedziała, że chcesz mnie widzieć. - Jego głos zabrzmiał lodowato.

- Tak. - Przesunęła się w bok, żeby Sulie Mae mogła wejść na schody - Rozmawiałeś z *grand-pere*...

- Odmówił mi prawa, żeby się z tobą widywać.

- Wiem. Zakazał mi z tobą rozmawiać. - Wpatrywała się w jego twarz, szukając w niej znajomego ciepłego błysku. - Czy to znaczy, że wszystko skończone? Że będziesz się trzymał ode mnie z daleka, jak ci kazał?

Spojrzał na nią twardo; z jego ciemnych oczu bił gniew. Wiedziała już, że ten chłód to duma.

- Nie - odpowiedział. - Nigdy.

Przyciągnął ją do siebie, a ona z radością wtuliła się w jego ramiona i uniosła głowę, by przyjąć cudownie mocny pocałunek. I znów dotyk jego warg przeszył ją głębokim dreszczem i była absolutnie przekonana, że tak właśnie powinno się dziać między kobietą i mężczyzną.

- Jest jakiś sposób - szepnął jej w policzek. - Musi być.

- Tak. - Odsunęła się, żeby zajrzeć mu w twarz. - *Grand-pere* jest... jest uparty. Ale robi wszystko w dobrej wierze. Myśli, że w ten sposób mnie ochrania. Postaram się, żeby zrozumiał, że nie chcę, by mnie przed tobą chronił, Brodie.

Kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

- W twoich ustach moje imię brzmi jak melodia.

- Naprawdę? - Roześmiała się bez tchu, zachwycona błyskiem pożądania, który znów ujrzała w jego oczach. I właśnie wtedy usłyszała głos ciotki, dochodzący z dziedzińca. Zesztywniała ze zdenerwowania.

- Musisz odejść, zanim ktoś cię zobaczy. - Rzuciła przez ramię niespokojne spojrzenie. - Porozmawiam z *grand-pere*. Ale nie teraz. Za dzień lub dwa, kiedy trochę ochłonie - powiedziała na pożegnanie.

- Czy znasz tego ślepego skrzypka Cado? - Zatrzymał się przy zamkniętej furtce. - Gra na rogu Royal i St Philip.

- Tego Murzyna ze skrzypcami? Widziałam go wiele razy - przytaknęła. - Ale nie wiedziałam, jak się nazywa.

- Jeśli zechcesz się ze mną skontaktować, zostaw mi wiadomość, a on już będzie wiedział, co robić, żeby mnie odnaleźć. - Otworzył furtkę i zatrzymał się w pół drogi.

- Jeśli się nie odezwiesz, wrócę tu.

- Za tydzień - obiecała. - Na pewno nie dłużej.

Co jakiś czas rozlegały się potężne grzmoty. Deszcz lał się strumieniami, wypełniając rynny i zamieniając brudne ulice w bagna; woda i błoto wlewały się na trotuary. Tylko ci, którzy musieli wyjść z domu, prześlizgiwali się wzdłuż budynków, szukając pod balkonami choćby najmniejszej ochrony przed zacinającym deszczem i wiatrem. Inni zostali w domowym zaciszu i czekali, aż burza się przetoczy.

Adrienne, szczelnie otulona wełnianym płaszczem z kapturem, który ukrywał jej twarz, stała na zadaszonym podjeździe i obserwowała ulicę. Zaledwie kilka pojaz-

dów jechało po grząskim błocie Royal Street i jeszcze mniej przechodniów przemykało się po chodnikach. Nikt nie zwracał uwagi ani na małą, lekko uchyloną furtkę, ani na ukrytą za nią kobietę - cichą, spokojną i zdecydowaną.

Zbliżał się powóz zaprzężony w parę gniadoszów, które strzygły uszami na deszczu. Woźnica podjechał pod sam krawężnik przy furtce. Drzwiczki otworzyły się. Adrienne oderwała się od bramy i wślizgnęła do środka powozu, zanim woźnica zdążył jej pomóc.

Ruszyli z głośnym zgrzytem podwozia. Adrienne zsunęła kaptur i napotkała spojrzenie Brodiego. Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego nie czuje żadnej obawy, żadnego niepokoju, nie ma nawet najmniejszego poczucia winy. Ogarnął ją spokój i łagodna pewność, że wszystko jest właśnie tak, jak powinno być. Brodie milczał, czekając, aż odezwie się pierwsza.

- *Grand-pere* niewzruszenie obstaje przy swojej decyzji. Nie chce nawet słyszeć twojego nazwiska.

- To ani odrobinę nie zmienia tego, co czuję - powiedział, nie pytając jej, czy może sama się już rozmyśliła.

- Ani tego, co ja czuję - zapewniła go zdecydowanie. Na jego wargach zajaśniał delikatny uśmiech.

- W takim razie powinniśmy postąpić tak, jak to leży w jankeskim obyczaju: uciec razem.

- *Non*. - Zastanawiała się już nad takim rozwiązaniem i je odrzuciła. - Ucieczka łączy się ze świadomością postępku złego, niegodziwego, z poczuciem winy i wstydu. Niczego takiego nie czuję.

- Nie sposób się z tobą nie zgodzić. Ale też za nic nie pozwolę, żeby twój dziadek nas rozdzielił. Dobrze to zrozum, Adrienne.

- Rozumiem.

W ostatnim tygodniu wiele czasu poświęciła rozmyślaniom o nich obojgu, o sobie samej, o życiu w ogóle i o tym, czego się w nim oczekuje. Dumała nad samotnością ciotki, starej panny-pustelnicy, zdanej na łaskę krewnych. Przyglądała się wyzutym z miłości małżeństwom, zawartym pod presją rodziny. Widziała napięcie

w oczach młodych żon, ich gorycz i żal, gdy za wszelką cenę usiłowały udawać, że nie wiedzą o konkubinach swoich mężów, o tych dziewczynach z Rampart Street. Już kiedy dorosła na tyle, żeby to wszystko dostrzec, postanowiła, że wyjdzie za mąż z miłości. Nie wątpiła, że stać ją na to. Nazywała się w końcu Jardin, a Jardiniowie nie musieli umacniać swej potęgi małżeństwem.

Nie przypuszczała, że pokocha Jankesa. I nie spodziewała się, że nienawiść jej dziadka do Amerykanów okaże się tak silna.

W ciągu minionego tygodnia dwukrotnie usiłowała spokojnie porozmawiać z dziadkiem. I dwukrotnie próby te zakończyły się kłótnią. Nie wracała więcej do tematu wiedząc, że dalsze dyskusje rozjuszą go jeszcze bardziej. Łzy i błagania też nie odniosłyby skutku; nie lubił słabości, nawet u kobiet

Nawet jeśli Dominik współczuł jej w duchu, nie mogła liczyć na to, że weźmie jej stronę w sporze z dziadkiem. Stwierdził tylko, że *grand-pere* lepiej umie osądzić, co dla niej najlepsze. Jeśli zaś idzie o *tante ZeeZee*, ciotka była przecież tylko białogłową i dziadek nie liczył się z jej zdaniem, jak nie liczył się ze zdaniem Adrienne.

Ale Adrienne nie mogła zgodzić się z jego wyrokiem. Nie, nigdy się z nim nie zgodzi.

Nie do pomyślenia też było rzucić mu otwarte wyzwanie. Wybuchłby skandal.

Został jej tylko jeden sposób: musiała urządzić wszystko tak, żeby dziadek sam stwierdził, iż najlepszą rzeczą, jaką może zrobić, to wydać ją za Brodiego Donovana.

- Będziemy się widywali, Brodie, tak często jak to tylko możliwe. - Odwróciła się i spojrzała na niego, wiodąc palcem po łuku jego wyraźnych kości policzkowych. - Na razie tylko tak.

Cień irytacji przemknął po jego twarzy.

- Dlaczego? Przecież nie możesz liczyć na to, że on zmieni zdanie.

- Z czasem zmieni. - Uśmiechnęła się chytrze.

Patrzył na nią długo, a potem wolno pokręcił głową. Jego usta wygięły się w uśmiechu niedowierzania.

- Dlaczego ja się na to godzę? Co ty za urok na mnie rzuciłaś?

- Myślisz, że tylko ty doświadczasz uroku tej magii, Brodie? - spytała, mając poczucie, że teraz jest troszkę od niego mądrzejsza.

- Mam nadzieję, że nie. - Nie odrywając wzroku od twarzy Adrienne, ujął jej błędzącą po policzku dłoń, zbliżył do ust i złożył w jej wnętrzu wymowny pocałunek. - Ile mamy czasu, zanim będę musiał odwieźć cię do domu?

- Niedużo - powiedziała, spoglądając z żalem przez okienko powozu i wsłuchując się w deszcz. - Przestaje padać. Ulice zaraz się zapełnią. - Nie dodała, że to natychmiast zwiększy ryzyko, że ktoś może zauważyć, jak wysiada z powozu.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo kusi mnie kazać woźnicy jechać dalej, jak bardzo chciałbym cię porwać i wcale nie odwozić do domu. Pragnę być z tobą dłużej niż tylko kilka minut, Adrienne.

- Będiesz. Zaczęłam spędzać wieczory sama. Zamykam się po kolacji w sypialni, nie chodzę do opery ani na przyjęcia. *Grand-pere* myśli, że mam humory, ale niczego mu nie tłumaczę. - Przerwała na chwilę, dziwiąc się swojej odwadze, ale ani razu nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby się z tego wycofać. - W nocy jest na ulicach mały ruch i nikt nie zwróci uwagi na przejeżdżający czy zatrzymujący się powóz. Będziemy mieli dla siebie czas, dwie może nawet i trzy godziny.

Brodie zdumiał się, słysząc te słowa. Podziwiał dzielność Adrienne i jej błyskotliwy plan. Wydawało się, że jest absolutnie spokojna. Wśród arystokratycznych kreolskich rodzin bunt przeciw decyzjom rodziny prawie się nie zdarzał. Fakt, że Adrienne w biały dzień siedziała obok niego w powozie, bez żadnej przyzwoitki, świadczył o jej zdumiewającej odwadze. Ale ta propozycja, żeby spotykać się z nim w nocy, sam na sam, na kilka godzin... Poczuli się cokolwiek zakłopotani, zwłaszcza że wiedzieli, jak surowo została wychowana. Zastanawiał się też, czy Adrienne nie pokłada w nim zbyt wiele zaufania,

czy nie przecenia czasem honoru dżentelmena. Czy naprawdę nie zdawała sobie sprawy, że gdyby rzeczywiście był dżentelmenem, nigdy więcej by się z nią nie spotkał?

- Czy znasz jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się widywać? Ja nie znam... -zwierzyła się, patrząc na niego spokojnie.

- Znam. - Wiedział, o czym Adrienne myśli. Pytała go o ustronne miejsce, gdzie nikt nie mógłby ich zobaczyć ani poznać. - Mój dom. To jakieś trzy mile stąd.

Wahała się przez chwilę, a potem uśmiechnęła.

- Chciałabym go zobaczyć.

- Kiedy?

- Za dzień lub dwa. Prześlę ci wiadomość.

16

Księżyc, lśniący rogalik z wosku na ciemnym niebie, dołączył do błyszczących gwiazd, by spoglądać w dół na wspaniałe domy i kosztowne frontowe trawniki zamożnych Amerykanów, które wyrosły na miejscu starej plantacji Livaudaisa, na teraz już częściowo zalesionych obrzeżach miasta. Od frontu zdołały je stateczne kolumny w doryckim i korynckim stylu, i rozległe tarasy, ornamentowane kutym żelazem na wzór kreolskich balkonów. Wewnątrz zaś znajdowały się pomieszczenia dobrze przystosowane do podzwrotnikowego klimatu Nowego Orleanu. Pokoje miały szesnaście do osiemnastu stóp wysokości, szerokie drzwi, wysokie okna i grube okiennice, które dawały się szeroko otwierać, by umożliwić przepływ powietrza.

W jednym z takich domów stał przy oknie Brodie Donovan. Był to jego dom, wykończony ledwie kilka miesięcy temu, a rozmach i wspaniałość nowej posesji dobitnie świadczyły o zamożności właściciela. Lecz wystarczyło, że Brodie spojrzął w lustro nocy i zamknął oczy, a natychmiast przypominał sobie niewiarygodną zieleń ojczystej Irlandii, dwuizbową lepiankę, w której się wychował, skromne posiłki na stole z surowych desek, znoszone i łatanе ubrania, głód i zapach torfu na palenisku. Wystarczyło tylko zamknąć oczy, a już czuł zmęczenie w nogach, wilgoć ubrania i skóry, bzykanie komarów, drżenie i ból zmęczonych mięśni i zawsze ten sam, stojący zapach grząskich bagien.

To nic, że zostawił to wszystko za sobą; wspomnienia go nie opuszczały.

Gdyby Adrienne go wtedy widziała, spojrzełaby na niego z chłodną pogardą i przygarnęła do siebie spódnice, żeby go tylko nie dotknąć. Spotykali się tak często, jednak nigdy jej o tym nie mówił. Och, tak, opowiadał jej o Irlandii, opisywał zielony krajobraz, skaliste wybrzeża, skrzącą się wodę strumieni i jezior, opowiadał o irlandzkich czuwaniach i stypach - o zawroźdzeniu i płaczu w jednej izbie, i o baśniach opowiadanych w drugiej. Mówił jej także o tym, jak zakładał swoją firmę, jak ją rozbudowywał i jakie ma plany na przyszłość.

Wszystko, co opowiadał, było prawdą, ale nie całą prawdą. Omijał te informacje, które mogłyby zmienić jego obraz w jej oczach. Bał się, że nie kochałaby go, gdyby o tym wiedziała? Może jednak sądził, że jej nie dorównuje? Czy dlatego właśnie nadal spotykał się z nią po kryjomu? Dlatego, bo uważał, że nie ma prawa pokazywać się z nią publicznie?

Ale tu przecież była Ameryka. Tu nie istniał sztywny podział na lepszych i gorszych. Człowiek nie był raz na zawsze przypisany do tej samej klasy społecznej, mógł się wspiąć wyżej, właśnie tak, jak to zrobił Brodie. Wystarczyło tylko spojrzeć na jego dom, na ubranie - w niczym nie ustępowały temu, co miała rodzina Adrienne.

W ciemnej szybie widział odbicie swej posępnej twarzy. Odwrócił się od okna, zirytowany czarnymi myślami. Ale znał przecież przyczynę: Adrienne spóźniła się. Rzucił okiem na zegar na czarnym, marmurowym stole. Wysłał powóz już przeszło godzinę temu. Czy coś się stało? Dlaczego jeszcze jej nie ma? Co mogło się wydarzyć? Wyrzucał sobie, że po nią nie pojechał.

Rozejrzał się po dziwnie pustym, choć bogato umeblowanym salonie; kryształowe krople żyrandola tysiącrotnie odbijały światło świec. Kiedyś podobał mu się ten pokój, był dumny, że jest taki piękny. Teraz, gdy spoglądał na kanapę, na której zazwyczaj siadywali,

a która stanowiła część orzechowego kompletu z salonu Prudent Mallard, zawsze wyobrażał sobie Adrienne. Kiedy był sam, przesuwiał dłonią po wygiętym oparciu mebla, gdzie tak delikatnie spoczywała jej ręka. I czasem gotów był przysiąc, że głęboki, czerwony aksamit przechował ślad jej zapachu.

Nie znajdował już w tym domu radości, nawet najmniejszej satysfakcji. Pamiętał, z jaką dumą oprowadzał po nim Adrienne, gdy przyjechała tu pierwszy raz. Teraz każdy pokój wypełniło wspomnienie jej reakcji. Pamiętał delikatne westchnienia podziwu, widział dłoń Adrienne z aprobatą muskającą gzymś kominka, w uszach dźwięczała mu jej łagodna krytyka, podana w formie subtelnej sugestii.

Do licha, gdzież ona się podziewa? Brodie znów stanął przy oknie i wypatrywał w ciemnościach świateł powozu. Czy w ogóle dzisiaj przyjedzie? I czy zauważy magnolie, które ogrodnik posadził przed wejściem? A wysypaną żwirem alejkę, która ma być zaczątkiem dziedzińca, dziedzińca, jaki Adrienne chciałyby tutaj mieć?

Prowadziło ją jasne światło dochodzące z salonu. Adrienne cichutko zamknęła tylne drzwi obszernego holu i wiedziona blaskiem światła, zmierzała w tamtą stronę. Stanęła w progu i mrużąc oczy, patrzyła, jak Brodie odrywa się od okna, by wyjść jej naprzeciw.

- Adrienne! - wykrzyknął z niedowierzaniem. Zrobił krok w jej stronę i zamarł, jakby się obawiał, że dziewczyna zaraz zniknie. - Nie słyszałem powozu!

- Nie czekałeś przy drzwiach i myślałam, że już zrezygnowałeś z naszego spotkania. - Szybko rozpięła płaszcz i zrzuciła go z ramion. - *Grand-père* nieoczekiwanie sprowadził gości na kolację. Musiałam czekać, aż wyjdą i aż ciotka ZeeZee zamknie się w swoim pokoju.

- Nareszcie jesteś! Tylko to się teraz liczy. - Jego twarz rozbłysła uśmiechem.

Właśnie na taki uśmiech czekała. Puściła się pędem przez salon, niemal nie dotykając podłogi. Porwał ją w ramiona i okręcił dookoła siebie, czule całując jej usta.

Ledwie zaczął obsypywać ją pocałunkami, gdy nagle przerwał i wtulając wargi w jej policzek, wyszeptał zachrypniętym głosem:

- Brakowało mi ciebie.

Zamknęła oczy i zadrżała, słysząc napięcie wibrujące w jego głosie.

- A mnie ciebie, Brodie - szepnęła równie cicho.

- Te ostatnie dwa dni były istnym piekłem. Chciałem cię zobaczyć, chciałem cię wziąć w ramiona, chciałem być z tobą.

- Czułam dokładnie to samo. - Adrienne potarła policzkiem o jego policzek; był taki delikatny i ciepły.

Z wysiłkiem podniósł głowę i ujął jej twarz w dłonie, patrząc na nią z nieskrywanym pożądaniem i czułością w błyszczących oczach.

- Stałem w oknie i zastanawiałem się, gdzie jesteś. Tak bardzo pragnąłem, żebyś była ze mną. A kiedy stanęłaś w progu, myślałem, że to sen. Jesteś snem, Adrienne, snem, jaki mężczyźni noszą w sercu, ale tylko niewielu może go ujrzeć na jawie.

- Nie jestem snem.

- Nie - zgodził się niepewnie i wygiął usta w lekkim uśmiechu. - Wiesz, Adrienne, zastanawiałem się, czym właściwie jest człowiek. Pragnąłby sięgnąć gwiazd, ale pęta go ziemia. Człowiek został stworzony, by żyć na ziemi, co nie przeszkadza, że wciąż spogląda w niebo. Kiedy stanęłaś tu dzisiaj, miałem wrażenie, że widzę swoją gwiazdę, która rozbłysła i rozświetliła nieboskłon, która rozświetla mi noc... i moje życie. - Przerwał na chwilę i powiedział na w pół żartobliwie: - Chyba cię kocham, panno Jardin.

Gwałtownie i krótko wciągnęła powietrze, czując jak serce łomocze jej w piersi. Uśmiechnęła się.

- I ja ciebie kocham, panie Donovan - powiedziała, wzruszona jego prostym wyznaniem.

Ciepły humor i pożądanie lśniły w jego oczach.

- Znowu sobie kpisz i mnie przedrzeźniasz.

- Wcale nie kpię. - Uśmiechając się, dotknęła pieszczotliwie jego twarzy. Ujął dłoń Adrienne i przycisnął

koniuszki jej palców do ust. - Kocham cię. Jesteś moim mężczyzną, ciebie chcę za męża. Chcę ci rodzić dzieci, chcę prowadzić twój dom i chcę spać w twoim łóżku.

Ścisnął palce Adrienne tak silnie, iż myślała, że je zmiażdży. Ochryplym głosem wyszeptał jej imię i płomiennym pocałunkiem wpił się w jej usta. Znowu poczuła ogarniającą ją falę namiętności. Była zupełnie pewna, że właśnie tego chce, tego rozlewającego się po ciele gorąca, tego pragnienia, graniczącego z szaleństwem.

Krótko, gwałtownie całował jej policzki i oczy.

- Ja także tego pragnę - powiedział chrapliwym głosem. - Pragnę ciebie.

Czuła delikatne drżenie, jakie nim wstrząsało, czuła, jak Brodie z sobą walczy, jak nadludzkim wysiłkiem próbuje się kontrolować. Ale w tym momencie, w momencie dawania, nie było już miejsca na kontrolę - tama zbyt długo wstrzymywanych uczuć puściła. Adrienne rozpoznała tę chwilę, jak rozpozna ją zawsze każda kobieta.

- Pragnę cię, Brodie. - Wysunęła się z jego ramion, żeby spojrzeć na niego. Ujęła jego rękę i wsunęła pod koronkową wstawkę dekoltu jedwabnej sukni. Położyła jego dłoń na mostku, tak, że palcami dotykał krągłego wzniesienia piersi.

- Czy słyszysz, jak bije mi serce? Czy czujesz, jak drzę? To dla ciebie, kochany.

Znieruchomiał, jakby zamienił się w kamienny posąg. Zdawało się, że tylko jego oczy żyją, wpatrywały się w nią tak żarliwie.

- Nie wiesz, co mówisz, Adrienne...

Uśmiech, pełen ciepła i rozbawienia, przemknął jej po twarzy.

- Porównywałeś mnie do gwiazdy, ale nie chcę być oglądana i podziwiana z daleka. Jestem kobietą stworzoną dla mężczyzny. Chcę, żebyś mnie kochał, Brodie. Gwiazdy są daleko, a my jesteśmy tutaj.

- Tak - szepnął bez tchu i głębiej wsunął dłoń odnajdując jej pierś pod stanikiem sukni. Pod wpływem jego dotyku stłumiony jęk rozkoszy wyrwał się z gardła Adrienne. - Jesteśmy tutaj...

Pochylił głowę. Jego usta musnęły jej wargi, a potem opadły na nie i rozchyliły namiętym pocałunkiem. Czując smak jego twardego języka, Adrienne wiedziała na pewno, że właśnie tego pragnie: dotyku jego rąk, jego ust i jego muskularnego ciała tak bardzo, bardzo blisko siebie. Zawsze tego pragnęła.

Chwycił ją w ramiona i kręconymi schodami zaniósł do sypialni na piętrze. Ciepły blask lampy na stoliku oświetlał pojedyncze łóżko pod baldachimem, odrzuconą koronkową narzutę, lnianą pościel, masywną szafę z różanego drewna i bladobłękitny dywan. Brodie postawił Adrienne na dywanie, ani na chwilę nie przerywając pocałunku. Czuła, jak jego palce rozluźniają zapięcia sukni.

Po chwili suknia leżała już u jej stóp. Brodie odsunął się, żeby popatrzeć na Adrienne, tak dumną, zuchwałą i piękną. W blasku lampy jej cieniutka halka zdawała się być prawie przezroczysta. Zaschło mu w ustach. Adrienne wyglądała tak krucho i delikatnie. Miała wąską klatkę piersiową i tak szczupłą talię, że bez trudu mógł ją zamknąć w dłoniach. Jej biodra były smukłe, na tyle jednak szerokie, by pomieścić mężczyznę. Nie mógł nadziwić się, jak w tej delikatnej postaci można ukryć aż tyle siły i jakim cudem w oczach Adrienne widział tak wielkie pożądanie, równające się chyba tylko z jego pożądaniem.

- Jesteś piękna - szepnął stłumionym głosem, a jego wzrok prześlizgiwał się po jej włosach i zatrzymał na węzle, w jaki były zebrane. Uniosła ramiona i wyjęła szpilki przytrzymujące kruczoczarny splot. Włosy opadły kaskadą; rozczesła je palcami i zgarnawszy na jedną stronę, przerzuciła przez ramię.

- Po raz pierwszy widzę je rozpuszczone - powiedział i wsunął rękę w jej jedwabiste włosy, wierzchem dłoni muskając szczyt jej piersi. Adrienne poczuła kolejną falę gorąca. A potem objął ją za szyję i uniósł jej głowę. - Masz takie pełne i hojne usta.

Pochylił się nad nią, a ona zamknęła oczy w oczekiwaniu na mocny, namiętny pocałunek. Zaskoczyło ją

- i jak cudownie - kiedy chwycił jej dolną wargę zębami i delikatnie zagryzał. Jakiś nieznaną, drżący ból narastał w jej ciele. Westchnęła cicho, kiedy potarł ustami jej rozchylone wargi, szepcząc: -I słodkie... Jak leśny miód.

Smakował je, obrysowywał językiem ich kształt, a potem badał ich miękkość. Przywarła do niego, objęła wpeł, a świat wirował jej za zamkniętymi oczami, kiedy chłonęła tę podniecającą pieśczętę. W chwilę później oderwał palce od jej szyi i dotknął rozcięcia halki, rozpinając haftki ze zdumiewającą zręcznością.

Adrienne stała przed nim zupełnie naga i nie speszo-
na, nie czuła żadnego wstydu. Po tym, jak gwałtownie zaczerpnął tchu, poznała, że jej widok sprawia mu nieopisaną przyjemność, co potwierdzał też błysk w jego oczach.

Nie czekając na zaproszenie, Adrienne przytuliła się do niego, naga skórą wyczuwając delikatną fakturę lnu jego koszuli. Objęła go rękami za szyję i przyciągnęła do siebie jego głowę, oczekując pocałunku. Gdy dotknął wargami jej warg, wsunęła między nie język i delikatnie, powoli pieściła wnętrze jego ust. Nieco szorstko przesunął dłońmi wzdłuż jej pleców i przycisnął jej biodra do siebie. Znow oblała ją fala gorąca. Brodzie dotykał jej talii, żeber i piersi w coraz bardziej podniecających pieśczętach.

Ogarnięta pragnieniem, by też go dotykać, wyciągnęła dół jego koszuli i wsunęła pod nią dłoń. Dotknęła twardego ciała Brodiego i poczuła, jak gwałtownie zaciskają się jego mięśnie brzucha. Nagłym ruchem oderwał jej ręce od siebie, odepchnął Adrienne i szybko zdjął koszulę, obnażając tors.

Jego opalona skóra błyszczała brązem w świetle lampy, wyrobione mięśnie klatki piersiowej i ramion grały wyraźnie, gdy zaczął rozpinąć spodnie. Zawahał się.

- Czy chcesz, żebym zgasił lampę?

- Nie. - Jeśli na jej policzki wypłynął rumieniec, to nie dlatego, że była zakłopotana. Zaskoczona, podziwiała jego cudownie szeroką klatkę, wąskie biodra i długie, proste nogi.

- Jesteś piękny - powiedziała.

Zauroczona siłą i magią jego ciała położyła mu dłonie na ramionach i gładziła twarde, zwarte mięśnie. Spotęgowało to tylko jej pragnienie. Przyłgnęła ustami do jego piersi, odkrywając wargami i językiem wszystkie zakamarki ciała, aż wreszcie zaczęła całować małe twarde, sutki, czując ich ciepło, lekko słony smak i męski zapach.

Nim zdążyła zaprotestować, już porwał ją w ramiona i obsypując jej policzki, brodę i usta płomiennymi pocałunkami, niósł w stronę łóżka. Położył się, nie wypuszczając jej z ramion. Nie przeszkadzało im to, że łożo było wąskie. Leżeli wtuleni w siebie, złączeni intymnym pocałunkiem, pieszcząc się wzajemnie, głaszcząc i przyciskając. Nie spieszyli się, chcieli dać sobie jak najwięcej szczęścia. To budziło namiętność znacznie głębszą niż żądza.

Adrienne płonęła - czuła jak gorąco jego rozpalonego ciała przenika ją od stóp do głowy, czuła wilgotny żar jego pocałunków, którymi parzył jej twarz, usta, szyję, czuła też ogień w sobie, który przenikał ją od wewnątrz i jakiś rozkoszny, narastający ból. Przesunął ją nieco wyżej z taką łatwością i siłą, jakiej się spodziewała. Musnął wargami jej pierś i Adrienne jęknęła, pod wpływem nowego uczucia, które się w niej rozlało. Pieścił dłońmi jej piersi, drażnił sutki póki nie stwardniały, ale ani razu nie dotknął ich wargami, ustami, językiem. Kiedy wreszcie objął ustami jej sutek, Adrienne zadrżała.

Brodie czuł, że Adrienne drży z rozkoszy, z rozkoszy, którą ją obdarowywał, smakując jej ciało, pieszcząc je i drażniąc. Nie zaznał jeszcze nigdy ani takiej siły, ani takiej uległości, słysząc jak gorączkowo szepcze jego imię. Była drobna, delikatna i krucha, ale aż nadto silna, by go przytrzymać, by go poruszyć. Choć pragnął jej tak mocno, takiej chciał, tak pożądał, myślał, żeby otaczać ją czułością i opieką, nigdy go nie opuszczała. Adrienne należała do niego i wiedział, że niezależnie od narastającego w nim bólu, musi jej pokazać, jak piękna może być ich miłość. Poczekał, aż spragniona, sama zacznie

natarczywie ocierać się o niego biodrami, aż zacznie mocno przyciskać go do siebie, aż jęk dobywający się z jej krtani zdradzi siłę jej tęsknoty za spełnieniem. Dopiero wtedy nachylił się, delikatnie układając ją tak, by mogła go przyjąć.

Na chwilę zajęła ją myśl, że wcale nie jest zbyt ciężki. Różnica wzrostu też nie była utrudnieniem. Pasowali do siebie zupełnie naturalnie, dokładnie tak, jak Bóg im przeznaczył. A potem myślała już tylko o twardym ciele Brodiego na sobie, o wilgotnym męskim zapachu, cierpkim smaku jego ust i o tym pocałunku, który pochłaniał ją całą i wciągał w jakieś mroczne, tajemne miejsce, gdzie było ich tylko dwoje.

- Nie sprawię ci bólu, Adrienne - tchnął jej w twarz.
- Nigdy nie sprawię ci bólu.

Ale wiedziała, że to nieprawda. Musiał sprawić jej ból. Trzy lata temu rozmawiała z ciotką o tych sprawach, o których szeptało po kątach klasztornej szkoły, o tych straszliwych mękach, jakich doświadczały młode mężatki w noc poślubną, kiedy mężowie rozdzierali im ciało. *Tante ZeeZee* tłumaczyła jej, że kobieta odczuwa ból w momencie, gdy mężczyzna w nią wnika, rozdzierając błonę dziewiczą, ale zapewniła, że to uczucie krótkotrwałe i jednorazowe. Wiedząc o tym, Adrienne niczego się nie bała.

Ale ból nie nadchodził. Czuła, że Brodie jest w niej, czuła jego niespieszne, leniwe i jakże słodkie ruchy, ale za każdym razem, gdy zaczynała tylko odczuwać ból, Brodie wycofywał się. A potem wszystko zaczynało się od nowa i wchodził w nią coraz głębiej i głębiej.

Nie rozumiała tego i wcale się nad tym nie zastanawiała, bo było jej dobrze i tylko pragnienie stawało się coraz słodsze i coraz bardziej gwałtowne. Nagle poczuła krótkie i mocne pchnięcie, a potem Brodie wypełnił ją całą, tak niewiarygodnie, tak cudownie. Jej cichy, gwałtowny wdech przeobraził się w pełne drżenia westchnienie. Teraz stanowili już jedność, razem unosili się w rytmie, który miał swe własne, jedyne piękno.

17

— Magnolie... - Remy stała w progu przeszklonych drzwi prowadzących na balkon na piętrze, spoglądając na wysokie zielone drzewa o grubych liściach, rosnące na trawniku przed domem. Odwróciła się do Nattie jakby z lekka zdziwiona tym widokiem. - Więc to Brodie Donovan zbudował ten dom. Nigdy nie myślałam... Zawsze sądziłam... Wiedziałam, że dzielnicę Garden założyli bogaci Amerykanie, i zawsze sądziłam, że ten dom zbudował któryś z Jardinów, nikt inny. Powinnam była wiedzieć, że Jardinowie, jako rodzina Kreolska, powinni byli mieszkać w Vieux Carré.

- Tak, to był dom Donovana. - Nattie skinęła siwą głową.

- Więc dostaliśmy od niego nie tylko towarzystwo żeglugowe, ale także ten dom. Jak to się stało?

- Właśnie do tego zmierzam. - Nattie machnęła ręką, prosząc o cierpliwość. - W każdym razie nie ma żadnej wątpliwości, że Adrienne dobrze wiedziała, co robi, kiedy poszła z Brodiem do łóżka. I nie chcę przez to powiedzieć, że nie oddała mu się z tego samego powodu, z jakiego każda młoda kobieta oddaje się mężczyźnie, którego, jak sądzi, kocha. Ale miała ku temu również inne powody.

- Ale jakie? - zdziwiła się Remy.

- Nie zapominaj, że w tamtych czasach nawet krótkie sam na sam z mężczyzną całkowicie kobietę kompromitowało. Adrienne zawsze chciała, żeby jej *grand-père*

dowiedział się o jej potajemnych spotkaniach z Brodiem, w odpowiednim czasie rzecz jasna. Tak, chciała, żeby dziadek był absolutnie przekonany, iż jest kobietą nieodwracalnie skompromitowaną. Istniały nawet pewne szanse, że zajdzie w ciążę. Wiedziała, że wówczas *grand-père* nie tylko będzie musiał Brodiego Donovana zaakceptować, ale będzie również nalegał, żeby się pobrali. - Zamilkła na chwilę. - Moim zdaniem Adrienne wyobrażała sobie, że kiedy się pobiorą, będą królować i wśród Kreoli, i wśród Amerykanów, żyjąc przy tym pod ochroną dobrobytu i prestiżu nazwiska Jardin.

- Ale tak się oczywiście nie stało - odgadła Remy, podchodząc do starego klęcznika z różanego drewna. Niespodziewanie dla samej siebie zaczęła się zastanawiać, kto na nim klękał, kto się tu modlił. Może Adrienne...? - Dlaczego, Nattie? Co poszło nie tak?

- Nie pomyślała, co się może stać, jeśli o spotkaniach z Brodiem dowie się jej brat. A brat się dowiedział. - odpowiedziała Nattie. - W tym czasie spotykała się z Brodiem chyba już od miesiąca, ale nie częściej niż dwa razy w tygodniu. Kiedy wracała ze spotkania, nigdy nie używała schodów, tylko zawsze przechodziła przez dziedziniec. Myślała, że jeśli kogoś spotka, to powie, że nie mogła zasnąć i wyszła na dwór zaczerpnąć trochę świeżego powietrza...

Adrienne przemknęła wzdłuż długiego, chłodnego pasażu do bramy i do żelaznej furtki w głębi. Znieruchomiała na chwilę i wsłuchiwała się w cichnący stukot kopyt i łoskot powozu odjeżdżającego w stronę Royal Street. Stała tak, pozwalając uszom przywyknąć do nowej ciszy, a oczom do nieprzeniknionej ciemności dziedzińca za wysoką bramą z kutego żelaza. Srebrne światło księżyca lśniło na zielonych liściach magnolii i oświetlało figurę z brązu pośrodku fontanny: rzeźbę kobiety trzymającej na głowie misę, z której z melodyjnym szumem spływała woda. Ale nie wyłowiła z ciszy żadnego obcego dźwięku, żadnego zdradliwego ruchu. W *garçonnière*, w narożnym skrzydle domu, gdzie znajdowały się miesz-

kania niezamężnych członków rodziny i pokoje dla gości, też nie paliły się światła. Nadchodził okres Wielkiego Postu, kładąc kres zabawom karnawałowym, więc wszyscy goście odjechali, a ciemne okna upewniły ją, że Dominik położył się już spać.

Adrienne otworzyła ostrożnie skrzydło podwójnej bramy, wślizgnęła się do ogrodu, następnie cicho zamknęła bramę i przesunęła zasuwę. Rozmyślnie nie przyspieszając kroku, przeszła wybrukowaną alejką wokół fontanny. Noc przesycona była wonią krzewów i drzew, których na dziedzińcu rośło bardzo dużo, a także aromatem winorośli porastającej ceglany mur i zapachem słodkich oliwek, i drzew figowych, krzewów różanych, i malin, gardenii i kamelii, gęsto zbitych przy ziemi.

Kiedy doszła do zewnętrznych schodków prowadzących na balkon na piętrze, opuściło ją całe napięcie. Nie potrzebowała już udawać beztroski, kiedy się nimi wspinała. Spędziła z Brodiem dwie cudowne godziny i teraz, na nowo podniecona własnymi myślami, z rozkoszą je wspominała, napawając się chwilami, kiedy się kochali.

Jak się spodziewała, w pokoju było ciemno, lecz jej czarna służąca, Sulie Mae, nie czekała przy oszklonych drzwiach, żeby ją wpuścić do środka; była to konieczność, do jakiej zmuszał ich *grand-pere*, który przed pójściem spać sprawdzał wszystkie drzwi, by się upewnić, że są dokładnie zamknięte. Adrienne zapukała dwa razy w szybę. Prawie natychmiast po drugiej stronie oszklonych drzwi pojawił się znajomy cień czarnej kobiety. Przez chwilę zmagąta się z zamkiem, wreszcie go otworzyła. Adrienne rzuciła okiem na ciemny, pusty balkon i weszła do pokoju. Rozpięta płaszcz, chcąc go zdjąć i podać służącej.

Z ciemności dobiegł ją niski i stłumiony głos brata.

- Możesz już odejść, Sulie Mae.

Adrienne zeszywniała. Ze wszystkich sił starała się odnaleźć go w ciemnościach pokoju i wtedy zapaliła się lampa, zalewając sypialnię jaskrawym światłem. Dominik stał obok niej.

- Michie Dominique mi kazał - szepnęła Sulie Mae z wytrzeszczonymi strachem oczyma, kiedy napotkała oskarżycielski wzrok Adrienne. Potem wybiegła z pokoju.

Adrienne odwróciła się i spojrzała na brata, nieświadomie unosząc głowę trochę wyżej na widok jego zimnej, surowej twarzy.

- O, Dominik... - zaczęła z udawaną pogodą.

- Byłaś z tym Jankesem i nie próbuj jeszcze powiększać swojej hańby kłamstwem albo zaprzeczaniem.

Była zdumiona, że brat wie. Bo jak się dowiedział? Czy zdradziła ją Sulie Mae? Uznając, że odpowiedzi na te pytania nie są teraz ważne, Adrienne nie zaprzętała sobie nimi głowy i przytaknęła.

- Tak, byłam z nim. Kocham go, Dominiku.

- A *grand-pere*? - podniósł lodowaty głos, obrzucając ją wzrokiem. - Jak mogłaś nadużyć jego zaufania? Jak mogłaś przynieść taką hańbę jemu i całej rodzinie?

- Moja miłość do Brodiego nie jest hańbą, ale *grand-père* nie chce tego zrozumieć - stwierdziła stanowczo Adrienne. - Nie dał mi żadnego wyboru.

- A ty nie zostawiłaś żadnego wyboru mnie.

Kiedy do niej podchodził, Adrienne instynktownie cofnęła się krok do tyłu, onieśmielona obecnością mężczyzny, który wydał się jej nagle tak niepodobny do brata, jakiego znała.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała, trochę za późno zdając sobie sprawę z tego, że Dominik wcale nie podchodzi do niej tylko do drzwi na balkon, które Sulie Mae zostawiła otwarte. - Czy zamierzasz powiedzieć o tym *grand-père*?

Zatrzymał się na chwilę w progu.

- Nigdy nie zrobiłbym ani nie powiedziałbym z rozmysłem czegoś, co mogłoby go zranić, tak jak ty to zrobiłaś. - Wyszedł na balkon i spokojnie zamknął za sobą drzwi.

Wierzyła mu. Nie powie *grand-père* o jej spotkaniach z Brodiem. Wystraszona, wiedząc, że jej wszystkie plany leżyłyby w gruzach, gdyby *grand-pere* dowiedział się od

Dominika prawdy, na chwilę aż osłabła z ulgi. Ale teraz będzie musiała owe plany zmienić. Nie mogła liczyć na to, że brat długo zachowa milczenie.

Zdała sobie sprawę, że musi z Dominikiem porozmawiać, sprawić, żeby zrozumiał powody jej postępowania. Ale nie teraz. Porozmawia z nim jutro, kiedy już nie będzie się czuł tak zraniony tym, co uważał za zdradę.

Nie po raz pierwszy w życiu Adrienne przeklinała obowiązującą w towarzystwie dwoistość postępowania, która od kobiet wymagała ścisłego przestrzegania sztywnych norm moralnych, nie wymagając ich jednocześnie od mężczyzn, którzy mogli pić, grać, hulać i trzymać swoje konkubiny o skórze jak kawa z mlekiem w małych domkach przy Rampart Street.

Kiedy następnego ranka Adrienne zeszła do jadalni na śniadanie, przy stole siedzieli tylko jej dziadek i jej ciotka. Krzesło Dominika było puste. Cicho powiedziała dzień dobry dziadkowi i skinęła głową ciotce, która rano zawsze była trochę podniecona i przy najmniejszym brzęku talerzy krzyczała na służbę.

- Dominik się dzisiaj spóźnia - zauważyła Adrienne, siadając na swoim miejscu po lewej ręce dziadka.

- *Non*, wcześniej dziś wstał - odpowiedział dziadek, nakładając sobie na talerz malinowy sos.

- I wyszedł? - spytała Adrienne, zmartwiona, że nie będzie miała szansy porozmawiać z bratem w cztery oczy.

- Osiodłali mu konia ponad godzinę temu - potwierdził dziadek i dodał w zamyśleniu: - Wspominał o jakimś spotkaniu.

- Czy mówił, kiedy wróci?

- Chyba nie przed wieczorem.

Przez całe śniadanie Adrienne zastanawiała się nad swoim następnym krokiem. Wczoraj wieczorem, zanim rozstała się z Brodiem, zorganizowała wszystko tak, żeby znów spotkać się z nim następnego dnia. Teraz postanowiła, że zanim nie porozumie się w jakiś sposób z Dominikiem, spotkanie z kochankiem nie byłoby rozsądne.

Ale odwołać je bez słowa wyjaśnienia? Nie, tego również nie mogła zrobić. Musi uprzedzić Brodiego o nowej sytuacji, co więcej, uprzedzić go osobiście. Bo nie może ryzykować, że wiadomość od niej wpadnie w niepowołane ręce.

Kiedy wróciła do swojego pokoju, zawołała Sulie Mae:

- Chcę, żebyś zaniósła wiadomość staremu skrzypkowi Cado. Powiedz mu dokładnie tak: Ona się spotka z nim na targu dziś rano. - Celowo nie wymieniła imienia Brodiego i miała nadzieję, że sam fakt, iż zaryzykuje spotkanie w dzień, będzie świadczył o pilności i wadze jej słów.

Murzynka odsunęła się, gwałtownie potrząsając głową.

- Nie, Missy. Nie mogę tego zrobić. Jeżeli Michie Dominique się dowie, to Michie Jardin mnie sprzedać.

Nie mając nastroju na dyskusje ze służącą, Adrienne zagroziła:

- Pójdiesz albo to ja każę cię sprzedać.

Dwie godziny później Adrienne wlokła się za ciotką, uważnie lustrując tłum handlarzy i kupujących, mrowiący się pod arkadami. Panował tu nieustający hałas: w klatkach gdakały kury, handlarze zachwalali swój towar, skrzeczały papugi, kupujący pozdrawiali głośno znajomych. Natarczywa kakofonia dźwięków atakowała jej uszy, a ona wciąż szukała Brodiego.

Stragan za straganem, rybacy dumnie zachwalali swój poranny połów. W słońcu lśniły szaroniebieskie ryby, piętrzyły się kupki ostryg, przeróżne skorupiaki zamykały i otwierały szczypce, krewetki, ułożone w warstwy sześć- czy siedmiocalowej grubości, czekały na garnek z dobrze przyprawionym wrzątkiem, w którym staną się przepysznie różowe, a leniwe kraby przyglądały się wszystkiemu z krabią obojętnością. Lecz ciotka nie dała się skusić ani rybom, ani skorupiakom, bo weszła do tej części targu, gdzie sprzedawano owoce i warzywa, i tu zaczęła oglądać świeże ananasy. Kiedy wykłócała się ze sprzedawcą, zaniepokojona Adrienne rozglądała się za Brodiem. Ale Brodiego tam nie było.

Nie było go również pomiędzy straganami rzeźników, gdzie tłum był gęstszy, a kupujący żądali kawałków świeżego mięsa, ani wśród sprzedawców kwiatów, ani też wśród sprzedawców dziczyzny. Zdenerwowana Adrienne rozglądała się teraz zupełnie otwarcie. Czyżby Brodie nie otrzymał od niej wiadomości...?

W sali ćwiczeń niósł się echem szczęk stali. Czyjs donośny, dobrze modulowany głos oświadczył:

- *Bien*. Spróbujmy jeszcze raz. - I znów dał się słyszeć odgłos uderzenia floretu o floret.

Brodie czekał w biurze o surowych ścianach. Ze źle ukrywanym zmęczeniem wstał z fotela i podszedł do okna, splatając ręce na plecach i kurczowo zaciskając palce. Stał tam przez chwilę - jak długo, sam nie wiedział - i wraz z brzękiem ścierających się kling rosło w nim napięcie.

Odgłosy walki ucichły. Usłyszał stłumione, grzeczne słowa pożegnania i kroki zbliżające się do drzwi. Brodie wyglądał przez okno, dopóki drzwi się nie otworzyły i nauczyciel nie wszedł do środka. Był to gładko wygolony mężczyzna o zdecydowanie ciepłym i miłym wyglądzie. Pod jednym ramieniem niósł maskę szermierza, a w drugiej ręce trzymał ostry floret. Z jego postaci biła nieokreślona czujność, która wskazywała na dobrze wyrobiony instynkt, mięśnie i refleks wytrenowany tak, żeby reagować w ułamku sekundy.

- Brodie, przyjacielu! Jakże się cieszę. Przepraszam, że kazałem ci czekać. Miałem poranną lekcję. Rzadko to się zdarza, ale sam rozumiesz. - Zwinnymi, płynnymi ruchami położył na stole maskę i rękawice, a obok floret. - Czy mogę cię poczęstować kawą? A może szklanką wina?

- Nie - odmówił zdecydowanie Brodie i od razu przeszedł do sprawy. - Potrzebuję twojej rady, Pepe. - Jose Llulla był słynnym nauczycielem fechtunku, a on, jako bliski przyjaciel, zwracał się do niego po imieniu. Hiszpan z urodzenia, „Pepe” Llulla był inny niż pozostałych pięćdziesięciu nauczycieli fechtunku, których

szkoły mieściły się wzdłuż Exchange Alley. Nie ubierał się ekstrawagancko, nie miał manier dandysa i nie próbował wejść do społeczności kreolskiej. Co więcej, oszczędzał pieniądze i inwestował je w różne przedsięwzięcia: w tartak, sklep kolonialny, rzeźnię, w bar, i to właśnie tam Brodie go poznał, w świecie interesu. Zanim został *maitre d'armes*, a cieszył się opinią najlepszego szermierza w Nowym Orleanie, prowadził życie żeglarsza.

- Potrzebujesz mojej rady? Pochlebiasz mi, Brodie.

- Zostałem wyzwany.

Mówiąc te słowa, przypomniał sobie chłodny wyraz twarzy, z jakim Dominik Jardin czekał na niego przed biurem Crescent Line godzinę temu, i jeszcze raz poczuł na policzku piekące uderzenie męskiej rękawiczki. Bez złości, bez gorących słów - rzucił mu wyzwanie w ów precyzyjny, nader kurtuazyjny sposób, podyktowany kodeksem honorowym.

- Zostałeś wyzwany? To wspaniale, *mon ami* - oświadczył z uśmiechem nauczyciel, najwyraźniej zachwycony nowiną. - Moje gratulacje.

- Wspaniale? - powtórzył Brodie ze złością. - Nie widzę w tym nic wspaniałego.

- Tak, to wspaniale, naprawdę! - nalegał podekscytowany Pepe, wymachując rękami. - W końcu cię zaakceptowali. Nie można wyzwalać na pojedynki kogoś, kogo nie uważa się za równego sobie. Powiedz mi, kto jest twoim przeciwnikiem?

- Dominik Jardin.

Pepe uniósł w zdziwieniu czarne brwi.

- Wspaniały przeciwnik i weteran wielu pojedynków. Wszystkie wygrał. Masz szczęście, że to on cię wyzwalał. Do ciebie należy wybór broni. Radziłbym ci wybrać pistolety.

- Nie będę z nim walczył.

- Musisz - powiedział Hiszpan surowym i twardym głosem.

- Do diabła, nie mogę, Pepe! Dlatego właśnie tu przyszedłem, dlatego musiałem się z tobą zobaczyć. Musi być chyba jakiś sposób, żeby tego pojedynku uniknąć. A

w tym przeklętym kodeksie honorowym niczego takiego nie znajdziesz?

- Jeśli *monsieur* Jardin zgodzi się na twoje przeprosiny za to, co zrobiłeś albo powiedziałeś, a co sprawiło, że poczuł się obrażony, nie ma żadnej potrzeby, żeby pojedynek się odbył. I żaden z przeciwników nie ponosi uszczerbku na honorze. Niemniej jednak do przeprosin musi dojść w określonym czasie. Jeżeli spotkacie się na pojedynku, będzie za późno.

- Zapomnij o przeprosinach - rzucił ponuro Brodie.
- On ich nigdy nie przyjmie.

- No więc musisz się z nim pojedynkować.

- Nie mogę. - Pokręcił głową.

- W takim razie radzę ci, żebyś od razu wsiadł na jeden z twoich statków i stąd wyjechał, *m'sieu* Donovan. Odmowa przyjęcia wyzwania jest równoznaczna z tchórzostwem. Tutaj, w Vieux Carré, będziesz skończony. I przypuszczam, że twoi amerykańscy współnicy także stracą dla ciebie szacunek.

- Nie wyjadę stąd.

- Przyszedłeś po radę. Dałem ci ją. Ale skoro się boisz...

- Nie boję się go, Pepe. Gdyby nie był w to zamieszany nikt inny, strzelałbym się z nim choćby przez chustkę do nosa. Ale jest inaczej.

Hiszpan popatrzył na niego z nowym zainteresowaniem.

- Jest w to zamieszany ktoś jeszcze? Kto taki?

- Jego siostra Adrienne. Mam zamiar się z nią ożenić, Pepe. Teraz już rozumiesz, że to sytuacja bez wyjścia. Niezależnie od tego, jakiego dokonam wyboru, i tak przegrywam. Jeżeli nie będę się pojedynkował, powiedzą, że jestem tchórzem. I chociaż wiem, że to nieprawda, wcale nie jestem pewien, czy będę mógł z tym później żyć. Wątpię też, czy Adrienne zniesie taką hańbę, nawet jeśli się dowie, że zrobiłem to dla niej. Tak jak zauważyłeś, byłbym tutaj skończony i gdyby Adrienne za mnie wyszła, spotkałyby ją ten sam los. Z drugiej strony, jeżeli to wyzwanie przyjmę, Adrienne nigdy nie zgodzi się poślubić człowieka, który zabił jej brata.

- Zaraz zabił. - Pepe Llulla zaśmiał się cicho. - Wy, Amerykanie, i ta wasza pewność, że każdy pojedynek musi oznaczać śmierć jednego z przeciwników. Przecież można zadośćuczynić zniewadze najmniejszą kroplą krwi, choćby zadrapaniem na policzku albo na ręce, to wystarczy. Brałem udział w wielu pojedynkach i niezależnie od różnych historyjek, które na ten temat słyszałeś, okazji, kiedy zadałem śmiertelny cios było niewiele. Większość z moich przeciwników wciąż chodzi po tym świecie, obnosząc blizny, jakimi ich naznaczyłem. - Podszedł do Brodiego, uśmiechnął się szeroko i poklepał go przyjacielsko po ramieniu. - Przyjmij wyzwanie, *m'sieu Jardin*. Spotkaj się z nim, jak nakazuje honor. Strzelaj w powietrze i módl się do Boga, żeby jego kula tylko cię raniła. A później, niechaj ta piękna *mademoiselle* się tobą zaopiekuje, niechaj wróci ci zdrowie. Pozwól jej gniewać się na ciebie za to, żeś się pojedykował, pozwól jej się boczyć i kochać cię jeszcze bardziej.

Brodie zawahał się i powoli uśmiechnął.

- Widziałem, że znajdziesz jakiś sposób...

- To nie jest sposób pozbawiony ryzyka, *mon ami* - przypomniał mu Pepe.

- Ale takie ryzyko warto podjąć.

- Czy masz już sekundanta?

- Wybiorę chyba mojego brata, Seana. Poprosiłbym ciebie, Pepe, ale nie chcę cię w to mieszać.

- Może to i mądrzej - zgodził się obojętnie. - Czy wybrałeś już czas, miejsce, broń i odległość?

Brodie popatrzył na niego chłodno.

- Pepe, spędziłem ostatnią godzinę zastanawiając się, jak się z tego pojedynku wyplątać, a nie jak go przeprowadzić.

- Czy mogę ci zasugerować, żebyś spotkał się z nim już dziś późnym popołudniem, o czwartej lub o piątej? Nie jest mądrze zostawiać sobie zbyt wiele czasu na myślenie o tym, co się zdarzy.

- Jeżeli tak uważasz... - Pośpiech mu odpowiadał, ale myślał teraz o czymś innym. Chciał, żeby pojedynek

odbył się, zanim ktoś doniesie o tym Adrienne. Jej nerwy chciał oszczędzić bardziej niż swoje.

- Na takie okoliczności wybiera się z reguły dębowy lasek na plantacji Allard. Każdy go zna. Równie dobrze możesz spotkać się z nim w *sous les chenes*. — Hiszpański mistrz zaczął powoli przechadzać się po pokoju myśląc, planując, ustalając szczegóły. - Jeżeli chodzi o broń, to mam dobrą parę rewolwerów Navy. Czy miałeś już kiedyś taki w rękach?

- Tak - przytaknął Brodie, przypominając sobie czasy nad rzeką. Tylko szalenciec mógł podróżować po Missisipi bez broni.

- Możesz więc się nimi posłużyć. Doradzałbym ci odległość trzydziestu kroków. - Pozwolił sobie na lekki uśmiech. - Przecież nie masz zamiaru swego przeciwnika zabić, czyż nie tak?

18

Nad dziedzińcem stał popołudniowy skwar, ignorując długie smugi cienia kładące się na ziemi. Adrienne szła wybrukowaną ścieżką, usiłując nie zdradzać podniecenia. Zatrzymała się na chwilę, podziwiając doskonałość czerwonej róży, nasłuchując melodyjnego szmeru fontanny i dźwięków dobiegających od strony ulicy za grubym murem, zamykającym dziedziniec.

Gdzie się podziewał Dominik? W domu zapalano już światła. Jeżeli brat wkrótce nie wróci, Adrienne nie znajdzie okazji, żeby porozmawiać z nim na osobności. Niedługo trzeba będzie przebierać się do wieczornego posiłku i co wtedy zrobi? Odłożyć rozmowę do jutra? Wątpiła, żeby jej nerwy to zniosły, bo już teraz czuła się zupełnie wykończona.

Raz jeszcze podjęła pozornie beztroską wędrowkę po ogrodzie. Usłyszała, jak zgrzyta wysoka drewniana brama, którą otwierano dla wjeżdżających powozów i hałas z ulicy stał się silniejszy. W pełnym napięcia oczekiwaniu Adrienne odwróciła twarz w tamtą stronę. Dobiegł ją odgłos końskich kopyt i turkot kół powozu w kamiennej *porte cochere*, i omal nie zawróciła, zdając sobie sprawę, że to nie może być Dominik - odjechał przecież konno, a nie rodzinnym powozem. Ale kto mógł przyjechać tak późno?

Kiedy otwarty powóz zatrzymał się u podnóża schodów, od strony wozowni nadbiegł czarny stajenny, żeby przytrzymać konia. Pchnięta naprzód jakąś niewidzialną

siłą, Adrienne podeszła bliżej i zobaczyła, jak z powozu wysiada niski, trochę przygarbiony mężczyzna. Poznała Victora Dumonte'a, rówieśnika jej brata, jednego z jego najbliższych przyjaciół. Rozwiązany krawat, zaplamiony gors koszuli... Jak on okropnie wygląda - pomyślała. Kiedy się odwrócił, dostrzegł ją i zamarł.

- Victor. - Ruszyła ku niemu, żeby się przywitać i wprowadzić go do domu, bo dobre wychowanie nie pozwalało jej zachować się inaczej. Wychodząc z prywatnego patio, przeszła przez żelazną furtkę i stanęła koło powozu. - Cieszę się, że cię widzę, ale jeżeli przyszedłeś porozmawiać z Dominikiem, to go nie ma. Wyjechał dzisiaj wczesnym rankiem i jeszcze nie wrócił.

- Wiem. - Zrobił szybko krok w jej stronę i znowu się zatrzymał. Adrienne uderzyła jego kredowobiała twarz i sinawoblade policzki. Ujął jej ręce i poczuła, że Victor ma wilgotne dłonie, co potwierdziło jej obawy, że jest niezdrów. Nawet w jego oczach widziała czającą się chorobę. - Ja... - Urwał i popatrzył za siebie na drugiego mężczyznę, który wysiadał z powozu.

- Doktor Charron...? - Adrienne spojrzała zdumiona na ubranego w szary płaszcz mężczyznę. Na głowie nosił wysoki kapelusz, a na mocno garbatym nosie okulary. Ścisnął w rękę laskę, ale nie miał swojej czarnej torby lekarskiej; Adrienne spostrzegła, że torba leży na koźle. - To zupełnie nieoczekiwana wizyta, ja...

Doktor nie tracił czasu na powitanie. Miał poważny wyraz twarzy i szorstkie maniery.

- Gdzie pani dziadek?

- W domu - odrzekła i znieruchomiała ze zdumienia, bo doktor minął ją bez słowa i pospieszył w stronę schodów. Odwróciła się plecami do Victora, czując w sercu pierwsze ukłucia niepokoju.

- Co to znaczy? Co się stało, Victorze?

Popatrzył na jej ręce i ścisnął je mocniej.

- Był pojedynek, Adrienne... - powiedział niskim, stłumionym głosem.

Spojrzała na jego bladą twarz i nagle przypomniała sobie, jak wiele razy Dominik prosił Victora, żeby mu

sekundował, i jak często doktor Charron asystował przy pojedynkach.

- Dominik...?

Kiedy Victor podniósł głowę, w jego oczach dostrzegła łzy.

- Został zastrzelony, Adrienne.

Z ust jej wyrwał się krótki okrzyk. Przeniosła wzrok na powóz i ujrzała, jak woźnica i czarny stajenny wynoszą z niego bezwładne ciało brata. Przez chwilę patrzyła na twarz Dominika i zauważyła jej bladość kontrastującą z czarnymi włosami. Chwila ta wydawała się dziwnie nierealna.

Otrząsnęła się.

- Trzeba natychmiast zanieść go do domu. Doktor będzie potrzebował swojej torby...

- *Non*. - Victor powstrzymał ją. - Adrienne, on nie żyje.

- *Non*, to nieprawda! - Popatrzyła na niego zła, że śmiał coś takiego powiedzieć.

- Przysięgam, Adrienne...

Nie zwracając uwagi na jego słowa, wyrwała ręce z jego uścisku.

- Nie wierzę ci! To nie może być prawda!

Podbiegła do brata, którego ciało trzymali woźnica w liberii i stajenny. Nie dostrzegła żadnej rany, na gorsiej lnianej koszuli nie było ani jednego śladu krwi... Ale kiedy dotknęła ręką jego gładkiego policzka, uderzył ją bijący od niego chłód.

- To pomyłka, to musi być jakaś pomyłka! - Objęła go wpół i natychmiast cofnęła się, czując między palcami coś lepkiego.

Czyjeś ręce ujęły ją za ramiona. Nie opierała się, kiedy odciągnęły ją do tyłu, od Dominika. Patrzyła na swoją dłoń, widząc ciemnoczerwone lepkie plamy na palcach. To była krew, ale już zimna, czarna, już... nieżywa.

Gdzieś z tyłu usłyszała jęk rozpaczony, który bardziej przypominał zawodzenie rannego zwierzęcia niż odgłos wydany przez człowieka. Odwróciwszy się, Adrienne zobaczyła swojego dziadka. Stał u szczytu schodów, opie-

rając się ciężko o drewnianą poręcz. Nagle wydał się jej człowiekiem bardzo starym. Z opuszczonymi, dotychczas tak dumnymi ramionami, z pochylonymi plecami, z twarzą, której kolor zlewał się z kolorem siwych włosów, stał i patrzył na ciało wnuka.

Powoli, tak, jakby pokonanie każdego stopnia wymagało od niego dużego wysiłku, zszedł na dół i zatrzymał się przed trupem. Oczyma równie martwymi jak oczy Dominika popatrzył na lekarza.

- Kto to zrobił?

- Pewien Jankes.

Adrienne zeszywniała.

- Kto taki? - nalegał jej dziadek.

- Brodie Donovan.

- *Non!* - szepnęła w cichym proteście.

Na dźwięk tego nazwiska dziadek podniósł wzrok.

- On żyje?

Doktor przytaknął skinieniem głowy.

- Draśnięty w ramię. Nic więcej.

Adrienne próbowała się cieszyć, ale była zbyt otępiąta. W jej głowie kołatały się nieustannie słowa Dominika, które wypowiedział poprzedniej nocy w jej pokoju: „A ty nie zostawiłaś mi żadnego wyboru”. Powinna była wiedzieć, co miał na myśli, powinna była pamiętać o jego niezłomnym poczuciu honoru. Ale nigdy, absolutnie nigdy nie zastanawiała się nad tym, jak by zareagował jej brat, dowiedziawszy się o Brodieu. Nie, jej cała uwaga skupiała się na tym, żeby postawić dziadka w sytuacji, w której byłby zmuszony Brodiego zaakceptować.

- Dominik... - Dziadek wypowiedział imię wnuka i z jego ust wyrwał się stłumiony jęk. Chwiejąc się, pocałował kredowobiały policzek i złamanym, cichym głosem powiedział: - Krew z mojej krwi. Moje życie... - Jego ramiona wstrząsał bezgłośny szloch.

Chciała zapłakać, lecz płacz uwiązł jej w gardle. *Nom de Dieu*, co ma teraz robić...?

— **Nie** rozumiem - powiedziała Remy, lekko zdezorientowana. Wstała z łóżka, żeby przejść się po pokoju.

- Jeżeli Brodie chciał tylko go zranić, co się właściwie stało? Może kiedy został ranny, nie mógł dobrze wymierzyć?

- Nie. Zaszło coś, czego nikt nie był w stanie przewidzieć - odrzekła Nattie. - Brodie wycelował w ramię, ale kula trafiła w kość, zrykoszetowała, przeszła ciało i utkwiła w sercu, zabijając Dominika na miejscu.

- Więc to był wypadek. Okropny wypadek...

- Otóż to, tak.

- Oczywiście, Adrienne o tym się dowiedziała.

- Brodie jej powiedział.

- Więc zobaczyli się jeszcze. - Z jakiegoś powodu Remy miała wrażenie, że śmierć Dominika położyła kres tej historii.

- Na krótko, na cmentarzu St. Louis, kiedy ciało jej brata składano w rodzinnym grobowcu...

Niebo było błękitne i bezchmurne, słońce gorące i jasne. Jego promienie przenikały przez gęste korony dębów i magnolii, i rozświetlały wyszorowane do białości kamienie grobowych „rezydencji”, stojących równo jedna obok drugiej tak, że przypominały Brodiemu domy stojące wzdłuż wąskich uliczek Vieux Carré. Nawet teraz, po śmierci, wiele generacji spało tu pod jednym dachem, jak za życia.

Nie odrywając oczu od zawołowanej twarzy Adrienne, bezmyślnie poprawił czarną opaskę na lewym, unieruchomionym ramieniu. Ciemny tiul rozmywał jej rysy, ale całkowicie ich nie ukrywał: były jak wyrzeźbione w białym marmurze. Tak zimnej, tak bladej Adrienne nigdy jeszcze nie widział, lecz ani jedna łza nie spłynęła po jej policzku.

Co innego jej ciotka. Łkała nieustannie, odkąd przybyli na cmentarz, zaś teraz, kiedy mieli już stąd odejść, szlochała coraz gwałtowniej. Brodie patrzył, jak oboje, Adrienne i jej dziadek, pomagali wstać *tante ZeeZee*. Emil Jardin nie przypominał już tego autokratycznego patriarchy, naprzeciwko którego Brodie stał niewiele ponad miesiąc temu; oczy miał matowe i rozbiegane,

miast kroczyć dumnie jak niegdyś, sunął chwiejnie noga za nogą.

Patrzył na nich przez chwilę, kiedy stali tak w żałobnej czerni, niezdolni pocieszyć się nawzajem. Emil Jardin dał znak Adrienne, że jej pomoc nie jest już potrzebna. Odsunęła się, pozwalając mu odprowadzić ciotkę. Ruszyła za nimi, ale zawahała się i podnosząc głowę, przeniosła oczy za siebie, by spojrzeć na nazwisko JARDIN wykute w kamieniu nad drzwiami z brązu, ozdobionymi liśćmi wawrzynu i amorkami. Stała tak bez ruchu przez nie kończącą się chwilę. Później z wyraźnym wysiłkiem oderwała wzrok od grobowca i poszła za dziadkiem i ciotką. Trzymała się kilka kroków za nimi i pozwoliła dziadkowi stawić czoło uczestnikom pogrzebu, którzy czekali w rzędzie, by złożyć rodzinie kondolencje.

To była szansa, na jaką czekał Brodie. Miał nadzieję, że uda mu się z nią porozmawiać, chociaż wiedział, że nie istniały słowa, które pozwoliłyby jej zapomnieć o tym, co zrobił. Ale musiał z nią porozmawiać, musiał jej powiedzieć, jak bardzo żałuje tego, co się stało. Musiał to powiedzieć dla samego siebie.

Kiedy przechodził obok, rzucił okiem na twarz jej dziadka, szarą i poznaczoną łzami, a potem zatrzymał się między dwoma grobowcami, żeby zaczekać na Adrienne. Zawahała się, lecz przystanęła.

- Musiałem przyjść - powiedział. - Przysięgam, że nie zrobiłem tego rozmyślnie...

Znowu miał przed oczyma dębowy laszek z drzewami porośniętymi szarym mchem, chwilę, kiedy podniósł rewolwer, żeby wycelować w ramię Dominika stojącego trzydzieści kroków dalej i nacisnąć spust. Chociaż poczuł w ramieniu ostry ból, pamiętał ten moment ulgi, kiedy zobaczył, jak ramię przeciwnika drga, odskakuje, pamiętał siłę, która obróciła nim i cisnęła o ziemię tak, że nie widział, jak Dominik pada. Pamiętał, jak wszyscy biegli, jak leżał na zielonej trawie, pamiętał swój szok, kiedy ktoś zawołał: „On nie żyje!”, i swoje pełne niedowierzania protesty, że przecież strzał był niecelny, że trafił

Dominika w ramię. Bo wtedy jeszcze nie wiedział, że kula zrykoszetowała od kości i utkwiała w sercu.

- Przepraszam - dokończył słabo.

- Każde z nas ma powód, by gorzko żałować tego, co się stało. - Przez jej twarz przemknął skurcz głębokiego cierpienia. - Mój brat nie żyje. Moja rodzina nie żyje. Wszystko umarło.

I odeszła.

Brodie wiedział, co miała na myśli. Był w środku martwy, wypalony, bo czuł, że nigdy więcej już jej nie zobaczy. Serce trzepotało mu w piersi jak ranny ptak.

— Oczywiście, Adrienne nie miała wtedy pojęcia, jak bardzo się myli. - Nattie westchnęła, opierając się o krzesło. - Tak, wtedy nie miała pojęcia o niczym.

- Myliła się? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że była w ciąży, ale zdała sobie z tego sprawę dopiero w kilka tygodni po pogrzebie.

Remy usiadła na leżance. Wszystko zaczynało powoli układać się w całość.

- I chociaż nosiła w łonie dziecko Brodiego Donovana, dziadek nie dał jej zgody na poślubienie mężczyzny, który zabił jej brata. I to właśnie z powodu tego dziecka Cole powiedział, że nasze nazwisko powinno brzmieć Donovan, a nie Jardin.

- Tak, owszem, ale mylisz się co do jednego. Widzisz, nikt nigdy nie podniósł kwestii, czy Adrienne ma poślubić Brodiego, czy nie. Ani stary Emil Jardin, ani tym bardziej Adrienne.

- Dlaczego nie? Myślałam...

- Zapominasz, że czuła się winna - przerwała jej Nattie. - Wmówiła w siebie, że to ona zabiła Dominika, że Brodie był tylko biernym narzędziem. Biorąc pod uwagę fakt, że bardzo brata kochała, już samo to obarczyło ją potwornym brzemieniem winy, a ponieważ wiedziała, że wraz ze śmiercią Dominika umarło ich nazwisko rodowe, ciężar, jaki dźwiagała, był naprawdę straszliwy. Dlatego, kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, zamiast popaść w skrajną desperację, zyskała nadzieję.

I właśnie dlatego nie pozwoliła, żeby dziadek znalazł jej męża, chociaż zdawała sobie sprawę ze skandalu, hańby i nieszczęścia, jakiemu musiała stawić czoło, rodząc dziecko z nieprawego łoża.

Remy powoli pokiwała głową.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Emil Jardin na to przystał. Był zbyt dumny, miał zbyt wielkie poczucie rodzinnego honoru. Chociaż gorąco pragnął, by ród Jardin nie wygasł, nie mógłby znieść upokorzenia, że jego kontynuatorem będzie bękart, a zwłaszcza dziecko Brodiego Donovana. Bo wiedział, że Brodie był ojcem, prawda?

- Odgadł. To nie było trudne...

— Bękart, którego nosisz w łonie, jest nasieniem tego Jankesa, prawda? - W jego oczach błyszczały iskry gniewu i obrzydzenia, głos przesycony miał bólem. - Tego samego Jankesa, który zabił mojego Dominika. To dlatego do niego strzelał.

- Non - zaprzeczyła Adrienne zakuta w pancerz spokoju, którego nawet jego drżąca, starcza złość nie mogła przebić. Stała przed nim w zaciemnionej sypialni brata, w sypialni, gdzie zaciągnięto kotary, by uchronić ją przed idącym naprzód światem. Pokój wyglądał dokładnie tak samo jak tego popołudnia, kiedy zginął Dominik: ubranie na zmianę do obiadu porządnie ułożone na łóżku, przybory do golenia ustawione na stoliku, miska pełna świeżej wody przygotowana przez służbę. Jedyne zmiany stanowiły świece palące się w jego intencji na klęczniku. Tutaj właśnie dziadek przychodził się modlić. W dniach i tygodniach po śmierci wnuka dzielił swój czas między tę sypialnię i grobowiec rodzinny, zamykając się w swoim bólu i nie dzieląc go z nikim. Przez cały ten czas rzadko kiedy się odzywał. Przy posiłkach milczał, patrząc w talerz i ledwo próbując znajdującego się na nim jedzenia.

- Dominik wiedział tylko tyle, że się z... z nim potajemnie spotykał. - Mówiła szybko i rozmyślnie unikała imienia kochanka. - To nie ma znaczenia, kto jest ojcem,

grand-pere. Moje dziecko urodzi się jako Jardin i wychowam go jak Jardina. Nie będzie znało tamtego nazwiska, nie będzie znało tamtej przeszłości. W nim jest życie naszej rodziny.

- W jakimś bękarcie - rzucił cichym, głębokim, pełnym cierpienia głosem.

- *Non, grand-pere*. - Uśmiechnęła się ufnie, pogodnie. - Życie, które we mnie rośnie, jest spełnieniem woli Boga. Zabrał nam Dominika i dał w zamian kogoś innego. - Podeszła do niego, podnosząc ręce, ale dziadek cofnął się, odrętwiały. - Nikt nie może zająć miejsca Dominika, ani w twoim, ani w moim sercu, wiem. Ale Bóg w swojej niezmierzonej dobroci pozwolił, by załęgło się we mnie nowe życie.

- Żeby ukarać cię za twoje grzechy - mruknął gorzko.

- *Non, grand-pere*. Żebym za nie odpokutowała - odrzekła Adrienne z przekonaniem w sercu. - To będzie syn. I nikt nigdy nie powinien znać jego pochodzenia. Twoi przyjaciele wiedzą, że mamy we Francji dalekich krewnych. W maju, kiedy nadejdzie pora malarii, popłyniemy do Francji z wizytą. Mój syn przyjdzie na świat w listopadzie, a potem możemy wrócić do domu, żeby wychować dziecko... naszych kuzynów, osierocone przy porodzie.

I to będzie jej kara, jej cierpienie: świadomość, że nigdy nie będzie mogła powiedzieć światu, ani nawet własnemu dziecku, że jest jego matką. Nie było innej drogi. Będzie musiała żyć do końca swych dni wiedząc, że zabiła brata, że ręką Brodiego nacisnęła spust.

Pukanie do drzwi przerwało przytłaczającą ciszę, jaka zaległa w sypialni. Dziadek zawołał niecierpliwie:

- *Entrez*.

Drzwi otworzyły się, pchnięte ręką czarnego służącego.

- Przyszedł Michie Varnier - zaanonsował Gros Pierre. - Powiedziałem mu, że pan nie chce się z nikim widzieć, ale on twierdzi, że musi z panem porozmawiać. Mówi, że coś się stało na starej plantacji Clinton.

- Przyjmij go, *grand-pere* - powiedziała Adrienne, spokojnie nakłaniając go, żeby porozmawiał z człowiekiem,

który był jego sekretarzem i doradcą, i który prowadził wiele interesów rodziny. Po śmierci Dominika dziadek przestał zajmować się czymkolwiek i całą odpowiedzialność za te sprawy przejął Simon Varnier. - Masz teraz powód, żeby myśleć o przyszłości. Kiedy zastanowisz się nad tym, co powiedziałam, przekonasz się, że mam rację. - Wytrzymała jego ciężkie spojrzenie, a potem odwróciła się i wyszła z sypialni.

- Czy pan go przyjmie, Michie Jardin? - zapytał służący i dodał: - On jest bardzo zły.

Emil Jardin sprawiał wrażenie, jakby go wcale nie słyszał. Stał przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w jakimś odległym punkcie, potem otrząsnął się i z nieobecnym wyrazem twarzy kiwnął głową:

- *Oui*, muszę się z nim zobaczyć.

- Tak, wiadomość o dziecku dała staremu Emilowi nową siłę - przyznała Nattie. - Lecz Adrienne myliła się sądząc, że tylko to było powodem, dla którego dziadek odzyskał chęć do życia.

- Co masz na myśli? - spytała Remy, chociaż domyśliła się już sama.

- To, że postanowił zniszczyć człowieka, który zabrał mu wnuka i zrujnował wnuczkę.

- Crescent Line... - Nagle miała wrażenie, że już wie, w jaki sposób jej rodzina weszła w posiadanie towarzystwa okrętowego.

- Otóż to. - Nattie wycelowała w nią palec. - Oczywiście nie mógł tego zrobić w ciągu jednej nocy. I nie mógł tego zrobić, nie przekazując pieniędzy w odpowiednie ręce. W dodatku pieniędzy bardzo dużych, zważywszy jak znakomicie prosperowało przedsiębiorstwo Brodiego. Musiał więc zdobyć niemały kapitał i aby go zgromadzić, sprzedał w końcu plantacje trzciny cukrowej i bawełny. Kiedy je sprzedał, kazał Simonowi Varnierowi dowiedzieć się, z kim Brodie prowadzi interesy zarówno w Ameryce, jak i zagranicą, kazał mu sprawdzić, gdzie kupował towar, kto dla niego pracował, kto i ile był mu dłużny. Po kilku miesiącach, mniej więcej w tym samym

czasie, kiedy Adrienne i *tante* ZeeZee wyjechały do Francji, zaczął realizować swój plan.

- A Brodie nie mógł zrobić nic, żeby go powstrzymać, prawda? - myślała głośno Remy, przypominając sobie, jaką władzę i wpływy miał Emil Jardin dzięki swoim rozległym i trwałym koneksjom.

- Początkowo w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje. Musisz pamiętać, że kochał Adrienne i bardzo przeżył to rozstanie. Na jakiś czas stracił chęć do życia, nie interesował się nawet Crescent Line. Kiedy sprawy zaczęły przybierać niekorzystny obrót, kiedy jego kapitanowie zaczęli go opuszczać, by przejść na statki innych towarzystw, kiedy jego okręty zaczęły wypływać, by już nigdy nie powrócić do portu, kiedy zaczęły na nich wybuchać tajemnicze pożary, niszcząc ładunek, kiedy towarzystwa ubezpieczeniowe nie chciały mu wypłacać odszkodowań, myślał, że dotknęło go pasmo nieszczęść. W rok później nikt już nie chciał z nim pływać, nikt nie chciał przewozić towarów na jego statkach i nikt nie chciał mu niczego sprzedawać. No i w końcu obudziły się w nim podejrzenia. Pożary, katastrofy - te czy inne tego rodzaju nieszczęścia mógł jeszcze zrozumieć. Ludzie są przesądni i jeżeli uważali, że jego statki mają pecha, będą ich unikali. Ale że nikt nie chciał z nim handlować? To już nie miało żadnego sensu...

Zachmurzone niebo przyspieszało zmrok nad Vieux Carré. Na niebie wisały zwały czarnych, ciężkich chmur. Daleko na horyzoncie dostrzec można było błyskawice, ale uliczny hałas, a przede wszystkim turkot dwukołowych wozów do przewożenia beczek piwa, nie pozwalały usłyszeć najsłabszego nawet odgłosu grzmotów. Brodie szedł wąską uliczką i wyliczył sobie, że wiosenna nawałnica zacznie się za jakieś trzy czy cztery godziny. Cieszył się z tego, bo miał nadzieję, że burza rozładuje napięcie, jakie czuł w powietrzu.

Kiedy zbliżył się do rogu, zwolnił kroku. Teraz bardzo rzadko odwiedzał Dzielnicę. Od kiedy... Tak, ilekroć o niej myślał, ilekroć widział miejsca, gdzie ją spotykał,

ilekroć przypominał sobie jej uśmiech i lśniące czarne oczy, zawsze bolało go serce. Minął już rok, ale ból był wciąż świeży, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj. Tak było zwłaszcza tutaj, w Vieux Carré, gdzie mieszkała.

Zobaczył starego ślepego skrzypka; stał jak zwykle na rogu. Brodie zatrzymał się i prawie odwrócił na pięcie, nie chcąc rozmawiać z Murzynem, który przekazywał mu od niej wiadomości. Bał się, że nie wytrzyma i o nią zapyta. Zmusił się, żeby myśleć o Crescent Line i kłopotach przedsiębiorstwa, o podejrzeniach co do swojej wciąż pogarszającej się sytuacji, o tym, że za kłopotami kryje się coś więcej niż pech.

Podszedł do skrzypka i wrzucił srebrnego dolara do jego kapelusza.

- Co słychać, Cado?

Stary człowiek zeszywniał na dźwięk jego głosu i przestał grać. Nigdy przedtem tego nie robił. Zdumiony, Brodie zobaczył, że Murzyn sięga do kapelusza, zaczyna w nim grzebać i wyciąga srebrną dolarówkę.

- Pańskie pieniądze są już nic nie warte, Michie Donovan.

- Co ty do diabła mówisz, Cado?

Zniżając głos, czarny wyciągnął rękę w stronę Brodiego.

- Niech pan weźmie swoje pieniądze i stąd idzie. Niech pan zostawi starego Cado w spokoju.

Przez chwilę Brodie walczył z ogarniającą go wściekłością, wahając się, czy nie zabrać monety z rąk starca i nie trzasnąć go pięścią w tę zimną czarną twarz.

- Ty też się ode mnie odwróciłeś, Cado, prawda? - powiedział ze złością, chwytając Murzyna za nadgarstek i wyłuskując monetę z jego biernych palców. Z rozmachem wrzucił ją do rynsztoka.

Kiedy go mijał, żeby przejść przez ulicę, starzec szepnął bez tchu:

- O czwartej. U szewca na Dumaine.

Na Dumaine był tylko jeden zakład szewski, maleńka klitka w suterenie. Niezdarnie namalowany szyld na drzwiach głosił, że właścicielem jest niejaki Louis Ger-

maine F.M.C. - *free man of colour*, czyli wolny kolorowy. Drzwi były szeroko otwarte i wlewało się przez nie ciężkie, jak zwykle przed burzą, powietrze. Dokładnie o czwartej Brodie wszedł do sklepu, pachnącego skórą i pastą.

Za ladą siedział mężczyzna w skórzanym fartuchu, o cerze czarnej jak heban. Kiedy Brodie wszedł do środka, Murzyn popatrzył na niego, zawahał się, rzucił krótkie spojrzenie na otwarte drzwi, a potem skinął głową w stronę zasłony w głębi.

Kiedy Brodie zbliżył się do niej, zza grubego materiału usłyszał głos Cado:

- Po pana prawej stronie stoi na ladzie para butów. Niech pan je zacznie oglądać, Michie Donovan, i niech pan po sobie nie pokazuje, że stary Cado do pana mówi. Oczy są wszędzie.

Brodie zrobił tak, jak mu powiedziano.

- Co się dzieje, Cado?

- Ma pan wroga, Michie Donovan - dobiegła go powolna odpowiedź. - Wiedziałem, że pan przyjdzie do starego Cado. Słuchałem i słyszałem. Wiem jedno: człowiek, który robi z panem interesy, jest w tym mieście skończony.

- Kto mnie chce wykończyć? - Brodie wziął do ręki but i badając palcami cienką skórę udawał, że mu się uważnie przygląda.

- To pan się jeszcze nie domyślił?

- Mam pewne podejrzenia.

- Jeżeli podejrzewa pan starego Emila Jardina, to ma pan rację - powiedział Cado, a Brodie zaklął pod nosem. - Nic pan na to nie poradzi, Michie Donovan. Będzie pan miał jeszcze więcej kłopotów. Mówią, że wykupił weksle na pańskie statki i na pański dom. Myślę, że Jardin czeka tylko na odpowiednią chwilę, żeby kazać panu zapłacić.

Brodie zwiesił głowę. Dobrze wiedział, że Jardin wybierze na pewno moment, kiedy będzie pewien, że nikt w mieście nie pożyczycy Donovanowi gotówki.

- Wszystko dlatego, że ta przeklęta kula musiała pójść rykoszetem - mruknął pod nosem, zdając sobie sprawę,

że rewolwerowy pocisk zabrał z sobą o wiele więcej niż życie Dominika Jardina. Zabrał mu Adrienne, a teraz zabierze Crescent Line. Jakaś część jego duszy nic sobie z tego nie robiła - od czasu, kiedy stracił ukochaną, nie obchodziło go absolutnie nic.

Adrienne... Starzec mścił się na nim za to, że potajemnie się z nią spotykał. Brodie zdał sobie z tego sprawę, ale zbyt przygnębiony, nie powiedział nic.

Cado odezwał się znowu:

- Kiedy wrócili w grudniu z Francji, przywieźli z sobą dziecko, małego chłopczyka. Dziecko nie ma podobno ani ojca, ani matki.

- Słyszałem o tym - przytaknął obojętnie Brodie.

- Czarna służba mówi, że Missy Adrienne kocha to dziecko, jakby to był jej własny syn - oświadczył Cado i zamilkł na chwilę. - Czarna służba mówi, że chłopiec ma rude włosy. Ciemnorude włosy... podobne do pańskich.

W Brodiem zamarło serce. Szarpnął zasłoną, odsunął ją i chwycił Murzyna za kołnierz szarej koszuli.

- Co ty mówisz?! Mów wyraźnie! Czy ten chłopiec jest moim synem?

- Tego nikt panu nie powie na pewno. Tajemnicę znają tylko Missy Adrienne, jej ciotka i stary Emil. Jednak faktem jest, że zanim wyjechali, Missy źle się czuła. A kiedy wrócili, nie przywieźli ze sobą nikogo ze służby. Wszystkich wyzwolili i zostawili we Francji. To świadczy o tym, że stary Emil ich tutaj nie chciał, nie chciał, żeby gadali. Poza tym te rude włosy. Skąd u Jardina rude włosy? Jeżeli spyta pan starego Cado, to na takie włosy jest tylko jeden sposób: ma się je po ojcu.

Brodie zwolnił uścisk. Nigdy nie pragnął tak bardzo w coś uwierzyć jak teraz.

- Jak on się nazywa? - spytał stłumionym głosem.
- Wiesz, jak ma na imię?

- Jean-Luc Etienne Jardin.

- Jean-Luc. Luc... - Podobało mu się brzmienie tego imienia.

Ale czy to jego syn? To pytanie towarzyszyło Brodiemu, kiedy wyszedł ze sklepu na ulicę. Skręcił w Royal

i nie zatrzymał się, nim nie doszedł do domu Jardina. Chłodna bryza przyniosła zapach deszczu. Wahał się chwilę, a potem ruszył prosto do furtki wyciętej w drewnianych wrotach bramy. Otworzył ją, przekroczył próg i wszedł do długiego *porte cochere*. Szybko dotarł do schodów i wbiegł na nie, pokonując po dwa stopnie na raz. Zatrzymał się dopiero na górze. Na balkonie było pusto. Przeszkłone drzwi prowadzące do wnętrza domu stały otworem; wpadał przez nie świeży powiew wiatru.

Z wnętrza dochodziły odgłosy rozmowy; sądząc po tonie i sposobie mówienia, rozmawiały kobiety. Brodie nie zwracał na nie żadnej uwagi, za to wsłuchiwał się uważnie w inny dźwięk. Kiedy dobiegł go niewyraźny śmiech dziecka, podszedł do otwartych drzwi i wkroczył do środka.

Zatrzymał się na chwilę, żeby oczy przywykły do głęboko zacienionego wnętrza, a potem rozejrzał się dookoła. Znajdował się w sypialni, a komplet srebrnych szczonek i grzebieni na ozdobnym stoliku z różanego drewna powiedział mu, że to sypialnia kobiety. Raz jeszcze usłyszał radosne kwilenie i śmiech, które dochodziły z rogu pokoju. Zobaczył wysoką kołyskę z udrapowaną moskitierą. W środku coś się ruszało, machało rączkami.

Ostatnie kilka kroków w stronę kołyski trwało całe wieki. Z wahaniem, z sercem walącym jak oszalałe, ze ściśniętym gardłem, podniósł zasłonę, żeby spojrzeć na dziecko.

Siedziało o własnych siłach i patrzyło na niego szeroko otwartymi oczyma. Jego włosy były gęste i ciemne, lekko rudawe. Skrzywiło się na widok Brodiego, jakby wyrażając niezadowolenie z tego, że nieznajomy go zaskoczył, a potem złapało za jedwabny obrąbek prześcieradła i zaczęło nim machać.

Brodie zawiesił muślin na poprzeczce, uwolnił ręce i dotknął palcem delikatnego policzka.

- Jesteś wspaniałym chłopakiem, Jean-Luc. - Kiedy cofnął dłoń, chłopczyk wyciągnął do niej rączkę, wykrzykując z zachwytem, kiedy udało mu się ją chwycić.

Spróbował się podciągnąć i Brodie wyczuł siłę jego małych mięśni. Uśmiechnął się. - Jesteś trochę za mały, żeby wstać, prawda?

Włożył mu dłoń pod ramię i postawił je na ubranych w buciki stópkach. Posunąwszy się tak daleko, z lekką obawą wziął dziecko na ręce. Szamotał się przez chwilę z Inianą suknią, którą miało na sobie, wreszcie zdołał owinać ją wokół długich tłuściutkich nóżek.

- Ktoś powinien powiedzieć twojej matce, że w tym ubraniu wyglądasz jak dziewczynka - szepnął Brodie. Dziecko wykrzywiło się w odpowiedzi. - Jesteś taki ciężki, że nie ma żadnych wątpliwości: kawał chłopca z ciebie.

Na skrzywionej twarzyczce pojawił się wyraz zainteresowania, nawet fascynacji. Jean-Luc patrzył na jego usta i brodę, podnosił rączkę, żeby je zbadać, chwycił paluszkami jego dolną wargę. Brodie uwolnił wargę i delikatnie pogłaskał go pod brodą. Jean-Luc zagruchał rozkosznie i uśmiechnął się szeroko. Brodie chciał się także roześmiać, ale radość, jaką odczuwał, była zbyt głęboka, zbyt silna, zbyt obezwładniająca. Przytulił więc dziecko do siebie i przycisnął usta do jego skroni, wdychając zapach niemowlęcia.

Nagle poczuł, że ktoś mu się przygląda. Spojrzał przez ramię na drzwi wychodzące na korytarz. Stała w nich Adrienne. Była ubrana na czarno, tak samo jak wtedy, kiedy widział ją ostatni raz, na cmentarzu. Dobrze jej było w tym stroju. Czerń podkreślała kolor jej włosów i oczu, i świetlistą biel skóry.

Przez dłuższą chwilę nie mógł wydusić słowa. Miał uczucie, że Adrienne stała tam już od jakiegoś czasu. Obrócił się bokiem. Przeniosła wzrok na dziecko, które trzymał na ręku, a potem znów spojrzała na niego.

- Chciałem zobaczyć mojego syna.

Nie powiedziała ani słowa. Jej twarz pozostała niewzruszenie spokojna i pogodna, chociaż w oczach Brodie dostrzegł lekki błysk, błysk łez, łez szczęścia, dumnych łez. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości: to było jego dziecko.

Nagle jasna błyskawica przecięła ciemne chmury na przedwieczornym niebie. Zaraz potem dał się słyszeć grzmot, od którego zadźwięczały szybki w oszklonych drzwiach. Jean-Luc zakwilił, a jego dolna warga wysunęła się do przodu w grymasie niepewności. Po drugim uderzeniu pioruna kwilenie przeszło w płacz. Luc wyprężył się w ramionach Brodiego i odwrócił się, wyciągając ręce w stronę drzwi. Kiedy Adrienne podeszła bliżej, Brodie niechętnie podał jej dziecko. Małe ramionka objęły ją i Luc zaczął wsłuchiwać się w uspokajający głos matki.

Przez otwarte drzwi balkonowe wpadł wiatr i pierwsze krople deszczu. Brodie wiedział, że powinien wyjść, ale nie ruszał się z miejsca. Patrzył na Adrienne i Luca, a przez głowę przemykało mu tysiące myśli. Gdyby wszystko potoczyło się inaczej, gdyby nie doszło do pojedynku, gdyby... Za każdym „gdyby” czuł w sercu głęboki ból.

- Adrienne? - Z korytarza dobiegł odgłos kroków i szelest jedwabiu. - Czy Jean-Luc płacze? Co się stało?

Adrienne stanęła przy drzwiach i zawołała:

- Przestraszył się burzy, *tante* ZeeZee. - Obejrzała się na Brodiego, z błagalnym wyrazem oczu.

Zawahał się. Pogładził jedwabiste włosy Jean-Luca, a potem musnął palcami rękę, która podtrzymywała główkę dziecka. Poczul gładkość i ciepło jej skóry i nagle stracił do siebie zaufanie. Odwrócił się gwałtownie i wyszedł tą samą drogą, którą przyszedł.

Kiedy opuścił cienisty portę *cochere*, zamykając za sobą furtkę, zatrzymał się na deszczu. Pamiętał uczucie, jakiego doznawał, kiedy trzymał w ramionach dziecko, kiedy małe paluszki ciągnęły go za wargę, tak delikatnie, ale i silnie. Syn. Miał syna. Ruszył ulicą z uśmiechem na ustach, a jego łzy mieszały się z deszczem spływającym mu po twarzy.

19

Powóz toczył się przez Canal Street i wjechał do amerykańskiej części miasta, gęsto zabudowanej i surowej. Emil Jardin siedział sztywno na obitym skórą siedzeniu. Utkwił wzrok w jakimś odległym punkcie, nie zniżając się do tego, żeby patrzeć dookoła. Oczy miał zazwyczaj martwe, matowe i ponure; ożywiały się tylko na wspomnienie Brodiego Donovana. Teraz jasno błyszczały.

Ukryta w rękawiczce dłoń zacisnęła się na srebrnej główce laski.

- Ten sędzia, ten... Jak mu tam... - Uniósł rękę, szukając w pamięci nazwiska.

- Horace Tate - odpowiedział Simone Varnier, zawsze precyzyjny, zawsze usłużny sekretarz Jardina.

- *Oui*, Tate. - Znow położył dłoń na lasce, z którą chodził bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby. W młodości Emil Jardin nosił *colichemarde* - szpadę. Wtedy każdy ją nosił. Chociaż był już za stary i zbyt powolny na taką broń, lubił trzymać w ręku laskę - to go uspokajało. Była jego młotkiem, kiedy uderzał nią w podłogę, żeby zwrócić na siebie uwagę. Była jego wskaźnikiem, kiedy zwracał uwagę wszystkich na to, czego pragnął. Była jego kijem, którym wymierzał reprimendy. Chwycił ją silniej.

- Ten Tate, jaką to informację ma na temat Donovana? Nic ci nie wspomniał?

- Nie mówił nic o Donovanie - poprawił go Simon, ze zwykłym sobie zamiłowaniem do precyzji. - Powiedział

tylko, że zdobył informacje na temat Crescent Line. Jest pewien, że to pana bardzo zainteresuje. Nie chciał mi zdradzić, o co chodzi. Prawdę mówiąc, podkreślił nawet, że nie będzie na ten temat rozmawiał z nikim innym, tylko z panem.

- A coż to za ostrzeżenie, którego mi udzielił?

- To ja nazwałem to ostrzeżeniem. *M'sieu* Tate tylko usilnie nalegał, żeby nie czynił pan żadnych dalszych kroków przeciwko Crescent Line, dopóki pan z nim nie porozmawia. Zwrócił również uwagę, że kiedy ta informacja znajdzie się w pańskich rękach, niewykluczone, że zechce pan zmienić taktykę postępowania.

- A cóż to u licha może znaczyć... - mruknął Emil Jardin, a jego siwe brwi zeszyły się z sobą, tworząc grubą, zwartą linię.

Simon Varnier wziął jego słowa dosłownie i w odpowiedzi przedstawił swoje własne przypuszczenia.

- Wiemy, że Donovan próbował sprzedać trzy statki. Być może znalazł na nie kupca. A może otrzymał pieniądze z jakiegoś nieznanego źródła. Jeśli tak jest, niechaj wykupi weksle już teraz, tak byłoby mądrzej.

- Co wiesz o tym Tate?

- Niewiele. Przyjechał do Nowego Orleanu na początku marca, czyli mniej więcej miesiąc temu. Mówi, że pochodzi z St Louis, ale nie przybył tu rzeką. Przypłynął jednym ze statków Crescent Line, z Bostonu. Przypuszczam, że w ten właśnie sposób dowiedział się o sytuacji Donovana.

- Ale jak wykrył, że to ja prowadzę tę grę?

- Nie chciał podać źródła swoich informacji.

- Musi mi to powiedzieć, inaczej nie będziemy gadać.

- Nie podobała mu się myśl, że ktoś obcy tak szybko wpadł na jego trop, że tak szybko odkrył, iż to on jest siłą napędową maszyny, która miała zmiażdżyć Brodiego Donovana, zmiażdżyć go powoli, tak by cierpiał, by odczuwał ból, nieszczęście, upokorzenie i wstyd, że on, Emil Jardin, wiedział. Ten człowiek zabrał mu życie. Jemu, Dominikowi i Adrienne. Zniszczyć go to wymierzyć sprawiedliwość. I sprawiedliwe również było, że to właśnie Jardin jest narzędziem zniszczenia.

Kiedy powóz zwolnił, Emil Jardin podniósł głowę i rozejrzał się po okolicy, spoglądając tam, gdzie kierował swój długi, patrycjuszowski nos. Tylko dwa razy w życiu znalazł wystarczający powód, żeby przybyć do dzielnicy Jankesów. I za każdym razem przysięgał sobie, że za nic w świecie tu nie przyjedzie, nie wejdzie między tych nieokrzesanych, głośnych *Américains*, zawsze spieszących się, zawsze czegoś chcących, zawsze łapczywych.

- Jeżeli ten adwokat tak bardzo się niecierpliwi, żeby podzielić się z nami swoją informacją, dlaczego nie przyjechał do Vieux Carré? - narzekał, kiedy powóz zajeżdżał przed dom z białym okapem. - Dlaczego to właśnie my musimy tutaj przyjeżdżać?

- Już to panu wyjaśniłem - odrzekł cierpliwie Simon Varnier. - Horace Tate jest kaleką. W dzieciństwie stracił władzę w prawej nodze. Z wielkim trudem wsiada i wysiada z powozu, i nie mógł tak po prostu przejść od swojego biura do pańskiego.

- Nie wiem, co to za informacja. Żeby miała dla nas aż taką wartość...? Nie rozumiem. - Ale musiał się tego dowiedzieć i wysiadł z powozu.

Biuro Horace Tate'a było równie zaniedbane i nieeleganckie jak sam budynek. Zbiór starych prawniczych ksiąg zajmował niemal wszystkie półki z surowego drewna, a inne książki wciąż czekały na rozpakowanie. W pokoju królowało wielkie, dębowe i bardzo już zniszczone biurko z miejscem na nogi. Emil Jardin utkwiał wzrok w mężczyźnie, który za nim siedział, i ruszył w tamtą stronę, nie rozglądając się na boki. Właściwie to trudno było go nazwać mężczyzną. Miał piegowatą twarz i strzechę jasnych włosów na głowie, a jego pospieszny uśmiech miał cierpkość i niewinność uśmiechu chłopca. Przypominał Emilowi młodego człowieka wychowanego gdzieś na wsi nad rzeką, który ledwo co osiągnął dojrzałość, i który oderwawszy się wreszcie od muła ciągnącego pług, przed chwilą przyjechał do miasta. Wrażenie to potęgował źle leżący garnitur i tani krawat.

- Pan Varnier? Jak to miło znów pana widzieć - powitał ich, mówiąc po angielsku z silnym wiejskim akcen-

tem. - I pan Jardin, o ile się nie mylę, prawda? Proszę mi wybaczyć, że nie wstaję, ale moja noga mi na to nie pozwala. - Emil zerknął na bezwładną nogę pod stołem i parę kul opartych o ścianę za krzesłem. - Proszę, niech panowie usiądą. - Horace Tate wyciągnął rękę w stronę krzesła ustawionych półkołem przed biurkiem.

Emil zignorował zaproszenie. Wolał stać. Teraz, kiedy zobaczył już adwokata na własne oczy, był pewien, że ich spotkanie będzie bardzo krótkie.

- Nie traćmy czasu, *m'sieu* Tate.

- Słusznie. - Głos dobiegł ich skądś z tyłu, z lewej strony. Emil odwrócił się i zamarł ze zdumienia.

Brodie wytrzymał jego piorunujący wzrok, sięgnął spokojnie do paleniska, podniósł drewnienko i zaczął przypalać cygaro.

- Zdziwiony? - spytał między jednym obłoczkiem dymu a drugim.

Czerwieniejąc na twarzy, Emil Jardin zwrócił się do prawnika.

- Co to wszystko znaczy? To uwłaczające! To obraza! - Uderzył łaską w podłogę. - Chodź, Simon, idziemy stąd.

Odwrócił się i spojrzał na Brodiego, jakby się spodziewał, że ten będzie próbował go zatrzymać. Ale Donovan wzruszył obojętnie ramionami.

- Może pan zostać albo iść. To dla mnie bez znaczenia. Ale przedtem zechce pan łaskawie zerknąć na dokumenty, które przygotował dla pana pan mecenas. Ich lektura może okazać się nader interesująca.

Emil patrzył na Brodiego przez dłuższą chwilę, a potem wyciągnął rękę do swego asystenta.

- Pokaż mi te dokumenty.

Horace Tate wręczył je bez słowa Varnierowi, który podał je nad biurkiem Jardinowi.

- Lepiej podsuń mu krzesło, Simon - rzucił Brodie. - Myślę, że będzie chciał usiąść.

Ledwie zdążył przeczytać pierwszy paragraf, a zaczęły mu drżeć ręce. Zrobił się błydy jak ściana.

- Co to jest? - Opadł na krzesło.

- Dokładnie to, co pan widzi - odpowiedział Brodie.
- Chodzą słuchy, że spieszno panu zniszczyć Crescent Line. Pomyślałem więc sobie, że chciałby się pan dowiedzieć, do kogo Crescent Line należy. Bo nie należy już do mnie.

Palce starego zacisnęły się niczym szpony, zaginając rogi dokumentów.

- Nie możesz tego zrobić!

- Już to zrobiłem, panie Jardin. Podpisy zostały złożone zgodnie z obowiązującym prawem, papiery są opieczętowane, zarejestrowane i zapisane. - Brodie wskazał cygarem na dokumenty. - Ale proszę bardzo, niech się pan nie zatrzymuje, niech pan dalej realizuje te swoje plany i zniszczy Crescent Line. Bardzo mnie ciekawi, jak pan sobie poradzi, żądając płatności od własnego prawnika. Aha, byłbym o czymś zapomniał. Nazywa pan Jean-Luca swoim wychowankiem i twierdzi pan, że chłopiec pozostaje pod pańską kuratelą. Więc jako jego prawny opiekun powinien pan wiedzieć, że Jean-Luc jest teraz właścicielem Towarzystwa Żeglugo-wego i domu. Jeżeli przeczyta pan resztę, zobaczy pan, że wymieniałem w dokumentach nazwiska pana Tate, ojca Malone'a i Adrienne. Będą administratorami tych dóbr do chwili, kiedy mój syn ukończy dwadzieścia jeden lat.

- Jak... - Emil nie zdołał dokończyć pytania.

- Jak ja się dowiedziałem, że Jean-Luc jest moim synem? Odwalił pan znakomitą robotę, usiłując wytropić moje źródła informacji, ale wszystkich zlikwidować się panu nie udało.

- Nie zdołasz tego dowieść!

- Fakt, nie mogę tego dowieść, nie wobec prawa. Ale on jest moim synem. Ja to wiem i pan to wie. - Brodie podszedł do rogu biurka, zrywając maskę chłodu i opamnowania, gotów stawić czoło przeciwnikowi, którego tu zaprosił.

Emil Jardin podniósł się z krzesła i rzucił dokumenty na blat.

- Grób cię za to nie minie.

- Być może. Ale moja śmierć, czy to z twojej ręki czy z woli Boga, nie zmieni ani trochę tego, co najistotniejsze: Jean-Luc jest moim synem. Może nosić nazwisko Jardin, ale w jego żyłach płynie krew Donovana.

Na te słowa Emil Jardin wybiegł z pokoju. Jego laska dudniła w podłogę za każdym krokiem.

Usłyszała samochodowy klakson z ulicy i wróciła do rzeczywistości.

- A więc Brodie podarował Crescent Line swojemu synowi - szepnęła. - Emil Jardin nie zabrał mu Towarzystwa.

- Nie to, żeby nie próbował - mruknęła Nattie, odsuwając się od krzesła, na którym się opierała.

- A Brodie? Co się z nim stało?

- Umarł w sierpniu tego samego roku.

Remy przypomniała sobie słowa starego Emila: „Grób cię za to nie minie”.

- W jaki sposób? Czy dziadek Adrienne...?

- Nikt tego nie wiedział na pewno, z wyjątkiem Brodiego i starego Emila. Ludzie powiadali, że umarł na żółtą febrę. Może tak i było. Tego lata, w tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim, wybuchła jedna z największych epidemii żółtej febry, jakie kiedykolwiek dotknęły Nowy Orlean. Umarło wtedy jakieś piętnaście tysięcy osób, chociaż są tacy, którzy twierdzą, że co najmniej dwadzieścia tysięcy. W tym samym tygodniu co Brodie umarło ponad tysiąc sześćset osób. Do spalenia było tak wiele ciał, że urzędnicy nie zawracali sobie głowy wystawianiem zaświadczeń zgonu. Dlatego też nikt nie stwierdził przyczyny śmierci Brodiego. Poza tym miasto nie miało wystarczającej ilości grabarzy, którzy poradziłiby sobie z całą robotą. Trumny piętrzyły się jak sterty skrzyń w magazynie. Sytuacja była tak straszna, że grzebali ludzi we wspólnych mogiłach. Tak właśnie skończył Brodie: w nie oznaczonym grobie. To były straszne, naprawdę straszne czasy.

- A Adrienne?

- Udało się im uciec, jej i jej rodzinie. Jak zawsze wyjechali z miasta pierwszego maja, nim zaczął się okres

malarii. Wiedziała, co się tutaj działo, cały świat wiedział. Ludzie z całego kraju nadsyłali w darze jedzenie i pieniądze. - Nattie przerwała na chwilę. - Adrienne nigdy nie wyszła za mąż. Aż do śmierci ubierała się na czarno. Ludzie mówili, że to żałoba po bracie, ale myślę, że nosiła ją także po Brodiem. Każdego roku w Dzień Wszystkich Świętych zanosila kwiaty na wszystkie wspólne mogiły ofiar żółtej febry, bo nie wiedziała, w której z nich spoczywa Brodie. Staremu Emilowi na pewno się to nie podobało, ale sądzę, że Adrienne nie zwracała uwagi na jego fochy. Potem odszedł także ojciec Malone, a pięć lat później Horace Tate zginął podczas wybuchu kotła na statku. Jechał do St Louis, żeby odwiedzić rodzinę.

- I Adrienne została jedyną administratorką majątku syna?

- Właśnie. I tak oto doszło do tego, że Emil Jardin zaczął prowadzić Crescent Line i organizować blokadę konfederatów podczas wojny secesyjnej. Na tym też zrobił fortunę. Na jednym tylko rejsie statek Crescent Line mógł z łatwością zarobić pół miliona dolarów. Wojna toczyła się przez cztery lata, a jego statki robiły od pięciu do dziesięciu kursów rocznie. Większość mieszkańców południa straciła podczas tej wojny wszystko, co miała, a stary Emil Jardin jeszcze się wzbogacił. On albo Jean-Luc, na jedno wychodzi, bo przecież to wszystko należało do niego. Stary Emil nie żył wystarczająco długo, żeby się tym wszystkim nacieszyć. Umarł w tysiąc osiemset siedemdziesiątym, kiedy Jean-Luc skończył osiemnaście lat.

- A więc Jardinowie zrobili majątek na wojnie...

- Zamyślona Remy oparła się o zagłówek leżanki. - Zastanawiam się, jak Cole się o tym dowiedział. Przypuszczam, że musiał zbadać niemal całą historię Towarzystwa, że znalazł kopię dokumentu, w którym Brodie przekazywał wszystkie udziały w Crescent Line Jean-Lucowi. Być może znalazł również wzmiankę o jego śmierci w tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim roku, na długo przed wybuchem wojny.

Ale nie tłumaczyło to faktu, dlaczego wygrzebał ze schowanka portret Brodiego Donovana i powiesił go w miejsce portretu dziadka. Musiał wiedzieć, że nie będzie to po myśli jej rodziny, zwłaszcza jej ojca, co znaczy, że był to czyn przemyślany. Dlaczego Cole chciał go rozmyślnie zantagonizować?

- Czy nadal masz zamiar wziąć przyszcic i się przebrać? - dopytywała się Nattie.

- Tak - odrzekła, wciąż zajęta swoimi myślami.

- Wobec tego wyjmę czyste ręczniki.

Kiedy Nattie zniknęła w łazience, Remy wstała. Podniecona, otworzyła przeszkłone drzwi i wyszła na balkon. Przed frontowym trawnikiem rosły dwa drzewa magnolii, niczym dwóch strażników trzymających wartę. Drzewa, które za poradą Brodiego zasadziła Adrienne...

Remy przystanęła, a potem podeszła do balustrady, której delikatnie wykuta żelazna krata ozdobiona była wzorem z kwiatów i liści. Jej spojrzenie szybowoło po trawniku, po żelaznym płotku, który go otaczał i po spokojnej ulicy nieco dalej.

Właśnie tam, na zakręcie po drugiej stronie ulicy stała granatowa limuzyna. Remy zauważyła, że za kierownicą siedzi jakiś mężczyzna. Jej wzrok przykuły czarne włosy i starannie przystrzyżona siwawa broda, która z tej odległości wydawała się prawie zupełnie biała. Wyglądało na to, że kierowca coś pisze. To pewnie jakiś komiwojażer - pomyślała. W tej samej chwili mężczyzna popatrzył do góry. Wiedząc, że ją zobaczył, Remy cofnęła się od balustrady i wróciła do pokoju. Nie chciała, żeby jej obecność na balkonie komiwojażer poczytał za zaproszenie.

Weszła do pokoju i popatrzyła na stare podwójne łóżko. Zaczęła się nagle zastanawiać, czy Adrienne i Jean-Luc mieszkali w tym domu po śmierci Emila Jardina. Była pewna, że tak, bo gdyby tu nie mieszkali, ten dom nie stałby się nigdy ich domem rodzinnym. A jeżeli znajdowały się tu pamiątki po Brodiem, o ileż więcej zostało ich po Adrienne.

Przed twarzą pomachała jej różowawa dłoń. Zdziwiona Remy zamrugała i skupiła wzrok na twarzy Nattie.

- Przepraszam, nie zauważyłam cię.
 - Widzę - powiedziała chłodno. - Wyjęłam dla ciebie ręczniki. Szlafrok wisi na drzwiach.
 - Dziękuję.
 - Co się stało? - Nattie zmarszczyła brwi i popatrzyła na zmieszaną Remy. - Wyglądasz, jak w jakimś transie.
 - Myślałam o Adrienne i przypomniało mi się, jak bardzo lubiła przedtem życie towarzyskie, i jak bardzo współczuła *tante* ZeeZee. A przecież skończyła samotnie jak ona. Zastanawiam się, skąd brała na to siły.
 - Kochanie - odrzekła Nattie, obdarzając ją jednym ze swoich smutnych i mądrych uśmiechów - kobieta jest jak herbata w torebce: nigdy nie wiesz, jak jest mocna, dopóki nie wrzucisz jej do gorącej wody.
- Remy roześmiała się, chociaż miała wrażenie, że gdzieś w pobliżu czają się kłopoty. Gdzie i jakiego rodzaju, nie mogła sobie przypomnieć. Lecz wiedziała, że musi tu zostać. Tylko dlaczego? Żeby czemuś przeszkodzić? Żeby kogoś powstrzymać...?

20

Muzeum na Jackson Square to nie było to. W każdym razie wizyta nie dała jej żadnej konkretnej wskazówki. Stała przy jednym z biurek w części administracyjnej gmachu i w zamyśleniu okręcała sznur telefonu dookoła palca.

Ze słuchawki dobiegł ją głos Gabe'a.

- Pewnie jesteś zbyt zmęczona, żeby dziś po południu pójść do muzeum, tak? Dlatego dzwonisz? Wcale mnie to nie dziwi, zwłaszcza że wcześniej dzisiaj wstałaś.

- Dzwonię z muzeum.

- Już tam jesteś? - spytał lekko zdziwony. - Myślałem, że wpadniesz po mnie do biura o drugiej trzydzieści, żebyśmy mogli pójść razem.

- Tak, miałam do ciebie wpaść... - Spędziła cały rano chodząc po domu i myślała, że zwariuje z beczynności. Wtedy, gdzieś w porze lunchu, zadzwonił jej brat. Powiedział, że odradził ojcu wysyłanie jej do kliniki koło Houston. Remy wspomniała, że zamierza pójść do muzeum i Gabe zaczął natychmiast nalegać, by go z sobą zabrała. Zgodziła się. Dopiero później doszła do wniosku, że wolałaby pójść sama, żeby nikt nie rozpraszał jej rozmową. Chciała chłonąć wszystkie wrażenia, wszystkie wspomnienia, sądziła, że znajdzie tam coś, co rozproszy jej złe przeczucia. - Zbyt się niecierpliwiłam siedząc w domu, więc wyszłam wcześniej i zdążyłam już wszystko obejrzeć.

- Wszystko?

- Tak. - Nie potrafiła ukryć zniechęcenia.

- Zdaje się... że się rozczarowałaś. Nie mogłaś sobie niczego przypomnieć?

- Niestety nie - odparła. Bo nic nie wydało się jej znajome. Żadne wnętrze, żaden eksponat, żaden pracownik muzeum, nic i nikt.

Kiedy patrzyła bezmyślnie na pulpit z monitorami telewizyjnymi stanowiący część systemu bezpieczeństwa muzeum, przy jednej z gablot zauważyła starszego mężczyznę. Miał ciemne włosy, białawą brodę i wyglądał dokładnie tak samo jak człowiek, którego widziała przed domem. Oczywiście myliła się, biorąc go za sprzedawcę, to pewnie turysta. Jednak dziwne było to, że nosił garnitur i krawat. Większość turystów ubierała się znacznie swobodniej, zwłaszcza za dnia. I wystawa z pewnością go nie interesowała. Sposób, w jaki rozglądał się dookoła, sugerował, że kogoś szuka.

- Więc jakie masz teraz plany? - spytał Gabe, odrywając jej uwagę od czarno-białych monitorów. - Zostaniesz tam jeszcze, czy wracasz do domu?

- Nie, chyba nie. Myślę...

- Nic nie mów, zgadnę. - Zamilkł na chwilę. - Pójdiesz na Canal Place i wpadniesz do Saksa czy do Gucciego, żeby coś sobie kupić.

Remy zdziwiła pewność, z jaką to powiedział.

- Skąd wiesz?

- Bo kiedy jesteś przygnębiona, zawsze idziesz na zakupy.

- Naprawdę?

- Naprawdę - potwierdził z domieszką rozbawienia w głosie. - Chętnie nosiłbym za tobą paczki, ale mam tu trochę papierkowej roboty, z którą muszę się uporać. A może spotkajmy się w barze La Louisiane, co? Powiedzmy o... o wpół do piątej. Będziesz miała prawie trzy godziny na zakupy.

- Dobrze. - Zgodziła się, chociaż zupełnie nie miała ochoty na chodzenie po sklepach.

Słyszała, że brat się lekko zawahał, jak gdyby wyczuł jej powściągliwość.

- Remy... chyba się nigdzie nie zgubisz, co? Ani nie zamierzasz znów włóczyć się po porcie, prawda?

- Nie. Przyrzekam. - Uśmiechnęła się do słuchawki.

- Dobra. No to widzimy się o wpół do piątej.

- W La Louisiane - potwierdziła i kiedy przerwał połączenie, odłożyła słuchawkę. - Dziękuję - rzuciła do jednego z pracowników, który w odpowiedzi skinął głową.

Kiedy zbierała się do wyjścia, podeszła do niej młoda, może dwudziestoletnia kobieta z ciemnymi, krótko obciętymi włosami z grzywką. Zatrzymała się gwałtownie i wykrzyknęła zachwycona:

- Remy! Kiedy wróciłeś?

- W nocy - odpowiedziała, zastanawiając się w duchu, kim jest ta dziewczyna.

- Jak było na Riwerze? Wiedziałam, że będziesz się świetnie bawiła, a my, biedne kobiety pracujące, zzieleniejemy z zazdrości - trajkotała, przyglądając się Remy od stóp do głowy. - Co za cudowne ubranie! Przywiozłeś z Francji?

- Nie, wisiało w szafie. - Nie miała pojęcia, gdzie je kupiła.

- Chciałabym mieć twoją szafę - odparła dziewczyna, podziwiając zgniętą marynarkę i bluzkę, do której Remy założyła granatową spódnicę i czerwony pasek. - Masz czas na filiżankę kawy? Dyżur zaczynam dopiero za godzinę i umieram z ciekawości, żeby usłyszeć wszystko o karnawale w Nicei. Chyba nie jest tak zwariowany jak tutaj, co?

- Chętnie się napiję... - zaczęła Remy, ale natychmiast urwała. Uśmiech rozjaśnił jej usta. - To dziwne, jestem pewna, że cię znam, ale... nie mogę sobie przypomnieć, kim jesteś. Widzisz, ja... - zawahała się, ale nie znalazła innego wyjścia z sytuacji: musiała to powiedzieć wprost - Mam amnezję.

Dziewczyna sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Chyba żartujesz.

- Chciałabym.

- O Chryste, więc naprawdę nie żartujesz? - zdumiała się. Na miłość Boską, co się stało!? Jak...? Och, Remy,

musisz mi wszystko opowiedzieć. - Chwyła ją za rękę i nagle roześmiała się. - Zapomniałam. Jezu, ty mnie przecież nie pamiętasz! Jestem Tina Gianelli. Obie zaczęłyśmy pracować tutaj mniej więcej w tym samym czasie.

Mówiąc to chwyciła Remy za rękę, prawie że wciągnęła ją z powrotem do biura, posadziła przy stole i zażądała jeszcze raz, żeby Remy wszystko jej opowiedziała. Remy pokrótce streściła główne wydarzenia i zakończyła:

- Przyszłam dzisiaj do muzeum, mając nadzieję, że coś mi się wyda znajome, ale kiedyje zwiedzałam, kiedy oglądałam te wszystkie eksponaty, czułam się jak ktoś obcy.

- Rzeczywiście, zachowywałaś się trochę dziwnie. - Tina wzburzyła palcami włosy. -Więc, przychodzisz tutaj nie częściej niż dwa, trzy razy tygodniowo, i tylko na parę godzin. Na początku było oczywiście inaczej, no ale wtedy okoliczności były inne.

- Inne? Co znaczy inne? - Remy popatrzyła na nią z zaciekawiona.

- Zaczęłaś tutaj pracować zaraz po tym, jak twój narzeczony się utopił. Myślę, że chciałaś się czymś zająć, a przeszłość, historia, wydała ci się prawdopodobnie bezpiecznym schronieniem. Rozumiesz, o co mi chodzi? - spytała i szybko dodała: - Nie chcę przez to powiedzieć, że praca była dla ciebie tylko rozrywką. Wydawało mi się, że ci się naprawdę tutaj podoba, że to lubisz. No tak, bo jeśli nie oprowadzałaś wycieczek, starałaś się przekonać któregoś z przyjaciół rodziny, żeby wypożyczył albo podarował muzeum jakiś eksponat, szczególnie rzeczy do klasycznego domu z połowy dziewiętnastego wieku i na wystawę poświęconą obchodom pożegnania karnawału.

- Ale wspomniałaś, że ostatnio praca przestała mnie interesować - wtrąciła Remy.

- No, może niezupełnie tak. Miałam po prostu wrażenie, że ten zawód nie daje ci pełnej satysfakcji, że się w nim nie wyżywasz. — Przerwała i rzuciła Remy prze-

praszający uśmiech. - Obawiam się, że nie najlepiej to ujęłam, ale to było tak, jakbyś lubiła tę pracę jako zajęcie uboczne, a nie życiową pasję. Ma to jakiś sens?

- Możliwe, nawet bardzo, tylko że jeszcze go nie rozumiem... - szepnęła zamyślona Remy. Potem wzruszyła lekko ramionami. - Kto wie? Może ta amnezja wyjdzie mi jeszcze na dobre? Może zmusi mnie do podsumowania dotychczasowego życia, do podjęcia decyzji, co chcę, a czego nie chcę dalej robić? Sama nie wiem...

- To byłoby już coś. Prawdę mówiąc, zawsze zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie chciałaś pracować w Towarzystwie Żegludowym. Przecież Towarzystwo należy do twojej rodziny, tak? Ale przypuszczam, że kiedy się mieszka z rodziną, nie chce się z nimi pracować. Co za dużo, to niezdrowo - powiedziała. Nagle rozpromieniła się - Mam pomysł. Dlaczego byś nie oprowadziła tej wycieczki razem ze mną? Może dzięki temu coś sobie przypomnisz.

Remy rzuciła okiem na duży ścienny zegar.

- Nie mogę. O wpół do piątej mam spotkanie z bratem.

- To miłe. Chociaż nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego trzeba aż kryzysu, żeby obudzić rodzinę i sprawić, że jej członkowie poświęcają sobie nawzajem więcej uwagi. Chyba dlatego, że jesteśmy zbyt zajęci własnym życiem. Pamiętam, jak zeszłego lata moja matka miała ten straszny wypadek i mój brat przyleciał do domu. Usiedliśmy i zaczęliśmy rozmawiać, naprawdę rozmawiać, po raz pierwszy od wielu lat. Właściwie to dopiero wtedy go poznałam. Przedtem był dla mnie niemal obcym człowiekiem.

- Hej, Gianelli! - zawołał ktoś od drzwi. - Jest już ta twoja wycieczka.

- Już?! - Rzuciła okiem na zegar. - Przyszli za wcześnie! No popatrz tylko, muszę iść - powiedziała wstając. - Zadzwoń do mnie, dobrze? I nie tłumacz się amnezją. Mój numer powinnaś mieć w notesie, pod „G”, jak Gianelli.

- Będę pamiętała - powiedziała Remy i odprowadziła ją wzrokiem.

Słońce było jasne i ciepłe - nietypowa pogoda jak na luty, w Nowym Orleanie zazwyczaj szary i wilgotny. Ale Remy nie mogła się jakoś zmusić, by się tym cieszyć.

Stała na rogu i czekała, aż jezdnią przetoczy się jeden z wielu zaprzęgniętych w muły wozów. Zerknęła przez ramię na muzeum, które było jeszcze jednym martwym punktem w jej pamięci. Zatrzymała wzrok na drzwiach wejściowych akurat w chwili, kiedy wychodził z nich pospiesznie ten starszy mężczyzna z białą brodą. Wyszedł, stanął na chodniku i rzucił okiem na ulicę. Pewnie nie spotkał się z kimś, jak planował i Remy pomyślała, że musi być chyba rozczarowany i zaniepokojony. Kiedy przechodziła na drugą stronę ulicy, także odczuwała niepokój i rozczarowanie, tylko że w jej przypadku łączyły się one z głębokim zniechęceniem.

Zaczynała już wątpić w to prześladowające ją uczucie, że jest gdzieś bardzo potrzebna. Bo nic, absolutnie nic na to nie wskazywało. I zaczynała już nawet podejrzewać, że to wewnętrzne przekonanie jest tylko i wyłącznie pragnieniem, by nadać swojemu życiu jakieś znaczenie. Tak, to miało nawet sens, całkiem sporo sensu.

Ale z drugiej strony był przecież ten mężczyzna z Nicei. Ten, z którym się szarpała. Dlaczego? O co poszło? Kim on jest? Jego rysopis, jaki podali świadkowie, był tak niejasny, że mógłby pasować prawie do każdego, włącznie z tym siwobrodym mężczyzną.

Remy westchnęła i w chwilę później zdała sobie sprawę, że idzie bardzo szybko. Zwolniła nieco i rozejrzała się dookoła, żeby się zorientować, gdzie właściwie jest. Była na St. Ann. Rzuciła okiem na stare domy zauważając, że spod warstwy tynku tu i ówdzie przebija pylista czerwień cegieł. Wzdłuż zaułka, przechodzącego za rogiem w jednokierunkową uliczkę, parkowały samochody. Kiedy znalazła się koło wysokiej drewnianej bramy, która służyła niegdyś jako wejście do starej *porte cochere*, zastanawiała się chwilę, czy znajdzie za nią dziedziniec.

Przy bramie piętrzyły się pojemniki na śmieci i czarne plastikowe worki na odpadki. W śmieciach grzebał jakiś długowłosey kot. Zobaczył ją i miauknął jakby ostrzegawczo, przyglądając się jej podejrzliwie zielonymi ślepiami. Był cały czarny, tylko na szyi miał białą plamkę. I duży, musiał ważyć co najmniej dwadzieścia funtów. Koniuszek lewego ucha był odgryziony i Remy domyśliła się, że jego długa sierść kryje jeszcze więcej blizn.

Uśmiechnęła się i nagle spytała:

- Ty jesteś Tom, prawda? Kot Cole'a?

Kiedy zrobiła krok w jego stronę, kot zastrzygł uszami, pokazał pazury, wyprężył się bezszelestnie, a potem skoczył i znalazł się na metalowym pojemniku na śmieci. Zdumiona Remy patrzyła, jak czarny kot wdrapuje się na starą drewnianą bramę. Robił to z zaciekłością, której mógłby mu pozazdrościć każdy alpinista.

Czy to rzeczywiście kot Cole'a? Przecież Cole mieszka w Dzielnicy, prawda? Była niemal pewna, że jej to powiedział. Poza tym w pamięci zachowała niejasne wspomnienie, że jego mieszkanie znajduje się gdzieś tu, na St. Ann. Popatrzyła jeszcze raz na starą bramę, za którą zniknął kot. Czyżby to ten dom...?

Kilka stóp dalej ujrzała odnowione drzwi, którymi wchodziło się do środka. Remy wahała się chwilę, a potem je otworzyła. Zobaczyła rozległy, chłodny korytarz, a na jego końcu przeszklone drzwi z okratowanymi dla bezpieczeństwa szybami. Po prawej stronie był ślimak klatki schodowej prowadzącej na piętro.

Kiedy weszła do holu, zauważyła rząd skrzynek pocztowych. Zatrzymała się i popatrzyła na pierwszą z nich, tę, na której widniał numer „1A” i zamazany napis: „C. Buchanan”. Zawahała się znowu i ruszyła do drzwi znajdujących się z boku, przy końcu korytarza.

Nie było przy nich dzwonka, tylko potężna mosiężna kołatka, ozdobiona łbem ryczącego lwa, z ciężkim pierścieniem zwisającym mu z pyska. Przyglądała jej się przez dłuższą chwilę, a potem sięgnęła ręką. Jakby wiedzione własną wolą jej palce wślizgnęły się do

paszczy lwa i dotknęły ukrytego w niej klucza. Kiedy włożyła klucz do zamka i przekręciła go, powiedziała sobie, że nie, nie wkracza na obcy teren. Chciała tylko sprawdzić, czy mieszkanie Cole'a wyda się jej znajome, czy odświeży jakieś wspomnienia.

Dobrze naoliwione zawiasy nie zaskrzypiały. Weszła i spokojnie zamknęła za sobą drzwi. Salon był urządzony typowo po męsku: ciężkie, solidne meble, szerokie miękkie kanapy i krzesła, szorstki tweed, gładka skóra, a wszystko w kolorach głębokiego brązu i spalonej czerwieni.

Remy spostrzegła oprawiony sztych wiszący na wysokości oczu na pomalowanej na cynamonowy kolor ścianie obok niej. Przedstawiał mecz bokserowski rozgrywający się na tle nieskalanego krajobrazu, z tłumem dobrze ubranych widzów stłoczonych dookoła ringu wyznaczonego na gołej ziemi; walczących otaczało istne morze cylindrów. Pośrodku ringu stało dwóch bokserów w obcisłych spodenkach. Obaj mieli przylizane włosy i patrzyli na siebie, przybrawszy staromodną postawę gotowości do walki. Wiedziała od razu, że jest to sztych, który przysłano Cole'owi tego dnia, kiedy przyszła do biura, żeby zaprosić go na lunch.

Przeszła się po pokoju, żeby obejrzeć inne sztychy. Jeden z nich, nad kominkiem, przedstawiał scenę polowania na lisa; jej wzrok przyciągnęła szkarłatna czerwień myśliwskich kurtek, które mieli na sobie jeźdźcy. A po prawej stronie, obok wejścia do korytarza, wisiał sztych Curriera i Ivesa przedstawiający wyścig zaprzęgów.

Korytarz. Prowadził do sypialni. Nagle oczyma duszy ujrzała złoty poblask mosiężnych ozdób na wspaniałym stalowym łożu, błękit porozrzucanej bielizny, męskie ubranie na komodzie i Cole'a leżącego wśród niebieskich poduszek, nagiego do pasa, z prześcieradłem wokół bioder.

Zamrugnęła gwałtownie oczyma, spojrzała w prawo i zdała sobie sprawę, że patrzy na drzwi w drugim końcu salonu. Co się za nimi kryło? Nie mogła sobie przypo-

mnieć. Powodowana ciekawością, przeszła przez pokój, pchnęła drzwi, a potem otworzyła je szerzej, by zobaczyć kuchnię z sosnowymi szafkami, podłogę z desek i lśniący rząd miedzianych garnków. W kącie znajdowała się mała stołowa alkowa z oknami wychodzącymi na podwórze.

Teraz przed jej oczyma przesuwało się coraz więcej obrazów, na początku zamazanych, później olśniewająco przejrzystych. Przepasany ścierką Cole stoi przy kuchence i miesza coś w miedzianym garnku, z którego unosi się para. Potem nadeszła ona, Remy. Stanęła u jego boku, dawała mu coś do spróbowania i mówiła: „Spróbuj”.

Cole opuścił głowę i pozwolił wsunąć sobie kasek do ust. „Mniamm... dobre” - powiedział z lekkim zdumieniem i szybko oblizał usta, delektując się kawałkiem kęsa. Potem, wciąż mieszając w garnku długą drewnianą łyżką, objął ją ramieniem, przyciągnął do siebie i przytulił.

„Mówiłam ci, że poradzę sobie w kuchni”. - Roześmiała się. „A potrafisz coś jeszcze?” - spytał, całując ją w czubek nosa. „Myślę, że równie dobrze potrafisz dać sobie radę z kucharzem”.

Nagle hałas, zgrzyt metalu o metal, stukot - coś zamazało obraz. Remy wybiegła z kuchni. Drzwi zatrzasnęły się za nią w przeciagu, bo ktoś otworzył drzwi wejściowe. W ich progu stanął Cole. Marynarka zsunęła mu się z ramienia, miał rozpięty kołnierzyk koszuli i rozluźniony krawat. Zobaczył ją i znieruchomiał z ręką na kluczu wciąż jeszcze tkwiącym w zamku. W jego szarych oczach zalśnił nagły blask, ożywiając zmęczoną twarz, ale zgasł tak szybko, jak się pojawił.

- Co ty tutaj robisz? - Napięcie w jego głosie sprawiło, że lekko zachrypnął.

- Tom myszkował na dworze, poznałam go. - Był równie zdenerwowany jak ona, czuła to. - Potem znalazłam klucz w paszczy lwa.

- Zawsze go tam dla ciebie zostawiałem. Zwykle przychodziłaś tu i czekałaś, aż wrócę z biura. - Nerwowo ruszał szczęką. - Nie wiesz nawet, ile razy w ciągu tych ostatnich tygodni pragnałem, byś tu na mnie czekała.

Usiłował zachowywać się sztywno i powściągliwie, ale z jego spojrzenia i z wyrazu twarzy biła surowość i ból, które sprawiły, że wyglądał... bezradnie jak dziecko.

- Powiedz, jakbyło między nami, Cole? - Zrobiła krok w jego stronę, zaraz jednak zatrzymała się, zdając sobie sprawę, że chce zachować pewien dystans. - Co myśmy właściwie robili? Dzieliliśmy coś więcej niż tylko łóżko, prawda?

- Prawda. - Odpowiedział krótko, jakby bał się powiedzieć coś więcej.

- Opowiedz mi o nas, Cole - nalegała. - Muszę wiedzieć, muszę coś sobie przypomnieć. Czy siedzieliśmy tu cały czas? Wychodziliśmy gdzieś? Dokąd? Co robiliśmy?

Odwrócił się, wyjął klucz z zamka i zatrzasnął drzwi.

- Czasami szliśmy do kuchni i wypróbowywaliśmy na sobie nasze kulinarne zdolności - odpowiedział z lekkim skrzywieniem warg. Podeszedł do obitego skórą fotela, powiesił na oparciu marynarkę, ściągnął krawat i położył go na niej.

- Czasami wychodziliśmy na kolację do jakiejś restauracji.

- Do której? Czy mieliśmy jakąś ulubioną knajpkę? - spytała, pragnąc bardziej szczegółowej odpowiedzi. Wcałe się nie zdziwiła, że ich wieczorne rozrywki ograniczały się do kolacji. Nowy Orlean to jedna wielka restauracja. Dla większości rdzennych mieszkańców jadanie poza domem nie było ani wstępem, ani dodatkową rozrywką, ale wydarzeniem samym w sobie, czymś, czego nie należało przyspieszać, czymś, czym się należało delektować.

- Mr. B, Cafe Sbisà, L'Eagles...

- L'Eagles była jedną z twoich ulubionych - przypomniała sobie, widząc oczyma duszy wnętrze małej, wytwornej restauracji z ciemnokoralowymi ścianami i wystrojem wnętrza w wiejskim stylu europejskim. - Zawsze twierdziłeś, że ją lubisz, bo podawali tam ciepłą fettucine z langustą, ale tak naprawdę chodziłeś tam, żeby podziwiać kolekcję starych sztychów.

Z jego twarzy zniknął wyraz obcości i promieniowała teraz ciepłem.

- Pewnie za jednym zamachem załatwiałem i jedno, i drugie.

- Dokąd jeszcze chodziliśmy?

- Od czasu do czasu jechaliśmy za miasto i jedliśmy w Garden Room w Commander's Palace albo gdzieś w Brigstons. A kiedy chcieliśmy zjeść dobrą fasolę z ryżem, szliśmy najczęściej do Mother's Restaurant na Poydras. No i oczywiście do Galatoire's.

- Tam, gdzie jedliśmy naszą pierwszą wspólną kolację - dodała z uśmiechem Remy.

- Tak. Chodziliśmy też na koncerty. Kiedy jedno z nas chciało zobaczyć, kto gra w Blue Room, chodziliśmy do Blue Room. Kiedy indziej szliśmy do Preservation Hall, żeby posłuchać jazzu. - Popatrzył na nią i lekki uśmiech złagodził linię jego ust - Po tym, jak pierwszy raz usłyszałaś trąbkę Kida Sheika, polubiłaś die-hard jazz.

Preservation Hall... Stary i odrapany budynek z otwartymi na oścież drzwiami. Nigdy ich nie zamykali, żeby nie sprofanowana elektroniką muzyka docierała na ulice St. Peter i Bourbon. Remyomalże słyszała dźwięki trąbki wibrujące w dusznej, zadymionej atmosferze starego klubu, chociaż widziała przecież twarz Cole'a. Czuła tę muzykę, pozwalała jej do Cole'a przemawiać, poruszyć go, unieść jak na fali. Ale kiedy chciała przypomnieć sobie coś więcej, obraz zaszedł gęstą mgłą.

Rozczarowana niepełnymi wspomnieniami, właściwie niewiele więcej niż ulotnymi wrażeniami, Remy zapytała o coś innego:

- A podczas weekendów? Czy robiliśmy wtedy coś specjalnego? Jeździliśmy gdzieś?

Spojrzał na nią tak, jakby się bał, że Remy zauważy wyraz zamyślenia w jego głębokich, szarych oczach.

- Ciągnęłaś mnie zawsze na targ staroci. Miałaś nadzieję, że pośród śmieci znajdziesz kiedyś prawdziwy skarb. A jeśli przeczytałaś gdzieś ogłoszenie o letniej aukcji w którejś z okolicznych parafii, koniecznie musieliśmy tam jechać. Zwłaszcza, jeżeli wśród sprzedawanych przedmiotów była porcelana.

- I kupowałam coś?

- Raz kupiłaś. Znalazłaś meissenowski wazonik, a potem czułaś się tak winna, że zapłaciłaś za niego tylko piętnaście dolarów, że wystawiłaś go na sprzedaż podczas aukcji dobroczynnej. Cóż, na ogół kończyło się tym, że to ja kupowałem.

- Statuetka konia - powiedziała nagle. - Pamiętam, figurka gipsowa pomalowana błyszczącą farbą, jak nagrody rozdawane podczas karnawału. - Ale przypomniała sobie coś więcej, coś, co kazało jej się przysunąć bliżej Cole'a. - Kiedy byłeś małym chłopcem, twój ojciec zabrał cię na karnawał i w jednej z bud wygrał dla ciebie takiego konia jak ten. Dlatego właśnie go kupiłeś, prawda? Z sentymentu.

- Tak, masz...

Ogarnęło ją uczucie, że zaraz, za chwilę przypomni sobie coś więcej i nie pozwoliła mu dokończyć.

- Robiliśmy w weekendy coś jeszcze, na pewno. Co to było?

Cole zmarszczył lekko brwi i zasępił się, jakby nie był pewien, co miała na myśli.

- Jeśli była brzydka pogoda, wypożyczaliśmy filmy wideo i oglądaliśmy je tutaj, u mnie.

Remy zrobiła krok w jego stronę.

- Jakie filmy?

- *Na wschód od Edenu* albo...

- *Na wybrzeżu* - przypomniała sobie, kiedy inna scena przemknęła jej przez głowę.

Wydarzyło się to w sobotnie listopadowe popołudnie, wilgotne i dżdżyste; deszcz uderzał o drzwi wychodzące na podwórko i spływał po szybkach. Siedzieli z Cole'em na kanapie naprzeciwko telewizora, spleceni ramionami, z nogami na stoliku do kawy, na którym stały butelki piwa Dixie i miseczka z prażoną kukurydzą.

Kiedy Cole wypuścił ją z objęć, żeby wstać i zmienić kasetę, dał jej pieszczotliwego klapsa w pupę. Odpowiedziała błyskawicznym kopniakiem i poderwała się na nogi. Przyjęła postawę, zaczęła podskakiwać na palcach, wymachiwać rękami jak bokser i wymierzać ciosy pięścią w ramię Cole'a.

- Co z tobą, stary? - drwiła. - Jestem dla ciebie za dobra?

Wymierzyła jeszcze dwa szybkie ciosy, które Cole odparował ręką. W jego szarych oczach błyskały wesołe iskierki.

- Zaraz będzie po tobie, dziecinko. Kiepsko pracujesz nogami.

- Kiepsko? - Odskoczyła do tyłu, głośno wypuszczając powietrze i potarła ręką nos. - Ty zgredzie jeden! Do pięt mi nie sięgasz! Jak cię zaraz obskoczę, to normalnie w kalendarz uderzysz - rzuciła, starając się naśladować niewyraźną wymowę slangu.

- Wiesz, mogłabyś chyba zagrać rolę Funny Girl.

- Ach tak? - Wzruszyła ramionami, znów podnosząc ręce do nosa. - Dlaczego bokserzy to robią? Czy ich wszystkich śwędzą nosy, czy co?

- A co byś robiła, gdybyś wiedziała, że w każdej chwili możesz oberwać? - Jego ręka prześlizgnęła się między jej gardą i zręcznie dotknęła koniuszka nosa. - Chodź tutaj, głupciu.

Kiedy objął ją ramionami, Remy usiłowała się opierać i protestować.

- Klinczować nie wolno!

- A znasz lepszy sposób, żeby wyczuć przeciwnika?

- Chyba wymacać - poprawiła tonem rozbawionej nagany, gdy objął dłońmi jej pośladki. - A może nazywają to sięganiem poniżej pasa?

- Już raczej ciosami poniżej pasa.

- Ciosami? Takimi? - Uderzyła go w podbrzusze.

Zgiął się w pół, bardziej zdziwiony niż rozsierdzony.

- Teraz się doigrałaś!

Kiedy ją złapał i przyciągnął do siebie, uśmiechała się tylko, ale sekundę później zaśmiewała się z całych sił.

- Nie, nie! Nie łaskocz mnie! Tylko nie to! Nie!

Skრęcając się ze śmiechu, wyginała się i wyslizgiwała, chcąc uciec od podszczypujących ją palców, lecz nie zdołała, i zbyt słaba, żeby utrzymać się na nogach, upadła na ciemnobezowy wełniany dywan z długim

włosem. Tarzali się po podłodze dopóty, dopóki omal nie straciła oddechu.

- Zostaw mnie! Poddaję się! - jęczała pomiędzy atakami śmiechu. - Wujku! Wujku, na pomoc! - Zlitował się nad nią i przestał. Zachłysnęła się powietrzem, pompując w siebie haust za haustem. Odpoczywała leżąc, coraz bardziej świadoma ciężaru jego nóg splecionych z jej nogami, ciężaru ramienia, które opierał na jej ciele. Spojrzała na niego i rzuciła oskarżycielsko:

- Nie walczysz fair.

- A kto tu walczył? - odparował łagodnie. - Rozłożyłaś mnie na deski już całe tygodnie temu.

Na tę prostą deklarację, tak otwartą i bezpośrednią, zaparło jej dech w piersiach. Podniosła rękę, żeby przeciągnąć nią po jego gęstych włosach.

- Czy jesteś tak samo szczęśliwy jak ja, Cole?

Wesołe iskierki igrające w jego szarych oczach zniknęły bez śladu. Cole nagle spowaźniał.

- Za każdym razem, kiedy wchodzisz do pokoju, Remy, za każdym razem, kiedy cię widzę... - wahał się chwilę, szukając słów - ...sprawiasz, że moje serce się uśmiecha.

- Ze mną jest to samo - odrzekła, bo opisał jej własne uczucie, jej własne szczęście, szczęście, które ogarniało ją za każdym razem, kiedy go widziała. Sunęła palcem wzdłuż jego policzka do ust.

- Kim ona była, Cole? Ta, która cię tak zraniła, ta, przez którą myślisz, że i ja mogłabym cię zranić? - Poczowała, jak tężeją mu mięśnie. Chciał się od niej odsunąć, fizycznie i psychicznie, więc położyła mu rękę na karku i przytrzymała.

- Byłeś w niej zakochany, prawda?

- Miałem dziewiętnaście lat. Byłem zakochany w obrazie, jaki sam sobie namalowałem.

Zignorowała zwięzłość odpowiedzi, czując, że ukrywa pod nią starą ranę.

- Opowiedz mi o niej, Cole.

- Tu nie ma nic do opowiadania. - Tym razem udało mu się odsunąć i uisnąć plecami do niej.

- Myślę, że jest - Także usiadła, ale nie próbowała go dotknąć. - Jak żeście się poznali?

Długo milczał i myślała, że jednak nie zechce o tym mówić, ale w końcu wydusił z siebie pierwsze słowa. Szło mu ciężko, opornie.

- Lubiła się boksować. Ciosy, krew, ciała ociekające potem. Dla niej było to prymitywne i ekscytujące. Kiedyś widziała, jak walczyłem. Później czekała na mnie. Miała taką klasę, jak nikt, kogo przedtem spotkałem. Myślę, że to mnie zaślepiło.

- Zaczęliście się widywać - powiedziała Remy spokojnie, usiłując skłonić go, żeby mówił dalej.

- Nie tak często. Chodziłem do *college'u*, poza tym miałem pracę, żeby za ten *college* zapłacić. No i bokso- wałem się na boku, żeby trochę zarobić. Nie miałem czasu na randki. Najczęściej było tak, że przychodziła na trening, żeby na mnie popatrzeć. Potem szliśmy gdzieś na piwo. Błąd: to ja piłem piwo, ona piła wino. Nie miałem forsy, żeby ją zabrać na kolację do Antoine'a, ale zdawało się, że ma to gdzieś. Wystarczało, że byliśmy razem, a przynajmniej tak wtedy myślałem.

- Ale dowiedziałeś się, że było inaczej, prawda? - odgadła Remy. - W jaki sposób?

- Zrobiłem błąd i pewnego popołudnia poszedłem ją odwiedzić. To była jedna z tych niewielkich posiadłości na górze koło Audubon Park - dodał z czymś więcej niż śladem sarkazmu w głosie i znowu zamilkł. - Ten szok na jej twarzy, kiedy zobaczyła mnie w foyer... Nigdy tego nie zapomnę. Ani wybuchu złości zaraz potem. Pamiętam, powiedziała: „Jak śmiesz kompromitować mnie przychodząc do mego domu!” Na twarzy miałem chyba wszystkie odcienie czerwieni, jakie tylko istnieją. Wyszedłem. - Odrzucił głowę do tyłu i popatrzył na sufit. - To śmieszne, ale tym, co mnie najbardziej zabolalo, było to, że opowiedziałem jej o moim ojcu. Nigdy przedtem nie byłem w stanie o tym rozmawiać, z nikim. Ja... - urwał i zwiesił głowę.

- O twoim ojcu? - spytała zaciekawiona. - Umarł, kiedy miałeś osiem lat tak mówiłeś.

- Zgadza się - rzucił.

- W jaki sposób?

Odwrócił głowę i popatrzył na nią z jakimś twardym i bezlitosnym błyskiem w oku.

- W czołowym zderzeniu z innym samochodem. Tym drugim samochodem kierował przyszły senator naszego stanu, facet z twojej dzielnicy. Był bardzo szanowany i bardzo pijany.

Remy odetchnęła głębiej, zdając sobie sprawę, że doskonale wie, o kogo mu chodzi. Senator był jednym z najbliższych przyjaciół jej dziadka, był człowiekiem, którego kariera polityczna została przerwana przez wypadek samochodowy, w wyniku którego został sparaliżowany. Jako dziecko słyszała tę historię kilkanaście razy.

- Ale mówiono mi zawsze, że...

- Że to mój ojciec był pijany, co? - dokończył Cole.
- Kłamstwo. Wiem, bo tam byłem.

- Ty... ty byłeś w tym samochodzie?

- Tak.

Patrzyła na niego, pamiętając szok, panikę, przerażenie, które czuła tamtego dnia nad jeziorem, kiedy ujrzała, jak motorówka jej narzeczonego, Nicka Austina, nagle się wywraca. Czekąca z sercem w gardle, modląc się, żeby wypłynął na powierzchnię, żeby jej pomachał, żeby wszystko było w porządku. Czekąca na próżno. I zaczęły się poszukiwania, poszukiwania, które trwały przez całe godziny, zanim znaleziono ciało. Szok spowodowany obecnością przy wypadku, nagłe olśnienie, że ludzkie życie jest tak kruche, tak niepewne - miała wiele kłopotów, żeby przyjść do siebie. Między innymi właśnie to sprowadziło ją z powrotem do rodzinnego domu, do solidności i bezpieczeństwa, jakie reprezentował. To było trzy lata temu. Miała wtedy dwadzieścia cztery lata. O ileż cięższa musiała być utrata kogoś, kogo się kocha w wieku lat ośmiu.

- Cole... - szepnęła, czując ciężar i ból, którego musiał doświadczyć.

- Zabrał mnie do ZOO. Matka pracowała. Nie mogła iść z nami. Wracaliśmy już do domu. Zaczął padać

deszcz. Nagle tuż przed nami zabłyśnięło światło. Pamiętam, że mój ojciec coś krzyknął. Potem objął mnie ramieniem i wypchnął na tylne siedzenie. Usłyszałem straszny hałas, brzęk tłuczonego szkła i zgrzyt gnieczonego metalu... - Wciągnął głęboko powietrze. - Ojciec leżał na moich kolanach i wszędzie było pełno krwi. Wiedziałem, że potrzebuje pomocy, ale nie mogłem otworzyć drzwi i w końcu musiałem wydostać się przez okno. Przyjechała policja. Uczepiłem się jednego z gliniarzy i przyciągnąłem go do samochodu, żeby pomógł ojcu. Wtedy ten drugi policjant zawołał do niego: „Chryste, Hudson, chodź tutaj! Szybko! Nie uwierzysz, kto prowadzi drugi samochód!” Policjant chwycił mnie za rękę, wetknął w nią zakrwawioną chusteczkę i kazał mi ją trzymać przy szyi ojca, żeby się nie wykrwawił. Pamiętam, jak jeden z nich powiedział: „Mój Boże, to senator”, a drugi dodał: „Taaa... i pijany jak bela”. Później, pamiętam tylko, że płakałem. Płakałem i przyciskałem tę chusteczkę do szyi ojca, ale on wciąż krwawił. Miałem krew na rękach... na ramionach... Byłem za mały, nie umiałem tego robić, a oni nie przyszli, żeby mi pomóc. Byli zbyt zajęci ratowaniem senatora.

I Remy już wiedziała, że razem z życiem senatora ocalili jego reputację, zrzucając całą winę na drugiego kierowcę. Na tego, który nie żył, więc nie mógł temu zaprzeczyć.

Nie powiedziała nic. Po prostu objęła Cole'a i trzymała go mocno.

Przeżywając tę scenę w myślach, Remy jeszcze raz odczuła ten sam ból. Westchnęła głęboko i stwierdziła, że ścisła oparcie kanapy. Kiedy podniosła głowę, jej spojrzenie padło na czarny ekran telewizora. Nagle zeszytniała.

- Kiedyś oglądaliśmy razem telewizję, ale to nie był... To nie był film. - Zmarszczyła brwi, starając się coś sobie przypomnieć. Odwróciła się do Cole'a i raptem, ku własnemu zdziwieniu... - To byłeś ty! Lokalna stacja telewizyjna przeprowadzała z tobą wywiad! Dlaczego?

Poczekaj! - Przerwała i uśmiechnęła się. - Tak, z okazji dorocznego przyjęcia na Boże Narodzenie dla pracowników firmy. Zorganizowałeś je na jakimś statku. Na wszystkich pokładach paliły się lampki choinkowe. To było tak niezwykle, że ci z telewizji wysłali tam reporterów.

Remy odwróciła się i jeszcze raz popatrzyła na telewizor, widząc w pamięci ten wywiad. Cole stał na pokładzie ubrany w granatowy sweter, a wiatr bawił się kosmykami jego włosów. Kamera łagodziła jego twarde rysy, nadając im wyraz spokojny, ale pełen charakteru.

- To jest naprawdę świąteczne, po prostu bajkowe, panie Buchanan - zagaiła reporterka, atrakcyjna Murzynka. - Jak pan wpadł na pomysł, żeby urządzić bożonarodzeniowe przyjęcie na pokładzie statku?

Cole posłał jej jeden ze swoich rzadkich uśmiechów.

- W naszym mieście jest tak dużo różnych atrakcji, że łatwo o coś zapominać: otóż port w Nowym Orleanie jest pod względem aktywności drugim portem po Nowym Jorku. A tonażem eksportu Nowy Jork nawet przewyższamy, i to już od dawna. Od prawie stu pięćdziesięciu lat, od chwili założenia firmy, nasze Towarzystwo szczyli się faktem, że to właśnie Nowy Orlean jest siedzibą biur Crescent Line. Statki, fracht - tym się zawsze zajmowaliśmy. Ale kiedy człowiek spędza większość czasu w biurze, za biurkiem, łatwo o tym zapomina. I właśnie ostatnio zdałem sobie sprawę, jak wielu z naszych pracowników, nie wspomnę już o ich rodzinach, nigdy nie postawiło stopy na pokładzie żadnego z naszych statków. Kiedy nadeszła pora, żeby zaplanować nasze tegoroczne przyjęcie bożonarodzeniowe, pomyślałem sobie, że to znakomita okazja, żeby naprawić ten stan rzeczy i przypomnieć ludziom, że Crescent Line to właśnie przede wszystkim statki.

- Mniej więcej trzy tygodnie temu stracił pan jeden z nich. Czy to miało jakiś wpływ na pańską decyzję?

- To prawda. Jeden z naszych tankowców zatonął w Zatoce podczas sztormu. Na szczęście bez żadnych strat w ludziach i bez żadnej szkody dla środowiska.

Znaczy to, że w tym świątecznym okresie mamy jeszcze jeden powód do radości.

Na tym reporterka zakończyła wywiad, a Remy wróciła na kanapę, żeby pogratulować Cole'owi.

- Doskonale jej odpowiedziałeś. Ajak zręcznie zachwalałeś nasz port i jak sprytnie zareklamowałeś przy tym Towarzystwo! A ja zawsze myślałam, że to wujek Marc jest ekspertem od rozmów z prasą. Ale wcale nie wiem, czy mi się podobało, jak flirtowałeś z tą reporterką.

- Nie flirtowałem, najwyżej byłem dla niej miły - odparł z lekkim uśmiechem. - W każdym interesie jest czas, żeby odbijać piętckę twardo i czas, żeby ją odbijać miękko.

- Ze mną nigdy nie odbijasz jej miękko - odparła z nutką skargi w głosie.

- I o to chodzi. Przy tobie zawsze jestem... twardy - odpowiedział, a błysk w jego oczach wyjaśniał wszystko.

- Wcale nie to miałam na myśli! - zaprotestowała.

Remy nie mogła sobie przypomnieć, co zdarzyło się potem, lecz nietrudno było się domyślić. Ale to nie miało teraz znaczenia. Teraz pamięć kazała jej zastanawiać się nad czymś innym.

- Czy spędziliśmy razem Święta?

- Wigilię - odpowiedział Cole.

- Co robiliśmy? - Podeszła bliżej.

- Pojechaliśmy do parafii St. James i patrzyliśmy, jak zapalają ognie na przystani.

- Żeby oświetlić drogę dla Papy Noela... - wtrąciła Remy, przypominając sobie tradycję, zainicjowaną przez pierwszych osadników na tych terenach, którzy rozpalali gigantyczne ogniska wzdłuż Missisipi, żeby pomóc Świętemu Mikołajowi znaleźć drogę do ich nowych domów. Uśmiechnęła się do siebie, przypominając sobie małego chłopca, nie więcej niż siedmioletniego, który kpił z tego zwyczaju.

- Czyżbyś nie wierzył w Świętego Mikołaja? - zapytał Cole.

- Nie! - odpowiedział chłopiec wojowniczo.

Cole ukucnął.

- To nic nie szkodzi, bo widzisz, Święty Mikołaj nadal wierzy w ciebie. Zawsze będzie wierzył.

Kiedy Cole wstał, chłopiec zapytał głośno:

- Pan w niego ciągle wierzy, prawda?

- Oczywiście - odpowiedział z całkowicie poważną twarzą. I Remy podejrzewała, że naprawdę wierzył.

Zorientowawszy się, że Cole do niej mówi, Remy zmusiła się, żeby wrócić do teraźniejszości.

- ...do domu, wymieniliśmy prezenty, a potem poszliśmy razem na pasterkę.

- Co od ciebie dostałam? - Miała wrażenie, że było to coś specjalnego.

- Starą broszkę.

Remy zamyśliła się, przekonana, że wiązały się z nią jakieś uczucia.

- Czy należała do twojej matki?

- Do mojej babki.

Westchnęła i nieświadomie przycisnęła rękę do szyi.

- To była broszka z topazem, prawda?

Jeszcze zanim zdążyła to powiedzieć, Cole skinął potakująco głową. Wiedziała, że tę właśnie broszkę miała na sobie pamiętnej nocy w Nicei.

- Cole, dlaczego z sobą zerwaliśmy? O co żeśmy się pokłócili? - Nagle musiała się tego dowiedzieć.

- O to samo, o co zawsze: o twoją rodzinę, o ich niszczącą chciwość. - Urwał. Na jego twarzy wykwitł ironiczny uśmiech. - No i widzisz? Spójrz tylko na siebie. Od razu jesteś rozdrażniona.

Fakt. Nawet nie próbowała ukryć złości, którą wzbudziły jego słowa.

- A czego się spodziewałeś, Cole? To ostatecznie moja rodzina.

- I znowu jesteśmy w impasie - zauważył.

- Tam, w hotelu w Nicei, nie zachowywałeś się w ten sposób. Dlaczego? Dlaczego się zmieniłeś, od kiedy wróciliśmy? Dziś rano, w dokach, i później, w biurze. Jakbyś chciał mnie od siebie odepchnąć. Dlaczego?

Przyglądał się jej chwilę w milczeniu.

- Wczoraj w nocy, na lotnisku, kiedy zobaczyłem cię znowu z rodziną, zdałem sobie sprawę, że nigdy nie kochałaś mnie na tyle, żeby mi wierzyć i ufać bardziej niż im.

- Jak możesz tak mówić?! Kocham cię.

- Tak, na swój bardzo specyficzny sposób.

Zamknęła mu usta ręką, nie chcąc, by mówił dalej.

- To nieprawda. Po prostu cię kocham.

Odsunął jej rękę i mocno uściśnął.

- Remy, nie rób tak, żeby to jeszcze bardziej bolało. Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym ci wierzyć.

- Przecież możesz - powiedziała z naciskiem. - Tamtej nocy w Nicei, kiedy to się wydarzyło, miałam na sobie broszkę, którą dostałam od ciebie. Nie rozumiesz? Nie nosiłabym jej, gdybym wciąż była na ciebie zła, gdybym nie chciała, żebyśmy znowu byli razem.

Z ciężkim westchnieniem przyciągnął ją do siebie. Gdy jego usta przycisnęły się do jej ust, a jego język wcisnął się między jej wargi, Remy zrozumiała, że od chwili, kiedy znaleźli się w pokoju hotelowym w Nicei, nie zmieniło się nic, poczuła ten sam bezmierny szok, to samo zaspokojenie głębokiej potrzeby.

W sypialni rozebrał ją. Nie pozwoliłby jej sobie pomóc, chciał to robić sam. Rozbierał ją powoli, stopniowo, dotykając jej i pieszcząc. Była piękna. Miała wysokie, jędrne piersi, które idealnie mieściły się mu w dłoni, krągłe biodra, smukłe uda i nogi z jedwabistymi krągłościami i ciepłe, delikatnie miękkie ciało. Patrzył na nią, na złociste iskierki w jej piwnych oczach i w ich głębi ujrzął jasny płomień miłości.

Sięgnął w dół, odsunął niebieską narzutę w paski i prześcieradło, a potem podniósł ją i ułożył delikatnie pośrodku łóżka. Cofnął się i rozebrał, a ona patrzyła na niego z wpeł przymkniętymi oczami, podpierając się na łokciach. Miał wspaniałe ciało, muskularne, silne, ale wiedziała o tym od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyła. Opadła na poduszki widząc, jak oczy ciemnieją mu

z pożądaną, jak odkrywa przed nią swoją dumnie wyprężoną nagość.

Dotknął kolanem łóżka i materac ugiął się pod jego ciężarem. Pocałował ją w brzuch i odniosła dojmujące wrażenie, że pocałunek wnika w jej wnętrze. Wyciągnęła ręce i przytuliła go. Ułożył się koło niej i przywarł ustami do jej warg.

Miał zamiar być delikatny, całować ją namiętnie i słodko, lecz zbyt długo jej nie miał, był zbyt wygłodniały, zbyt jej spragniony. Zaczął ją całować w policzek, potem w szyję, a wokół unosił się zapach jej kobiecości. Raz jeszcze odnalazł ustami jej wargi, które dawały, szukały i przyjmowały głębokie pieszczoty jego języka.

Popychany pragnieniem, żeby całować, żeby dotykać i smakować, przycisnął ją do siebie obiema rękami, oplótł nogami, i potoczyli się razem po łóżku. Jej brzuch przyciskał się do jego brzucha, jej piersi napierały na jego pierś. Słodki aromat kobiety i słodki jej smak oszołomiły go.

Wsunął rękę w jej włosy. Uwielbiał ich jedwabisty dotyk, ich jedwabistą długość i ulotny zapach kwiatów, jaki się z nich sączył. Głaskał jej ciało, obejmował dłońmi piersi i muskał delikatne płatki kwiatu jej ciała, dopóki nie wygięła się w łuk pod pieszczotą jego zwinnych palców. Całował jej piersi, ssąc je i delikatnie ujmując zębami, aż zaczęła się pod nim wić, aż jej palce zacisnęły się na jego włosach, by go mocniej przytrzymać. Sięgnęła w dół i zaczęła go pieścić, delikatnie ściskając i obejmując jego męskość. Wydał głęboki pomruk rozkoszy.

- Kochaj mnie, Cole... - szepnęła mu do ucha.

Zadrgał mu policzek. Czuł, że nie zniesie tego dłużej, i wszedł w nią, najgłębiej jak mógł, zatapiając się w niej bez reszty. Chciał kochać się z nią powoli, długo, chciał, żeby znów należała do niego, żeby tym razem chwila ta trwała wiecznie. Oparł się na łokciach, mięśnie mu zadrżały, gdy usiłował się powstrzymać, ale Remy wyprężyła się i przylgnęła do niego jeszcze mocniej. Nie

chciała, by się powstrzymywał, pragnęła go, pragnęła go ze wszystkich sił.

Znów się w niej zatopił, jego ruchy stawały się coraz szybsze i szybsze. Pożądanie nasilało się i rosło, aż wreszcie eksplodowało, rozsiewając ich na tysiące rozpalonych do białości odczuć.

21

Remy wślizgnęła się w jedwabną marynarkę w kolorowy deseń i zapięła jedyny guzik. Rzuciła okiem na Cole'a, na wpół przykrytego jasnoniebieskim prześcieradłem. Drzemał, a jego pierś unosiła się lekko i opadała. Remy uśmiechnęła się, wciąż czując w środku jego ciepło, wiedząc, że kochał ją szczerze i mocno. Podeszła do łóżka, usiadła na brzegu materaca i nachyliła się powoli nad kochankiem, by wytrącić go z drzemki. Przytuliła głowę do jego głowy i leciutko, delikatnie dmuchnęła mu w ucho.

- Znowu na mnie zasnąłeś - szepnęła czując, że już się ocknął.

Ogarnął ją ramieniem i pod jego dotykiem jedwabna marynarka ześlizgnęła się po jej bluzce.

Nagle znieruchomiał.

- A to co? - Obrócił do niej twarz, znajdując wzrokiem kącik jej ust. - Co ty robisz ubrana? Przecież nie zrozebrałem cię po to, żebyś się znowu ubierała.

- Wiem. - Czubkiem języka musnęła mu wargi. Zaczął ją całować, pieścić najpierw jedną, potem drugą ręką.

- Muszę iść, Cole...

- Och nie, nie musisz - zaprzeczył leniwie i przytulił ją mocniej. - Zostaniesz tu ze mną... w moich ramionach... w moim łóżku. - Zaznaczał każdą pauzę, skubiąc ją delikatnie w szyję.

- Bardzo bym chciała. - Zamknęła oczy, gorąco pragnąc znów zdjąć ubranie i leć koło niego. - A le nie mogę.

- Wzdychając z żalem, położyła mu ręce na piersi, opierając się na niej i lekko unosząc. - O czwartej trzydzieści mam spotkanie z Gabe'em, a już dochodzi czwarta.

- W czym problem? - Położył jej rękę na biodrze, mnąc granatową wełnianą spódnicę. - Zadzwoń do niego i powiedz, że nie zdązysz. Powiedz mu, że coś ci... stanęło na przeszkodzie. To zresztą prawda - dodał figlarnie, wyciągając szyję, żeby zerknąć na wyraźne wybrzuszenie rysujące się pod prześcieradłem na wysokości jego bioder.

Remy podażyła za jego wzrokiem i uśmiechnęła się kpiąco.

- Powiadają, że co idzie w górę, musi kiedyś opaść.

- Mnie interesuje tylko pierwsza część powiedzonka.

- Raz ci nie wystarczy, co? - rzuciła udając, że tego nie pochwała.

- Nie z tobą. Co widać na załączonym obrazku.

Wiedziała, co ma na myśli. Niezależnie od tego, jak dobrze znali się ich ciała, wydawało się, że nie wyczerpali jeszcze zapasu tajemnic, które odkrywali za każdym razem, kiedy się kochali.

- Naprawdę muszę spotkać się z Gabe'em - powiedziała powściągliwie.

Szare oczy Cole'a straciły całą wesołość. Były teraz ciemne, proszące.

- Zostań ze mną, Remy.

- To mój pierwszy wieczór po powrocie. Muszę spędzić trochę czasu z rodziną.

Ręce Cole'a przestały wędrować po jej ciele. Trzymały ją tylko.

- Wracasz do formy, Remy. Amnezja, nie amnezja, rodzinę stawiasz zawsze na pierwszym miejscu.

- Nie kłóćmy się o to - poprosiła, słysząc twardą nutę w jego głosie.

- Masz rację. I tak by to niczego nie dało - odrzekł cierpko i zmusił się do uśmiechu.

Jeszcze jeden pocałunek, kilka czułych słów i wyszła, zabierając po drodze torebkę z salonu.

Na chodniku przed domem wciągnęła głęboko powietrze, wdychając setki zapachów, jakie unosiły się w

dzielnicy od wieków. Ukośne promienie słońca padały na stare budynki, barwiąc je na złotawo. To był wspaniały, absolutnie wspaniały dzień - stwierdziła i zaczęła iść.

Kiedy skręciła w Bourbon Street, ktoś chwycił ją nagle za łokieć. Reagując instynktownie, Remy ścisnęła mocniej torebkę i podejrzewając, że ma do czynienia ze złodziejem, miał się wyrwać, ze wszystkich sił grzmotnęła go w pierś. Pięść zetknęła się z czymś twardym. Zaskoczony napastnik wydał z siebie stłumiony jęk i zwolnił uścisk. Wyszarpnęła ramię i w tym samym momencie kątem oka dostrzegła mocno posiwiałą brodę. Stał przed nią ten sam człowiek, którego najpierw widziała w samochodzie przed domem, a później w muzeum!

Obróciła się.

- Kim pan jest? Czego pan ode mnie chce? Dlaczego pan za mną chodzi?

Zarejestrowała naraz z tuzin różnych wrażeń: starannie przystrzyżoną brodę, mocno już posiwiałą, która zakrywała grubą szyję, zwartą budowę jego ciała z silnymi ramionami i klatką piersiową dominującą nad wąskimi, chłopięcymi biodrami, przenikliwość jasnoniebieskich oczu, które natychmiast przypomniały jej inspektora Armanda.

- To ja będę zadawał pytania, jeśli pani pozwoli, panno Jardin - powiedział bez cienia uśmiechu. - Bo mam przyjemność z Remy Jardin, prawda? Zdaje się, że to panią widziałem dziś rano na balkonie.

- Powtarzam, kim pan jest?

- Howard Hanks. - Dwoma palcami wyjął wizytówkę z kieszeni na piersiach marynarki i podał ją Remy.

Rzuciła na nią okiem, a potem na portfel, który otworzył, żeby pokazać jej dokumenty. Przeczytała, że jest licencjonowanym prywatnym detektywem i pracuje dla jakiegoś towarzystwa ubezpieczeniowego.

Przyglądała się wizytówce, czując dziwny i nieprzyjemny ucisk w brzuchu. Dzwonki alarmowe rozbrzmiewające jej w głowie ostrzegały, żeby nic nie mówić. To

szaleństwo, przecież nawet nie wiedziała, czego on od niej chce. Czegokolwiek by nie chciał, dlaczego wciąż czuła, że musi ukryć jakąś informację? Tylko jaką?

Nie wiedziała, jak się zachować. Wzięła wizytówkę, zyskując na czasie.

- Czy zawsze zaczepia pan ludzi na ulicy, panie Hanks? - spytała.

- Tylko tych, którzy nie chcą się ze mną spotkać, tych, którzy nie odpowiadają na telefony i tych, którzy twierdzą, że są niedysponowani, kiedy przychodzę ich odwiedzić. - Zrobił gest w stronę wejścia do najbliższego baru. Na palcu lewej ręki załśnił złoty sygnet. - Czy mogę zaprosić panią na drinka albo na filiżankę kawy?

Zawahała się.

- O wpół do piątej jestem umówiona.

- To nie zabierze nam zbyt dużo czasu.

- No dobrze. Wobec tego chodźmy na kawę. - Przyjęła zaproszenie nie dlatego, że w głosie mężczyzny usłyszała coś, co ostrzegało ją przed odmową, ale raczej dlatego, że musiała dowiedzieć się, o co mu chodzi, że musiała zrozumieć, dlaczego wciąż odnosi wrażenie, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo.

Kiedy wchodziła do baru przed detektywem, jej niskie obcasy zastukały na brudnej, drewnianej podłodze. W barze śmierdziało piwem, whisky i niedopałkami papierosów. Bar był tani, obskurny i pozbawiony jakiegokolwiek klasy. Ściany miał brudne od dymu, na okrągłych drewnianych stolikach widniały wryte nożami inicjały i daty, krzesła z wysokimi, twardymi oparciami wyglądały solidnie, lecz tandetnie, a warstwy brudu na starej ladzie ukrywały najprawdopodobniej mahoń.

Remy podeszła do stolika w rogu i usiadła tyłem do okna wychodzącego na budynek, gdzie mieściło się mieszkanie Cole'a. Patrzyła na Bourbon Street. Brodaty Howard Hanks usiadł naprzeciwko, na krzesło, które zajmował przed chwilą inny gość.

Podniósł w górę dwa palce, dając znak kelnerowi.

- Kawa.

Położyła torebkę na stole i splotła na niej rękę.

- Dla pańskiej informacji, panie Hanks. Do wczoraj byłam poza krajem, więc nie mogłam unikać pańskich telefonów, jak pan sugeruje. Po prostu nie było mnie, więc nie mogłam ich przyjąć. Jestem pewna, że powiedziano to panu.

Remy nie chciała mówić, że nikt jej nie wspominał o żadnych telefonach. Mogła się tylko domyślać, że po tym całym zamieszaniu, po uldze, jaką wszyscy odczuli, kiedy wróciła do domu, nikt o nich nie pamiętał. A jeśli chodzi o dzisiejszy ranek, możliwe, że kiedy chciał się z nią widzieć, była pod prysznicem. Matka mogła słyszeć, że Remy bierze prysznic i powiedziała Hanksowi, że jej nie ma. Spyta o to Nattie, Nattie będzie wiedziała. Ale jeśli tak, w dalszym ciągu nie rozumiała, dlaczego nie poinformowano jej, że ktoś się chciał z nią widzieć.

- Owszem, powiedziano mi, że była pani we Francji, ale wszyscy mówili nader ogólnikowo i nie wiem, co tam pani właściwie robiła.

Mogła mu powiedzieć, że nikt chyba tego nie wie, ale nie chciała wracać do sprawy szpitala i amnezji. Kelner przyniósł kawę. Kiedy postawił przed nimi dwie filiżanki, Remy odsunęła torebkę.

- Śmietanka czy cukier? - zapytał Hanks, podnosząc rękę, żeby zatrzymać kelnera.

- Ani jedno, ani drugie, dziękuję - odpowiedziała, patrząc na kelnera, który natychmiast wrócił za barową ladę. - Powiedział pan, że chciałby pan mi zadać kilka pytań, panie Hanks. O co chodzi?

- O zatonięcie *Dragona*.

Dragon... Już słyszała tę nazwę. Marc Jardin wspominał o nim dziś rano na werandzie. Co on takiego powiedział...? Coś na temat gróźb towarzystwa ubezpieczeniowego, że rozpowszechni historię *Dragona*. Kiedy zapytała go o to, wuj stwierdził, że to typowy spór z towarzystwem ubezpieczeniowym dotyczący odszkodowania, które chcieli uzyskać. Ale przecież wtedy, na przystani, Cole wskazał na jakiś kontenerowiec i powiedział, że utrata *Dragona* była szczęściem w nieszczęściu, i że wykorzystał pieniądze z ubezpieczenia na kupno

tego statku. Czy więc towarzystwo ubezpieczeniowe zapłaciło odszkodowanie czy nie?

- A o co chodzi? - spytała i upiła łyk kawy.

- Co pani wie na ten temat?

- Dlaczego powinnam coś wiedzieć?

- Jest pani jednym z dyrektorów Crescent Line, prawda, panno Jardin?

- Owszem.

- Więc proszę mi powiedzieć, co pani wie.

- O czym?

Rzucił jej spojrzenie, które było jednocześnie tolerancyjne i kwaśno rozbawione.

- Proszę pani, niech pani oszczędzi nam obojgu tych wstępów. Wiem, że skończyła pani Newcomb College, że ma pani dyplom z wyróżnieniem.

- Jeżeli aż tak mnie pan sprawdził, panie Hanks, to przecież powinien pan wiedzieć, że moja rola jako dyrektora Towarzystwa jest raczej formalna. Wiem bardzo mało na temat interesów Towarzystwa. Po prostu nigdy nie chciałam angażować się w rodzinne interesy.

- Innymi słowy chce pani, bym uwierzył, że pani nic nie wie na temat *Dragona*. - Sceptycyzm w jego głosie był tak gęsty jak mgła nad rzeką.

- Wiem, że straciliśmy statek i wiem również, że towarzystwo ubezpieczeniowe robi trudności z wypłaceniem odszkodowania.

- A czy pani nie robiłaby takich trudności, gdyby dowiedziała się pani, że ktoś zadeklarował nie istniejący towar i umyślnie zatopił kontenerowiec na pełnym morzu, żeby ten fakt ukryć?

Zdumiona tak poważnym oskarżeniem zaczęła się bronić.

- To śmieszne. Dlaczego ktoś miałby coś takiego robić?

- Naprawdę śmieszne? A nie chciałyby pani zarobić dwukrotnie na tym samym towarze?

- Jak to dwukrotnie? - Zmarszczyła brwi i udała zmieszanie, podczas gdy gorączkowo myślała nad znaczeniem tego, co usłyszała. - Mam wrażenie, że się gubię, panie Hanks. O co dokładnie panu chodzi?

- O to, panno Jardin, że tankowiec był pusty, kiedy zatonął. W którymś punkcie trasy między Nowym Orleanem, gdzie go załadowano a miejscem zatonięcia w Zatoce Meksykańskiej ropa została po prostu wypompowana. Kiedy tankowiec znalazł się w strefie sztormu, a sztorm taki zapowiadano, zatopiono go, najprawdopodobniej za pomocą umiejętnie rozmieszczonych ładunków wybuchowych.

- Ale nie jest pan tego całkowicie pewien, prawda?
- Ta rozmowa, którą przypadkiem usłyszała na werandzie... Przypomniała sobie, że ojciec, Gabe i Marc zastanawiali się, czy towarzystwo ubezpieczeniowe znajdzie jakieś dowody...

- Panno Jardin, w zasadzie istnieją tylko dwa sposoby, żeby zatopić statek: otworzyć luki i napełnić kadłub wodą, co zajęłoby mniej więcej dwadzieścia cztery godziny albo wysadzić w powietrze dno ładunkami wybuchowymi i w ciągu kilku minut posłać okręt na dno.

- I pan myśli, że tak właśnie było z *Dragonem*?
- zapytała, nim upiła łyk kawy. Zastanawiała się, czy to prawda i jednocześnie wmawiała w siebie, że to przecież niemożliwe. Więc to dlatego jej rodzina była taka bardzo zaniepokojona. To niezwykle poważne zarzuty...

- Gotów jestem się o to założyć.

Remy pokręciła głową.

- Przykro mi, ale pańska teoria albo nie ma sensu, albo moja rodzina zrobiła kiepski interes. Dlaczego mielibyśmy rozmyślnie zatapiać jeden z naszych statków tylko po to, żeby dostać odszkodowanie za ładunek, którego, jak pan twierdzi, wcale na nim nie było?

- *Dragon* był starym tankowcem, panno Jardin. Wkrótce i tak by poszedł na złom. Wątpię, czy miał przed sobą więcej niż kilka rejsów. Towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaci wam za niego na pewno więcej niż najlepszy kupiec. Oczywiście, nie wspominając już o podatkach, których wasza firma już nie uiści.

- Ale jeśli statek był taki stary i w takim złym stanie, to równie dobrze mógł w czasie sztormu zatonać, prawda? Razem z ładunkiem ropy.

- To dlaczego w Zatoce nie znaleziono żadnego śladu wycieku, panno Jardin?

- Może ładownie, czyżak się tam nazywają, nie zostały po prostu zniszczone - argumentowała Remy. Postawiła filiżankę na stole, delikatnie splatając palce wokół niej. - W każdym razie te zarzuty przeciwko Crescent Line są niedorzeczne. Moja rodzina nigdy nie zaakceptowałaby poczynań tak niehonorowych i nieuczciwych.

- A Cole Buchanan? - To spokojne pytanie smagnęło ją niczym bat.

- Cole? - powtórzyła w odrętwieniu, a potem spróbowała się roześmiać, chociaż nagle poczuła mdłości. - Proszę mi tylko nie mówić, że pan go podejrzewa. To niby on miałby stać za tym pańskim... planem ubezpieczeniowym?

- A dlaczegożby nie?

- Bo to absurd. Cóż miałby na tym zyskać? - Remy była zbyt zaskoczona, żeby móc to spokojnie przemyśleć. Chciała, żeby to detektyw za nią odpowiedział.

- Pieniądze oczywiście.

- W jaki sposób? Skąd? Przecież nie od towarzystwa ubezpieczeniowego. Pieniądze z ubezpieczenia zostaną wypłacone bezpośrednio Crescent Line. A może sugeruje pan, że Buchanan nas okrada, że okrada Towarzystwo?

- Nie bezpośrednio. Ale mógł sprzedać ropę, rozładować ją na barki czekające w dole rzeki, albo wpompować do ropociągu, i zgarnąć za to spore pieniądze. Do własnej kieszeni, rzecz jasna. Wasza firma nic by na tym nie straciła, bo przecież odzyskałaby pieniądze za ładunek od towarzystwa ubezpieczeniowego.

- Nie wierzę w to. - Ale z drugiej strony przypomniawszy sobie uwagę, jaką Gabe zrobił na temat Cole'a, który w przeszłości był ponoć zamieszany w jakieś ciemne interesy.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie. - Kochała Cole'a. Jak mogłaby w coś takiego uwierzyć? Ale zaczęła się też zastanawiać, czy po prostu nie chciała w to uwierzyć, czy nie byłoby to bliższe prawdy. Brnęła jednak dalej tak, jakby nie miała

co do tego żadnych wątpliwości. - To pan tak myśli. Powinien pan porozmawiać o swoich podejrzeniach z Cole'em, nie ze mną.

- Już to zrobiłem. Oczywiście, pan Buchanan wszystkiemu zaprzecza.

- To dlaczego chciał pan ze mną rozmawiać? Już panu powiedziałam, że nie mam nic wspólnego...

- Ale ma pani coś wspólnego z Cole'em Buchananem.

- Uśmiechnął się. A przynajmniej tak się jej wydawało, bo trudno to było stwierdzić, widząc jego twarz. - Myślę, że nie minę się z prawdą, jeśli powiem, że zna pani Buchanana całkiem dobrze, z pewnością wystarczająco dobrze, żeby u niego bywać.

- To, że spotykam się z Cole'em, nie jest żadną tajemnicą, ale nie wiem, co jedno ma wspólnego z drugim.

- Pomyślałem sobie, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy mógłby na przykład powiedzieć albo zrobić coś niezwykłego, kupić pani jakiś kosztowny prezent, nie liczyć się z pieniędzmi, otrzymywać jakieś dziwne telefony...

- Nic takiego sobie nie przypominam. - Mówiła prawdę. Oczywiście nie powiedziała mu, że nie pamięta prawie nic z przeszłości, włączając w to kilka ostatnich miesięcy.

- Niech się pani zastanowi, panno Jardin. Może coś się pani przypomni. Jeżeli tak, mój numer telefonu jest na wizytówce. Niech pani koniecznie do mnie dzwoni. Nie chciałbym, żeby miała pani jakieś kłopoty.

- To zabrzmiało prawie jak groźba, panie Hanks.

- Jestem pewien, że zetknęła się pani z określeniem „współwinny przestępstwa”, panno Jardin. - Wstał, wyjął z kieszeni portfel, z niego dwa jednodolarowe banknoty i położył je na stole. - Dziękuję, że zechciała mi pani poświęcić tyle czasu, panno Jardin. Będziemy w kontakcie.

Siedząc samotnie przy stoliku, Remy zaczęła się zastanawiać nad odpowiedziami na te wszystkie pytania, o których nie chciała myśleć, kiedy detektyw się jej przyglądał. Czy to prawda? Czy rzeczywiście doszło do oszustwa ubezpieczeniowego? Czy to są właśnie kłopoty,

których istnienie wyczuwała? Czy dotyczą również Cole'a? Czy coś o tym wiedziała? Czy to był prawdziwy powód, dla którego z nim zerwała? Czy, jak sugerował brodaty Hanks, widziała coś albo słyszała? Czy to dlatego wciąż się jej wydawało, że musi, po prostu musi tutaj być?

- Jeszcze kawy, proszę pani?

Zaskoczona, popatrzyła na dzbanek w ręku barmana i szybko pokręciła głową.

- Nie, dziękuję - odrzekła, kładąc kres wirowi pytań tłoczących się jej w głowie.

Kiedy znalazła się przed La Louisiane, szok spowodowany najświeższymi informacjami przeminął. Weszła do środka i we wspaniałym, elegancko urządzonej wnętrzności, przy szerokim mahoniowym barze zobaczyła Gabe'a. Wypatrywał jej niespokojnie. Kiedy ją spostrzegł, wziął dwa drinki i wskazał na spokojny stolik w rogu. Podeszli do niego.

- Najwyższa pora - zagaił. - Zaczynałem się już o ciebie martwić. Spóźniłaś się prawie piętnaście minut.

- Coś mnie zatrzymało.

- Tak myślałem.

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej bilet wizytowy detektywa i położyła go na małym koktajlowym stoliku.

- Co to jest? - Obojętnie wziął bilet do ręki i nagle skamieniał. - Skąd to masz? - zapytał z wymuszonym brakiem zainteresowania.

- Od pana Hanksa.

- Widziałaś się z nim?

- Tak. Chciał mi zadać kilka pytań. - Zamknęła torebkę z głośnym trzaskiem. - Na temat ubezpieczeń, nadużyć i zatonięcia *Crescent Dragon*. To o tym rozmawialiście dziś rano, prawda? Ty, ojciec i wujek Marc? - spytała sztywno. - Dlaczego nic mi o tym nie powiedzieliście? Dlaczego wszyscy uważacie, że nie ma się o co martwić wiedząc, że jest inaczej? Wiedząc, że ten człowiek...

- Remy, miałaś ostatnio wystarczająco dużo przeżyć. Wszyscy uznaliśmy, że nie ma żadnej potrzeby cię w to wciągać. I mieliśmy rację. Popatrz tylko, jak drżysz.

- To dlatego, że jestem wściekła. - Próbowała opanować nerwowe drżenie rąk, obejmując dłońmi zimny kieliszek. - Powinniście byli mi powiedzieć.

- Może i tak, ale przecież sprawy Towarzystwa nigdy cię nie obchodziły.

- Ale obchodzą mnie sprawy Cole'a, jak zdążył zauważyć pan Hanks.

- Co dokładnie ci powiedział?

- Oskarżył Cole'a, że stoi za tym oszukańczym planem i sugerował, że mogłam widzieć czy słyszeć coś podejrzanego.

- I co mu powiedziałaś?

- A co mogłam powiedzieć? Pamiętam tyle co nic. - Na czerwonym patyku w jej szklance tkwiła oliwka. Remy ujęła ten miniaturowy miecz i zamieszała nim kostki lodu.

- I powiedziałaś mu to?

- Powiedziałam, że nie przypominam sobie nic nadzwyczajnego. Nie powiedziałam dlaczego.

- I to wszystko?

- Dlaczego zadajesz mi te wszystkie pytania, Gabe? Teraz z kolei ty mnie przesłuchujesz?

- Skąd, oczywiście, że nie. - Uśmiechnął się do niej tak miło, że poczuła wyrzuty sumienia. - Byłem po prostu ciekaw, to wszystko. Nie cierpię sytuacji, kiedy wszyscy jesteśmy spięci i zdenerwowani jak teraz. Tego właśnie staraliśmy się uniknąć.

- Naprawdę, Gabe? - Spojrzała na niego poważnie. - Czy *Dragona* zatopiono? Czy to oszustwo? Czy Cole jest w nie zamieszany?

- Prawdę mówiąc, nie wiadomo, Remy. Oczywiście, trudno nam w to uwierzyć, ale... Nie mogę sobie wyobrazić, żeby towarzystwo ubezpieczeniowe wytaczało oskarżenia, nie mając jakichś mocnych dowodów, ale nie udało nam się tego sprawdzić. A Cole milczy. - Zamilkła na sekundę. - Hanks ci nie powiedział, prawda?

- Nie - odparła z westchnieniem - Niestety, nie zapytałam go, czy ma jakieś dowody... Im więcej o tym myślę,

tym bardziej się upewniam, że większość z tego, co mówił, to tylko przypuszczenia i domysły.

Z nieobecny wyrazem twarzy mieszał lód w szklance, jakby rozważał tę możliwość. Wreszcie wzruszył ramionami.

- Fakt. Może oni po prostu polują - rzucił i upił łyk ze szklanceczki.

- Polują? Jak to polują?

- Odszkodowania z tytułu ubezpieczenia starych i ponoć w pełni załadowanych statków, które toną na otwartym morzu, zdarzają się częściej, niż jakiegokolwiek towarzystwo ubezpieczeniowe chciałoby to przyznać. W takich sytuacjach niemożliwością jest cokolwiek udowodnić, bo dowody spoczywają kilka mil pod powierzchnią oceanu. A *Dragon* to właśnie jeden z takich klasycznych przypadków.

Nie wierzyła w to i nie sądziła, żeby Gabe w to wierzył. Starał się tylko załagodzić sytuację ze względu na nią. Nie wyszło.

- A jeśli Hanks ma rację, Gabe? A jeśli ja rzeczywiście coś wiem?

- O tym? - Rzucił jej sceptyczne spojrzenie. - Powiedziałaś nam, Remy. Jeśli nie mnie, to ojcu.

Niekoniecznie. Mogła przecież zachować milczenie nie dlatego nawet, żeby ochronić Cole'a, ale żeby dać mu szansę spokojnego naprawienia sytuacji. Może nawet powiedziała mu, że jeśli tego nie zrobi, będzie zmuszona wyjawic wszystko rodzinie i da im podstawy, żeby zażądali od niego rezygnacji albo zerwali z nim kontrakt i przegłosowali jego odejście z biura, gdyby dobrowolnie odejść nie chciał. Tak, znalazłaby z tuzin przyczyn, dla których mogła zachowywać milczenie. Może właśnie dlatego chciała we Francji gdzieś na kilka dni wyjechać. Może chciała dać sobie trochę czasu, żeby pomyśleć i zdecydować, jakie będzie najlepsze wyjście z sytuacji.

- Martwisz się. - Przykrył jej rękę swoją i ścisnął ją lekko. - Nie trzeba.

- Dlaczego nie każesz Missisipi płynąć w drugą stronę?

- Naprawdę nie trzeba, Remy. Przede wszystkim, nie na to nie poradzisz. A po drugie, powinnaś skoncentrować siły, odzyskać formę i przestać się nad tym zastanawiać. Pozwól nam się tym zająć, dobra?

Gdyby poklepał ją po policzku i doradził, żeby nie zawracała sobie „tej ślicznej małej główki takimi sprawami”, nie byłby bardziej wymowny: zostaw te sprawy nam, mężczyznom. Tu, na południu, męski szowinizm bywał nawet miły i przyjemny - w odpowiednich sytuacjach. Ale to było życie, jej życie i jej sprawy tak samo jak sprawy i życie ich. Ale Gabe nigdy nie będzie patrzył na to w ten sposób. Nie mógł, nie umiał.

- Powiesz mi, o co chodzi, prawda? Tkwią teraz w absolutnych ciemnościach i nie wiem, czy to wszystko wytrzymam, jeśli zatrzymacie coś w tajemnicy.

- Jak tylko zdobędziemy jakieś konkretne informacje, powiem. Obiecuję.

Co oznaczało, że powie jej tylko to, co mogłoby ją uspokoić. Jeżeli chciała usłyszeć coś więcej niż tylko rozwodnioną wersję prawdy, musiała dowiedzieć się tego sama.

Następnego dnia, natychmiast po tym, jak jej matka wyszła na coczwartkową wizytę w salonie fryzjerskim, Remy wybrała się do biblioteki publicznej na skrzyżowaniu Tulane i Loyola Avenue, która stanowiła typowy przykład szklano-betonowej architektury z lat pięćdziesiątych.

Teraz, za pomocą czytnika komputerowego, wertowała gazetę. Historię zatonięcia *Crescent Dragon* znalazła dopiero na trzeciej stronie. Zajmowała ledwie ponad pół kolumny i, oczywiście, nie zasłużyła sobie na rozwinięcie i uzupełnienie.

Dlaczego miałoby być inaczej? - pomyślała. Katastrofa nie pociągnęła za sobą żadnych ofiar, nie wylowiono żadnych rozbitków, okrutne fale morskie nie skróciły nikogo życia, nie znaleziono ani jednej plamy ropy, nikt z załogi nie pochodził z Nowego Orleanu albo z okolic, nie było nawet nikogo z Luizjany i gdyby nie fakt, że tankowiec należał do tutejszej firmy i zatonął w Zatoce Meksykańskiej, całej historii nie poświęcono by więcej niż jeden paragraf, jeśli w ogóle by o niej pisano.

Raz jeszcze przeczytała artykuł. Zgodnie z tym, co mówił angielski kapitan, niejaki Titus Edward Bartholomew z Kornwalii, w przypadku *Dragona* nałożyły się na siebie dwa czynniki: wiek statku i wysoka fala. Doprowadziło to do naruszenia struktury kadłuba tankowca. Około godziny dziesiątej wieczorem w nocy 9 września statek zaczął nabierać wody. Dwadzieścia minut później,

kiedy pompy nie były już w stanie usuwać napływającej wody, a statek zanurzał się coraz głębiej, kapitan wydał rozkaz opuszczenia statku. Dwanaście godzin później przepływający tamtędy frachtowiec zobaczył rakiety wystrzeliwane z łodzi ratunkowych i wyłowił załogę. Poszukiwania prowadzone przez Straż Przybrzeżną nie dały rezultatu. Znalaziono tylko jakieś szczątki, ale żadnego dowodu na wyciek ropy.

Jedynym faktem, który mógł nasuwać nieśmiałe podejrzenia, było to, że tankowiec nie nadał sygnału SOS czy Mayday; widocznie radiostacja okrętowa wybrała sobie akurat tę chwilę, by przestać działać. A o problemach technicznych informowano załogę już wcześniej - może specjalnie?

Czego właściwie szukała? Co miała nadzieję znaleźć? Jakiś klucz, coś, co mogłoby ją naprowadzić na dalszy ślad? Jeżeli w ogóle istniał jakiś klucz, to w tej gazecie go nie zauważyła. Niemniej jednak poprosiła o skopowanie artykułu i czekała, aż drukarka ją wydrukuje.

Dokąd teraz? Czy komputery Towarzystwa zawierają więcej informacji? W każdym razie znajdzie tam nazwiska i adresy reszty załogi *Dragona*. Ale w jaki sposób do tych informacji się dostanie? Nigdy nie interesowała się bliżej sprawami firmy i statków, więc bez zwracania uwagi na siebie i przedmiot swoich poszukiwań nie może tak po prostu wejść i poprosić, żeby jej pokazano całą dokumentację. To była ostatnia rzecz, jakiej pragnęła, zwłaszcza po tym, co stało się ubiegłej nocy.

Kiedy poprzedniego wieczora wróciła do domu - spóźniła się, bo nie wiadomo dlaczego poszła w złym kierunku i dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że jest na River Road i musi zawrócić - Gabe już tam był. Weszła do holu w chwili, kiedy znów rozmawiał o niej z ojcem.

- Nie zamierza się nawet domyślać, w jaki sposób ten Hanks zdołał ją odszukać - mówił ojciec. - Ale według mnie to zmienia postać rzeczy. Remy pojedzie do tej kliniki. Chcę, żeby była bezpieczna, żeby była daleko stąd, z dala od tych wszystkich pytań i oskarżeń.

- W ten sposób niczego się nie załatwi, tato - zaprotestował Gabe. - Ona chce zostać z nami, bo nas potrzebuje. Chce zostać tutaj, gdzie cały czas możemy ją mieć na oku, a klinika jest trzysta mil stąd.

- Klinika jest dla niej najlepszym miejscem. Nieważne, co o tym myślisz.

- Tato, przecież Remy już raz powiedziała, że nigdzie nie chce jechać. Jeżeli spróbujesz ją zmusić, będzie z tobą walczyć, zwłaszcza teraz. Czy tego właśnie chcesz? Czy chcesz się z nią spierać? Chyba nie.

- Frazier - wtrąciła pojednawczo matka - Gabe ma chyba rację.

Usłyszała długie i ciężkie westchnienie ojca.

- Nie wiem, sam już nie wiem...

- A gdzie ona właściwie jest? - spytała zaniepokojona matka.

- Nie mam pojęcia. Wyszła przede mną. Odprowadziłem ją do samochodu.

W tym momencie Remy zdobyła się na odwagę i weszła.

- Czy uwierzycie, że byłam w pół drogi na lotnisko, zanim zdałam sobie sprawę, gdzie jestem? Musiałam chyba sądzić, że samochód zna drogę do domu, bo nie zwracałam uwagi na okolicę.

Więcej na temat kliniki i Howarda Hanksa nie rozmawiano, przynajmniej nie w jej obecności. Ale to, co usłyszała, całkowicie jej wystarczyło: rodzina była zdecydowana trzymać ją jak najdalej od wszystkich nieprzyjemności związanych z zatonięciem *Dragona*, dla jej własnego dobra oczywiście.

Być może zawsze ją tak traktowali, ale tym razem nie mogła na to pozwolić. Oskarżenia o oszustwo - to musiały być kłopoty, których istnienie cały czas przeczuwała. Wiedziała coś, była tego pewna, może coś, co oczyści Cole'a z zarzutów albo będzie dla niego wyrokiem. I musiała się dowiedzieć, co to takiego. Nie mogła siedzieć z założonymi rękami czekając, aż wróci jej pamięć, jeśli w ogóle kiedykolwiek wróci.

Zakładając, że podejrzenia o oszustwo są uzasadnione, w całą sprawę musiała być zamieszana więcej niż

jedna osoba. I gdzieś musiały istnieć na to dowody. Niewykluczone, że dostarczy ich dokumentacja Towarzystwa.

No tak, ale jak się do nich dostać? Musiała rozwiązać kolejny problem.

Zapłaciła za skopiowanie artykułu i była w domu na dobre dwadzieścia minut przed powrotem Sybilli od fryzjera.

Litery majaczyły jej przed oczami. Bez znaczenia - pomyślała. Czytała ten artykuł tyle razy, że znała go już na pamięć. Opuściła kartki na kolana i zaczęła błędzić spojrzeniem po sypialni. Na balkonowe szyby napierała aksamitna ciemność nocy i odbijała w nich zamazany obraz pokoju. Wyciągnięta na szezlongu, w jedwabnym szlafroku - Remy sprawiała wrażenie zrelaksowanej i wyglądała jak prawdziwa dama z wielkiego świata. Wiedziała jednak, że to tylko pozory, że jest spięta jak nigdy przedtem.

Popatrzyła na elektroniczny zegarek na stoliku obok i westchnęła. Minuty wlokły się jak ślimak w upalny dzień. Postanowiła jeszcze raz przejrzeć szufladki małego sekretarzyka, chociaż spędziła nad tym całe popołudnie i znalazła tylko wyciągi z konta bankowego, książeczki czekowe, komplet papeterii, kilka starych listów od, jak się domyślała, przyjaciółek - najwidoczniej nie zdążyła na nie odpowiedzieć - i notes z adresami i numerami telefonów ludzi, których nie pamiętała; dwie strony notesu zapisane były datami urodzin i rocznic poszczególnych członków rodziny. Znalazła także kalendarzyk na następny rok, a w nim zaledwie kilka notatek ograniczających się do stycznia na temat proszonych obiadów, jakichś przyjęć, spotkań w muzeum, wycieczek i spotkania u dentysty. Notatki zamykała data, godzina i numer lotu do Nicei.

Imię Cole'a nie pojawiało się nigdzie. Nie wiedziała jednak, czy znaczyło to, że już z nim wtedy zerwała, czy też, że nie musiała zapisywać sobie dat ich spotkań.

W szufladach nie natrafiła na żaden dziennik czy pamiętnik, ale wcale tego nie oczekiwała. Nawet teraz

nie czuła żadnej potrzeby przelewania myśli na papier. Nie znalazła też żadnej listy rzeczy do zrobienia. Jeżeli zawartość szuflad miała być prawdziwym odbiciem jej życia, to wiodła nader beztrzęsą egzystencję - bez żadnych obowiązków, bez żadnych obciążeń, żadnych zobowiązań.

Czy zawsze pozwalała innym robić wszystko za siebie? Tak jak Nattie, która gotowała obiady, słała jej łóżko, sprzątała jej pokój i dbała, żeby zawsze miała świeże ręczniki kąpielowe. Albo jak służące na przychodne, które prały, prasowały i odkurzały. Albo jak matka, która planowała posiłki, prowadziła dom, organizowała przyjęcia i dbała o świeże kwiaty we wszystkich pokojach. I jak ojciec, wuj i kuzyn, którzy kierowali Towarzystwem, co i dla niej było źródłem dochodów. Zgodnie z dokumentami, które znalazła w biurku, miała jakiś fundusz powierniczy, ustanowiony, jak się domyślała, przez jej dziadka.

Ale czy poza pokazywaniem się na oficjalnych spotkaniach kiedykolwiek w czymś współuczestniczyła? Czy kiedykolwiek coś wniosła? Czy zawsze pozwalała innym dbać o jej potrzeby, pracować i troszczyć się o firmę, podczas gdy ona swobodnie płynęła przez życie? Czy to możliwe, żeby dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, co straciła? Nie, musiało do tego dojść już wcześniej, bo przecież gdyby było inaczej, tam, w szpitalu w Nicei, kiedy nie wiedziała o sobie nic, nie prześladowałoby jej to przeczcucie nadchodzących kłopotów. Czy do tych obaw zmusiły ją zarzuty towarzystwa ubezpieczeniowego i jej własna, stracona teraz świadomość tego faktu? Czy też zaczęło się to już wcześniej? Może wyniknęło z tego, że Cole miał krytyczny stosunek do jej ignorancji w sprawie sytuacji finansowej Towarzystwa?

Mój Boże, jakie to wszystko okropne, jak straszliwie, jak boleśnie ironiczne... - pomyślała. Wtedy usłyszała kroki i stłumione głosy w korytarzu za drzwiami. Szybko sięgnęła po ostatni numer „Harpers Bazaar” z podłogi obok szeszlongu i między jego kartki schowała kopię artykułu z gazety. W sekundę później ktoś delikatnie zapukał do jej drzwi.

- Proszę.

Rodzice, jak się spodziewała: ojciec w białym krawacie i wieczorowym ubraniu, i matka owinięta w delikatną, ciemnoróżową mgiełkę szyfonu z etolą ze srebrnego lisa wokół ramion. Wychodzili na kolejne przyjęcie, jedno z dziesiątków organizowanych w karnawale, który zaczął się szóstego stycznia - w Dwunastą Noc - i kończył w ostatkowy wtorek.

- Chcieliśmy ci tylko powiedzieć, że wychodzimy, kochanie. - Sybilla Jardin patrzyła na nią z uśmiechem pełnym troski. - Na pewno będzie ci tutaj dobrze samej?

- Mam dwadzieścia siedem lat. - Remy uśmiechnęła się odruchowo, ale natychmiast się zreflektowała, przypominając sobie, że nie powinna sprawiać wrażenia zbyt zadowolonej, ani też zbyt zaniepokojonej tym, że wychodzą. - Chyba jestem już dość duża i mogę zostać sama w domu, prawda?

- Tak, ale... byłaś chora i wiesz...

- Trochę boli mnie głowa, chyba ze zmęczenia. To na pewno nic groźnego. Słowo.

- Tak czy inaczej, zadzwonimy do ciebie, żeby się upewnić, czy wszystko jest w porządku - oświadczył ojciec.

- Nie, nie dzwońcie. Będziecie się niepokoić, jeśli nie odbiorę. Nie chcę z nikim rozmawiać - dodała, myśląc szybko. - Miałam zamiar wyłączyć telefon.

- Może masz rację - zgodził się ojciec. - Gdybyś czegoś potrzebowała, wiesz, gdzie nas szukać.

- Tak, wiem. Czy Gabe już wyszedł? - Wydawało się jej, że słyszała jego samochód, ale nie była pewna.

- Jakies dziesięć minut temu.

Kiedy ojciec zrobił krok w stronę drzwi, Remy szybko podchwyciła okazję, żeby ich zachęcić do jak najszybszego wyjścia.

- Bawcie się dobrze i nie martwcie się o mnie. Dam sobie radę.

Kilka troskliwych uwag matki i... wyszli. Remy odczekała, dopóki Mercedes nie odjedzie, potem dodała do tego jeszcze dziesięć minut, żeby być całkiem pewna,

a później przebiegła cicho przez hol na piętrze do sypialni rodziców. Przez chwilę patrzyła na solidną klamkę z brązu słysząc głośne bicie własnego serca. Zaciśnęła rękę na gałce, przekręciła ją i wślizgnęła się do środka. Czuła się jak złodziej, ale nie przyszła tu kraść tylko... pożyczyć.

Zapaliła światło i ruszyła prosto do biurka. Tam, na owalnej tacce, gdzie ojciec zwykle kładł drobne monety, portmonetkę i szczyryk, leżał pęk kluczy. Remy uśmiechnęła się triumfalnie. Kiedy wychodził, jego luźno opadające spodnie wskazywały na to, że nie ma w kieszeniach żadnych kluczy, że wziął najpewniej tylko kluczyki do samochodu, a resztę zostawił. Nie wiedziała, do jakich zamków pasowały, ale liczyła na to, że kiedy ojciec zrezygnował z funkcji przewodniczącego zarządu Crescent Line, nie zwrócił klucza do biura.

Wróciwszy do swojego pokoju, Remy włożyła na siebie szerokie, granatowe spodnie i jedwabny sweter, z szafy wyjęła kolorową marynarkę i wyszła z domu.

Pół godziny później była już w gmachu International Trade Mart i stała na wprost wejścia do biura Crescent Line. Do zamka nie pasował ani pierwszy, ani drugi klucz. Remy odrzuciła dwa następne, z emblematem Mercedesa, które były najpewniej zapasowymi kluczykami do samochodu matki. Spróbowała otworzyć drzwi piątym z kolei. Pasował. Przekręciła go. Zamek ustąpił.

W biurze paliły się światła. Ze względów bezpieczeństwa? Ktoś zapomniał ich przed wyjściem zgasić? A może ktoś jest w środku? Remy zrobiła krok w stronę recepcji i zamarła, intensywnie nasłuchując skrzypnięcia krzesła, szelestu papieru, cichego mlaskania komputerowej klawiatury, kaszlu, czegokolwiek. Cisza. Nieufnie zamknęła za sobą drzwi i ruszyła naprzód, odkrywając jednocześnie, jak głośno może szeleścić ubranie, jak sucho może być w ustach i jak bardzo napięte mogą być mięśnie.

Nie przeszkodził jej nikt. Remy była sama. Po raz pierwszy odważyła się odetchnąć głębiej i zaczęła szukać tego, po co tu przyszła. Rzuciła okiem na terminal

komputera. Wciśnięcie odpowiednich klawiszy wywołałoby na ekran informację, której szukała, zakładając, że poradziłaby sobie z kodem bezpieczeństwa. Ale Remy chciała znaleźć przede wszystkim dokumentację, na podstawie której sporządzano dane dla komputera.

Podeszła do szafki, gdzie przechowywano dyskiety. Zamknięta. Zaczęła sprawdzać cały rząd, próbując szufladę po szufladzie. Zamknięta, zamknięta, zamknięta - wszystkie były zamknięte. Zawiedziona, oparła się ciężko o ostatnią przegródkę i przeczesła ręką włosy, starając się zastanowić.

Pracownicy biura musieli mieć klucze. Czy zabierali je ze sobą do domu? Ale czyżby wrzucali je bez troski do torebek albo kieszeni? Żeby trafiły przypadkiem do pralni? Albo żeby zostały na kuchennym stole? Nie, nie narażaliby się na takie ryzyko - lepiej zostawić klucze w biurku. Znalazła komplet w pierwszej szufladzie, do której zajrzała, i zabrała się do pracy.

Po piętnastu minutach rozgryzła system dokumentowania, po następnych dwadziestu pięciu zebrała wszystkie dane na temat ostatniej podróży tankowca. Uzbrojona w nazwiska załogi z manifestu okrętowego, zajęła się listą płac i aktami marynarzy.

Nie chcąc tracić czasu na studiowanie dokumentów, Remy włączyła fotokopiarkę i czekając, aż maszyna się nagrzeje, przeglądała papiery. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku: lista zapasów, odpowiadające im faktury, rachunek za ropę i kopia czeku stanowiącego zapłatę za cały ładunek, opłaty za paliwo i usługi morskie, kopie jakichś licencji czy zezwoleń, płace marynarzy, dane personalne. Niby proste i zrozumiałe, jednak coś nie dawało jej spokoju. Skopiowała wszystkie dokumenty i prawie połowę akt załogi, zanim zrozumiała, co to takiego.

Szybko skopiowała resztę, wsunęła papiery do białej teczki, którą zamierzała zabrać ze sobą, odłożyła oryginały na miejsce i zaczęła przeglądać inne akta, żeby sprawdzić, czy się po prostu nie myli. Ale nie, miała rację.

Począwszy od kapitana, na najniższym rangą marynarzu skończywszy, załoga, którą zamustrowano na ostatniej rejs *Crescent Dragon*, nigdy nie pracowała dla Crescent Line. Ani przedtem, ani potem. Sądząc po notatkach, fakt, że marynarz, pierwszy mat, a nawet kapitan nie pracował dla danej firmy tylko raz, nie był niczym nadzwyczajnym. Ale żeby cała załoga? To już nie jest dziwny zbieg okoliczności - to podejrzane, bardzo podejrzane.

Remy przejrzała nazwiska załogi. Wiele z nich miało wschodnie brzmienie. Może pochodzili z Korei? Pomyślała sobie, jakie to dziwne i śmieszne zarazem, bo właśnie to spodziewała się znaleźć. Ale teraz, kiedy już znalazła, chciałyby nie mieć racji.

Gdzie oni teraz są? Prawdopodobnie rozpiezchli się na cztery wiatry, a w tym wypadku na siedem mórz. I bardziej niż prawdopodobne, że w kieszeniach szeleściła im znaczna gotówka, którą otrzymali w zamian za zachowanie w tajemnicy tego, co wiedzieli albo tego, co widzieli. I jeśli Howard Hanks miał rację, to widzieli, jak tankowiec rozładowuje ropę na barki albo pompuje ją do ropociągu.

Załoga musiała chyba wiedzieć, co się dzieje, a oficerowie wiedzieli na pewno. Marynarzom nie trzeba było niczego tłumaczyć: rozładunek ropy po jednym albo dwóch dniach od chwili opuszczenia portu i dalsza podróż „na pusto” nie jest czymś normalnym.

I Remy zrozumiała, że szanse na odnalezienie którekolwiek z członków załogi są prawdopodobnie żadne. Może Hanksowi udało się z którymś porozmawiać. Może w ten sposób zdobył dowód oszustwa. Ale niewykluczone, że nie rozmawiał z nikim, bo w przeciwnym wypadku na pewno by wiedział, i to dokładnie, czy ropę wpompowano do barek czy do ropociągu. A Hanks brał pod uwagę obie możliwości.

Może Gabe miał rację. Może detektyw nie dysponował żadnymi dowodami, może snuł tylko podejrzenia. Może polował, próbował znaleźć kogoś, kto popełni błąd... kogoś takiego jak Cole.

Odpędziła od siebie natrętne myśli i podeszła do okna. Noc była odbiciem ciemnej rozpaczy, która ją nagle ogarnęła. Patrzyła na światła dzielnicy migoczące w oddali. Kilka pięter niżej lśniła Spanish Plaza z oświetloną fontanną. A między nimi błyszczała głęboka, czarna wstęga Missisipi, wyznaczona światłami nabrzeży.

Nagle dostrzegła na rzece poruszające się punkciki. Najpierw myślała, że to światła promu kursującego od nabrzeża przy Canal Street przez rzekę do Algiers Point. Potem zdała sobie sprawę, że to światła pozycyjne statku sunącego wolno w górę rzeki; z tej odległości okręt był niewidoczny i stanowił tylko czarną plamę na czarnym tle rzeki.

Nagle ujrzała przed sobą inny statek, ujrzała go znacznie bliżej. Otaczała go jakaś drżąca mgła, a na mostku dostrzegła sylwetki dwóch mężczyzn napinających grube liny. Dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że obraz ten należy do wspomnień, że jest obrazem, jaki nosiła w myślach. Na burcie dostrzegła białe litery, litery, które składały się na nazwę statku.

- Boże, proszę cię, pozwól mi ją odczytać... - szepnęła.
CRESCENT DRAG...

- Nie obchodzi mnie, co powiedziałaś. - Kobięcy głos. Gorzki i oskarżycielski. Dotarł do uszu Remy i zniszczył ten fragment wspomnień. - Ona tańczyła tak blisko ciebie, że trzeba by łomu, żeby was rozdzielić. To było wprost obrzydliwe.

Przerażona, odskoczyła od okna i spojrzała w stronę otwartych drzwi na korytarz. Zastygła w bezruchu. Ktoś za nimi był. Ale kto? I dlaczego?

- A niby co miałem zrobić? Odsunąć ją?

Ten głos! To głos... Lance! Boże drogi, przecież Lance nie może jej tutaj znaleźć! Rozejrzała się gorączkowo po jasno oświetlonym pokoju w poszukiwaniu jakiejś kryjówki. Drzwi z boku — muszą przecież dokądś prowadzić. Choćby tylko do szafy.

- Ale nie musiałeś przy tym mieć takiej rozanielonej miny.

- Do diabła, Julie! Czy zawsze musi tak być? Za każdym razem, kiedy gdzieś wychodzimy? - zaprotestował gniewnie Lance.

Remy podbiegła do biurka. W tej chwili szybkość wydawała się być równie ważna jak zachowanie ciszy. Chwyciła torebkę z blatu, zarzuciła ją sobie na ramię i ścisnęła pod pachą teczkę z dokumentami. Miała nadzieję, że jej nie usłyszą - rozmawiali bardzo głośno.

- Powinieneś czuć się zadowolony, że po siedmiu latach małżeństwa wciąż mi na tobie zależy, że jestem o ciebie zazdrosna.

Ich głosy zbliżały się, szli w tę stronę. Popędziła do bocznych drzwi. Kiedy ich dopadła, usłyszała niski, głuchy pomruk. Fotokopiarka! Zapomniała ją wyłączyć!

- Zielone oczy nigdy mi się nie podobały, Julio.

Remy zawróciła i wyłączyła maszynę, lecz trzask wyłącznika zabrzmiał zdecydowanie za głośno. Wróciła błyskawicznie do drzwi i zmusiła się, żeby przekręcić klamkę powoli. Kiedy drzwi ustąpiły, otworzyła je tylko na tyle, by móc się wślizgnąć do środka. I wtedy zaczęła torebką o framugę.

- Co to było?

- Co takiego?

Remy zamknęła wreszcie drzwi. Oparła się o nie i zacisnęła mocno powieki. Chciała odetchnąć, nabrać w płuca powietrza, ale była zbyt przestraszona.

- Wydaje mi się, że coś słyszałem... - To Lance, w korytarzu. Słowom towarzyszyły zdecydowane, długie kroki. Usłyszała też stukot wysokich obcasów.

Otworzyła szeroko oczy. Zapomniała zamknąć szafkę z dokumentami. Już za późno, byli zbyt blisko. Czy Lance to zauważył? Czy skrzyczy za to nieuważnego urzędnika?

Boże drogi! Remy rozejrzała się i nagle zdała sobie sprawę, że wcale nie jest w szafie, że jest w czyimś gabinecie! Czy to gabinet Lance'a? Nie, chyba nie. A może? Dostrzegła drzwi na korytarz i ruszyła ku nim. Przyłgnęła do ściany, od strony zawiasów, tak że zasłoniłyby ją, gdyby je otworzył.

- Halo! Jest tu kto? - Był po drugiej stronie drzwi, dzieliła ich tylko ściana. Remy zagryzła mocno dolną wargę, żeby nie zdradzić się jakimkolwiek dźwiękiem, nawet oddechem.

- To pewnie sprzątaczką, Lance - odpowiedziała jego żona. - O tej porze nikt inny by tu nie pracował.

Przeszli obok drzwi do gabinetu i ruszyli w stronę pokoju z dokumentami, zwalniając nieco kroku tak, jakby nasłuchiwali. Musi się stąd jakoś wydostać, musi! Jeśli zaczną szukać, natychmiast ją znajdą, bo żadnej kryjówki tam nie dostrzegła.

- Lance...

- Zamknij się.

Remy przesunęła się na drugą stronę drzwi i bardzo, bardzo ostrożnie zaczęła przekręcać klamkę. Potem otworzyła je z lekkim skrzygnięciem. Kiedy wyjrzała, korytarz był pusty. Musieli wejść do sali z dokumentami. Dobiegł ją metaliczny odgłos - Lance zatrzaskał szufladę. Pewnie któreś nie domknęła. Ile zostało jej czasu? Za ile sekund otworzy drzwi do tego gabinetu?

Miała tylko jedną szansę i wykorzystała ją. Wyślizgnęła się na korytarz i przebiegła cichutko do recepcji. Była całkowicie widoczna, myślała, że już zaraz, za chwilę usłyszy jego krzyk. Ale nie, udało się! Kiedy skręcała za róg, rzuciła krótkie spojrzenie w głąb korytarza. Wciąż nikogo. Dopadła drzwi. Nawet ich nie zamknął! Nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu - nie musiała zmagać się z kluczami!

Wyszła, tym razem uważając, żeby nie zahaczyć torebką o framugę. Zamknęła za sobą drzwi tak spokojnie, jak tylko zdołała, a potem odwróciła się i przeniosła wzrok na schody ewakuacyjne.

Nie, nie schody. Byłaby na nich zbyt odsłonięta i są zbyt hałaśliwe; najmniejszy odgłos odbije się tutaj głośnym echem. Podbiegła do windy i nacisnęła guzik, a potem czekała, patrząc na strzałkę, która zapaliła się nad drzwiami.

- Szybciej, szybciej! - szepnęła, wstrzymując oddech.

Zaraz potem usłyszała cichy szmer nadeżdżającej windy. Nagle coś do niej dotarło: dzwonek! Kiedy winda się zatrzyma, ten przeklęty dzwonek zadzwoni!

I zadzwonił, dwa razy, w dodatku głośno niczym gong alarmowy. Remy zerknęła jeszcze w stronę biura, a potem wskoczyła do kabiny. Nacisnęła guzik jazdy na dół i następny, który zamykał drzwi.

Zamykały się powoli, bardzo powoli, ale w końcu się zamknęły. Zacisnęła kurczowo palce na ramiączku torebki i na teczce z dokumentami, zastanawiając się, czy Lance słyszał ją albo widział, czy będzie na nią czekał jakiś strażnik, kiedy winda zjedzie na parter.

Ale przed drzwiami na dole nie czekał na nią nikt w mundurze. Wyszła z wahaniem z kabiny i natychmiast wciągnęła ją roześmiana, rozgadana grupa, która wysypała się z sąsiedniej windy. Wpadł na nią jakiś mężczyzna.

- Uups! Przepraszam - rzucił.

Remy zauważyła strażnika przy biurku. Rozmawiał przez telefon. Z Lance'em?

- Hej, jesteś całkiem ładniutka, wiesz? - Mężczyzna otoczył ją ramieniem; jego oddech pachniał whisky.

Remy zauważyła, że strażnik spogląda na grupę i nie wyślizgnęła się z objęć mężczyzny.

- Dziękuję - powiedziała, pozwalając mu się prowadzić w stronę drzwi, bo właśnie tam zmierzała rozbawiona grupka.

- Co tu robisz tak późno? Siedziałaś w biurze? - zapytał, widząc teczkę, którą trzymała.

- Coś w tym rodzaju.

- To niedobrze. A myśmy się bawili.

- Naprawdę?

- Tak. Byliśmy na górze, w tym barze... jak mu tam...

- W barze Mart.

- O właśnie. - Przycisnął ją mocniej i zniżył głos: - Agnes zgubiła swoją torebkę. Położyła ją na półce i w chwilę później już jej nie było. A wiesz, jak tam jest, w tym barze? On się obraca i po godzinie torebka wróciła! Sama!

- Jak to dobrze! Cieszę się, że ją znalazła. - Mijali biurko strażnika, było tuż obok.

- Chcesz iść z nami? Zabawimy się.

- Nie wiem. A dokąd idziecie?

Zmarszczył brwi.

- Hej, Johnny! - zawołał do jednego z mężczyzn w przodzie. - Dokąd my właściwie idziemy?

- Do Pata O'Briena!

- No widzisz, do Pata O'Briena. Kupię ci jeden z tych jęgo drinków. Jak mu tam... zefirek chyba...

- Huragan albo tornado.

- Źe co?

- Nic, to bez znaczenia. - Byli już za drzwiami i pochłonęła ich rześka, chłodna noc. Wyślizgnęła się zjęgo objęć i szybko powiedziała: - Byłam u Pata O'Briena wiele razy. Może kiedy indziej.

Wiedząc, że jest prawie bezpieczna, i że to nie moment, by zwracać na siebie uwagę, musiała się opanować, żeby nie ruszyć do parkingu biegiem. Kiedy dotarła do lśniącego brązowego Jaguara, zaczęła szukać w pościechu kluczyków w torebce. Otworzyła drzwiczki i szybko wślizgnęła się za kierownicę, kładąc torebkę i teczkę na siedzeniu pasażera. Potem oparła się o skórzany zagłówek. Jest bezpieczna. Wszystko skończone! Ale czy aby na pewno? A może to dopiero początek?

- W co ja się wpakowałam? - szepnęła. - Jestem chyba szalona!

Ale nie, szalona nie była i w nic się nie wpakowała. Wręcz przeciwnie, prawdopodobnie tkwiła w tym od samego początku, świadomie lub nieświadomie. Ale jednej rzeczy była pewna: widziała *Crescent Dragona* przy pirsie, w środku czarnej nocy. Co jeszcze widziała? A raczej: kogo?

Westchnęła z rezygnacją i włożyła klucz do stacyjki.

23

- Dzień dobry! - Remy wbiegła do jadalni i pozdrowiła wszystkich siedzących przy stole.

- Wydajesz się dzisiaj wyjątkowo rześka - zauważył Frazier ze swego miejsca u szczytu stołu.

- Świetnie spałam, to dlatego. - Podeszła do pomocniczego stolika i do jednej ze szklanek stojących obok kryształowego dzbanka nalała pomarańczowego soku.

- Jak było na przyjęciu? Muszę przyznać, że nie słyszałam, kiedy wróciliście.

- Było... - Gabe nie zdążył dokończyć.

- Remy, w coś ty się ubrała? - Sybilla patrzyła na nią tak, jakby podejrzewała córkę o chorobę umysłową.

Remy miała na sobie brunatny kostium do konnej jazdy.

- A co, czy to nie oczywiste? Myślałam, że pojeżdżę sobie konno. - Nie wiedziała, czy potrafi, ale w garderobie znalazła spodnie do konnej jazdy, wysokie buty i czekoladową marynarkę ze sztruksu z łatami na łokciach. Widząc, że buty i spodnie noszą ślady lekkiego zużycia, uznała, że wkładała je na siebie nie dla zachowania pozorów, tylko zgodnie z przeznaczeniem.

- W parku Audubon? - spytał Gabe.

- To tam zwykle jeździłam? Nie byłam pewna. - Wzięła szklankę i usiadła obok brata.

- Ależ Remy, czy widziałaś, jak jest dzisiaj na dworze? - zaprotestowała matka.

- Widziałam. - Ale jeszcze raz rzuciła okiem na szarą, wilgotną mgłę za oknem, a potem przysunęła krzesło do

stołu. - Przygnębiająco, prawda? Pomyślałam sobie, że w taką pogodę lepiej jest wyjść, niż siedzieć w domu i dać się tej szarudze dobić.

- Ale jest zimno!

- Wolę myśleć, że raczej rześko. - Rozłożyła serwetkę na kolanach. - A poza tym, kiedy jest chłodno, lepiej mi się jeździ. I ciepło się ubrałam - dodała, wskazując czarny sweter z golfem, który miała pod sztruksową marynarką.

- A jeśli zacznie padać?

- Mamo - powiedziała ze śmiechem - straciłam co prawda pamięć, ale mam jeszcze dość rozsądku, żeby uciec przed deszczem. - Lecz w myślach trzymała kciuki, żeby zaczęło padać dużo później.

- Biedactwo, dajesz nam do zrozumienia, że niczego sobie nie przypomniałaś, prawda? - spytał Gabe, patrząc na nią ze współczuciem.

Zawahała się i celowo skłamała.

- Tak. Tylko takie *déjà vu*. Kilka razy miałam wrażenie, że coś już przedtem widziałam albo robiłam, ale nie mogę powiedzieć, że to dokładnie pamiętam.

- Jesteś już bezpieczna, jesteś w domu, razem z nami i tylko to się liczy - uspokajał ją brat

- Wiem. - Przełknęła łyk soku i zwracając się do Gabe'a i ojca, spytała: - Czy zdołaliście się czegoś dowiedzieć na temat *Dragona*?

- Jeszcze nie - odparł Gabe.

- Myślałam, że może wujek Marc czegoś się dowie.

- Nie dowiedział się - uciął krótko ojciec z chłodną i spiętą twarzą. O *Dragonie* wyraźnie nie chciał rozmawiać.

Dałaby temu spokój, ale przyszło jej do głowy następane pytanie.

- Czy ktoś z was spytał Cole'a wprost o czym rozmawiali podczas tego spotkania z przedstawicielami towarzystwa ubezpieczeniowego? Wydaje mi się, że niezależnie od tego, jak mocny jest jego kontrakt, wciąż odpowiada przed zarządem firmy, prawda?

Zauważyła, jak Gabe i ojciec wymienili krótkie spojrzenia, a potem brat uśmiechnął się do niej.

- Oto, co potrafią piękne dziewczęta - szepnął i dodał: - Tak bardzo się o ciebie niepokoiłiśmy, że nie przyszło nam do głowy najprostsze rozwiązanie. Rzeczywiście, musimy to rozważyć.

- Wspomnę o tym Marcowi na lunchu - obiecał ojciec.

Kiedy Nattie przyniosła śniadanie, temat został wyczerpany na dobre. Remy poczuła zapach unoszący się z tacy i natychmiast odgadła:

- Wafelki!

- Z masłem miodowym, syropem z ciemnego cukru i z kiełbaską - uzupełniła Nattie, stawiając talerz przed matką. - Zjesz i na żebrach od razu wyrosną ci śliczne poduszeczki. Jak spadniesz z konia, będą jak znalazł.

Ale Remy nie miała najmniejszego zamiaru jeździć konno. To była tylko wymówka, żeby wyjść z domu.

Zaparkowała samochód na skraju drogi koło przystani i wysiadła z Jaguara. Na ziemi leżało pełno muszelek, które chrzęściły jej pod butami. Niedaleko po drugiej stronie wysoki, trawiasty wał nabrzeża schodził łagodnie ku River Road, która biegła wzdłuż brzegu Missisipi.

Zamknęła samochód i spojrzała w stronę ropociągu i zbiornikowni po drugiej stronie ulicy. Na oko stało tam co najmniej sto olbrzymich zbiorników. Przypominały gigantyczne, pomalowane na biało puszki, ustawione w porządne szeregi, a cały obszar, na którym je wybudowano, zamknięty był warownym ogrodzeniem. Napis na bramie świadczył, że jest to własność Gulf Coast Petroleum Association. Nazwa nic mówiła jej nic.

Na niebie zagrzmiały silniki pasażerskiego odrzutowca, startującego z niedalekiego New Orleans Airport. Remy przyglądała mu się przez chwilę, a potem zobaczyła nad głową ciężkie, ciemne chmury. Miała nadzieję, że są odbiciem szarości południowej zimy, a nie szarości deszczu.

Odwróciła się w stronę Missisipi i ujrzała trzy pirsy, z których ładowano na statki ropę; tkwiły jakieś trzysta stóp od nabrzeża, w gęstej, brunatnej wodzie. Przy ostatnim z nich cumowały niskie, szerokie barki, ale przy

środkowym, najbliższym niej, stał duży oceaniczny tankowiec.

Czy to był pirs, z którego *Crescent Dragon* zabrał swój ostatni ładunek? Czy to właśnie tutaj widziała tankowiec? Nie potrafiła sobie przypomnieć. W dokumentach Towarzystwa nie znalazła nic, co mogłoby jej pomóc w zlokalizowaniu miejsca ostatniego postoju tankowca, a jeśli nawet taką informację zawierały, nie potrafiła jej zrozumieć. Wzdłuż całego wybrzeża Missisipi, aż do Baton Rouge, znajdowały się dosłownie dziesiątki pirsów, z których ładowano ropę na statki. Większość z nich, tak jak i te, zbudowano w górze albo w dole rzeki, za miastem, z dala od gęsto zaludnionych okolic; tak przynajmniej twierdziły władze portowe, kiedy zadzwoniła do nich z budki.

Niestety, była to jedyna użyteczna informacja, jaką zdołała od nich uzyskać. Mężczyzna, z którym rozmawiała, oświadczył, że nie wie, w jaki sposób można się dowiedzieć, gdzie cumował dany statek, jeśli miało to miejsce dawniej niż pięć miesięcy temu. Nie wiedział nawet, czy takie informacje gdzieś przechowywano, zwłaszcza że przepisy nie wymagały, aby statek zawiadamiał ich, że opuszcza port. Powiedział jej, że prawdopodobnie tylko agent pirsu zachował jakiś ślad tego rodzaju informacji.

W ten sposób znalazła się w punkcie wyjścia: który pirs? który agent?

Nie mogąc spytać nikogo z członków załogi *Dragona*, pirs stanowił dla niej jedyny punkt zaczepienia. Jeśli, jak się jej wydawało, była obecna przy załadunku tankowca, to może widział ją któryś z robotników pirsowych. Gdyby zdołała się dowiedzieć, kto tu owej nocy pracował, gdyby z tymi ludźmi porozmawiała, niewykluczone, że któryś z nich mógłby jej powiedzieć, co się wtedy wydarzyło, kto tu wówczas był i co mogła widzieć.

To brzmiało prawdopodobnie, nawet logicznie. Remy uśmiechnęła się do siebie, wiedząc, że to nie logika kazała jej wybrać to właśnie miejsce na rozpoczęcie śledztwa - był to po prostu drugi pirs, na jaki natrafiła.

Wejście do pierwszego było zamknięte na głucho, przy bramie nikt nie trzymał warty, więc musiała jechać dalej. Starła się nie myśleć, ile takich pirsów jeszcze na nią czeka i na razie skoncentrowała się na tym, który miała przed sobą.

Na środek mola prowadziła rampa wystarczająco szeroka, żeby mógł nią przejechać pojazd zmotoryzowany. Ignorując napis NIE UPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY, Remy weszła na rampę i nie zwracając uwagi na tablice zakazujące wstępu i palenia papierosów licznie rozmieszczone na całej jej długości, brnęła dalej.

Kiedy zbliżyła się do tankowca, odór ropy przybrał na sile. Liny kotwiczne biegły od statku do pachołków na pirsie, a z brzegu na pokład przerzucono kładkę. Na samym okręcie nie dostrzegła żadnych śladów aktywności. Na pokładzie zauważyła tylko trzy stanowiska pompowe z wypustami łączącymi ropociąg na pirsie z ładowniami tankowca. Nie wiadomo dlaczego spodziewała się, że będzie tu panował większy ruch.

Nagle zobaczyła na pirsie dwóch mężczyzn. Skierowała się w ich stronę.

Z tyłu dobiegł ją czyjś głos:

- Proszę pani!

Przystanęła i nieoczekiwanie poczuła na twarzy zimny powiew nadrzecznej mgły, tchnienie wilgoci, nagle otoczyła ją ciemność - ciemność nocy, tamtej nocy. I już wiedziała, że ktoś ją wtedy zaskoczył, jak teraz.

Odwróciła się i spojrzała na mężczyznę, który stał na wprost niej. To nie on wówczas do niej wołał, była tego pewna. Podobny do buldoga, nosił grubo tkaną granatową marynarkę z lnu i spodnie z tego samego materiału. Spodnie opadały mu niebezpiecznie nisko na biodra i przytrzymał je paskiem na wystającym od piwa brzuchu.

- Co pani tu robi? Nie widzi pani, co tam pisze?

- Wskazał palcem napis WSTĘP WZBRONIONY tuż za nim. - Nie upoważnionym nie wolno wchodzić na pirs.

- Wiem, szukałam właśnie kogoś, kto mógłby mnie upoważnić. Czy pan może to zrobić? - Obdarzyła go

swaim najbardziej uwodzicielskim uśmiechem, ale buldog nie mrugnął nawet okiem.

- Musi pani pogadać z dyrektorem od przeładunków, z Tomem Haynesem, ale jego dzisiaj nie ma.

- A pan? Pan nie jest tu szefem?

- Ja tylko kieruję załadunkiem.

- Więc może pan mógłby odpowiedzieć na kilka pytań...

- Proszę pani, my tu nie oprowadzamy wycieczek. Proszę stąd iść.

- Ale może mi pan chyba powiedzieć, czy ten statek zabiera ładunek, czy go rozładowuje. - Remy nie chciała tak łatwo ustąpić.

- Zabiera. - Złożył usta w ciup i wydobył z siebie głośny, rozdzierający gwizd. Potem wrzasnął i zamachał gwałtownie rękami.

- Charlie! Chodź tutaj!

Obaj mężczyźni na pirsie odwrócili się, ale tylko niższy z nich ruszył w stronę szefa. Kiedy biegł, ruchy jego głowy, naturalna sprężystość nóg i drobna budowa ciała sprawiały, że można go było wziąć za człowieka młodego. Kiedy jednak zatrzymał się na wprost nich, Remy zauważyła na jego twarzy głębokie zmarszczki świadczące o wieku i licznych przeżyciach, i zdała sobie sprawę, że w istocie miał raczej sześćdziesiąt niż trzydzieści lat.

Posłał Remy błyszczące, zaciekawione spojrzenie, a potem spojrział na buldoga.

- Czego chcesz, Mac?

- Tę panią trzeba odprowadzić do samochodu.

- Z przyjemnością.

Remy już chciała zaprotestować, kiedy zorientowała się, że w ten sposób jeszcze bardziej zrazi do siebie Maca. Był najpewniej tak uparty, że gdyby nie chciała dobrowolnie odejść, wyniosłby ją z pirsu siłą.

Kiedy odszedł w stronę tankowca, Remy zerknęła na eskortującego ją mężczyznę.

- Przepraszam, panie...

- Charlie, po prostu Charlie - nalegał z uśmiechem.

- Tak mnie nazywają. Niech pani nie zwraca na niego

uwagi. Kiedy mu się spieszy z załadunkiem, warczy na wszystkich jak pies. W takich chwilach lepiej do niego nie podchodzić.

Uśmiechnęła się krzywo.

- Czuję się trochę tak, jakby mnie potarł się za nogawkę. - Zobaczyła, jak kapitan tankowca podchodzi do barierki na mostku. Mac przyłożył ręce do ust i coś do niego krzyknął. Kapitan odpowiedział skinieniem głowy i zniknął w nadbudówce. - O co chodziło? - spytała i ociągając się, ruszyła w stronę rampy.

Charlie wzruszył lekko ramionami.

- Pewnie zawiadomił kapitana, że może dzwonić po pilota.

- Po pilota? - Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

- Aha. Wszystkie statki na Missisipi muszą mieć na pokładzie licencjonowanego pilota rzecznego. To taki facet, który zna rzekę, mielizny, nurt, wszystko. Statki muszą powiadomić Stowarzyszenie Pilotów, że odpływają, i muszą to zrobić z trzygodzinnym wyprzedzeniem. A mniej więcej tyle czasu trzeba, żeby skończyć załadunek. Wtedy, jak Bóg da, załoga wróci na pokład, pilot wejdzie na mostek i można będzie rzucać cumy.

- A więc to pilot prowadzi statek aż do ujścia rzeki... - Remy zwolniła nieświadomie kroku; Charlie, chcąc nie chcąc, również szedł teraz wolniej.

- Na statku pilot zawsze musi być, ale oni się zmieniają. Pilot z Baton Rouge wchodzi na pokład tutaj i prowadzi statek mniej więcej do Chalmette. Tam zmienia go pilot z Crescent River i doprowadza statek do Pilot Town. W Pilot Town wchodzi na pokład następny i wyprowadza statek na pełne morze. Taki tankowiec ma stąd mniej więcej sto czterdzieści mil do otwartych wód Zatoki. Nieźle, co?

- Nie sądziłam, że to tak daleko - szepnęła Remy, myśląc jednocześnie, że to w sumie nieważne, gdzie załadowano *Dragona*, bo i tak musiał przepłynąć ponad sto mil rzeką, zanim znalazł się na pełnym morzu. I, jak twierdził brodaty Hanks, gdzieś na tej ponad stumilowej trasie tankowiec mógł wyładować ropę do czekających

na niego barek. - Charlie, jak długo trwa rozładowanie takiego tankowca jak na przykład ten tutaj?

- Da się to zrobić w mniej niż dwadzieścia cztery godziny.

- Tak długo? - zdumiona Remy aż przystanąła.

Charlie cmoknął.

- Jeszcze kilka lat temu ładowaliśmy takie bydlę trzy dni i myśleliśmy, że to cholernie szybko.

- A gdybyście rozładowywali go na barki, czy to by coś zmieniło?

- Nie tak bardzo. Trwałoby to mniej więcej tyle samo.

- A ci piloci, Charlie... - Przecież musieli prowadzić jakiś rejestr statków, które prowadzili. I musieli chyba mieszkać gdzieś w pobliżu. Mogli jej powiedzieć, przy którym pirsie stał *Dragon* i czy zatrzymywał się na trasie w dół rzeki. - Jak można się z nimi skontaktować?

- Wystarczy zadzwonić.

- To ich nazwiska są w książce telefonicznej? - Omal się nie roześmiała na myśl, że odpowiedź mogłaby być aż tak prosta. Skręcali z rampy w stronę jej samochodu.

- Jasne. Musi pani tylko wziąć książkę i poszukać pod „Stowarzyszenie Pilotów”. Znajdzie pani numery do wszystkich trzech biur.

- Zamiast nogami, wystarczy popracować palcami...

- mruknęła cicho, pozwalając sobie na uśmiech. Wiedziała już, że nie musi tracić czasu na jeżdżenie od pirsu do pirsu, żeby zlokalizować ostatnie miejsce postoju tankowca. Wystarczy kilka telefonów i pozna nazwiska ludzi, którzy pilotowali *Dragona* w dół rzeki.

- Przepraszam, nie dosłyszałem. Co pani mówiła?

- spytał Charlie, pozdrawiając gestem kierowcę pędzącego Jeepa; mała Toyota akurat przyspieszyła, wspinając się na wysypaną żwirem drogę.

- Nic takiego. - Przystanąła przed swoim samochodem, żeby Jeep mógł swobodnie przejechać. Kiedy ją mijał, zahamował tak gwałtownie, że koła wryły się w żwir, a tył niebezpiecznie zarzucił — Toyota zatrzymała się o pół długości za Jaguarem.

Natychmiast otworzyły się drzwiczki i z Jeepa wyskoczył mężczyzna ubrany w ciemny garnitur i krawat. Na nosie miał okulary w złotej oprawie, za szklami których Remy dostrzegła pełne zdumienia oczy. Głębokie pionowe zmarszczki na czole świadczyły o tym, że o wiele częściej marszczy gniewnie brwi, niż się uśmiecha. Przygotowała się w duchu na to, że zaraz usłyszy kolejny wykład na temat przepisów obowiązujących na pirsie.

- Remy, tak mi się wydawało, że to ty. Co ty tutaj robisz?!

O Boże - pomyślała, on mnie zna! Nie oczekiwała tego i jeszcze raz przyjrzała mu się uważnie, próbując odkryć w nim coś znajomego. Wyglądał na trzydzieści kilka, góra czterdzieści lat. Miał ciemne włosy przyczesane gładko do tyłu, bardzo pragmatyczną twarz bez żadnych znaków szczególnych, jeśli nie liczyć niezwykle wąskich ust.

Nagle podjęła decyzję.

- Co za niespodzianka! Nie spodziewałam się, że cię tutaj spotkam - powiedziała udając, że go zna.

- A ja nie spodziewałem się spotkać tu ciebie. Co cię sprowadza? - Próbował się uśmiechnąć, ale widziała, że uśmiech jest dla niego czymś obcym.

Pomyślała sobie, że to właściwie szkoda: byłby całkiem przystojnym mężczyzną, gdyby nie ten ciągły grymas na twarzy.

- Co mnie tu sprowadza? - powtórzyła jego pytanie doskonale wiedząc, że nie może powiedzieć mu prawdy. Jeśli ją znał, znał na pewno jej rodzinę, a nie mogła dopuścić do tego, by im doniósł, że odwiedziła pirs. Musiała podać jakiś inny powód, coś nieszkodliwego, neutralnego... - Moja przyjaciółka pisze książkę i obiecałam jej pomóc w zbieraniu materiałów. Jeden z bohaterów ma do czynienia ze statkami, więc myślała, że wiem coś na ten temat.

- Twoja przyjaciółka? Kto taki?

- Chyba jej nie znasz. Ona pracuje w muzeum.

- Ach tak, rozumiem... - Czy dał się przekonać? Nie umiała tego powiedzieć, bo cały czas starała się ukryć zmieszanie, jakie czuła pod jego penetrującym spojrze-

niem. - Czy zdobyłaś wszystkie potrzebne informacje?
- Przeniósł wzrok na Charliego, jakby oczekując od niego potwierdzenia.

- Myślę, że tak. - Wyjęła z kieszeni kluczyki i rzuciła okiem na Jeepa z wciąż włączonym silnikiem. - Nie chciałabym cię zatrzymywać. Wiem, że masz dużo roboty, a ja mam randkę z koniem.

- No to do zobaczenia, Remy. - Wahał się jeszcze przez chwilę, potem odwrócił się i wsiadł do samochodu.

Remy odczekała, aż Jeep odjechał i spojrzała na Charliego.

- Nienawidzę, kiedy mi się to zdarza.

- Nie rozumiem...

- Mam pustkę w głowie. Znam go, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywa.

- On? To Carl Maitland.

- No jasne. - Udała, że przypomina sobie nazwisko. Rzeczywiście, wydawało się jej jakby znajome, ale nie pamiętała, skąd je zna i dlaczego. Wyciągnęła rękę. -Dziękuję, że zechciałeś odprowadzić mnie do samochodu, Charlie. I za cierpliwość, z jaką odpowiadałeś na moje pytania.

- Nie ma sprawy. - Pełną odcisków ręką dotknął na krótko jej dłoni. - A jeśli pani przyjaciółka będzie jeszcze czegoś potrzebowała do tej swojej książki, to niech pani jej powie, żeby do mnie zadzwoniła. Znam takie historyjki z pirsów, że mózg staje. Byłaby z tego niezła książka.

- Dobrze, powtórzę jej.

Kiedy podchodziła do drzwiczek, zawołał za nią:

- Nazywam się Aikens. Nazwisko jest w książce telefonicznej.

- Dobrze - powiedziała i kiwnęła ręką na pożegnanie.

Opuściwszy port, Remyjechała najpierw River Road, a potem skręciła do Airline Highway. Zatrzymała się przy pierwszej napotkanej budce telefonicznej. Tak jak mówił Charlie, w książce znalazła numery telefonów wszystkich trzech oddziałów Stowarzyszenia Pilotów. Najpierw zadzwoniła do oddziału Baton Rouge i po

prostu spytała o nazwisko pilota, który w pierwszych dniach września ubiegłego roku wyprowadzał z portu *Crescent Dragona*. Po kilku minutach mężczyzna odpowiedział, że pilotował go Pete Hoskins, i że teraz nie ma go w biurze, bo prowadzi rosyjski statek ze zbożem i wróci dopiero za około pięć godzin.

Drugim telefonem trafiła w dziesiątkę.

Pół godziny później Remy siedziała w śródmiejskim barze z pilotem rzeczonym z *Dragona*. Gus Trudeau był mężczyzną imponujących wprost rozmiarów. Jego włosy koloru piasku były gęsto przetykane siwizną. Patrzyła, jak pije gorącą kawę w głębi ducha przekonana, że facet musi mieć wargi z azbestu.

Ale kiedy odstawił filiżankę, z ust nie buchnął mu ani dym, ani płomień, co było naprawdę zadziwiające. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Więc jest pani pisarką...

- Tak. Piszę historię *Dragona*. To taka retrospektywna opowieść z punktu widzenia osób, takich jak na przykład pan, które pośrednio lub bezpośrednio uczestniczyły w ostatniej, jak się okazało, podróży tego statku. - Remy pomyślała, że pretekst jest dobry, nie wzbudzający podejrzeń. - Więc niech mi pan powie, panie Trudeau, co pan pamięta? Czy mieliście wtedy jakieś kłopoty? Czy wydarzyło się coś niezwykłego?

- Nie, to był rutynowy rejs. Kiedy przejmowałem statek od Pete'a Hoskinsa, to pilot z Baton Rouge, pamiętam, powiedział mi, że statek wolno reaguje na stery, więc uważałem na to, kiedy płynęliśmy do Pilot Town. I nawet chwilę rozmawiałem z kapitanem na temat sztormu, który zapowiadano w Zatoce.

- I nie zatrzymywaliście się nigdzie po drodze? Nie mieliście żadnego opóźnienia?

- Nie, żadnego.

- Od tamtego czasu minęło już prawie pół roku, panie Trudeau. - Remy popatrzyła na niego z zainteresowaniem. - A mówi pan to z takim przekonaniem, że...

- To samo powiedziałem tym dwóm, co mnie pytali.

- Tym dwóm? - zdziwiła się. - Jakim dwóm?

- Nie pamiętam nazwisk, ale jeden z nich to był taki potężny facet z brodą. Przychodził tutaj i wypytywał o *Dragona*... Chyba jakieś dwa tygodnie temu. A kilka dni wcześniej rozmawiałem na ten temat z innym gościem. Ten był trochę młodszy, miał ze trzydzieści parę lat. Wysoki, ciemne włosy...

Gabe. Powinna się była domyślić, że jej brat próbuje dowiedzieć się czegoś na własną rękę.

- Przepraszam, przerwałam panu. No i co pan im powiedział?

- Tylko tyle, że jeżeli statek zatonię w czasie sztormu w trzy dni po tym, jak się go pilotowało, to człowiek taki okręt dobrze pamięta. No i taką podróż. Wspominasz ją sobie i dumasz, czy zdarzyło się wtedy coś, co mogło wskazywać na to, że statek nie nadawał się na pełne morze.

- A rozmawiał pan może z tamtymi dwoma pilotami?

- Rozmawiałem. I nic. Mówili, że to był rutynowy rejs, od gwizdka do gwizdka.

- Zatrzymywali się gdzieś? Albo mieli jakieś opóźnienie?

- Absolutnie. I wiem to na pewno, bo widziałem kopie ich dzienników.

Upiła trochę ciepławej kawy i zastanawiała się, czy mu uwierzyć, czy porozmawiać z tamtymi pilotami.

- Nie wie pan, przy którym pirsie stał ten tankowiec? - spytała ciekawie. - Pete powiedział mi, że wyprowadził statek ze starego portu Claymore.

Zawahał się i pokiwał głową.

- Fakt, *Dragon* stał przy tym wysuniętym w górę rzeki. Pamiętam, jak Pete mówił, że nurt rzeki trochę się tam zmienia, i że czasami mogą być problemy przy odbijaniu. To właśnie przy tym pirsie stwierdził, że tankowiec wolno reaguje na stery.

- A gdzie w Claymor są te pirsy?

- Zaraz... - Oparł się na krzesło pokrytym czerwonym winylem i przybrał zamyślony wyraz twarzy. - Chce pani wiedzieć, przy którym są markerze?

Remy odgadła, że ma na myśli milowe markery na rzece.

- Nie, chciałabym tam dojechać brzegiem.

- Nie wiem, czy będę mógł pani pomóc. Nie znam drogi - odrzekł, kiwając w zamyśleniu głową. - Ale te pirsy są na wschodnim nabrzeżu, na północ od Kenner. Jestem pewien, że można tam dojechać River Road.

Zdała sobie sprawę, że rano musiała być blisko nich.

- Czy to daleko od pirsów Gulf Coast Petroleum?

- To są właśnie stare pirsy Claymore - oświadczył.

Przecież była tam! Była w miejscu, gdzie cumował *Dragon!* I nie wiedziała o tym, nie poznała okolicy, niczego sobie nie przypominała.

- Chwileczkę. Tam są przecież trzy pirsy, tak? - Była na środkowym. - Przy którym z nich cumował *Dragon?*

- Przy górnym.

Skonsternowana, pokręciła głową.

- To znaczy przy którym? - powtórzyła.

- Przy tym w górę rzeki. Właśnie dlatego nazywają go górnym.

Więc nie trafiła na właściwy pirs. Może dlatego nic tam nie wydawało jej się znajome? Ale nie chciała tam wracać i znowu natknąć się na Carla Maitlanda. Wątpiła również, czy buldogowaty Mac byłby tym razem chętniejszy do współpracy. A potem przypomniała sobie o Charliem, Charliem Aikensie, tak dla niej miłym i gotowym udzielić wszystkich informacji. Czy należał do ekipy załadowującej *Dragona?* Czy widział ją tamtej nocy? Ale przecież gdybyją widział, to byją chyba teraz poznał. Powiedział, że jego numer jest w książce telefonicznej. Wystarczy więc do niego zadzwonić i spytać. A gdyby okazało się, że miał wtedy wolne, niewykluczone, że przekona go, by sprawdził, kto wówczas pracował.

Z wysiłkiem wróciła myślami do terażniejszości.

- Powiedział pan, że w czasie rejsu w dół rzeki nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Ale czy jest pan pewien, że nic, absolutnie nic pana wtedy nie zastanowiło? Czy *Dragon* nie zboczył nigdzie z kursu? A może miał gdzieś postój i dopiero później ruszył w dalszą drogę do Zatoki? Czy nic takiego nie miało miejsca?

Pilot natychmiast wyeliminował możliwość, że tankowiec wypompował ropę do barek albo do pobliskiego ropociągu, lecz wciąż istniało prawdopodobieństwo, że rozładował ją do ropociągu przy samym ujściu rzeki.

- Nie. Raport Straży Przybrzeżnej, który czytałem, uwzględnia kierunek, szybkość i siłę sztormu, i stwierdza, że statek poszedł na dno mniej więcej w tym miejscu, w którym powinien się znajdować. Na szczęście to bardzo uczęszczany obszar i przepływające statki natychmiast odebrały sygnał SOS. I wyprzedzając pani pytanie powiem, że nie spotkaliśmy zbyt wielu barek.

- Przepraszam?

- Ten gość z brodą zadawał mi wiele pytań o barki cumujące przy ujściu rzeki. Ale powiedziałem mu, że jedynymi barkami, jakie tam spotkaliśmy, były barki wywożące śmieci i odpadki na ocean.

- Rozumiem - powiedziała i wróciła do tego, o czym wspomniał chwilę przedtem. - Więc Straż Przybrzeżna opracowała na ten temat specjalny raport?

- Owszem.

Zastanawiała się, dlaczego nie znalazła kopii tego raportu wśród dokumentów Towarzystwa. Czyżby ją przeoczyła?

Pytanie to niepokoiło ją nawet po powrocie do domu. Kiedy przekroczyła próg, natychmiast rozpoznała charakterystyczny zapach gęstej zupy z krewetek. W holu ujrzała ojca. Trzymał przy uchu słuchawkę telefonu, a kiedy zobaczył Remy, odłożył ją na widełki.

- Właśnie dzwoniłem do stajni, żeby się dowiedzieć, czy już wróciłaś.

Remy zawahała się, a potem uśmiechnęła kpiąco, próbując nie myśleć, jak mało brakowało, żeby przyłapano ją na kłamstwie.

- Poco? - rzuciła, zdejmując rękawiczki. - Powiedziałam, że wrócę na lunch i właśnie wróciłam. - Mam wrażenie, że teraz pilnujesz mnie bardziej, niż kiedy byłam nastolatką.

- Nieprawda, Remy...

- Nie? - zaatakowała go delikatnie.

- Jeśli nawet tak jest, to dlatego, że niepokoiły się o ciebie. Po twoich przeżyciach to chyba zupełnie naturalne.

- Obiecuję, że już nigdzie nie będę znikać, więc możesz przestać się martwić.

- Remy? - Z jadalni wyszła matka. - Wydawało mi się, że cię słyszę. Właśnie mówiłam Nattie, że chyba nie wrócisz na lunch. Jakiś udała przejażdżka? - Przyjrzała się córce z nieprzenikniętym wyrazem twarzy. - Myślałam, że wrócisz zmarznięta na kość, z czerwonym nosem, z sinymi policzkami, ale wyglądasz zupełnie... dobrze.

- Jaguar ma ogrzewanie. Rozgrzałam się w drodze do domu. - Remy spojrzała w stronę jadalni i ostentacyjnie pociągnęła nosem. - Czy to zupa z krewetek?

- Tak. Zaraz powiem Nattie, że jesteś. Chyba chcesz się przedtem przebrać? Ten kostium do konnej jazdy...

- Zrobię to później. Teraz umieram z głodu.

Jedzenie było ostatnią rzeczą, na którą miała ochotę, ale wysiłek fizyczny powinien był poprawić jej apetyt, więc jeśli chciała nadal udawać, że spędziła rano, jeżdżąc konno, musiała odgrywać komedię do końca.

Godzinę później, odświeżywszy się pod prysznicem, Remy siedziała pośrodku łóżka, zawinięta w satynowy szlafrok i z ręcznikowym turbanem na głowie. Przed sobą rozłożyła teczkę z kopiami dokumentów Towarzystwa. Pierwsze pobieżne poszukiwania nie przyniosły rezultatu: kopii raportu Straży Przybrzeżnej wśród papierów nie było. Zaczęła przeglądać wszystko od początku.

Krótkie pukanie do drzwi stanowiło jedyne ostrzeżenie. Przerazona, ściągnęła z głowy ręcznik i położyła go na dokumentach. W tej samej chwili otworzyły się drzwi.

- To ty, Nattie... - Odetchnęła z ulgą, kiedy wysoka Murzynka weszła do środka. - Przestraszyłaś mnie. - Roześmiała się nieświadomie i nerwowo odgarnęła włosy z czoła.

- Przecież pukałam.

- Wiem.

- Gdzie są twoje buty?

- W garderobie. Dlaczego? - Remy ześlizgnęła się z łóżka i ruszyła za Nattie do przebieralni.

- Lepiej je wyczyszczę, zanim błoto całkiem zaschnie - powiedziała, otwierając drzwi i wchodząc do środka.

- Nie, nie musisz... - Remy zmartwiała, kiedy Nattie wyszła z garderoby, trzymając w ręku buty do konnej jazdy. Pokrywała je tylko cieniutka warstewka białego kurzu, zebranego na zwirowanej drodze, a podeszwy i obcasy były suche i czyste, co służąca dostrzegła natychmiast

- Już je wyczyściłam - wyjaśniła szybko Remy.

Nattie rzuciła jej pełne niedowierzania spojrzenie, a potem wzięła ciemnobrązową sztruksową marynarkę, którą Remy przerzuciła przez oparcie szelonga.

- I syczyściłaś też końską sierść z marynarki. Do ostatniego włoska, co?

- No właśnie... - Dlaczego kłamała? Przecież Nattie nie uwierzyła w ani jedno słowo. Ale nie mogła powiedzieć jej prawdy, bo nawet nie wiedziała, co jest prawdą.

- Nattie, ja...

Nattie uniosła rękę, żeby ją powstrzymać.

- Kłamstwa mnożą się jak króliki. Po prostu schowam te buty do szafy, powieszę marynarkę i niech już tak zostanie.

- Dziękuję. - Remy uśmiechnęła się z ulgą.

- Mam tylko nadzieję, że wiesz, co robisz - rzuciła przez ramię służącą, wracając do garderoby.

- Ja też - odrzekła cicho Remy poprzez szelest ubrań i potrzaskiwanie wieszaków.

Kiedy tylko Nattie wyszła z pokoju, Remy podniosła mokry ręcznik z teczki z dokumentami i zaczęła je znowu przeglądać. Nagle zwróciła uwagę na nazwisko Maitland. Zobaczyła rachunek wystawiony przez Maitland Oil Company na pełny ładunek tankowca.

Maitland Oil Company - tak jak Carl Maitland, ten elegancko ubrany mężczyzna w białym Jeepie, który zwrócił się do niej po imieniu? To na pewno jedna i ta sama osoba. Co znaczyło, że nie tylko znajej rodzinę, ale także robi interesy z Crescent Line.

A co, jeśli widział się z jej ojcem albo wujem? Co będzie, jeżeli wspomniał, że spotkał ją w porcie? Jeśli napomknął coś o poszukiwaniach, jakie rzekomo prowadziła dla swojej przyjaciółki? Ale nie mogła się tym teraz zamartwiać. Jeśli kłamstwo się wyda, jakoś sobie będzie musiała poradzić. Może do tego czasu uda jej się czegoś dowiedzieć albo coś sobie przypomnieć.

Teraz musiała koniecznie rzucić okiem na raport Straży Przybrzeżnej. Później zadzwoni do Charliego Aikensa i sprawdzi, czy Charlie coś wie albo czy mógłby się czegoś dla niej dowiedzieć. Zastanawiała się przez chwilę, o której może kończyć pracę, a potem znów zabrała się do przeglądania papierów.

Po czwartym dzwonku w słuchawce odezwał się znajomy głos:

- Tu Charlie, słucham.

- Charlie? - Remy rzuciła okiem na elektroniczny zegarek stojący na stoliku obok łóżka. Siódma trzydzieści dwie.

- Już myślałam, że będzie pan pracował przez całą noc.

- Wpadłem na kilka piw do baru Grogana. A kto mówi?

- Remy. Remy Cooper. - Ponieważ dla wszystkich związanych z portem i rzeką Crescent Line i Jardin znaczyło jedno i to samo, uznała, że powinna użyć innego nazwiska. - Ta, którą Mac kazał panu dzisiaj wyprowadzić z przystani.

- Och, tak - powiedział - pamiętam panią. Jak leci?

- Dobrze. Niech pan posłucha, zastanawiałam się właśnie, czy nie mógłby mi pan pomóc, bo moja przyjaciółka potrzebuje jeszcze pewnych informacji do swojej książki.

- Postaram się.

- Czy pan pamięta taki tankowiec, *Crescent Dragon*? We wrześniu, pewnie piątego albo szóstego, załadowano na niego ropę z waszych pirsów.

- Cholera... Ups, przepraszam panią. Ale rozumie pani, obsługujemy tyle statków i barek, że w ogóle przestałem zwracać uwagę na ich nazwy.

- Tak, ale ten zatonął w Zatoce podczas sztormu.

- A tak, pamiętam, w zeszłym roku był taki statek, co potem zatonął - mówił powoli i z namysłem. - I teraz, kiedy mi pani o tym przypomniała, wydaje mi się, że słyszałem, jak chłopcy gadali, że ładowaliśmy go przy naszych pirsach. Ale ja przy nim nie robiłem.

- A mógłby się pan dowiedzieć, kto pracował? Moja przyjaciółka chciałaby z tymi ludźmi porozmawiać.

- Nie ma sprawy. Jutro popytam w robocie. Ktoś powinien coś pamiętać. Tankowce nie idą codziennie na dno. Jaki jest do pani telefon? Zadzwonię jutro wieczorem i powiem, czego się dowiedziałem.

- Lepiej ja zadzwonię do pana. Nie jestem pewna, gdzie jutro będę.

- Bo jutro karnawał na całego, prawda? Ja też coś o tym wiem. To nie tak, jak kiedy byłem młody, nie było wtedy tych chłopaków poprzebieranych za tancerki. To były ciężkie czasy, a teraz to czyste szaleństwo - stwierdził i dodał: - Niech pani zadzwoni do mnie jutro wieczorem. Mniej więcej o tej porze.

- Dobrze. - Remy pożegnała go i odłożyła słuchawkę. Załatwiwszy jedną sprawę, wzięła się za drugą: musiała odszukać kopię raportu Straży Przybrzeżnej.

24

— Zaczęła myszkować i zadawać pytania.

Ścisnął mocnej czarną słuchawkę telefonu i usiadł na krześle za biurkiem.

- Nie wierzę.

- Mówię ci, że zaczęła. Mam na to dowody - usłyszał powolną, oskarżycielską odpowiedź. - Na razie pyta jeszcze niewłaściwych ludzi, ale o to, co trzeba. Musimy ją powstrzymać.

Był zdziwiony, przestraszony, zmieszany i zakłopotany.

- Ale przecież ona nic nie pamięta. Wiem, że nie pamięta.

- Może i nie, ale diabelnie szybko sobie przypomina. Ten detektyw z towarzystwa ubezpieczeniowego, ten Hanks, nie przysporzy nam połowy kłopotów co ona i obydaj dobrze o tym wiemy. Jeszcze tego tylko brakowało, żeby ktoś się tu nam plątał i zadawał pytania. Słyszysz mnie?

- Słyszę. - W pokoju zrobiło się nagle bardzo duszno. Dotknął węzła krawata, rozluźnił go i rozpiął górny guzik koszuli. - Pozwól, że to załatwię.

- Pozwoliłem ostatnim razem i popatrz, co się o mały włos nie narobiło.

- Ale przecież w końcu nic się nie stało, prawda?

- Tym razem nie chcę czekać, aż coś się stanie. Zbyt daleko zaszedłem, zbyt jestem blisko. Nie chcę wszystkiego stracić.

- Nie stracisz. Nie stracimy.

- O tak, racja, na pewno nie stracimy. Bo od tej chwili będę jej pilnował za każdym razem, kiedy wyjdzie z domu. I jeśli dowiem się, że coś komuś chlapnęła, przekonam ją, że powinna trzymać język za zębami.

- Ale kiedy w to wchodziliśmy, daliśmy sobie słowo, że nie będzie żadnej przemocy, że nikomu nie stanie się krzywda. Dlatego...

- Reguły gry uległy zmianie. I to Remy je zmieniła. Nie dopuszczę do tego, by ktoś mnie zrujnował, ani ona, ani ty, ani nikt inny. Zrozumiałeś?

- Oczywiście.

- Więc zrób z nią coś albo ja się tym zajmę.

Usłyszał suchy trzask i połączenie zostało przerwane. Jeszcze przez chwilę trzymał słuchawkę przy uchu, później odłożył ją i oparł się na krzesło, patrząc w sufit. Bo za oknem panował nieprzenikniony mrok.

Wzdłuż chodników i na pasie rozdzielającym jezdnię St Charles Avenue stały tłumy ludzi. Małe dzieci siedziały na drabinkach specjalnie zaprojektowanych na tę okazję. Trochę starsi stali na ziemi, ściskając torby z podwieczorkiem. Niektórzy mieli maski, inni nie, ale wszyscy, starzy i młodzi, i ci ani starzy, ani młodzi, wyciągali ręce w stronę przebierańców w świecących kostiumach i maskach, paradujących na olbrzymich platformach otoczonych tonami *papier-mâché*. A wszystko to pośród okrzyków, błag i kpin.

- Hej, rzuć mi coś!

- Ty, daj mi te perły!

- Tutaj, tutaj!

Czasami ludzie się mylili i Remy słyszała, jak wołali: „Panie, rzuć mi pan coś!”, podczas gdy jezdnią przetaczał się stuprocentowo kobiecy orszak boskiej Irys, która zgodnie z tradycją zawsze paradowała w sobotę przed ostatkami, rozpoczynając dłuugi, bo czterodniowy weekend.

Karnawał w Nowym Orleanie nigdy nie sprowadzał się tylko i wyłącznie do oglądania parad. Cała zabawa polegała na tym, żeby złapać choć jedną z nagród

rozrzucanych z powozów: a to sznur plastikowych paciorków, a to stateczek, zabawkę czy aluminiowy dublon. Towarzyszył temu śmiech i dreszczyk emocji, i nie miało znaczenia, że dzisiejsze bogactwo stawało się nazastrz bezwartościowym śmieciem, nie podczas parady, kiedy wszyscy zrzucali maskę dorosłości, ukazując twarz dziecka.

Remy nie przyłączyła się do tłumu, który falował przy ogrodzeniu, starając się schwytać nagrody rozrzucane z sunących jezdnią platform. Wykorzystała lukę w zwartym ludzkim murze i przyspieszyła kroku. Kiedy oglądający tłoczyli się, żeby pozbiierać to, co zrzucano im z wozów, doszła do rogu i skręciła, kierując się w stronę rzeki.

Z dała od trasy, którą przechodziła parada, ludzi na chodnikach było mniej, za to na jezdni panował tłok. Samochody jadące do miasta sunęły tak powoli, że prawie stały w miejscu. Remy manewrowała między nimi wiedząc, że im bliżej Canal Street i Vieux Carré, tym korki będą większe. Nie miała żadnych wątpliwości, że zrobiła dobrze, zostawiając Jaguara w garażu.

Kiedy dwadzieścia minut później wchodziła do gmachu International Trade Mart, spokój panujący w przestronnych wnętrzach był przyjemnym zaskoczeniem po hałasie paradujących tłumów i orkiestr trąbiących klaksonów. Uśmiechnęła się do strażnika przy biurku i poszła prosto do wind. Nie zdawała sobie sprawy, że jest zdenerwowana, dopóki nie poczuła, jak opada z niej napięcie. Winda wiozła ją na piętnaste piętro do biur Towarzystwa Żeglugowego Crescent Line.

Wyszła z kabiny i spojrzała na zegarek, przeznaczając godzinę na odszukanie raportu Straży Przybrzeżnej. Z zamykanej na zatrzask przegródki w torebce wyjęła nowy, błyszczący klucz - duplikat klucza należącego do ojca; dorobiono go jej w czynnym całą dobę zakładzie ślusarskim. Otworzyła zamek, weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Zatrzymała się na chwilę, żeby włożyć klucz do torebki, a potem przeszła przez recepcję i skręciła w korytarz prowadzący do sali, gdzie przechowywano dokumenty.

Głosy. Usłyszała jakieś głosy. Znieruchomiła, mówiąc sobie, że to przecież śmieszne, bo nikogo tu nie powinno być, zwłaszcza w ostatnią sobotę karnawału. Usłyszała najpewniej odgłosy parady na Canal Street albo stłumione dźwięki jakiejś orkiestry. Ale aż na piętnastym piętrze? Nie, głosy dobiegały ze skrzydła mieszczącego biura dyrekcji w drugim końcu korytarza, teraz słyszała je całkiem wyraźnie. Ktoś tam był, nawet więcej niż jeden „ktoś”. Remy wycofała się spokojnie i stanęła przy wejściu do recepcji.

Ten głos - jego wysokość, intonacja - brzmiał jak głos Gabe'a. Ale przecież to niemożliwe. On i ojciec wyszli z domu mniej więcej dziesięć minut przed nią, i powiedzieli, że idą do jakiegoś klubu. Wtedy usłyszała drugi, znacznie niższy głos, i zadrżała. Z Gabe'em był Cole. Dlaczego?

Ciekawość zwyciężyła. Opierając się plecami o ścianę, Remy przemknęła korytarzem, żeby znaleźć się jak najbliżej nich, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają. Wtem usłyszała trzeci głos o łagodnym, miłym, rozbijającym brzmieniu. Cole mu przerwał i dopiero po dobrej sekundzie zdała sobie sprawę, że ten trzeci głos należy do Marca Jardina. Więc i wuj tam jest?!

Drzwi w korytarzu były lekko uchylone. Sala konferencyjna. Zobaczyła zimną, niebieską tkaninę na ścianie i w tej samej chwili przypomniała sobie, jak wygląda reszta gabinetu. Nie miał okien, a chłód wystroju podkreślało jeszcze płótno impresjonistyczne przedstawiające Nowy Orlean widziany z morza, z trzema wieżami katedry Świętego Ludwika wznoszącymi się w tle. Długi stół z jasnej leszczyny i osiem krzeseł wyściełanych zimnoniebieską tkaniną dopełniały reszty.

Znów głosy. Remy zdrętwiała, przypomniawszy sobie rozmowę z Gabe'em przy śniadaniu poprzedniego dnia, kiedy sugerowała, że powinien zapytać Cole'a o spotkanie z przedstawicielami towarzystwa ubezpieczeniowego, zamiast zastanawiać się, co im powiedział. Gabe obiecał, że wezmą to pod uwagę.

Wyglądało na to, że nie tylko wzięli to pod uwagę, ale zrobili coś więcej: postanowili działać, działać, rozmyślnie wykluczając ją ze spotkania, nie zawiadamiając jej nawet, że takie spotkanie zaplanowali.

Niech ich szlag trafi! - pomyślała, ale tak naprawdę nie była wcale zaskoczona tylko wściekła, że chcieli ją tak wykołować.

- Towarzystwo ubezpieczeniowe napędziło ci strachu, Frazier. Dlaczego?

Więc ojciec też tu jest!

Kiedy usłyszała niski głos Cole'a, kiedy usłyszała słowa, które wypowiedział tak głośno i wyraźnie, przysunęła się bliżej, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi.

- Tak się składa, że stawką w tej grze jest dobre imię naszej firmy - odpowiedział ze złością ojciec.

- Więc dlaczego nie każecie mi go bronić, tylko nalegacie, żebym skapitulował wobec ich żądań? - odparł szorstko Cole i Remy natychmiast wyczuła wrogość wiszącą w powietrzu, wrogość, której żaden z mężczyzn nie chciał najwyraźniej zatrzeć.

Marc Jardin usiłował wprowadzić do rozmowy trochę spokoju i rozsądku.

- Chyba nie rozumiesz, Buchanan, że rozpowszechnienie oskarżeń o oszustwo, podanie ich do prasy, byłoby rzeczą bardzo szkodliwą.

- Szkodliwą? Dla kogo? Dla ciebie, Marc? - zaatakował Cole. - A może raczej boisz się, że gazety to rozdmuchają? Bo wtedy twoi przyjaciele od polityki mogliby zdecydować, że nie jesteś najlepszym kandydatem na gubernatora w następnych wyborach, co? Swoją drogą nie wiem, dlaczego mieliby zwracać na to uwagę, skoro korupcja i oszustwo nie są w Luizjanie niczym nowym.

- Nie zamierzam udawać, że mnie to nie obchodzi - stwierdził sucho wuj. - Ale sprawa dotyczy nie tylko mnie. Podobnie jak reszta rodziny, dbam nie tylko o siebie, lecz również o dobro Towarzystwa. Nie widzę żadnego powodu, żeby to rozdmuchiwać. Moim zdaniem powinniśmy wynegocjować przyjacielskie, a nade wszy-

stko *spokojne* porozumienie z towarzystwem ubezpieczeniowym.

- Crescent Line nie zapłaci ani centa z tego, czego żądają - rzucił twardo Cole. - Jeżeli tak bardzo chcesz to zatuszować, radziłbym ci sięgnąć do własnej kieszeni i kupić ich za forszę, którą dobieś z Towarzystwa całymi latami. - Milczał chwilę, a potem dodał z rozbawieniem w głosie: - Ale gdybyś to zrobił, nie miałbyś już pieniędzy, żeby kupić sobie wyborców, prawda Marc? A ty, Frazier? Twoje finanse też nie stoją najlepiej. Jako znakomity doradca i genialny rachmistrz musisz przeżywać istne piekło, nie mogąc położyć łapska na tym olbrzymim szmalu, jaki twój dziadek przeznaczył na fundusz powierniczy, co?

- To nie należy do sprawy, Buchanan, i jest bez znaczenia - odezwał się Gabe. - Ci z ubezpieczeń nie chcą od nas ani centa. Oni chcą pieniędzy od firmy.

- Mogą sobie chcieć, czego dusza zapragnie. Towarzystwo straciło statek załadowany ropą, za którą zapłaciliśmy z góry. Więc zgłosiliśmy tę stratę, zgodnie z prawem. I obydwaj wiemy, panie Doradco, że anonimowy donos telefoniczny stwierdzający, że kiedy statek zatonął, nie było na nim żadnej ropy, tudzież podpis na rachunku za materiały wybuchowe nie stanowią niepodważalnego dowodu, że popełniono jakąś zbrodnię. Nie zgadzam się, by ktoś nadszarpywał finansową sytuację Towarzystwa tylko dlatego, że rada nadzorcza obawia się złych skutków takiej reklamy. Proszę popatrzeć na bilans. - Usłyszała uderzenie w stół i szelest papieru. - Jeśli zapłacimy chociaż część tego, czego tamci żądają, zniszczymy wszystko, co osiągnęliśmy w ubiegłym roku i sparaliżujemy firmę na co najmniej pięć lat, jeżeli nie na dłużej.

- A jeśli tak się stanie, stracisz prawo do dziesięciu procent akcji, które byś zgodnie z kontraktem otrzymał, gdyby w trzy lata udało ci się wyciągnąć firmę z kłopotów, co? - wtrącił sarkastycznie Lance. - Zarzucasz nam egoizm, ale ciebie też nie interesuje dobro Towarzystwa, tylko twoje własne. Zawsze nas nienawidziłeś, Buchanan. Tak naprawdę to podpisałeś z nami kontrakt dlate-

go, żeby pokazać bandzie bogatych skurwysynów, że jesteś od nich lepszy. Ale szybko się przekonałeś, że nie jesteś takim zdolnym facetem, jak myślałeś, prawda? I to dlatego wyciągnąłeś tę sprawę ubezpieczenia. Odszkodowanie to kapitał, którego Towarzystwo tak bardzo potrzebowało, bo bez niego nie związałyby końca z końcem. No i oczywiście drobnostka: najpewniej opchnąłeś tę ropę na czarnym rynku i na konto w jakimś szwajcarskim banku przelałeś sześć albo siedem milionów dolarów. Bagatela! Nie ma najmniejszych wątpliwości, Buchanan, że miałeś motyw, by tak postąpić, miałeś też środki i możliwości. Wcześniej czy później ten detektyw z ubezpieczeń to udowodni. I wiesz, co ci powiem? Wpienia mnie to, że dobijając targu z towarzystwem ubezpieczeniowym ratujemy twoją dupę.

Zdumiona brutalną logiką słów Lance'a, Remy przytępała się na tym, że wstrzymuje oddech, czekając na szybką i wściekłą kontrę ze strony Cole'a. Ale Cole nie zaprzeczył. W sali konferencyjnej zapadła długa, pełna napięcia cisza.

Kiedy Cole się odezwał, zrobił to ze śmiertelnym spokojem.

- Rozumiem, że taka jest polityka rodziny, prawda? Tego się mniej więcej spodziewałem.

- W poniedziałek rano -poleciał ojciec - skontaktuj się z towarzystwem ubezpieczeniowym i umówisz się z nimi na spotkanie. Porozumienie będzie negocjował Marc, więc...

- Nie. - Spokojna odmowa Cole'a przerwała mu w pół zdania.

- Co takiego?

- Nie - powtórzył Cole jeszcze bardziej stanowczym tonem. - Wciąż jeszcze kieruję firmą, Frazier. Nie będzie żadnych ugodowych rozmów.

- Chyba nie zrozumiałeś, co mówił Lance. Albo wypracujesz porozumienie z towarzystwem ubezpieczeniowym, albo rada nadzorcza będzie zmuszona zażądać twojej rezygnacji.

- Możecie sobie żądać do końca świata - odparł Cole.

- Radzę, żebyś się zastanowił - powiedział spokojnie Gabe. - Materiał, jakim dysponuje towarzystwo ubezpieczeniowe i poszlaki wskazujące na dokonanie oszustwa są dla rady wystarczającym powodem, żeby zakwestionować twoje dobre imię. Jeżeli odmówisz złożenia rezygnacji, rada zerwie kontrakt i usunie cię ze stanowiska za malwersacje.

- Spróbujcie. - Cole zaatakował szybko i spokojnie. Remy usłyszała hałas odsuwanej krzesła. - Spróbujcie, a ja przedstawię takie dowody malwersacji przeciwko członkom tej waszej rady, że nazwisko Jardin nie będzie schodzić z pierwszych stron gazet. Chciałeś wojny, Frazier, to masz ją.

- Przegrasz, Buchanan.

- Możliwe. Ale jeśli ja pójdę na dno, to wy pójdziecie tam razem ze mną.

Bez żadnego ostrzeżenia drzwi otworzyły się na oścież i Cole wypadł z sali. Nie miał na sobie garnitur ani krawata. Nosił miękkie, sprane dżinsy i luźny sweter w kolorze kości słoniowej, który nadawał mu wygląd bardziej szorstki, twardszy. Kiedy zobaczył ją w korytarzu, lekko zwolnił. Omiótł ją wrogim spojrzeniem szarych oczu, a chłód z nich bijący był szokiem dla jej napiętych nerwów.

- Pieczętki nie zapomniałaś? - mruknął, kiedy ją mijał.

On myśli, że zgadzam się z ich decyzją! - błysnęło jej w głowie. Odwróciła się, chcąc powiedzieć, że nic o spotkaniu nie wiedziała, ale... powstrzymała się. Oskarżenia Lance'a, ostrzeżenia Gabe'a, groźby Cole'a - co o tym sądzić? A jeśli oni mieli rację?

Usłyszała głos Marca:

- Błefuje.

- Nie łudź się - odparł Lance. - Ten skurwysyn wie, co mówi.

- Niech go szlag trafi - zaklął Gabe i uderzył pięścią w stół. - Dlaczego ten facet nie może zrozumieć, że o wiele sensowniej jest dobić targu z towarzystwem ubezpieczeniowym, niż angażować się w długi i kosztow-

ny proces? Przecież to jasne jak słońce, a on nawet nie wziął tego pod uwagę.

- Z ludźmi jego pokroju nie można rozsądnie rozmawiać - powiedział cicho ojciec w chwili, kiedy Cole wychodził frontowymi drzwiami.

- Musimy coś zrobić - nalegał Marc. - Do diabła, Frazier, nie możemy pozwolić, żeby nas zrujnował. Boże, czy wiesz, co się stanie, jeśli dorwie się do tego prasa?

Nagle coś ją w tym wszystkim uderzyło. Ich wcale nie obchodziło, czy Cole jest winny czy nie, ani nawet to, czy oskarżenia o oszustwo są uzasadnione. Mieli do tego podejście o wiele bardziej pragmatyczne: znaleźć takie rozwiązanie, które przyniesie jak najmniej szkód firmie. Ich zdaniem rozwiązaniem tym było wynegocjowanie porozumienia z towarzystwem ubezpieczeniowym, zanim podjęte zostaną jakiegokolwiek dalsze kroki. Czyż to nie sensowne? Czyż o innych sprawach nie można pomyśleć później? Remy ruszyła za Cole'em.

Kiedy wybiegła na ulicę, zobaczyła jeszcze, jak przechodzi przez Canal i idzie w stronę Dzielnicy, ale zaraz potem straciła go z oczu. Parada już się skończyła i ludzie, którzy tłoczyli się na Canal Street, żeby ją obejrzeć, rozchodzili się teraz po wąskich uliczkach Vieux Carré. Pospieszyła za nim, idąc przez rozbawiony tłum dorosłych i dzieci, ocierając się o ludzi, na twarzach których malowało się oczekiwanie, którzy szukali, choć nie wiedzieli, czy coś znajdują, którzy wierzyli, że przekonają się o tym, kiedy na to coś wreszcie natrafiają.

Remy przedzierała się niecierpliwie przez tłum, starając się dogonić Cole'a. Minęła królową balu ubraną we wspaniały, błyszczący kostium z ogonem z piór, dwóch mężczyzn w identycznych marynarkach z satyny z napisem DETROIT AUTOMOTIVE na plecach, którzy tręcali się łokciami i naśmiewali się z błyszczącej królowej nie wiedząc, że wkrótce, kiedy karnawał rozszałeje się w Dzielnicy na dobre, zobaczą takich kostiumów więcej, całe ich setki, że każdy z nich będzie równie wyrafinowany i rozbuchany. Tu, w zaułkach Dzielnicy,

rodziny, które wcześniej stały grupkami na trasie pochodu, przemieszały się z tłumem i gdzieś rozplynęły.

Na rogu Chartres i Conti stał człowiek-orkiestra, wygrywając zwariowaną mambę. Remy dostrzegła, jak Cole przebija się przez krąg gapiów, którzy doszli najwyraźniej do wniosku, że warto popatrzeć. Zawołała go, ale jej nie słyszał. W nieprzebranym tłumie na Royal w końcu zwolnił i mogła zmniejszyć dzielący ich dystans.

- Cole, zaczekaj! - krzyknęła i zobaczyła, że się odwraca, rozgląda, że wreszcie ją dostrzega. Przez chwilę myślała, że nie zatrzyma się, tylko pójdzie dalej, ale nie, przystanął. Ruszyła w jego stronę, przepraszając na prawo i lewo.

- Czego chcesz? - zapytał i gestem ręki odpędził handlarza z naręczem masek karnawałowych, który chciał mu sprzedać pysk goryla czy gębę Drakuli.

- Porozmawiać. - Wyczuwała jego niecierpliwość, jego wściekłość, i zastanawiała się, w jaki sposób do niego trafić.

- Chcesz mi powtórzyć to, co usłyszałem od twojej rodziny, tak? Odpuść sobie, mam tego potąd.

- Nie rozumiesz...

- Rozumiem, rozumiem lepiej niż ty - warknął i ruszył przez tłum na drugą stronę skrzyżowania.

Remy deptała mu po piętach. Po drugiej stronie ulicy ludzi było nieco mniej i szybko się z nim zrównała, choć z trudem dotrzymywała mu kroku.

- Cole, oni chcą tylko dokonać lepszego wyboru, chcą wybrać to, co będzie lepsze dla Towarzystwa.

- Tak, nie myślą o niczym innym. - Nie przestał iść.

Teraz z kolei ona wpadła w złość. Uczepiła się jego ramienia, wyczuwając pod luźnym swetrem twarde muskuły.

- Do diabła, Cole, zatrzymaj się i posłuchaj!

Zatrzymał się tak nagle, że wyprzedziła go i musiała się cofnąć.

- Czego mam niby posłuchać? - spytał. - Jeszcze kilku pustych deklaracji? Frazesów z cyklu: „Chodzi nam tylko o dobro firmy?” Oni się boją, boją się tego błota, które

może zbrukać nazwisko Jardin i zostawić plamę, której nie da się już zmyć.

- To nieprawda. Kiedy towarzystwo ubezpieczeniowe wytoczy proces cywilny i karny, Crescent Line będzie musiało wydać fortunę na adwokatów, żeby z tego wyjść. Wszystko, czego chcą, to wydać pieniądze teraz i nie dopuścić do procesu. Nie jesteśmy pierwsi, duże towarzystwa żeglugowe robią tak od lat. I nikt nikogo tu nie obwinia. To tylko dobry interes.

Jego oczy zwięziły się gwałtownie.

- Kiedy towarzystwo ubezpieczeniowe wytoczy proces? „Kiedy”? Dlaczego nie powiesz „jeśli”? Zakładasz, że odszkodowanie zostało wyłudzone. Dlaczego?

- Nie wiem, dlaczego tak powiedziałam... - odparła niechętnie. Wpadła, wpadła, bo wierzyła, że o czymś wie.

- Nie wiesz? A jakie to niby mogą mieć dowody?

- Wspomniałeś coś o materiałach wybuchowych.

- Co nic nie znaczy, dopóki towarzystwo ubezpieczeniowe nie znajdzie kogoś, kto przysięgnie, że widział je na pokładzie tankowca. Zresztą, mówiłem o ropie, nie o tym. Twierdzą, że *Dragon* był pusty, kiedy poszedł na dno, tak? - zaatakował, patrząc na nią z bliska. - No to się pytam, jakim cudem? Widziałem, jak ładowali go z pirsu. Odbił i mniej więcej dziesięć godzin później był już przy boi morskiej. Znaczy to, że płynął normalnym tempem, uwzględniając niski stan wód podczas odpływu. Wszyscy piloci przysięgają, że tankowiec szedł pod pełnym zanurzeniem, że linia wodna była zasłonięta, co wskazywało, że w zbiornikach ma ropę. Ani razu nie zboczył z trasy, nie zbliżył się do brzegu, a Straż znalazła wrak w odległości niecałych dwóch mil od miejsca, gdzie powinien się znajdować, jeśli szedł ustalonym kursem. No więc pytam: pusty zatonął? To co się stało z ropą? Wiesz?

- Oczywiście, że nie. - Ale fakty, które do siebie dopasował, także ją niepokoiły. Wszystko zdawało się wskazywać, że tankowiec zatonął z ropą. I właśnie to sprawiło, że zaczęła wątpić w zarzuty stawiane przez towarzystwo ubezpieczeniowe.

- Więc dlaczego twoja rodzina tak bardzo chce się mnie pozbyć? Dlaczego stawiają mnie w takiej sytuacji? Dlaczego chcą ze mnie zrobić kozła ofiarnego?

Popatrzyła na niego, widząc gorycz i złość w jego ściągniętej gniewem twarzy. To, co mówił, brzmiało jak tyrada szaleńca. Przypomniała sobie, jak bardzo pogardzał jej rodziną i wszystkim tym, co sobą reprezentowała. Wyższe sfery. Jak wiele razy rzucał jej to w twarz? Dlaczego? Nie czuł się pewnie? Miał kompleks niższości? A może zadaje jej te wszystkie pytania, żeby uwierzyła w jego niewinność?

- Zagrozili, że usuną cię ze stanowiska dopiero wówczas, kiedy odmówisz współpracy - zauważyła.

- Aha, to dlatego tu jesteś. Dlatego, że ich namowy nie przyniosły rezultatu i teraz z kolei ty masz nadzieję, że przekonasz mnie, bym zgodził się na koncepcję działania twojej rodziny?

- Staram się tylko przekonać cię, żebyś był rozsądny - odrzekła.

- Nie. - Potrząsnął głową. - Wcale nie chcesz, żebym postępował rozsądnie. Chcesz, żebym zarzucił sobie na szyję stryczek.

- Nieprawda!

Ale już jej nie słuchał.

- Byłem kompletnie szalony, myśląc, że coś dla ciebie znaczę - szepnął gorzko. - Mam wrażenie, że ty i twoja rodzina przez cały czas robiliście ze mnie wariata. Ale teraz już koniec, Remy. Nigdy więcej.

Kiedy odszedł, nie poszła za nim, chociaż chciała. To był koszmar. Przetarła twarz dłonią, czując się zagubiona, oszołomiona, rozumiejąc tylko część z tego, co zaszło, część, która dotyczyła faktów, a nie uczuć, reakcji albo stosunków między nią a Cole'em.

Przesadzała? Widziała cienie tam, gdzie ich nie było? Bo jakie są fakty? Podczas sztormu zatonął tankowiec, tankowiec należący do rodzinnego towarzystwa żeglugowego. Czy kryło się za tym czyjeś umyślne działanie? Czy był załadowany ropą, kiedy poszedł na dno? Czy też ropa została z niego wypompowana? Ale gdzie? Wjaki sposób?

Na rogu skrzyżowała odruchowo w Bourbon Street i hamowana ludzkim prądem kierującym się w przeciwną stronę, szła do centrum miasta. Wokół niej rozbrzmiewały śmiechy, okrzyki i głosy, od czasu do czasu przerywane popiskiwaniem jazzowego klarnetu. Słyszała dźwięki rhythm and bluesa, chóralne nawoływanie dobiegające z miejsca, gdzie stała grupka uczniów, którzy wpatrywali się w jakąś dziewczynę na wysokim krążganku i chcieli, żeby „pokazała cycki”. „Pokaż cycki”, tak wołali, bo właśnie to zdanie miała wypisane na trykotonowej koszulce, i było dużo śmiechu, i wszyscy się bawili, że hej! Chociaż zabawa to w wątpliwym guście, dowód jest dowodem: podczas trwających dziewięćdziesiąt sześć godzin ostateków w Vieux Carré widać było wyraźne ślady pogańskich rytuałów.

Remy przeszła obok naganiacza, który zapraszał ludzi do baru topless. Przechodnie zwracali głowy w stronę wejścia, ale prawie wszyscy szli dalej. Wiedziona nagłym impulsem, Remy wstąpiła do baru obok. Wyglądał jak większość lokali w okresie karnawału: był niemal pusty i spokojny. Bo w karnawale wszystko działo się na ulicy i dla bawiących się bary były tylko miejscem, gdzie kupowało się kubeczek czegoś mocniejszego i szło dalej.

Podeszła prosto do aparatu telefonicznego w korytarzyku wiodącym do sali restauracyjnej. Trzymając monetę w ręku, pogrzebała w torebce, znalazła numer i wystukała go na tarczy. Dręczyło ją zbyt wiele pytań bez odpowiedzi, denerwowało zbyt wiele rzeczy, które nie miały sensu, zwłaszcza rola Cole'a w całej tej historii. Bo jeśli naprawdę doszło do jakiegoś oszustwa i był w nie zamieszany, to dlaczego od razu nie przystał na propozycję rodziny? Dlaczego nie chciał dojść do porozumienia z towarzystwem ubezpieczeniowym, zanim Hanks zdobędzie obciążające dowody? Dlaczego tak się upierał?

- Mówi Remy Jardin - powiedziała szybko, nim zdała sobie sprawę z tego, co właściwie robi. - Muszę z panem porozmawiać. Czy możemy się spotkać za dwadzieścia minut w La Louisiane, najlepiej w barze?

Zgodził się.

Siedzieli w spokojnym, delikatnie oświetlonym wnętrzu. Remy upiła trochę kawy zaprawionej whisky, spoglądając znad filiżanki na krzepkiego mężczyznę z siwiejącą brodą, który siedział naprzeciwko niej. Mężczyzna wyjął z portfela dziesięciodolarowy banknot i podał go barmanowi. Kiedy barman odszedł, detektyw ujął szklaneczkę z rozcieńczoną szkocką i podniósł ją w geście toastu.

- Za niespodziewane telefony? - zaproponował, ale Remy nie odpowiedziała. Spojrzał na nią jeszcze raz, wyczuł jej nastrój i upił ze szklaneczki łyček tak maleńki i tak szybki, że ledwie zwilżył sobie wargi. - Wspomniała pani o jakichś informacjach dla mnie...

- Nie. Powiedziałam tylko, że chciałabym z panem porozmawiać. - Odstawiła filiżankę, starając się mówić spokojnym i opanowanym głosem. - Doszłam do wniosku, że zarzut oszustwa wysuwany przez towarzystwo ubezpieczeniowe jest całkowicie fałszywy i pozbawiony podstaw.

- Naprawdę?

- Myślę, że pan również o tym wie, panie Hanks. Musiał się pan dowiedzieć, że rozładowanie tankowca o pojemności takiej jak *Dragon* wymaga co najmniej dwudziestu czterech godzin. Jeśli weźmiemy pod uwagę godzinę, o której wypłynął z Claymore, dystans, jaki przebył i miejsce, gdzie poszedł na dno, dojdziemy do wniosku, że było fizyczną niemożliwością rozładować go po drodze. I musi pan się zgodzić, że jeśli ktoś rozmyślnie zatapia tankowiec z ropą, a potem dostaje odszkodowanie, to zysku nie osiąga żadnego. Tak więc nie ma tu żadnego oszustwa ani krętactwa. Obrał pan zły kurs.

- Czyżby? - Popatrzył na nią w zamyśleniu. - Obawiam się, że widzę to trochę inaczej.

- Tak? A jak? - zapytała. - Nie może pan zmienić faktów ani praw fizyki. Ta ropa nie mogła zostać wypompowana do ropociągów albo na barki, jak pan sugerował. Nie było na to czasu.

- Przyznaję, że i mnie dało to trochę do myślenia.

Roześmiała się, lecz w jej śmiechu pobrzmiwały kruche, nerwowe nutki.

- Powinno to panu dać do myślenia znacznie więcej niż trochę, panie Hanks.

Popatrzył na nią, a jego broda i wąsy poruszyły się w kącikach ust - detektyw uśmiechnął się, czego nie mogła dostrzec z powodu zarostu.

- Twierdzi pani, że obrałem zły kurs, panno Jardin, a ja myślę, że to pani próbuje coś złowić.

Zawahała się leciutko.

- To prawda. Uczciwie przyznaję, że nie mogę uwierzyć w prawdziwość tych zarzutów. Chociaż pan, zdaje się, uważa inaczej. Proszę mi wytłumaczyć dlaczego, biorąc pod uwagę fakty.

- Czy widziała pani kiedyś magika, który chowa słońia w kapeluszu?

Remy oparła się na krześle, zniecierpliwiona i trochę poirytowana.

- Proszę, niech mnie pan nie próbuje przekonać, że to była tylko gra luster.

- Magia to tylko iluzja, panno Jardin. Jedynym momentem, kiedy ręka jest szybsza niż oko, jest chwila, kiedy patrzy pani nie na tę rękę. To się nazywa dezorientacja. Trenerzy piłki nożnej planują według tej koncepcji całe mecze.

- Nie mam nastroju do zagadek, panie Hanks. - Zwłaszcza że właśnie jednej z nich doświadczała na własnej skórze. - Niech pan wyraźnie powie, o co panu chodzi.

- Chodzi mi o to, że to wszystko może być jedną wielką bujną, proszę pani. Bo jeśli tankowiec w ogóle nie zatonął? Jeśli resztki, które znalazła Straż Przybrzeżna, to tylko kamuflaż? Jeśli *Crescent Dragon* cumuje teraz w jakimś odległym porcie, mając na burcie inną nazwę i fałszywy rejestr? Co pani powie na to, panno Jardin?

- Ale przecież załoga opuściła statek - zaprotestowała oszołomiona.

- Czy aby na pewno? A może to też był kamuflaż, taka zasłona dymna, za którą inna załoga zajęła miejsce pierwszej, po czym odpłynęła? - skontrował. - I jaki jest tego skutek? Ano taki, że wszyscy patrzą tu, a tankowiec jest już tam, zupełnie gdzie indziej.

Remy pokręciła sceptycznie głową.

- To bardzo interesująca teoria, ale uważam, że to zbyt dalekosiężne i bardzo cieniutkie. Jeśli tylko na tej podstawie...

- Nie tylko - przerwał jej i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Tak. Słyszałam już o rachunku za materiały wybuchowe - powiedziała, kiedy podsunął jej skrawek papieru, ale zauważyła też, że w rękę trzymał coś jeszcze. - Ale rachunek nie stanowi dowodu, że materiały wybuchowe znalazły się kiedykolwiek na pokładzie tankowca.

- Czy pani poznaje tego mężczyznę? - Pokazał jej białą-czarną fotografię i spojrzął na nią znad stolika.

Remy przysunęła fotografię bliżej: mężczyzna, szeroko otwarte oczy, gęste brwi, ciemne, gładkie włosy, śniada karnacja, wąsy.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie pamiętam, żebym go kiedykolwiek widziała. - Mówiła prawdę.

- A tego? - obok pierwszej fotografii położył następną.

Również mężczyzna, roześmiany. Jego mocne, białe zęby lśniły pośrodku ciemnej, gęstej brody. I ten miał ciemne włosy, trochę może za długie i bardzo kręcone. Remy popatrzyła na jego gęste brwi, a potem jeszcze raz spojrzała na mężczyznę z pierwszej fotografii.

- Jego też nie znam, ale są do siebie trochę podobni: brwi, czoło, smągła karnacja. Czy to krewniacy?

Hanks stuknął palcem w pierwszą fotografię.

- To jest Keith Cummins, pierwszy mat na *Dragonie*. A to jest Kim Charles - powiedział, wskazując drugą fotografię - znany europejski specjalista od materiałów wybuchowych z wyrokiem za podpalenie. Grafolog porównał ich podpisy. Twierdzi, że zostały złożone tą samą ręką.

- Rozumiem... - szepnęła.

- Tak więc mamy coś, co łączy materiały wybuchowe i tankowiec, panno Jardin. - Zebrał fotografie i schował je do kieszeni.

- A gdzie on teraz jest, ten... Charles?

- Widzi pani, to niesłychanie ciekawa rzecz, dotyczy zresztą całej załogi *Dragona*. Po tym, jak ich wyłowiono i spisano zeznania, wszyscy, co do jednego, zniknęli, rozpłynęli się jak we mgle. Puff! I nie ma. Prawdziwe czary, magia, panno Jardin - dodał ironicznie. - Inna ciekawostka to to, że ostatnim razem widziano Kima Charlesa, alias Cumminsa, jakiś tydzień temu w Marsylii, we Francji. I niech pani zgadnie, kto był w Marsylii tego samego dnia?

- Kto taki? - zapytała Remy, chociaż znała już chyba odpowiedź.

- Cole Buchanan. Twierdzi, że był tam w interesach. Dziwne jest tylko to, że przybył poprzedniego wieczora, ale pojawił się w biurze dopiero późnym popołudniem następnego dnia. I niech sobie pani wyobrazi, że rano widziano go w porcie, tak samo jak naszego eksperta od materiałów wybuchowych. Cóż on mógł tam robić, panno Jardin? Jak pani myśli? Może spotykał się tam ze współnikiem...?

Dlaczego Cole pojechał do Marsylii? To pytanie zadreżczało Remy, kiedy szła po Iberville, oddalając się powoli od hałaśliwych tłumów na Bourbon i Royal Street. Zanim brodaty detektyw nie zaatakował jej całą serią pytań, nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo chciała wierzyć, że Cole nie jest zamieszany w ten ubezpieczeniowy szwindel. W duchu miała nadzieję, że Hanks powie coś innego, coś, co Cole'a nie pogrąży.

Westchnęła i uniosła oczy. Wieczór. Patrzyła na krwistą łunę, jaką wymalowało na niebie słońce, przypominając sobie ciepło promieniujące z Cole'a, jego uśmiech i czułość. Starała się zapomnieć o chłodzie, jaki czasami wnikał w jego szare oczy, o niemal obsesyjnej nienawiści, jaką żywił do jej rodziny i przyjaciół, i o wszystkich złych słowach, jakie między nimi padły.

To, że znalazł się w Marsylii w tym samym czasie co ten Charles, mogło być tylko i wyłącznie zbiegiem okoliczności. Niewykluczone też, że próbował go odszukać, że chciał go zapytać o *Dragona*. Postąpiłaby tak samo, gdyby wiedziała, że ten człowiek tam jest. Znów wes-

tchnęła, wiedząc, że próbuje usprawiedliwić jego obecność w Marsylii.

I znowu, po raz enty, zaczęła zastanawiać się, dlaczego tak kategorycznie odrzucał możliwość ugody z towarzystwem ubezpieczeniowym. Czy rzeczywiście przez chciwość, jak sugerował Lance? Zwracając choćby część pieniędzy, zrujnują to, czego się dopracowali w ubiegłym roku i firma nie wróci do równowagi przez najbliższych sześć, siedem lat - sam tak powiedział, a wtedy jego dziesięcioprocentowy udział diabli by wzięli. Czy dlatego jest taki twardy? Czy nie wystarczą mu pieniądze, które zarobił, sprzedając ropę na czarnym rynku?

I w ogóle dlaczego miałyby coś takiego zrobić? Zdaniem Lance'a dlatego, że inaczej nie wyciągnąłby firmy z kłopotów. Czy więc o to chodziło? Chciał ocalić swoją dumę? Podreperować ego? A może chodziło tylko o pieniądze? Ale dlaczego? Przecież pogardzał jej rodziną, pogardzał ich dobrobytem? A może... może zrobił to dla niej? Może czuł się niepewnie, może myślał, że go nie pokocha, dopóki nie zdobędzie dla niej całej góry pieniędzy? Jak to? Więc nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo go kocha?!

Tak, to naprawdę problem - kochała go. Nawet wiedząc, że mógł popełnić oszustwo. To dlatego każdej myśli o Cole'u towarzyszył taki ból. Ma rację czy nie, jest winny czy niewinny - ona go kocha. Odkrycie, że tak bardzo jej na nim zależy, przyprawiło ją o zawrót głowy.

Poczuła na policzku łzę i szybko ją otarła, rozglądając się ukradkiem dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt tego nie zauważył. Ale tą względnie spokojną stroną ulicy przechodziło tylko kilkoro turystów i nikt z nich nie zwracał na nią najmniejszej uwagi.

Wtem usłyszała za sobą odgłos szybkich kroków. Odruchowo przycisnęła do siebie torebkę i zerknęła do tyłu, podchodząc bliżej do ozdobionej stiukami ściany.

Nagle ktoś chwycił ją za łokcie i siłą zatrzymał. Chciała krzyknąć, ale ciepła, wilgotna od potu dłoń natychmiast zakryła jej usta, tłumiąc wszelkie dźwięki. Poczuła w stawach ostry ból. Wykręcił jej ręce, szarpnął i przygwoździł do siebie ramieniem.

Stał przed nią mężczyzna w niebieskiej koszuli i wypłowiałych dżinsach. Twarz zakrywała mu karnawałowa maska, maska świni z małymi, czarnymi i złośliwymi oczkami, i kłami wystającymi po bokach ohydneho pyska. W ułamku sekundy zdążyła pomyśleć, dlaczego nigdy przedtem nie zauważyła, że świński pysk może być tak przerażający.

Usłyszała stłumiony głos.

- To tylko ostrzeżenie, mała - wycharczał jej do ucha.
- Przestań zadawać pytania i trzymaj język za zębami.

Ten głos... Słyszała go już wcześniej, tamtej nocy na przystani. To był ten sam człowiek, który wykręcił jej wtedy boleśnie ręce i nazwał „małą”.

Kiedy spróbowała spojrzeć mu w twarz, która znajdowała się tak blisko jej ucha, coś uderzyło ją w brzuch. Ból. Nie mogła oddychać. Bił ją ten drugi, nie ten, który ją trzymał. Zdała sobie z tego sprawę, kiedy uderzył ją po raz wtóry. Szarpnęła się w bok, próbując uniknąć trzeciego ciosu, ale dosięgnął ją, wywołując ostry ból.

Przecież na ulicy są ludzie! - myślała. Niczego nie widzą?! Dlaczego nie przybiegają na pomoc?! Spocona dłoń nie zakrywała już jej ust, ale Remy nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku, brakło jej tchu. To było jak koszmar nocny: próbowała krzyczeć, chciała krzyczeć, ale mogła wydobyć z siebie tylko bezgłośny jęk.

Nagle spostrzegła, że do jej twarzy zbliża się jakaś zamazana, niewyraźna pięść. Uderzył ją w szczękę. I jeszcze raz, i znowu. Potworny huk w głowie i nagle wydawało jej się, że ziemia usuwa się jej spod nóg. Zrozumiała, że pada na chodnik i usiłowała się czegoś przytrzymać.

Człowiek z pirsu zwolnił uchwyt. Odeszli. Obydwoj. Oszołomiona, podniosła wzrok i zobaczyła, jak szybkim krokiem zmiierzają w stronę najbliższego rogu. Ujrzała także innych ludzi, którzy przyglądali się jej w bezruchu, zmrozeni widokiem, jaki przed sobą mieli. Nie wiedziała, że to przerażające spotkanie trwało ledwie dwadzieścia sekund. Dla niej była to cała wieczność. Spróbowała wstać, ale... O Boże, to tak bardzo bolało...

25

Z każdym ostrożnym oddechem czuła ostre, aseptyczne zapachy szpitala. Przeszywający ból zmienił się teraz w tępe rwanie w twarzy i brzuchu - o ile się nie ruszała i nie oddychała zbyt głęboko. Skupiła wzrok na kwadratowej zasłonie z zielonego materiału, która oddzielała łóżko od reszty sali.

- Co jeszcze może pani powiedzieć o tych dwóch mężczyznach? Jakimi mieli włosy, oczy?

Przesunęła wzrok na policjanta w mundurze, który stał obok łóżka. Pokręciła głową. Leciutko, prawie niezauważalnie.

- Pamiętam tylko pysk świni - odrzekła powoli; nie mogła mówić szybciej, bo miała opuchniętą szczękę i policzek. - Złośliwy pysk świni z wielkimi kłami. Wyglądał jak okrutny dzik, ale maska była różowajak... - zdobyła się na dowcip - jak pyszczek Prosiaczka z Kubusia Puchatka. - Mam wrażenie, że chyba już nigdy nie pomyślę o Prosiaczku jak o miłym, śmiesznym zwierzątku.

Policjant skinął głową i wrócił do pytań:

- A ten mężczyzna, który chwycił panią z tyłu? Powiedziała pani, że zakrył pani ręką usta. Czy miał na palcu jakiś pierścienek?

Remy zamknęła oczy, starając się przypomnieć sobie, czy czuła na twarzy dotknięcie metalu.

- Chyba raczej nie... - Chciała westchnąć i jęknęła, gdy znów poczuła ostry ból. - Pamiętam, że miał spoconą dłoń, z odciskami, i szorstkie palce.

- A ten w masce świni? Nosił jakiś pierścionek, zegarek?

Przypomniała sobie zamazany obraz ręki zbliżającej się do jej twarzy.

- Jestem niemal pewna, że na prawej ręce nie miał nic, ale... nie wiem, czy nie nosił czegoś na lewej.

Policjant zapisał to i zamknął notes.

- Jeśli przypomni pani sobie coś jeszcze, proszę zadzwonić.

Remy znów leciutko skinęła głową, nie mówiąc jednak nic o ostrzeżeniu, które poprzedziło pierwszy cios. Nie mogła mu o tym powiedzieć, nie zdradzając jednocześnie wszystkiego, z zarzutami oszustwa wysuwanymi przez towarzystwo ubezpieczeniowe łącznie. Pierwsi ludzie, którzy przyszedli jej z pomocą, byli turystami spoza Luizjany. Natychmiast uznali, że byli świadkami rabunkowej napaści - ostatecznie przyjechali do Nowego Orleanu, do miasta wielkiego i złego, gdzie takie rzeczy są na porządku dziennym. Kiedy Remy poczuła się na tyle dobrze, że mogła już rozmawiać, doszła do wniosku, że tak będzie lepiej: niech wszyscy myślą, że była to zwyczajna napaść. Tak też się stało, bez zbędnych pytań.

Kiedy po odejściu policjanta zasłona wróciła na miejsce, Remy usłyszała pełen niepokoju głos matki:

- Jak ona się czuje? Gdzie ona jest? Chcę ją zobaczyć.

W chwilę później zasłonę ponownie odsunięto i Sybilla Jardin podeszła szybko do łóżka. Gdyby należała do osób łatwo załamujących ręce, załamałaby je na pewno, ale Sybilla była inna. Kiedy zobaczyła córkę - Remy miała czerwony, spuchnięty policzek, podbite oko i zaczerwienioną szczękę - na chwilę się zawahała. Ale wahanie trwało tylko ułamek sekundy i zaraz potem stanęła obok łóżka i delikatnie pogładziła Remy po głowie.

- Moje ty biedne kochanie... - szepnęła, zagryzając dolną wargę.

- Wszystko w porządku, tylko trochę mnie boli. - Remy sięgnęła po jej rękę i ścisnęła ją uspokajająco.

Zaraz potem nadszedł Gabe. Był blady, co było widać mimo opalenizny, spięty i zły.

- Kto to ci zrobił, Remy? Jak oni wyglądali?
- Usłyszała w jego głosie wściekłość, wściekłość brata.
- Nie wiem. Mieli na twarzach maski.

Na wpół odwrócił się od łóżka i natychmiast spojrzął na nią znowu.

- Ale co ty do diabła robiłaś w Dzielnicy? Powiedziałaś, że nie ruszysz się z domu, że będziesz nad basenem. Dlaczego nie zostałaś? Dlaczego wyszłaś z domu do ciężkiej cholery?!

- Gabe. - Sybilla uciszyła go wzrokiem, uwalniając ją tym samym od konieczności odpowiadania na pytanie. Ale Remy wiedziała, że Gabe jej nie popuści, że później będzie musiała na nie odpowiedzieć.

- Przepraszam. To tylko dlatego, że... - Urwała i w bezradnym geście przesunął ręką po brązowych włosach.

- Wiem - szepnęła matka.

- Czy nic jej nie będzie, doktorze John? - Ojciec stał u stóp łóżka, błydy i wstrząśnięty.

Remy spojrzała na siwego mężczyznę obok niego. Spodziewała się, że ujrzy starego, niskiego i krewkiego lekarza, tymczasem doktor John był człowiekiem wysokim i postawnym. Biła z niego pewność siebie i niezachwiana wiara we własne kompetencje - był południową wersją Marcusa Welby'ego, co dobitnie podkreślał próżnym uśmiechem.

- Rozmawiałem z lekarzem, który miał dyżur, kiedy ją przywieziono. Obrażenia są w większości niegroźne. Siniaki na twarzy, no i mamy tu złamane zebro.

Remy usłyszała to i zauważyła przytomnie:

- Gdybyśmy mieli złamane zebro, panie doktorze, to by się pan i ja, to by się pan nie uśmiechał. - Lekarz zachichotał. - Ani nie śmiał - dodała.

- Słyszysz, Frazier? Myślę, że to potwierdza moją diagnozę - oświadczył. - Do wtorku siniaki zbledną na tyle, że będzie mogła się umalować i pójść potańczyć. No, w każdym razie coś wolniejszego.

- Czy to znaczy, że możemy zabrać ją do domu? - spytała Sybilla.

Tym razem nie odpowiedział natychmiast.

- Chciałbym zatrzymać ją na noc, tylko na obserwację. Trzeba wziąć pod uwagę ten wypadek we Francji...

Remy poczuła ogromną ulgę. Nie chciała wracać do domu i odpowiadać na nie kończące się pytania. Nie dzisiaj, nie teraz, kiedy wszystko ją bolało i nawet oddychanie wymagało wysiłku. Jutro. Jutro opowie im o ostrzeżeniu. Wiedziała, że dojdzie do sprzeczki i po prostu nie czuła się na siłach, by stawić im czoło.

- Tak, myślę, że tak będzie najlepiej. Niech zostanie tu na noc - zgodził się ojciec.

- Damy jej separatkę - powiedział doktor John i mrugnął do Remy. - I posadzimy przed drzwiami jedną z naszych salowych. Odstraszy każdego napastnika.

- Wspaniale - szepnęła Remy, wcale nie rozbawiona.

W godzinę później umieszczono ją w oddzielnym pokoju, daleko od izby przyjęć, gdzie niosły się jęki rannych, gdzie słychać było pokrzykiwania sanitariuszy i dźwięk alarmowych dzwonek. Leżała z zamkniętymi oczami. Nie spała ani nie odpoczywała, po prostu cierpiała. Ale cierpiała w spokoju, bo matka nie poprawiała jej nieustannie poduszki, a Gabe nie pytał, czy chce coś do picia. Myśleli, że śpi i dali jej spokój.

Matka siedziała w fotelu obok łóżka. Remy słyszała, jak szeleści kartkami kolorowego czasopisma. Gabe stał przy oknie. To chodził, to przystawał, znowu chodził, i znowu na chwilę przystawał. Ojciec wyszedł z separatki kilka minut wcześniej. Kilka minut czy kilka godzin wcześniej...? Straciła poczucie czasu i zastanawiała się, kiedy pora odwiedzin dobiegnie wreszcie końca. Bo wtedy będą musieli wyjść.

Szpital w Nicei... Co za odmiana. Wtedy tak bardzo pragnęła mieć przy sobie kogoś z rodziny, a teraz... Teraz byli tutaj, a ona chciała zostać sama, żeby odpocząć... Nie, nieprawda. Żeby pomyśleć.

„Przestań zadawać pytania i trzymaj język za zębami” - warknął. Pytania dotyczące kogo? Kto go na nią naślął? Nie Cole. Była pewna, że by tego nie zrobił. Czy to znaczy, że się myliła? Że Cole nie jest w to oszustwo zamieszany?

Usłyszała kroki w korytarzu. Zbliżały się do drzwi jej pokoju. Nie było to ciche popiskiwanie, jakie wydają przy chodzeniu buty pielęgniarek, tylko skrzypienie butów na skórzanej podeszwie. Ktoś wszedł do separatki.

- Jak ona się czuje? - To ojciec.

- Chyba śpi. - Gabe obrócił się przy oknie. Słyszała, jak idzie w stronę drzwi.

- To dobrze. Właśnie rozmawiałem z doktorem Johnem. - Jego przyciszony głos był niewiele głośniejszy od szeptu i musiała natężyć słuch, żeby zrozumieć, co mówi. - Już to załatwił. Jutro rano Remy poleci do kliniki, szpitalnym samolotem.

Zesztywniała w odruchu gwałtownego sprzeciwu, a potem odetchnęła trochę swobodniej, słysząc odpowiedź Gabe'a:

- Raczej się z tego nie ucieszysz.

- Nie jest w stanie się nam sprzeciwić. Ona kłamie, Gabe, i to mi się nie podoba. Coś jest nie tak. Przecież nie możemy jej pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ona musi być pod stałym nadzorem, a tam będzie.

- Masz rację. - Odpowiedź Gabe'a zabiła w Remy resztki nadziei.

Nie pojedzie. Nie może pojechać, nie teraz. Ale jak zdoła ich powstrzymać? Zagadają ją. Jeżeli powie im o tym ostrzeżeniu, jeśli im powie o tankowcu i o tamtej nocy na pirsie, tym bardziej będą zdecydowani, żeby ją chronić i nie dopuścić, by coś się jej przydarzyło. A jeśli zaprotestuje zbyt głośno, mogą przekonać doktora Johna, żeby dał jej coś na uspokojenie i kiedy przyjdzie do siebie, będzie już w klinice, wśród lekarzy przekonanych, że straciła nie tylko pamięć, ale i rozum.

Boże drogi, co ma teraz robić? Musi coś wymyśleć. Przecież nie może dać się wysłać do jakiejś kliniki!

Przypomniała sobie maskę świni z jej małymi, złośliwymi oczkami i groźnymi kłami. Ten bandyta powiedział, że to tylko ostrzeżenie. Jeśli zostanie, jeśli dalej będzie zadawała pytania i jeśli się o tym dowiedzą... Remy zadrżała i natychmiast poczuła ostre dźgnięcie w bok - zaboląło ją złamane żebro.

- Remy... - Głos matki brzmiał cicho i łagodnie. Zaraz potem poczuła dotknięcie ręki na swoim ramieniu. Powoli otworzyła oczy.

- Musimy już iść, kochanie. Zobaczymy się jutro rano.

Wydała z siebie cichy odgłos na znak, że rozumie, a potem udała, że znowu zapada w sen.

Cisza. Remy wstrzymała nieświadomie oddech i nasłuchiwała najłżejszego szeptu czy odgłosu w szpitalnym korytarzu za drzwiami ciemnej separatki. Nic. Cisza. Od dłuższego czasu nie wyczuwała tam żadnego ruchu.

Odsunęła cienkie prześcieradło i narzutę, i wsparła się na łokciach, żeby ostrożnie usiąść. Zastanawiała się, czy nie zapalić małej lampki nad wezgłowiem łóżka, ale zrezygnowała. Po omacku odnalazła na stoliku telefon i przeniosła go na kolana.

Przez okno wpadało akurat tyle światła, żeby można było dostrzec cyfry na tarczy. Najpierw zadzwoniła do biura numerów, a później tam, gdzie chciała zadzwonić.

- Mówi Remy - zaczęła spokojnie i cicho, nie spuszczać wzroku z zamkniętych drzwi. - Muszę gdzieś przemocować, tylko dzisiaj, i nie wiedziałam, do kogo zadzwonić. - Z ulgi omal nie odetchnęła, ale czuła, że pęknięte żebro tylko na to czeka. - Czy możesz przyjechać i mnie stąd zabrać? Jestem w Charity... Tak, nic mi nie jest. Ot, kilka siniaków i tyle. Wszystko ci wytłumaczę, jak się zobaczymy... Nie, nie wchodź na górę. Zaczekaj na mnie przed szpitalem.

Odstawiła telefon na stolik, a później, zacisnąwszy zęby, na wpół ześlizgnęła się, na wpół stoczyła z łóżka. Chociaż klatkę piersiową ścisnął jej bandaż, przy każdym ruchu czuła okropny ból. Ubranie znalazła w szafie, ale omal nie zemdlała, kiedy próbowała je włożyć.

Kiedy się wreszcie ubrała, oparła się o ścianę, żeby odpocząć. Po dłuższej chwili stanęła przy drzwiach i zaczęła nasłuchiwać kroków i cichego szelestu nylonowych fartuchów. Ostrożnie uchyliła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Korytarz był pusty. Otworzyła drzwi trochę szerzej, żeby zerknąć na dyżurkę pielęgniarek. Siedziały

tam trzy. Rozmawiały, żadna nie patrzyła w jej stronę. Ale żeby dotrzeć do windy, musiała przejść obok nich, a wiedziała, że natychmiast ją zauważą. Wtedy dostrzegła drzwi wychodzące na klatkę schodową i w duchu pobłogosławiła architekta, że umieścił je tak blisko separatki.

Policzyła do trzech i wyślizgnęła się z pokoju, nie domykając za sobą drzwi; nie chciała ryzykować, bo pielęgniarki mogły usłyszeć cichy trzask zamka. Lecz ani jedna głowa nie odwróciła się w jej stronę. Trzymając się za prawy bok, Remy ruszyła korytarzem do klatki schodowej.

Pięć minut później była już przed szpitalem. Dostrzegła samochód zaparkowany na zakręcie; wóz miał włączony silnik. Pospieszyła w tamtą stronę, ani przez chwilę nie zastanawiając się nad decyzją, którą podjęła. A podjęła ją pod wpływem jednego tylko pytania: jeśli przypomni sobie, co widziała wtedy na pirsie, czy gdziekolwiek znajdzie dla siebie jakieś bezpieczne miejsce?

26

Donośne stukanie mosiężnej kołatki ustało, a zastąpiło je natarczywe walenie do drzwi. Hałas zagłuszył dźwięk katedralnych dzwonów, które wzywały wiernych na poranną mszę.

- Idę! Już idę! - zawołał Cole po raz drugi, przechodząc boso przez salonik i zamykając po drodze suwak dzinsów. Walenie nie ustawało. Zaczął otwierać drzwi z łańcucha - zawsze zakładał go na noc - ale w tym samym momencie Gabe Jardin grzmotnął w nie całym ciężarem ciała tak, że rozwarły się z trzaskiem na oścież. Za Gabe'em wpadł do środka Lance.

- Gdzie ona jest? Gdzie jest Remy? - Potoczył dzikim wzrokiem po pokoju. Na jego twarzy malowała się rozpacz i wściekłość.

- Remy? - zdumiał się Cole. - Dlaczego miałyby tu być?

- Bo zniknęła ze szpitala. I tylko nie udawaj, że nic o tym nie wiesz. - Spojrzał na Cole'a tak, jakby był karaluchem, którego należało rozdeptać. Wyciągnął rękę w stronę drzwi do kuchni i rozkazał: - Ty poszukaj tam, Lance. Ja rozejrzę się tutaj. - Ruszył do sypialni.

- Chwileczkę. - Cole chwycił go za ramię. - Co Remy robiła w szpitalu?

- Twierdzisz, że nic nie wiesz? - warknął i spróbował wyswobodzić rękę.

Ale Cole wzmógł tylko uścisk i szybko okazało się, który z nich jest silniejszy.

- Słuchaj, ty skurwysynu! - ryknął mu prosto w twarz.
- Ja cię nie znoszę i ty mnie nie znosisz, ale nie ruszysz się stąd ani na krok, dopóki nie powiesz, co Remy robiła w szpitalu! Jasne?!

Gabe zerknął na niego niepewnie, ale nie ustąpił.

- Napadli ją. Wczoraj po południu, w Dzielnicy. Jakichś dwóch facetów w maskach. Pobili ją.

- Ale... dlaczego? - Zdumiony tą wiadomością, Cole zwolnił uścisk.

- A skąd do cholery mam wiedzieć? Może miała niefart i spotkała dwóch naćpanych szajbusów. - Odepchnął Cole'a, kiedy Lance wypadł z kuchni.

- Nie ma jej tu, Gabe.

- Chodź, sprawdzimy tam.

Kiedy szli do sypialni, Cole nie próbował ich nawet zatrzymać. Odwrócił się i popadł w niespokojną zadumę.

— Gdzie ona jest? - Ścisnął czarną słuchawkę, a ręka drżała mu z wściekłości jakiego głos. - Coś z nią zrobił?

- Z kim?

- Dobrze wiesz, że mówię o Remy do ciężkiej cholery!

- To ona nie jest w szpitalu?

- Nie. Zniknęła, w nocy. - Zacisnął dłoń jeszcze mocniej. - Zostaw ją, słyszysz? Jeśli spadnie jej z głowy choćby jeden włos, przysięgam, że...

- Że co? Że mnie zabijesz? - zakpił. - Nie strasz, nie strasz, bo się...

- Słuchaj, do diabła, ja...

- Przestań pieprzyć! Nie zrobisz nic i obaj o tym wiemy. Ty jesteś sama chciwość, chciwość bez jaj. Zawsze taki byłeś.

- Gdzie Remy?

- Nie wiem. Ale lepiej, żebyś ją znalazł, zanim ja to zrobię.

Mgła. Roztaczała się wokół niej biała nocna mgła, gęsta i chłodna. Bił z niej jakiś niesamowity żółtawy poblask, roztańczony, chybotliwy. I zbliżał się do niej, cały czas się do niej zbliżał. Chciała od niego uciekać, ale stopy

kleiły się jej do ziemi. Żółte światło pełzło w jej stronę, z każdą sekundą coraz jaśniejsze, potem rozdzieliło się na dwa, na trzy, wreszcie na cztery słupy ognia. Spoza roztańczonych płomieni wyzierały czarne twarze, czarne twarze na czarnych korpusach ubranych w białe, żebracze łachmany. Nacierają na nią wirując, przytupując, trzymając nad głowami płonące pochodnie i grzechocząc blaszanymi kubkami.

Flambeaux. Roześmiała się z ulgą. To był pochód, nocna parada z czarnymi niosącymi pochodnie.

Teraz z mgły wyłonili się jeźdźcy dosiadający wspañiatych rumaków. Rumaki tańczyły, wdzięcznie podnosząc nogi i zginając je w pęcinach, parskały, a zakapturzeni jeźdźcy pysznili się rycerskimi kostiumami i połyskującymi hełmami zdobnymi w pióra. Potem nadciągnęła wielka platforma na kołach, pomalowana w jaskrawe, niemal oślepiające kolory, roziskrzona i mieniąca się blaskiem. Na jej szczycie jechał sam bóg Comus, obrany królem pochodu - baśniowe, krystaliczno-białe spektrum barw. Uniósł w jej stronę swój puchar i zachwycona Remy zaklaskała w dłonie, widząc szare oczy, śmiejące się do niej zza maski zakrywającej mu całą twarz. Cole. Comusem był Cole, boski władca...

Nagle maska zmieniła kształt, wyrósł jej pysk i dwa potężne, lśniące kły. Remy aż się cofnęła. Nie, przecież Cole nie mógł być mężczyzną w masce świni. Odsuwała się od niego, potrząsając przecząco głową, a on wciąż podtykał jej puchar.

Potem przypomniała sobie, że nie, Comus nigdy nie był prawdziwym królem. Prawdziwa władza spoczywała w rękach kapitana, jednego z jeźdźców poprzedzających wóz Comusa. Odwróciła się i zaczęła biec przez gęstą mgłę za znikającymi jeźdźcami. Ale jej nogi poruszały się tak powoli, tak bardzo, bardzo powoli, że nie mogła ich dogonić. Już dostrzegła sylwetki koni i błysk wypolerowanych podków i wtedy tłum zaczął ich powoli wchłaniać.

- Zaczekajcie! Zaczekajcie!

Jeden z jeźdźców zatrzymał się i odwrócił w siodle. Kaptur zakrywający twarz zsunął się mu na ramiona.

W miejscu twarzy była maska świni. Małe błyszczące złośliwie oczka spoglądały na nią oskarżycielsko. Remy zamarła i spytała:

- Kim jesteś?

- Powiedziałem ci, żebyś przestała zadawać pytania!

Nagle tłum wokół niej zniknął i teraz otaczali ją tylko jeźdźcy, jeźdźcy w maskach świni. Skandowali chórem:

- Ostrzegano cię! Ostrzegano cię!

I zbliżali się na koniach w jej stronę, coraz bardziej zacieśniając krąg.

- Nie, nie! - zaczęła krzyczeć, ale nikt jej nie słyszał.

Na ulicy widziała tłumy. Ludzie wskazywali palcami jeźdźców, ale na nią nie patrzyli.

Poczuła dotyk czyichś rąk i wymierzyła na oślep rozpaczliwy cios. Przeszył ją ostry ból, kłujący, doskwierający...

- Wszystko w porządku - usłyszała jakiś głos. - Już dobrze... Tutaj jesteś bezpieczna. Słyszysz? Tutaj nic ci nie grozi.

Obudziła się gwałtownie, obolała i zdeorientowana, choć nie wyzwoliła się jeszcze ze szponów koszmaru. Popatrzyła na twarz Nattie, na jej ciemne, mądre i uważne oczy.

- Nattie... - szepnęła, próbując odegnać strach, który wciąż ścisnął ją za gardło. - Ja... - Rozejrzała się dookoła. Zobaczyła tapetę w różyczki, białe meble, perkalowe zasłony w oknach i starą szyfonierkę, na której stały rodzinne fotografie w ramkach i kryształowe rozpylacze do perfum. Gościnny pokój w domu Nattie - tu właśnie się znajdowała. Teraz sobie przypomniała: Nattie zabrała ją poprzedniej nocy ze szpitala i przywiozła do domu, do swego małego, wiejskiego domku w Channel. Poczuła, że Nattie uwalnia jej ramiona, że już jej nie trzyma. - ...to był tylko sen, prawda? - Spostrzegła, że zaciska kurczowo palce na rękawach przetykanego jedwabiem szlafroka Nattie. Puściła je i dotknęła ręką policzka, czując, jak bardzo jest obolała i spuchnięta.

- Tak się rzucałaś, że śniły ci się chyba jakieś koszmary - powiedziała Nattie, wstając z łóżka.

- Tak, straszne. - Oparła się wygodniej o puchową poduszkę i wreszcie poczuła się lepiej. - Nattie, ile dni temu wróciłam do domu? Pięć, prawda? Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że od tamtego czasu minęły całe wieki. - Kucharka nie odpowiedziała. Stała przy oknie i podniosła żaluzje, wpuszczając do pokoju lawinę jasnego światła. Remy aż podskoczyła i zasłoniła ręką oczy. - Która godzina?

- Dochodzi jedenasta.

- Niemożliwe. - Spróbowała usiąść, ale złamane żebro natychmiast boleśnie zaprotestowało.

- Może i niemożliwe, ale tak jest - stwierdziła Nattie, kładąc w nogach łóżka jaskrawy aksamitny szlafrok. - Łazienka jest po drugiej stronie korytarza, a kawa czeka w kuchni.

Dziesięć minut później Remy weszła do salonu z filiżanką czarnej kawy w rękę; na bawełnianą koszulę, którą pożyczyła od Nattie poprzedniego wieczoru, nałożyła szlafrok. Kucharka siedziała zwinięta w fotelu pokrytym kolorowym perkalem. Na podłodze przed nią leżało niedzielne wydanie „Piacyune”, a na jej kolanach - krzyżówka.

Nattie zmierzyła ją taksującym spojrzeniem, a potem powiedziała:

- Jak tylko skończę krzyżówkę, dam ci coś na te siniaki na twarzy.

- Dziękuję. - Remy zawahała się. - Muszę zadzwonić, Nattie...

- Jeżeli chcesz rozmawiać na osobności, to w kuchni jest drugi aparat, ale możesz telefonować i stąd. - Skinieniem głowy wskazała beżowy aparat na stoliku obok kanapy.

Remy spojrzała na telefon żałując, że nie zdążyła wypić wcześniej ani łyka kawy. Ale wiedziała, że odkładanie tego na później nic nie da. Stała przy kanapie, ostrożnie usiadła na twardej poduszce, wzięła słuchawkę i z pamięci wykręciła numer.

- Halo?

- Mamo, to ja, Remy...

- Remy! Gdzie jesteś? Czy wszystko w porządku?
- wyrzuciła z siebie jednym tchem, odwróciła się od słuchawki, zawołała: - Frazier, to Remy! Jest przy telefonie! - i wróciła do przerwanej rozmowy. - Tak bardzo się o ciebie martwiliśmy, kochanie. Nie wiedzieliśmy, co robić, kiedy zadzwonili do nas ze szpitala i powiedzieli, że ciebie nie ma.

- Remy, czy to ty? - Do rozmowy wtrącił się ojciec.

- Tak, to ja. Wszystko w porządku...

- Skąd dzwonicz? Zaraz po ciebie przyjedziemy.

- Nie - Remy przerwała mu w pół słowa. - Nie wrócę do domu, przynajmniej na razie. Dzwonię tylko, żeby wam powiedzieć, że wszystko w porządku, i że jestem całkowicie bezpieczna tu, gdzie jestem.

- Ale gdzie jesteś?

Zawahała się i odrzekła:

- Zadzwonię później. - Odłożyła słuchawkę.

Przez dłuższą chwilę patrzyła na telefon, a potem spojrzała na Nattie. Jej ciemne oczy wpatrywały się w Remy z nie ukrywaną ciekawością, ale kucharka nie zadawała żadnych pytań, tak samo jak nie zadawała ich w nocy, kiedy zabierała Remy ze szpitala. Remy powiedziała jej tylko, że pobiło ją dwóch mężczyzn i oświadczyła, że nie wraca do domu. Tyle. Nie wyjaśniła jej nic więcej, niczego nie tłumaczyła, a Nattie nie chciała nic wiedzieć. Nie chciała, ale miała prawo.

- Przepraszam cię, Nattie, że cię w to wszystko wciągnęłam, ale oni chcą mnie wysłać do jakiejś kliniki pod Houston. Miałam tam polecieć samolotem dziś rano. Dlatego uciekłam. Nie wiedziałam, jak ich przekonać, że nie chcę stąd wyjeżdżać.

- To musi być ta sama klinika, o której rozmawiali, jak tylko wróciłaś z Francji.

- Tak. Ale jest jeszcze coś Nattie... - Remy opowiedziała jej pokrótce o zarzutach domniemanego oszustwa, jakie stawia firmie towarzystwo ubezpieczeniowe, o zatonięciu tankowca, o tym, że jest przekonana, iż tamtej nocy widziała na piersi coś niezwykłego i o swoich próbach dotarcia do prawdy.

- Czy jesteś pewna, że powinnaś mi to wszystko opowiadać? - spytała zaniepokojona Nattie.

- Muszę. Bo widzisz... - Remy ujęła w dłonie filiżankę z kawą. - Zanim ci dwaj mężczyźni mnie pobili, ostrzegli mnie, żebym przestała zadawać pytania i trzymała język za zębami.

- A ty nie masz zamiaru tego robić, co? - Nattie skrzyżowała ręce na piersiach w geście rezygnacji jak i wyzwania.

- Nie mogę. Przecież muszę się jakoś dowiedzieć, kogo lub co widziałam tamtej nocy. Muszę wiedzieć, komu wierzyć, komu zaufać. Stanowię dla kogoś zagrożenie... - Popatrzyła na czarną kawę w filiżance. - Tak, im więcej o tym myślę, Nattie, tym bardziej jestem przekonana, że istnieje jakiś związek między mężczyzną, który urządził mnie tak w Nicei i ludźmi, którzy mnie pobili. Może to nie ten sam człowiek, ale obaj muszą mieć coś wspólnego z *Dragonem*. Bo nie wierzę w tak dziwne zbiegi okoliczności.

Nattie opuściła nogi i odłożyła krzyżówkę.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś śledził cię przez całą drogę do Francji i tam cię dopadł?

- Tak, Nattie, to ma sens. Ludzie, którzy chcą, żebym milczała teraz, nie mogli przecież dopuścić, żebym wygadała się wtedy. Niewykluczone, że właśnie o to się kłóciliśmy, kiedy mnie popchnął, kiedy uderzyłam głową w drzewo. - Westchnęła, widząc całą ironię sytuacji. - Ale ż musiało mu ulżyć, kiedy dowiedział się, że mam amnezję...

- I się wściekł, kiedy się dowiedział, że zaczęłaś zadawać pytania.

- Właśnie. - Przeczesała ręką włosy i spojrzała na mały kominek obramowany metalową ramą, w której wytłoczono splecione łodygi powoju. - Prawdopodobnie myśli, że niedługo coś sobie przypomnę. Kto wie? Może rzeczywiście przypomnę...

- Albo uważa, że zadając pytania, wkrótce odkryjesz prawdę.

- Ale przecież rozmawiałam tylko z kilkoma ludźmi. Spotkałam się z jednym z pilotów rzecznych, który pływał na *Dragonie* i rozmawiałam z Charliem... Charlie! Miałam do niego wieczorem zadzwonić - przypomniała sobie i sięgnęła po słuchawkę telefonu.

- Kto to jest Charlie? - zdziwiła się Nattie.

- Charlie Aikens. Pracuje na pirsie, przy którym cumował *Dragon*. Miał się dowiedzieć, kto pracował tej nocy, kiedy statek załadowywano albo przynajmniej spróbować się dowiedzieć. - Niestety, numer telefonu Charliego miała w torebce, która została w szpitalnej przechowalni, więc musiała wpiery zadzwonić do informacji.

Po czwartym dzwonku odezwała się jakaś kobieta. Remy zupełnie się tego nie spodziewała. Nie wiadomo dlaczego cały czas miała wrażenie, że Charlie mieszka sam. Oczywiście to nie znaczyło, że nie mógł mieć żadnego towarzystwa.

- Czy jest Charlie?

- Nie, nie ma go.

Wyczuła sztywny, prawie obronny ton w głosie kobiety.

- Nazywam się Remy Cooper i Charlie miał zdobyć dla mnie pewne informacje na temat statków. Moja przyjaciółka potrzebuje ich do swojej książki. Czy pani może wie, kiedy on wróci?

- Nie... on już nie wróci. - Głos kobiety jakby lekko się załamał. - Charlie nie żyje.

Remy zamarła. Mięśnie jej twarzy sparaliżował szok i przerażenie.

- Kiedy... W jaki sposób? - wykrztusiła.

- Wczoraj. Powiedzieli mi, że coś tam na tym jego pirsie nawaliło, już jakiś czas temu, i on miał to sprawdzić. Podobno poślizgnął się albo zakręciło mu się w głowie. Wpadł do rzeki.

- Czy jest pani tego pewna? Czy ktokolwiek to widział? Czy są świadkowie? - Ogarnęło ją tak wielkie poczucie winy, że dostała mdłości. Kiedy Nattie zabrała jej filiżankę z kawą i odstawiła ją na stolik, nawet na kucharkę nie popatrzyła.

- Słyszeli, jak krzyczał, kiedy wpadł, ale nie mogli już nic zrobić. Prąd go zniósł. - Kobieta mówiła głosem smutnym i bezbarwnym, jakby musiała komuś o tym opowiedzieć, żeby samej we wszystko uwierzyć. - Widzi pani, tylko on mi został, bo nikt z naszej rodziny już nie żyje. Był moim bratem. Ciało znaleźli dziś rano. W domu pogrzebowym powiedzieli, że muszę mu przynieść jakiś garnitur. Myślałam, że może ma jakiś garnitur. Ale dlaczego koniecznie w garniturze? - zaprotestowała, ogarnięta falą nagłego gniewu. - On nienawidził garniturów. Mamusia zawsze kazała mi wkładać garnitur do kościoła i zawsze się z nią wyklócał. Bóg nie zwraca uwagi, czy jestem w garniturze czy nie, tak mówił. Myśli pani, że powinnam im zanieść ten garnitur?

- Nie, chyba nie - szepnęła Remy. - Ja... Bardzo mi przykro... - Odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Nattie. - To siostra Charliego. Charlie nie żyje. Jeżeli to prawda... - Nagle wpadła w panikę. - Czy wczoraj w gazecie było coś na temat tego wypadku?

- Zdaje się, że tak, ale nie czytałam.

Obydwie rzuciły się do gazety i zaczęły ją przeglądać dział po dziale, strona po stronie. Wzmiankę znalazła Remy, na ostatniej stronie kroniki wypadków. Opisywali tam tę samą historię, którą usłyszała od siostry Charliego z dodatkową informacją o tym, że do wypadku doszło rano, i że ciała jeszcze nie znaleziono. Remy usiadła na piętach i wbiła wzrok w płachtę gazety.

- Doskonale wiem, co sobie myślisz - stwierdziła Nattie.

- A jeśli to nie był wypadek? - wreszcie wydusiła to z siebie. - A jeśli on wcale do rzeki nie wpadł? Jeśli go zepchnięto? On węszył, zadawał pytania, bo to ja go o to prosiłam. - Z gazetą w ręku wstała i zaczęła chodzić po pokoju, odruchowo uciskając obandażowane żebra. - Już wiem, że człowiek, który nakrył mnie na pirsie tamtej nocy, to ten sam mężczyzna, który trzymał mnie, kiedy jego kumpel mnie bił. Rozpoznałam jego głos. Mógł się w jakiś sposób dowiedzieć, że Charlie się rozpytywał i go czym prędzej uciszył, bo nie chciał, żebym się dowiedzia-

ła, jak się nazywa. - Przyszła jej do głowy inna myśl i Remy odwróciła się w stronę Nattie. - Musieli wiedzieć, że wcześniej czy później trafię do Charliego. Może nawet chcieli, żeby tak było. Może myśleli, że jeśli nie skłonią mnie do milczenia biciem, to jego śmierć na pewno mnie uciszy.

- Chryste, zaczynam się bać - wyznała Nattie. - Ale cóż ty mogłaś tam wtedy widzieć na Boga?

- Nie wiem. - Sfrustrowana Remy pokręciła głową. - Wczoraj po południu rozmawiałam z Hanksem, z tym detektywem. On uważa, że tankowiec wcale nie zatonął, że to tylko sprytna mistyfikacja, której celem było oszukanie towarzystwa ubezpieczeniowego. Twierdzi, że *Dragon* pływa gdzieś teraz pod inną nazwą czy banderą. Szczątki znalezione przez Straż Przybrzeżną, załoga w łodziach ratunkowych - odegrali po prostu przedstawienie, żeby wyglądało na to, że tankowiec zatonął podczas sztormu. A tak naprawdę to na pokład weszła inna załoga i spokojnie odpłynęli w stronę dal.

Nattie tak to zdumiało, że z szeroko otwartymi ustami opadła na krzesło.

- Ten facet to wariat.

- Ja również uważałam, że to mało prawdopodobne.

- Mało prawdopodobne? To po prostu głupota - oświadczyła z dezaprobatą i wstała. - Czy sobie zdajesz sprawę, ile ludzi trzeba, żeby wyciąć taki numer? Nie wiem, z ilu marynarzy składa się załoga, ale powiedzmy, że było ich piętnastu. Dwie załogi to trzydzieści osób. I niby w jaki sposób ta druga załoga dostałaby się na pokład tankowca? Nie można ich było przewieźć tam helikopterem, przynajmniej nie podczas sztormu. Co znaczy, że musieli dopłynąć na miejsce statkiem, a to wchodziłoby w sprawę jeszcze więcej osób. Co by się stało, gdyby jedna z tych trzydziestu pięciu albo czterdziestu osób doszła do wniosku, że dostała za mało, że chce więcej? Czy zdajesz sobie sprawę, że każdy z nich mógłby szantażować organizatorów całego przedsięwzięcia? A wierz mi, milczenie jest złotem, zwłaszcza jeśli się osobiście płaci za to, żeby ktoś trzymał język za

zębami. Nie. - Pokręciła głową. - Jeżeli planujesz zbrodnię, to im mniej ludzi o tym wie, tym lepiej.

- Masz rację - szepnęła Remy trochę zdziwiona logicznym wywodem Nattie.

- Pewnie, że mam. - Nattie położyła ręce na wygiętych oparciach fotela. - Moim zdaniem jeśli w ogóle wykręcili jakiś numer, to wykręcili go na samym początku. I pewnie to wtedy widziałas. A co ty właściwie z tego pamiętasz?

- Prawie nic - przyznała niechętnie. - Widziałam tankowiec zacumowany przy pirsie, a potem jakiś człowiek chwycił mnie za ramię. Tyle. To wszystko, co zdołałam sobie przypomnieć.

- Nie mówiłaś przypadkiem, że tamtej nocy była mgła?

- Tak...

Nattie uniosła rękę.

- Jeżeli zapomniałaś o takim szczególe, to mogłaś zapomnieć o innych. Pomyśl, przypomnij sobie, jak to było i opowiedz mi o wszystkim, co ci przychodzi do głowy.

Już chciała powiedzieć, że to tylko strata czasu, ale... Kto wie, nie zaszkodzi spróbować jeszcze raz.

- Dobrze. - Zamknęła oczy. - Było ciemno i była gęsta mgła. *Dragon* cumował przy pirsie. Pamiętam, że widziałam liny i trap. Przy relingu stali dwaj mężczyźni...

- Jak wyglądali?

- Było za ciemno. Widziałam tylko ich sylwetki. Jeden z nich palił papierosa... - Nagle coś ją olśniło i otworzyła gwałtownie oczy. - On palił papierosa! A przecież tam obowiązuje zakaz palenia! Wszędzie! Na całym pirsie!

- Palić podczas załadunku ropy na tankowiec? Nie najsmardzejsze to - zauważyła Nattie.

- Więc dlaczego palił?

- Może już skończyli tankowanie?

- Ale przecież i tak to niebezpieczne, prawda?

- Wrócimy do tego później. Powiedz mi, co jeszcze sobie przypominasz.

Remy znów zamknęła oczy, ale widziała tylko czarną sylwetkę tankowca we mgle i dwóch ludzi przy relingu.

- Nic z tego. - Pokręciła niecierpliwie głową. - Było zbyt ciemno.

- Ciemno? - zdziwiła się Nattie. - To na statku nie paliły się światła? Kiedy załadunek odbywa się nocą, oświetlają je jak drzewko choinkowe.

- Nie - stwierdziła Remy. - Ten był pograżony w ciemnościach, tylko na trapie widziałam kilka lampek. - Wciągnęła gwałtownie powietrze, bo nagle... nagle przypomniała sobie coś jeszcze! I natychmiast chwyciła się za bok, zginając się wpół z bólu.

Nattie od razu znalazła się przy niej. Pochyliła się i objęła ją ramieniem.

- Kiedy się wreszcie nauczysz, że nie wolno ci robić takich rzeczy? Lepiej usiądź. - Pomogła jej usadowić się na kanapie.

Remy chwyciła ją za rękę i przyciągnęła do siebie.

- Pamiętam, że na mostku stał Cole, Carl Maitland i ten mężczyzna z opadającymi włosami. Hanks powiedział, że ten człowiek to ekspert od materiałów wybuchowych. - Wspomnienia z tamtej nocy wróciły z natarczywą gwałtownością. Wbiła wzrok w pustkę. - Nie jestem pewna, co się stało, kiedy zobaczyłam Cole'a. Myślę, że może... Tak, pomachałam do niego. Ten mężczyzna chwycił mnie za ramię i powiedział coś jakby... „Nie tak szybko, mała”. Potem dodał coś o... wtykaniu nosa w nie swoje sprawy. *Walkie-talkie...* - Zaciśnęła palce na ręce Nattie. - Przy pasku miał *walkie-talkie*. Usłyszałam jakiś głos. Mówił, że zawór się zepsuł, i że na całym pokładzie jest pełno wody. Woda, Nattie! To o to chodziło, prawda? - Odwróciła się, żeby spojrzeć jej w oczy nie z ulgą, że sobie przypomniała, i nie z podekscytowaniem, ale z chłodnym dystansem. - Kiedy *Crescent Dragon* poszedł na dno, nie miał w zbiornikach ropy, bo zatankowano go wodą. - Roześmiała się krótko i cicho, jeszcze raz widząc tę scenę oczyma wyobraźni. - A Maitland wyjaśnił mi to, tłumacząc, że tankowali wodę do picia i mycia. Uwierzyłam mu.

- Tamtej nocy pewnie tak - powiedziała Nattie. - Bo dopiero później zrozumiałaś, co knuli, wtedy, kiedy towarzystwo ubezpieczeniowe zaczęło robić tyle szumu.

Wiedziała już wszystko. Cóż z tego? Wspomnienia przyniosły jej tylko gorycz i ból.

- Był tam Cole. Z Maitlandem. Wiedział, że tankują wodę. Jest jednym z nich.

Bez względu na to, ile razy zastanawiała się, czy jest w to zamieszany czy nie, zawsze odrzucała od siebie tę pierwszą możliwość. Teraz już nie mogła. Cole na mostku, jego twarz w pełnym świetle, obok Maitland - wspomnienie było zbyt żywe, zbyt wyraźne.

- Wiem, że to boli. - Nattie poklepała ją ze współczuciem po rękę. - Każda kobieta chce wierzyć, że jej mężczyzna jest dobry. Ale oni rzadko są tacy. Co wcale nie znaczy, że łatwiej jest nam się z tym pogodzić.

- To prawda. - Czy Cole mógł być tym mężczyzną z Nicei? Twierdził, że w tym czasie był w Nowym Orleanie. Ale na dowód miała tylko jego słowa. Nigdy tego nie sprawdzała. Mogła sobie wyobrazić, jak się wtedy wściekła, kiedy zdała sobie sprawę z tego, co zrobił, jaka była zła, dotknięta, jaka rozczarowana. Na pewno się z nim pokłóciła, na pewno krzyczała, powodowana bólem zdrady, zdrady zaufania jej i jej rodziny. Ale żeby nasyłał na nią bandytów? Nie wierzyła, że mógł coś takiego zrobić. - Maitland... - szepnęła. - To on mnie widział na pirsie. Widział, jak rozmawiałam z Charliem. To Maitland nasłał tych facetów, żeby mnie... ostrzegli. - Dotknęła posiniaczonej twarzy, odczuwając zagadkową ulgę, że już nie musi winić za to Cole'a.

- Wcale bym się nie zdziwiła - odparła Nattie. - Za każdym razem, kiedy przychodzi na jedną z tych prozownych kolacji twojej mamy, zawsze przypomina mi barakudę krążącą w jakimś ciemnym basenie, taką małą i niewinną, ale niech no tylko pokaże zęby.

- Zaczekaj. To nie ma sensu. - Mimo dotkliwego bólu Remy wstała z kanapy. - To przecież jasne, dlaczego Maitland to zrobił. Tym sposobem mógł sprzedać tę samą ropę dwa razy. Ale co zyskiwał na tym Cole? Crescent Line zapłaciła za ropę z góry. Widziałam kopię rachunku.

- Ech, ty. Nie umiesz myśleć jak prawdziwy kryminalista - skonstatowała Nattie, potrząsając swoją siwą

głową. - Dostał pieniądze od Maitlanda. Prawdopodobnie dogadali się i sprzedawszy ropę po raz drugi jakoś się podzielili. Jest nawet bardziej niż prawdopodobne, że Cole wziął te pieniądze po prostu z kasy.

- Fakt - zgodziła się Remy i ciężko westchnęła - ale jak tego dowieść?

- Jestem pewna, że kontrola ksiąg rachunkowych Maitlanda ujawniłaby kilka czeków wypisanych na towarzystwa żeglugowe, o których nikt nigdy nie słyszał. On te pieniądze po prostu wyprał. Zanim trafiły do rąk Cole'a, mogły przejść nawet przez kilka takich nie istniejących firm. - Nattie milczała chwilę, a potem spytała łagodnie: - No i co teraz zrobisz?

- Nie wiem. - Remy podeszła do okna i odsunęła firankę. Był spokojny niedzielny poranek. - Nie jestem pewna. Najpierw chcę sprawdzić, czy śmierć Charliego to rzeczywiście wypadek. Jutro spróbuję się czegoś dowiedzieć w biurze koronera. - Chodnikiem naprzeciwko domu Nattie przechodziła ciemnoskóra dziewczynka. Miała na sobie różową marszczoną sukienkę, a na kędzierzawej głowie wyszukany kapelusik wiązany pod brodą. Remy zapragnęła wyjść, wziąć dziewczynkę za rękę, poskakać na ulicy razem z nią i poczuć się tak samo niewinna i beztroska jak ona. Wzdychając, odwróciła się od okna i napotkała wzrok Nattie. - Muszę wiedzieć, czy nadal mam do czynienia z oszustwem czy może już z morderstwem.

27

W domu dźwięczała cisza, cisza, która świadczyła o tym, że nikogo w nim nie ma. Zaspana Remy zmrużyła nieprzytomnie oczy, rozejrzała się po salonie, wstała i klapiąc różowymi kapciami Nattie, poszła do kuchni. Tam powitała ją jeszcze większa cisza i tylko ścienny zegar w kształcie kota groził jej ogonem, że tak długo spała. Ignorując wskazówki, które pokazywały dziewiątą, walcząc z sennością - zbyt późno zasnęła - Remy odszukała wzrokiem maszynkę do kawy. Stała na kuchennym blacie.

Podeszła bliżej i obok szklanej karafki znalazła kartkę:

Remy,

Ponieważ musiałaś zostawić torebkę w szpitalu, pomyślałam sobie, że może będziesz potrzebowała drobnych. Wyszłam do pracy. Nattie.

Pod kartką znalazła dwudziestodolarowy banknot. Wsunęła go do kieszeni aksamitnego szlafroka; szlafrok też dostała od Nattie, tak samo jak kapcie, które miała na nogach, bawełnianą koszulę nocną i nowy komplet do makijażu oraz tusz do rzęs, za pomocą których miała nadzieję ukryć siniaki na twarzy. Uśmiechnęła się do siebie pijąc kawę, ale kiedy zobaczyła na blacie gazetę otwartą na rubryce zgonów, uśmiech zniknął z jej ust tak szybko, jak się pojawił. Na pierwszym miejscu widniał nekrolog Charliego: „Aikens, Charles Leroy, lat 57”.

Westchnęła ciężko, bo nikt ani nic nie musiało jej przypominać przyczyny, dla której czuła się tak podle. W zamyśleniu odgarnęła kosmyk włosów i sięgnęła po gazetę, ale znieruchomiała, słysząc warkot samochodu na podjeździe. Zdziwiona, podniosła głowę. Nattie nie mogła wrócić do domu o tej porze. Nie, musiała się pomylić - samochód zajechał na pewno przed dom sąsiadów.

Ale drzwiczki trzasnęły gdzieś tu, bardzo blisko. Remy podeszła do okna nad zlewem i wyjrzała na dwór. Nie, jeżeli na podjeździe rzeczywiście stał jakiś samochód, to zaparkował za daleko, żeby mogła go stąd zobaczyć.

Dzwonek do drzwi zadzwonił dwa razy, raz za razem, i odwróciła się błyskawicznie w stronę salonu. To na pewno jakiś komiwojażer, to musi być jakiś sprzedawca. Przecież Nattie nie zdradziłaby nikomu miejsca jej pobytu, nikomu, nawet ojcu czy matce. Dzwonek zadzwonił jeszcze raz, ostro, natarczywie, i znów nastąpiła krótka chwila ciszy. Remy zastygła w bezruchu. Czekwała. Kimkolwiek ten człowiek jest, zaraz da sobie spokój - myślała.

Kiedy zamiast następnego dzwonka usłyszała gwałtowne pukanie, omal nie dostała ataku serca. Powiedziała sobie, że mężczyzna za drzwiami prawdopodobnie myśli, że dzwonek nie działa. Mężczyzna?! Tak, to musiał być mężczyzna. Kobieta nie pukałaby tak głośno ani tak długo. Ktokolwiek to nie był, nie mógł to być nikt z przyjaciół Nattie, bo przecież wiedziałby chyba, że poszła do pracy.

Słyszając stanowcze szarpanie klamką, Remy zadrżała. Ten ktoś za drzwiami najwidoczniej nie wierzył, że nikogo nie ma w domu. Rzuciła okiem na kuchenne drzwi. A może powinna... Cisza. Nikt nie stukał, nikt nie wrywał z zamka klamki, nikt nie dzwonił. Kiedy znowu zaczniesz? A może już sobie poszedł?

Przebiegła ostrożnie do drzwi w salonie, trzymając się z boku, tak żeby nikt nie mógł jej zobaczyć, zaglądając przez okna od frontu. Popatrzyła na drzwi wejściowe, których górna oszklona część osłonięta była marszczoną

firanką. Po drugiej stronie nie było widać żadnego cienia, żadnej sylwetki, ani tam, ani za oknem. Ale nie usłyszała także trzasku otwieranych i zamykanych drzwi-czek do samochodu ani warkotu zapalnego silnika.

Wtedy zobaczyła swój malinowy sweter leżący na widoku na oparciu kanapy. Każdy, kto zajrzały przez okno, natychmiast by go dostrzegł i gdyby wiedział, co miała na sobie w sobotę, domyśliłyby się, że tu jest albo zyskałyby przynajmniej pewność, że niedawno tu *była*.

Usłyszała skrzypnięcie kuchennych drzwi. Boże, wszedł od tyłu! Wypadła z kuchni i pobiegła do frontowych drzwi. Były zamknięte. Odrzuciła łańcuch i spróbowała je otworzyć.

- Remy!

Przestraszona, zerknęła przez ramię. W drzwiach salonu stał Cole. Jego stalowe oczy zwięziły się na widok siniaków na jej twarzy. Sparaliżowana wspomnieniem tamtej nocy, przekonana o jego niepodważalnej winie, Remy patrzyła na niego, czując w boku ostry ból i słysząc swój ciężki oddech. W dwurzędowym garniturze z granatowej wełny i dobranym krawacie wyglądał niegroźnie. Chryste, czyżby sądziła, że będzie ją bił?

Cole podniósł ręce w uspokajającym geście.

- Wszystko w porządku, Remy. To ja. Nie chciałem cię przestraszyć.

Przestraszyć? Była przestraszona? Oczywiście, że była. W oczach wciąż miała widok tej koszarnej świńskiej maski. Całą siłą woli odpędziła od siebie natrętne myśli, myśli o bólu, biciu i strachu. Nie chciała sobie wyobrazić, jak musieli ją obserwować, chodzić za nią, by w końcu zaskoczyć ją bez ostrzeżenia w biały dzień, na ulicy, udowodniając tym samym, że nigdzie nie będzie bezpieczna.

Poczuła, że zaczyna drżeć - spóźniona reakcja organizmu. Oparła się o drzwi. Cole zrobił krok w jej stronę, nie opuszczając rąk.

- Nie zrobię ci krzywdy, Remy.

Chciała krzyknąć, że już ją skrzywdził, że cały czas oszukiwał, że kłamał, że zawiódł jej zaufanie, jej miłość.

Ale, jak w złym śnie, nie mogła z siebie wykrztusić ani słowa.

- Przysięgam, że nie zrobię ci krzywdy, Remy - powtórzył. - Nigdy, nigdy cię nie skrzywdzę - mówił jak do przestraszonego dziecka.

Boże, przecież tak się właśnie czuła. Odwróciła się od niego i oparła o drzwi, czując, że opuszcza ją brawura. Po policzkach spłynęły jej pierwsze łzy. Tamci dwaj na zawsze rozwiali jej przekonanie, że nikt na świecie nie jest w stanie jej skrzywdzić. Dowiedli, że jest słaba jak każdy człowiek, że społeczny status, jakim się cieszyła, i nazwisko nie stanowią żadnej ochrony. Przedtem nie chciała nawet o tym myśleć, zaprzeczała temu. Ale bandyci zasiali w niej ziarno strachu, które wraz ze śmiercią Charliego wykiełkowało i zapuściło korzenie.

Poczuła, jak ujmuje ją za ramiona i zdrętwiała w chwilowym oporze.

- Nie szepnęła i usiłowała się wyrwać. - Nie dotykaj mnie. Nie dotykaj!

Ale Cole trzymał ją nadal i delikatnie odwrócił ku sobie. Walcząc z przysłowiową kobiecą słabością - wiedziała, że mu ulegnie i właśnie za to siebie nienawidziła - podniosła ręce, żeby nie dać mu się objąć.

- Ciiii... już dobrze - szepnęła. - Jesteś bezpieczna. Nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić. - Najbardziej szalone było w tym wszystkim to, że w jego ramionach, gdzie mogła się teraz wypłakać, naprawdę czuła się bezpieczna. Gdy usiłowała powstrzymać szloch, przytulił ją mocno do siebie.

- Płacz, Remy - zachęcał delikatnie. - Po tym wszystkim, co przeszłaś, potrzebujesz tego. Tylko głupiec by nie płakał. A ty głupia nie jesteś.

Przestała z sobą walczyć i przyłgnęła do niego, łkając cicho, nerwowo, ledwie tylko świadoma pocieszającego dotyku jego rąk na plecach i głowie, dotyku, który potwierdzał bez słów, że wszystko jest już w porządku. Ale Remy płakała dlatego, że nic nie było w porządku, dlatego, że nigdy już nie miało być dobrze. Bo nie

odzyska już poczucia bezpieczeństwa, nie odzyska dawnej miłości, nie odzyska... Charliego.

Jak długo tak łkała, trudno było powiedzieć. W pewnym momencie się ocknęła i zdała sobie sprawę, że Cole pociera policzkiem o jej włosy, poczuła wilgotny zapach jego marynarki. Łzy już nie płynęły, wyplakała wszystkie.

- Skąd... - Głos miała tak niewyraźny i zduszony, że przerwała, by zacząć jeszcze raz. - Skąd wiedziałeś, że tu jestem? - Nie podniosła głowy. Nie była jeszcze gotowa spojrzeć mu w twarz.

- Szukałem wszędzie. - Jego głos nabrzmiał wzruszeniem. - Dziś rano w drodze do biura przypomniałem sobie te twoje opowieści o Nattie, które tyle razy powtarzałaś, i zaryzykowałem. - Odsunął usta od jej włosów i lekko ją przytulił. - Kiedy powiedziałem sobie, że wszystko między nami skończone, że to już definitywny koniec, spędziłem całą sobotę, przekonując siebie, że cię nie chcę, że cię nie potrzebuję... że cię nie kocham. A potem, w niedzielę rano, twój brat zrobił mi w mieszkaniu rewizję, bo sądził, że tam cię znajdzie. Dlaczego, Remy? Dlaczego tak myślał? Dlaczego przyszedł tutaj? Dlaczego nie jesteś w domu razem z rodziną?

Ale Remy tylko pokręciła głową, nie będąc w stanie mu odpowiedzieć.

Przysunął usta blisko jej ucha i dobiegł ją zduszony szept:

- To nie ma znaczenia. Chcę się przy tobie zestarzeć, Remy. Rozumiesz, o czym mówię?

- Tak - szepnęła i zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe. Czy zdołają przez to przejść... razem? Niepewna, odsunęła się od niego, ale ręce wciąż opierała na klapach jego granatowej marynarki, gdzie utkwiała wzrok.

Podniosł jej głowę i w milczeniu zaczął dotykać siniazków na twarzy, najpierw palcami, potem ustami. Dotknięcie jego warg było tak delikatne, tak leciutkie, że znowu zebrało się jej na płacz. Nie, nie całował jej jak kochanek, całował jak człowiek, który kocha, naprawdę i mocno.

Zamknęła oczy.

- Cole... pamiętam. Pamiętam tamtą noc na pirsie. Wiem, jak to zrobili.

Poczuła, jak sztywnieją mu ręce, jak sztywnieje cały. Nie miała jeszcze dość sił, by na niego spojrzeć, jeszcze nie teraz.

- I co zamierzasz zrobić? - spytał cicho i ostrożnie.

- Nie wiem.

- Pomożesz mi? - Zaciśnął ręce na jej ramionach.

- Potrzebuję cię, Remy.

Otworzyła oczy i wpatrywała się w węzeł jego krawata. Pomyślała o Charliem i zawahała się. Jeśli zabił go Maitland, a była przekonana, że Maitland, a nie Cole, być może działał sam, bez wiedzy Cole'a. Ale co by to zmieniło? Charlie i tak przecież nie żył.

Odsunęła się, uwolniła z jego objęć i pokręciła głową.

- Nie mogę ci pomóc, Cole.

- Do diabła, dlaczego nie!? - Gwałtowny wybuch złości rozplątał się w westchnieniu pełnym gorzkości.

- A c h tak, chyba wiem dlaczego. Rodzina. Twoja rodzina. Powtórzę, co ci kiedyś powiedziałem. Nie dam się im zniszczyć, nigdy, nawet jeśli miałyby to znaczyć, że muszę zniszczyć ich. - Spodziewała się złośliwości czy żalu, a on powiedział to cicho i spokojnie.

- Cole, przecież niszczysz samego siebie - zaprotestowała i wreszcie na niego spojrzała. - Dlaczego tego nie widzisz? Może gdybyś zechciał współpracować, byłoby ci łatwiej. Gdybyś tylko powiedział im...

- Nie mogę, Remy, i nie zrobię tego, nawet dla ciebie.

- Ja tego nie chcę, Cole. Ja cię kocham. Musisz w to uwierzyć.

Przyglądał się chwilę jej twarzy. W jego stalowych oczach ujrzała głęboki smutek.

- To dziwne, ale wierzę. Ale to zaszło już za daleko. Nie mogę zawrócić.

Charlie. Już wiedział o Charliem.

- Ja też nie, Cole.

- Więc już chyba wszystko sobie powiedzieliśmy, prawda?

- Chyba tak.

Mierzyli się chwilę wzrokiem, potem Cole otworzył frontowe drzwi i wyszedł. Nie obejrzał się za siebie. Remy stała w progu.

Taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Remy dała taksówkarzowi dziesięciodolarowy banknot - tyle zostało jej z pieniędzy, które pożyczyła jej Nattie.

- Proszę zatrzymać resztę - powiedziała wysiadając.

Przeszła przez trawnik do żelaznej bramy i zatrzymała się, żeby spojrzeć na białe kolumny domu i na dwa idealnie proporcjonalne drzewa magnoliowe na trawniku przed domem.

Pchnęła furtę, przeszła przez nią i ruszyła chodnikiem do frontowych drzwi. Tak jak tego oczekiwała, były zamknięte. Podniosła ciężką mosiężną kołatkę, zastukała dwa razy i czekała.

Otworzyła Nattie. Miała na sobie czarną sukienkę i śnieżnobiały, nakrochmalony fartuszek. Tylko spojrzała na Remy i westchnęła.

- Byłaś u koronera. Miałam nadzieję, że się mylisz.

- Ja także. - Remy weszła do środka i zatrzymała się. Nattie zamknęła drzwi. - Gdzie oni są?

Kiwnęła głową w stronę werandy.

- Tam. Jest z nimi pan Marc. Zastanawiają się właśnie, gdzie jesteś i co się z tobą stało.

- Wiem. - Dobiegał stamtąd szmer zaniepokojonych głosów, i zawahała się, niezdolna odegnąć od siebie strachu, który ją nagle ogarnął. Ale trzeba było to zrobić i właśnie ona zrobić to musiała i mogła.

Zanim przeszła pół drogi na werandę, dostrzegł ją Gabe.

- Remy!

Tama puściła i zalały ją głosy pełne niepokoju i nagany, złagodzone nieco przejęciem i ulgą. Pograżyła się w tych głosach, nie słuchając ich, nie pozwalając, by odciągnęły ją od tego, po co tu przyszła. To byłoby zbyt łatwe.

- Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak bardzo się o ciebie niepokoiłiśmy? - Gabe zaprowadził ją na kanapę i ła-

godnie posadził na miękkich poduszkach. Usiadł obok i objął ją ramieniem.

- Gdzieś ty była? - spytał ojciec. - Cóż to za pomysł, żeby tak ni z tego ni z owego znikać z domu? Zdajesz sobie sprawę...

- Nie rób jej wymówek, Frazier. Czy nie widzisz, że jest zmęczona? - Matka wcisnęła jej w rękę filiżankę herbaty. - Wypij to, kochanie.

Nie wypijała. Wpatrywała się w bursztynowobrazowy napar, obserwując błyski na jego powierzchni i ciemne listki na dnie.

- Pamiętam, że byłam na przystani w nocy, kiedy tankowano *Dragona*. - Tym oświadczeniem wprowadziła wszystkich w zdumione milczenie. - Ale nie tankowano go ropą. Zbiorniki napełniono wodą.

- Czy... czyjesteś tego pewna, Remy? - zapytał ostrożnie Gabe.

- Tak - rzuciła szybkie spojrzenie na wuja, który stał sztywno obok kanapy. - Lance miał rację. Cole brał w tym udział. On i Carl Maitland.

- Cole...? - Ojciec usiadł gwałtownie na krześle. - Skąd wiesz?

- Bo widziałam ich na mostku, razem. Patrzyli, jak pompy tłoczą do zbiorników wodę. To był całkiem dobry pomysł, naprawdę. - Ręce miała zimne, zdumiewająco zimne. - Maitland zgarnia pieniądze za fikcyjny przewóz ładunku ropy, a potem tę ropę sprzedaje i dzieli się zyskiem z Cole'em. Tymczasem eksplozja ładunku wybuchowego posyła stary tankowiec na dno i Crescent Line dostaje odszkodowanie zarówno za ropę, za którą zapłaciła, a której nie otrzymała, jak i za statek, który zatonął.

Marc gwizdnął w zamyśleniu, a potem szepnął:

- Powiedziałbym, że to diabelnie sprytna zagrywka...

- Jesteś tego pewna, Remy? - spytał Gabe. Spojrzała na nią i przytaknęła niechętnie. - Dlaczego nie powiedziałas nam tego wcześniej?

- Nie wiem. Może nie byłam pewna. A może nie chciałam wierzyć, że Cole jest w to zamieszany. Może właśnie dlatego chciałam wyjechać sama na kilka dni,

kiedy byłam we Francji. Może chciałam podjąć decyzję, pomyśleć, co robić dalej. Naprawdę nie pamiętam. - Odrzuciła głowę do tyłu i popatrzyła na sufit, walcząc z nagłą suchością w gardle. - Teraz... teraz zastanawiam się, czy Cole mógł być tym mężczyzną, z którym się kłóciłam. Mówi, że był wtedy w Nowym Orleanie.

- Tak ci powiedział? - zdziwił się Gabe.

- Tak. - Poczowała nagłą konsternację, kiedy Gabe szybko wstał i podszedł do stolika, gdzie stały karafki z whisky. - A nie był?

- Był w Marsylii. - Usłyszała stukot kawałków lodu w szklance. Wyjął kryształowy korek i rzucił Marcowi pytające spojrzenie. - Ile to może być? Lot do Nicei trwa z dwadzieścia minut, nie więcej. Do diabła, mógł polecieć tam i z powrotem samolotem Towarzystwa i nigdy byśmy się o tym nie dowiedzieli. No tak, tylko Remy by wiedziała.

- Może. - Dotknęła purpurowego siniaka na lewym policzku; opuchlizna już zeszała, ale skóra reagowała nawet na najłżejsze dotknięcie. - Ale to było ostrzeżenie od Maitlanda.

- Maitland. - Gabe odwrócił się od stolika z drinkami. - Powiedziałaś chyba, że nie wiesz, kim byli ci dwaj mężczyźni, którzy cię pobili.

- Nie wiem, jak się nazywają, ale głos jednego z nich rozpoznałam. To ten sam mężczyzna, który zaskoczył mnie tamtej nocy na przystani. Jestem pewna, że pracuje dla Maitlanda.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz?

Opowiedziała im o swojej ostatniej wizycie w przystani, o tym, że Maitland widział ją tam, jak rozmawiała z Charliem i o tym, jak Charlie obiecał jej, że spyta o nazwiska robotników, którzy tankowali *Dragona*, i o jego „przypadkowej” śmierci.

- Tylko, że to nie był wypadek. Dziś rano czytałam raport koronera. Charlie miał na policzku siniak, tak jak ja, jakby ktoś uderzył go... na przykład pięścią. Oczywiście, koroner zakłada, że uderzył o coś, wpadłszy do wody. Ale ja wiem, że najpierw pozbawiono go przyto-

mności, albo przynajmniej lekko ogłuszono, a dopiero później zepchnięto do rzeki.

- Trudno to udowodnić - zauważył Gabe. - Jeśli nie było żadnych świadków...

- Byli dwaj. Ale jeden widział go dopiero po tym, jak znalazł się w wodzie, a drugi to prawdopodobnie człowiek, który go uderzył. - Nie dopuszczała do głosu żadnych emocji. To był jedyny sposób, żeby przez to przebrnąć.

- Tylko zakładasz, że ten mężczyzna go uderzył, prawda? Nie wiesz tego na pewno - zauważył Gabe.

- Oczywiście, że nie.

- Tak właśnie myślałem. - Podeszedł do niej, usiadł obok, wziął ją za rękę, przyłożył dłoń do jej dłoni i splótł palce z jej palcami. - Posłuchaj, Remy, od tej chwili my się tym zajmujemy, dobrze? Przestań wreszcie udawać samotnego detektywa.

Spróbowała się uśmiechnąć i skinęła głową, ale przecież musiała się tego dowiedzieć.

- Co zamierzacie zrobić?

- Po pierwsze, moja droga - wtrącił się Marc - dałaś nam argument, którego potrzebowaliśmy, żeby zmusić Buchanana do rezygnacji ze stanowiska. Teraz możemy się go pozbyć w ciągu jednego dnia. Dzięki temu będziemy mieli wolne ręce przy negocjacji porozumienia z towarzystwem ubezpieczeniowym.

- Chwileczkę. - Remy spojrzała na ojca i na brata. - Chyba nie pozwolicie się im z tego wymigać?

- Myślisz, że powinniśmy ich podać do sądu? - spytał Gabe.

- A nie?

- Teoretycznie masz rację. Ale w rzeczywistości byłaby to strata czasu. - Przytrzymał jej rękę. - Zamieszane są w to grube ryby, więc będzie dużo nagłówków, wybuchnie głośny skandal, ale szanse na to, że którykolwiek z nich trafi do więzienia, są bliskie zeru.

- Chociaż wcale mi się to nie podoba, muszę przyznać, że Gabe ma rację - oświadczył ojciec, ciężko wzdychając. - I jeszcze coś: nie możemy zapominać, że w takim

przypadku Crescent Line zostałyby wciągnięta w proces o oszustwo na szkodę towarzystwa ubezpieczeniowego. Skończyłoby się na tym, że zrobiliby z nas oskarżonych, a kto wie czy nie winnych.

- Taka reklama nikomu nie posłuży - dodał Marc.
- Niczego w tym mieście nie kochają tak bardzo jak skandali. Taki skandal to jak wypadek samochodowy: ludzie zwalniają, żeby zobaczyć, czy jest dużo krwi i zerknąć na ofiarę wijącą się z bólu. Po co? Po to, żeby samemu poczuć się żywym.

- Ale co z Charliem? - zaprotestowała Remy.

- Zajmiemy się tym - uspokoił ją Gabe. - Ale bądźmy szczerzy, Remy. Sam fakt, że zgodził się zdobyć dla ciebie jakieś informacje, nie jest wystarczającym powodem, by wytoczyć komukolwiek sprawę o morderstwo. Nie ma przekonujących dowodów, a poszlaki nie wystarczą, szczególnie jeżeli koroner doszedł do wniosku, że Charlie zginął w następstwie nieszczęśliwego wypadku. Obrona nie musiałaby nawet brać jakiegoś słynnego adwokata, początkujący by wystarczył. Przykro mi, Remy, ale...

- ...tak już jest - dokończyła za niego, wyswobadzając dłoń z uścisku jego palców i stawiając filiżankę na szklanym blacie stolika. Wstała, z trudem nad sobą panując.

- Obawiam się, że tak.

- Remy, mam wrażenie, że obwiniasz się za śmierć tego nieszczęśnika - rzekł łagodnie ojciec, kiedy podchodziła do przeszklonej ściany. - Myślisz, że gdybyś nie poprosiła go o pomoc, Charlie by żył. Ale tego nie wie nikt. Czy zginął w wypadku, czy ktoś go zamordował, ty nie jesteś za to odpowiedzialna.

Chciała zaprzeczyć, ale zamiast tego patrzyła tylko na promienie słońca, które przenikały koronę dębu i oświetlały krzewy róż w ogrodzie matki.

- A Maitland? Co z nim zrobicie? - Ujęła się pod boki; zebraj jej nie bolały, ale poczuła lekkie mdłości.

Zaległa chwila niezręcznej ciszy. Na pytanie odpowiedział Marc:

- Maitland... Hmm, to trochę inna sprawa. Choć z drugiej strony tak, jak najbardziej, przecież Maitland z nami pracuje, należy do naszej społeczności, więc istnieją pewne sposoby, delikatne sposoby, w jakie możemy wyrzucić na niego presję. Możemy ci to obiecać, Remy.

- Wiemy, jak to załatwić - oświadczył ojciec. - Zrobiłaś już wystarczająco dużo. Teraz nasza kolej.

- Oczywiście. - Odwróciła się od okna, unikając ich wzroku. - Wybaczcie, chciałabym już pójść do siebie. Wydaje mi się, że noszę to ubranie od niepamiętnych czasów. Muszę się przebrać.

- Tak, widać, że jesteś zmęczona, kochanie - zauważyła matka. - Miałaś takie ciężkie przejścia. Czy chcesz, żeby Nattie przyniosła ci lunch do pokoju? Jestem pewna, że chciałabyś odpocząć.

- Tak, dziękuję - odrzekła w zamyśleniu i wyszła z pokoju. Czuła się chora z powodu własnego milczenia i ledwie symbolicznych obiekcji, jakie wysunęła przeciwko ich planom jak najspokojniejszego i jak najszybszego uciszenia tej ponurej afery. To był błąd, wiedziała o tym, chociaż zdrowy rozsądek mówił jej, że mają rację. Nawet jeśli Cole i Maitland zostaliby oskarżeni o oszustwo, po licznych odroczeniach i apelacjach najpewniej wyszliby z tego z wyrokiem w zawieszeniu i nadzorem sądowym. A towarzystwo ubezpieczeniowe i tak zażądałoby od Crescent Line zwrotu pieniędzy, a może nawet odszkodowania. Wielki skandal, wielka afera i co z tego? Jak lekki prztyczek w nos.

Rodzina zamierzała postąpić zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, starając się rozwiązać problem własnymi siłami. Ale Remy zgadzała się z nimi z o wiele bardziej egoistycznych powodów: nie chciała, żeby Cole poniósł karę. Była zadowolona, że znalazł się inny sposób załatwienia sprawy, sposób, który nie przyniesie hańby jego nazwisku i nie napiętnuje go jako kryminalisty.

- Wybacz mi Charlie... - szepnęła, wchodząc po mahoniowych schodach do swojego pokoju.

Przez drzwi wychodzące na galeryjkę na piętrze wpadł do środka zimny, ostry wiatr. Remy zawahała się, odsta-
wiła tacę z resztkami lunchu na stolik obok szezlongu
i wstała, żeby je zamknąć. Wtedy usłyszała gwałtowny
pisk hamulców i zobaczyła, że od frontu zajechał jakiś
samochód. Z samochodu ktoś wysiadł.

Cole. Remy zamarła patrząc, jak idzie w stronę domu
długim, stanowczym krokiem. Co on tu robi?! Szybko
zniknął pod szerokim balkonem i Remy wybiegła z po-
koju, zostawiwszy drzwi częściowo otwarte i tacę z lun-
chem na stoliku.

Ciszę rozdarł natarczywy stukot mosiężnej kołatki.
Remy stanęła na szczycie schodów w chwili, kiedy Nattie
podeszła do drzwi. Ledwie zdążyła je otworzyć, kiedy
Cole wtargnął do środka.

- Gdzie ona jest, do diabła? Chcę się z nią widzieć!
I to natychmiast! - Jego głos dudnił niczym daleki
i złowrogi grzmot toczący się po niebie.

- Cole... - Zdumiona wściekłością w jego głosie, Re-
my zatrzymała się w połowie schodów. Odwrócił się w jej
stronę z zaciśniętą szczęką i twarzą ściągniętą gniewem.

Ruszył ku niej, ale wtedy do holu wpadł Marc.
Zdenerwowany, roztrzęsiony, chwycił Cole'a za ramię.

- Buchanan, mówiłem ci...

- A ja ci powiedziałem, że chcę usłyszeć to od niej!
- Strząsnął jego dłoń z ramienia i szedł do schodów, nie
spuszczając z Remy swych stalowych oczu. - Chcę to
usłyszeć od ciebie.

- O czym wy mówicie? - Posłała wujowi niepewne
spojrzenie.

- On nie wierzy...

- Niczego jej nie podsuwaj - przerwał mu Cole.
- Niech sama to powie.

- Chodzi ci... - zaczęła.

- Powiedz mi to, co powiedziałaś im! - zażądał przez
zaciśnięte zęby.

Na chwilę zamknęła oczy, a potem otworzyła je, by
napotkać jego spojrzenie. Było bolesne i dla niego, i dla
niej.

- Przykro mi Cole, ale widziałam cię tamtej nocy na przystani, kiedy ładowaliście tankowiec wodą. Byłeś z Maitlandem.

- To wierutne kłamstwo!

Wzdrygnęła się na wściekłość bijącą z jego głosu.

- Buchanan, przecież sam się przyznałeś, że byłeś tam z Maitlandem - przypomniał mu wuj.

- Tak, do cholery, byłem, ale...

- Cole, przestań - odezwała się Remy. - Tak mi ciężko, tak trudno, a ty...

Spojrzał na nią i z goryczą w głosie spytał:

- Trudno? Dziś rano też było trudno? Powiedziałaś, że mnie kochasz. I niby miałem w to uwierzyć?

- Bo to prawda, Cole, kocham cię...

- Zachowaj to dla któregoś ze swoich przyjaciół z wyższych sfer - rzucił ze złością. - Dla kogoś, kto nawykł do tego, że kobieta wyznaje mu miłość, a zaraz potem dźga go nożem w plecy. - Odwrócił się na pięcie do Marca. - Chcieliście mojej rezygnacji, no to ją macie. Powiedz pannie Franks, żeby sprzątnęła moje biurko i podrzuciła mi rzeczy do mieszkania. - Ruszył do drzwi.

- Cole, zaczekaj... - Remy chciała za nim biec, ale Marc ją zatrzymał.

- Pozwól mu odejść, Remy. - Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. - Tak jest lepiej.

28

W ostatni wieczór karnawału wewnątrz Municipal Auditorium, największej sali ratuszowej, zamienione zostało we wspaniałą salę balową. Miał się tu odbyć bal uważany przez wielu za wydarzenie towarzyskie roku. Błyszczące, przepyszne draperie tworzyły imponujące tło dla podium, gdzie miał zasiąść król-wodzirej i jego świta. Pod sufitem lśniły kryształowe kandelabry, rozsiewając po całej sali świetliste iskierki. Oślepiająco biały dywan spływał z podium na schody, a z nich jeszcze niżej, aż na scenę. Scena była teraz pusta, ale w powietrzu wyczuwało się już nastrój oczekiwania.

Remy siedziała przy stoliku niedaleko parkietu, w miejscu specjalnie zarezerwowanym dla pań, żon, matek i przyjaciół członków Orszaku Comusa oraz dla debutantek. Włosy miała zaczesane do góry w delikatne fale. Warstwa makijażu całkowicie zakrywała jej siniaki i tworzyła na twarzy swego rodzaju maskę opanowania i spokoju, maskę, która - Remy była o tym przekonana - pięknie już przy pierwszym uśmiechu. Choć z drugiej strony było to raczej mało prawdopodobne, gdyż nie miała żadnego powodu, by się uśmiechać.

Przechyliła głowę, żeby posłuchać, co mówi matka, a długie szmaragdowe kolczyki Sybilli potarły o rękaw jej sukni, ozdobiony błyszczącymi cekinami. Uwaga matki nie wymagała komentarza, więc Remy nie powiedziała nic. Odwróciła się, żeby oglądać otwarcie wspaniałego wieczoru.

Zgodnie z tradycją *bals masques* obowiązującą w Starym Świecie, również i ten bal rozpoczynał się błyszcząca procesją, którą otwierał orszak zeszłorocznego króla. Po jego przejściu paradowali członkowie ekskluzywnego Carnival Club w swoich wyszywanych paciorkami i ozdobionych piórami kostiumach. Remy odpowiedziała na pozdrowienie kapitana i udało jej się nawet okazać zainteresowanie, kiedy dokonywano prezentacji tegorocznych debiutantek, które występowały w obowiązkowych białych sukniach.

Kiedy wystawiano żywy obraz, Remy bawiła się w zamysłeniu ozdobnymi wisiorami złotego łańcucha, którym obwiązała talię spódnicy w kolorze szmaragdu. Później, kiedy przedstawiano co ważniejszych gości zamaskowanemu Comusowi, siedzącemu na podium ze swoją przepysznie odzianą królową, znowu zmusiła się do uwagi.

Potem rozpoczęły się „wywoływane tańce”. Pierwszego Remy nie tańczyła. Tańczyła za to matka z ojcem i Gabe ze swoją partnerką. Wywołali jej imię do drugiego tańca. W sukni okrywającej ciasno obandażowane zebra wyszła na parkiet z ojcem, a później partnerował jej brat. Kiedy wróciła do stolika, rozpoczęły się tańce ogólne - oczywiście tylko dla członków klubu i ich żon.

Patrzyła na wirujące tafty, satyny, szyfony i jedwabie, pomarszczone, ozdobione perełkami i diamentami, koralowe, szafranowe, błękitne, turkusowe i, oczywiście, białe, i z utęsknieniem czekała, aż orkiestra zagra „Jeśli kiedyś przestanę cię kochać”, oficjalną pieśń ostatków, która była znakiem dla spotkania Rexa i Comusa i oznaczała koniec balu. Grano ją powoli i bardzo poważnie, i myśląc o tym, przypomniała sobie jej słowa:

*Jeśli kiedyś cię kochać przestanę
Niech na drzewach usiądą barany
Niech w zielony ser księżyc się zmieni
Niech ostrygi ruszą ku jesieni
Niech z krowami na grzędzie usiądę
Jeśli jutro cię kochać nie będę.*

Cóż za nieprawdopodobnie absurdalny wierszyk. Tym razem nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

Napiła się białego wina, które przyniósł jej Gabe. Otaczała ją muzyka, śmiech i szept rozrabianych gości. Co ja tu właściwie robię? - pomyślała. Jak mogła o tym zapomnieć: przecież cała rodzina nalegała, żeby przysłała na bal dla zachowania pozorów.

W czasie między przybyciem króla - przypłynął statkiem w poniedziałkowy wieczór - a paradą Zulusów we wtorek, to znaczy dziś rano, wieści zdążyły się już rozejść: Cole Buchanan, człowiek, który nawiązał z Remy Jardin romans - wszystko wskazywało na to, że romans przekształci się wkrótce w trwały związek - został odwołany z funkcji dyrektora Crescent Line. Gdyby Remy nie uczestniczyła w balu, wpływowi przyjaciele rodziny natychmiast wyciągnęliby wniosek, że w rodzinie powstał wokół tej decyzji poważny rozłam.

Teraz pozory zostały zachowane: wszyscy, którzy się liczyli, widzieli ją na balu. Czy musiała odgrywać tę komedię do końca? Co to za różnica, jeśli wyjdzie do domu wcześniej?

Wstała i poszła szukać Gabe'a albo ojca, ale nie po to, by ich prosić o pozwolenie tylko po to, by ich zawiadomić, że wychodzi. Jednak żadnego z nich nie dostrzegła na parkiecie ani pośród gości rozmawiających w grupkach na jego skraju. Natychmiast odgadła, gdzie byli: w barze na zapleczu. Rozmawiali tam pewnie ze swoimi przyjaciółmi o interesach, o władzy i polityce, o golfie, futbolu i polowaniach. Zaproszenie na drinka w barze na zapleczu było przywilejem zarezerwowanym dla bardzo nielicznych, ale w tej chwili Remy nie dbała o to, że płęć piękna wstępu tam nie miała. Była już zmęczona tymi wszystkimi harcerskimi tajemnicami i sekretami, i nieustanną troską o zachowanie pozorów.

Jeden z członków klubu zatrzymał ją przy wejściu.

- Przykro mi, ale nikomu nie wolno tu wchodzić.

Remy już chciała odpowiedzieć, że on tu jednak wszedł, ale zamiast tego oświadczyła:

- Muszę porozmawiać z moim ojcem, z Frazierem Jardinem. To bardzo pilne.

Zawahał się, a potem zmiękł.

- Dobrze, ale proszę poczekać tutaj, panno Jardin.

W innej sytuacji, gdyby miała lepszy nastrój, pewnie by za nim poszła, ale tej nocy chciała tylko się stąd wydostać. Kiedy się odwróciła, spostrzegła w środku Gabe'a. Już chciała go zawołać, ale w tym samym momencie spostrzegła mężczyznę stojącego razem z nim. To był Carl Maitland. Upuściła kieliszek z winem, cofnęła się o krok i przykryła usta ręką, wydając okrzyk zdumienia.

To Gabe był tamtej nocy z Maitlandem! Gabe, a nie Cole! Teraz przypomniała sobie, że Cole'a widziała z Maitlandem wcześniej, za dnia! To pewnie dlatego obraz, jaki stanął jej przed oczyma, był taki wyraźny, tak klarowny. Ale wtedy, w nocy, to był Gabe. Jak mogła ich tak pomylić? Nagle przypomniały się jej słowa tego francuskiego psychiatry, który twierdził, że pamięć może wracać chronologicznie albo urywkami pozbawionymi sensu.

Gabe zauważył ją. Ułożył usta jak do uśmiechu, natychmiast jednak zbladł, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Wiedział, że sobie przypomniała. I Maitland, on także już wiedział. Poczuli na sobie jego wzrok, a potem zobaczyła, jak idzie do niej szybkim, zdecydowanym krokiem. Gabe chciał go powstrzymać, ale Maitland gwałtownie go odepchnął. Wtedy Remy zaczęła biec, biec jak zwierzę, które przeczuwa niebezpieczeństwo i ucieka, bo wie, że to jego jedyna szansa.

Próbowała zgubić się w tłumie wypełniającym parkiet, ale szybki rzut oka przez ramię uzmysłowił jej, że Maitland chce przeciąć jej drogę i zmierza w stronę głównego wejścia. Nie, nie zdążyłaby przed nim.

Zmieniając kierunek, dostrzegła boczne wyjście prowadzące do korytarzy otaczających salę. Zawahała się. Co teraz? Nie mogła myśleć, kręciło się jej w głowie. Nic dziwnego, że Gabe nie chciał iść na policję w sprawie Charliego, nic dziwnego, że nie chciał wysuwać żadnych oskarżeń przeciwko Maitlandowi, przeciwko swojemu

wspólnikowi, nic dziwnego, że chciał przyspieszyć załatwienie sprawy z towarzystwem ubezpieczeniowym i nic dziwnego, że tak chętnie zwałił całą winę na Cole'a.

Cole. W niewielkiej niszy w ścianie wypatrzyła rząd telefonów. Podbiegła do nich i chwyciła słuchawkę najbliższego. Nie miała drobnych, więc zamówiła rozmowę na jego koszt

- Proszę cię, bądź w domu, bądź w domu... - szepotała, wsłuchując się w sygnał po drugiej stronie.

- Tak? - Niski, chrapliwy głos. Cole.

- Cole, tu Remy Ja... - Ostry trzask odkładanej słuchawki. Spojrzała ze zdumieniem na telefon. Rzucił słuchawką! Zawahała się i pospiesznie wykręciła numer jeszcze raz. Kiedy odpowiedział, zaczęła mówić szybko i treściwie:

- To był Gabe, nie ty. Przypomniałam sobie dopiero teraz, kiedy zobaczyłam go z Maitlandem. Proszę cię, nie odkładaj słuchawki. Myliłam się. Nie jesteś w to zamieszany, teraz już wiem.

- Twoje wyznania są trochę spóźnione, Remy.

- Nie! - wykrzyknęła - Jeszcze nie jest za późno! Oni wiedzą, że sobie przypomniałam, że znam całą prawdę. I że wiem, co się stało z Charliem Aikensem. Myślę, że to Maitland go zabił. Teraz ściga mnie. Nie mogę iść na policję. Gabe powie im, że zwariowałam. Amnezja, pobicie, przekona ich i uwierzą, że jestem paranoiczką, schizofreniczką, czymś takim. To pobicie to było ostrzeżenie od Maitlanda, chciał, żebym milczała. Boże, paplam jak idiotka! - Roześmiała się histerycznie i odrzuciła głowę do tyłu, starając się odpędzić strach.

- Gdzie jesteś, Remy?

- W ratuszu, na balu Comusa.

- Zostań tam. Zaraz przyjadę.

- Nie mogę. On mnie szuka...

- I zdaje się, że cię znalazł. - Ktoś chwycił ją za rękę i wyrwał słuchawkę. Remy odwróciła się i zamarła, spoglądając w zimne oczy Maitlanda, powiększone przez okulary w złotej oprawie. Wykręcił jej ramię i szarpnął do góry. Jęknęła z bólu.

- Nie krzycz, Remy - ostrzegł ją zimnym, bezbarwnym głosem. - Nie chciałbym posiniaczyć twojej ślicznej buzi, zwłaszcza że te stare ślady goją się tak dobrze. A wynosić cię stąd, bo niby się upiłaś? To byłoby niezwykle zenujące, prawda? Rozumiesz, o czym mówię, kochanie?

- Tak - wychrypiała Remy.

- To dobrze. A teraz pójdziemy na mały spacer. Bardzo powoli i spokojnie. Dobrze?

Skinęła głową.

Przy wejściu stali ochroniarze w garniturach; mieli pilnować, żeby nie weszli tu niewłaściwi ludzie. Czyżby Maitland sądził, że uda mu się tak koło nich przejść? Jak im wytłumaczy, dlaczego ją w ten sposób trzyma? A może myślał, że będzie szła jak trusia? Gdyby udało się jej wzbudzić w nich jakieś podejrzenia, gdyby kazali mu ją puścić, mogłaby zacząć uciekać.

Wyprowadził ją z wnęki do tylnego korytarza. Nie pchnął jej w stronę głównego wejścia, nie - szli w odwrotnym kierunku. Dokąd?

Po chwili znałajuz odpowiedź: szli do bocznych drzwi, które otwierały się tylko od wewnątrz. Maitland wyprzedził ją, zdjął metalową sztabę, otworzył drzwi, zacisnął rękę na jej ramieniu i wypchnął Remy na dwór.

Znalazła się w głębokim cieniu budynku i ogarnęło ją chłodne powietrze nocy. Usłyszała trzask automatycznie zamykanych drzwi i poczuła, jak Maitland napiera na nią ciałem.

- Dokąd mnie prowadzisz?

- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy wybrać się na małą przejażdżkę.

A więc parking. Na parkingu będą jacyś ludzie. Ale i tym razem ruszyli w przeciwną stronę, ani na chwilę nie wychodząc z cienia. Usłyszała dzwonienie samochodowych kluczyków i zobaczyła czarne BMW zaparkowane tuż przy tylnym wejściu do budynku. Serce jej zamarło.

Maitland, jakby wyczuwając to, szepnął:

- To już tutaj, kochanie, zaparkowałem bliżej. To bardzo dogodne, prawda?

- Nie ujdzie ci to płazem, Maitland - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

Młasnął językiem.

- Naprawdę, Remy, to brzmi jak tekst z jakiegoś kiepskiego filmu.

- Nie uda ci się - powtórzyła, starając się, żeby jej głos nie zabrzmiał tak rozpaczliwie, jak się czuła. - Najpierw Charlie, teraz ja. Czy nie będzie to zbyt podejrzane?

- Czytałaś wczorajszą gazetę? Jest tam artykuł o młodej dziewczynie, która zmarła na skutek przedawkowania narkotyków. Była świetną studentką, pochodziła z dobrej rodziny, nie pomyślałabyś, że należała do dziewcząt, które nałogowo biorą kokainę. Zamieścili ot, taką sobie króciutką wzmiankę. Kiedy ją przeczytałem, pomyślałem sobie, co by nawypisywali, gdyby ta dziewczyna pochodziła z zamożnej, ustosunkowanej rodziny. To mogłoby skłonić policję do podjęcia intensywniejszej walki z handlarzami narkotyków, prawda?

- Moja rodzina nigdy w to nie uwierzy.

- Nie będą mieli żadnego wyboru - uciął ostro, ale natychmiast złagodniał. - Poza tym, rodzina zawsze dowiaduje się ostatnia, bo nigdy nie podejrzewa, że *ich* dziecko może być narkomanem. Dopiero, jak przedstawi się im niepodważalne dowody...

- Nie... - szepnęła w stłumionym proteście.

- Nie będzie tak źle, Remy. Pomyśl tylko, jak przyjemnie będziesz umierać.

Nie mogła wsiąść z nim do samochodu. Musiała jakoś uciec, musiała. Zdała sobie sprawę, że chcąc otworzyć drzwi, Maitland będzie musiał albo ją puścić, albo nadal trzymać, manewrując kluczykami lewą ręką. Tak czy inaczej, miała teraz szansę - być może ostatnią.

Poprowadził ją do drzwi pasażera, szarpnął, zmuszając Remy do zatrzymania się, po czym ustawił ją pod odpowiednim kątem do samochodu. Nie, nie miał zamiaru zmieniać rąk, wzmógł tylko uścisk, jak przedtem. Ból, czuła doskwierający ból. Próbowwała o nim nie myśleć.

Zadzwończyły kluczyki. Maitland pochylił się nad zamkiem. Zagryzła dolną wargę i spojrzała na jego nogi.

Kopnęła tak mocno, jak tylko mogła, ze wszystkich sił, celując w kolano.

Omal nie upadł. Usłyszała jęk i poczuła, że ma wolny nadgarstek. Zaczęła biec, unosząc ręką przód długiej sukni z tafty, nie zważając na ukłucia tysięcy igieł, które zdawały się maltretować jej ramię.

Usłyszała, jak klnie:

- Ty suko...

Trzasnął drzwiami. Spojrzała za siebie i zobaczyła, że ją goni; w szklach okularów i na lufie jego pistoletu igrały refleksy światła bijące z sali balowej.

Biegła przed siebie, na oślep. Ulicajeżdżiły samochody. Spróbować któryś zatrzymać? Czy ktoś jej pomoże, czy tylko doda gazu i popędzi dalej? A jeśli spróbuje, czy Maitland jej nie dogoni? Obejrzała się. Wciąż za nią biegł, nieco kulał, ale biegł, i wciąż trzymał w rękę pistolet. Musiała uciekać.

Park. Meandry ścieżek, gęste zarośla, spokojne stawy - tam mogła się schować. Tam go zgubi.

Uciekała od świateł ulicy, szlochając za każdym oddechem. Zbawcza ciemność parku była tuż tuż, coraz bliżej, wreszcie Remy zanurzyła się w mrok, a jej buty natychmiast zagłębiły się w trawę. Potknęła się i upadła. Całe ciało miała w ogniu. Przez krótką chwilę leżała tak, oddychając z trudem, niepewna, czy zdoła się podnieść. Ale wstała, zatrzymując się na moment, żeby zdjąć buty na wysokim obcasie. Potem ruszyła w ciemność. Szła teraz wolniej i mocno przytrzymała spódnice, żeby tafta tak głośno nie szeleściła.

Ktoś stłumił pod nosem przekleństwo. Remy zamarła. Był gdzieś blisko. Bardzo blisko. Tylko gdzie? Poszukała oczami i w ciemnościach dostrzegła jakiś ruch. Tak, ktoś tam szedł. W zaroślach z tyłu zauważyła coś jakby wąskie przejście. Krok za krokiem zaczęła iść w tamtą stronę. Zobaczy ją? Dostrzeże w mroku błysk jej wyszywanego cekinami gorsetu?

Wtedy ktoś ją chwycił od tyłu. Krzyknęła, odwróciła się, chciała się wyrwać. Ale tamten trzymał mocno.

- Przestań, Remy! Przestań! - Potrząsnęła nią, bo wciąż krzyczała. - Słyszysz? Przestań!

Coś do niej dotarło. Ten głos, te ręce, okruchy obrazów w jej pamięci... Spojrzała na twarz mężczyzny.

- To ty. - Na widok ojca aż się cofnęła. - To ty mnie wtedy pobiłeś. To z tobą posprzeczałam się w Nicei. - Pokiwała wolno głową, nie chcąc w to uwierzyć, nie chcąc pamiętać. - Dlaczego?

- Nie chciałem - szepnął. - Ale inaczej byś nie posłuchała, nie zrozumiałabyś. Stracilibyśmy wszystko. Wall Street... ten nieudany interes z nieruchomościami w Teksasie... Wtedy zaryzykowałem i wszystkie pieniądze, jakie tylko mieliśmy, zainwestowałem w pewne przedsięwzięcie, które organizował Maitland. Kiedy nie wypało, Maitland musiał nas spłacić. Tylko tyle, nic więcej. I pograliśmy tak, żeby mógł nam te pieniądze zwrócić.

- My? Ty i Gabe? - I wtedy sobie przypomniała. - Nie, nie tylko, prawda? Marc też, i Lance. Wy wszyscy.

- Na Boga, przecież nikomu nic się nie stało!

- Tylko Charliemu i Cole'owi - odparła.

- Buchanan jest jak kot Zawsze wylądował na cztery łapy. Charlie... to była twoja wina.

- O Boże... - Opuściła głowę, żeby na niego nie patrzeć. I odsunęła się, chcąc być od ojca jak najdalej.

Spomiędzy krzewów dobiegł ostrzegawczy szept:

- Frazier...

Ojciec zaczął się odwracać, zwalniając uścisk na jej ramieniu. Wtedy z cienia wyszedł Cole, grzmotnął go w szczękę prawą ręką i Frazier upadł jak ścięty. Cole chwycił Remy i spojrzał na nią swymi stalowymi oczami, w których błyszczały wesołe ogniki.

- Już od dawna miałem ochotę to zrobić. - Pociągnął ją za sobą. - Chodź, idziemy stąd.

- Maitland gdzieś tu jest. On ma broń, Cole.

Cole puścił kwiecistą wiązkę nader dobranych przekleństw.

Od strony ulicy dobiegło ich wycie policyjnych syren.

- Cole...

- Tak, przed wyjściem z domu zadzwoniłem na policję. - Prowadził ją powoli wzdłuż żywopłotu. - Niestety, jadą do ratusza. Może zdołamy wykiwać Maitlanda, skręcając...

W tym momencie z zarośli na wprost nich wyszedł Maitland. Tuż przed sobą ujrzeli krótką, ale paskudnie wyglądającą lufę pistoletu.

- No i kogóż my tu widzimy? - szepnął zimno. - Jak myślicie, co się zaraz wydarzy? Może dojdzie do sprzeczki zakochanych? Ona go już nie chce, a on, rozwścieczony, zabija niewdzięczną, a potem popełnia samobójstwo. Brzmi prawdopodobnie, co?

Cole zrobił krok do przodu i zasłonił Remy własnym ciałem.

- Owszem, ale musiałbyś podejść dostatecznie blisko, żeby na skórze zostały mi ślady prochu. No to podejźdź, chodź, Maitland. Chyba się nie boisz? - mówił, kiwając na niego palcem.

- Carl, nie! - Usłyszeli krzyk starego Jardina, który wyszedł z zarośli kilka stóp od nich. Miał przerażoną twarz. - Boże, przecież to moja córka! Nie możesz tego zrobić!

- No to spróbuj mnie powstrzymać, Frazier - odparł z pogardą Maitland. - Tylko jak to zrobisz, skoro nawet z nią ci się nie udało? Powinienem był pamiętać, że Jardinowie nigdy nie mieli odwagi dokończyć tego, co zaczęli. No, ale ja odwagę mam.

W krzakach rozległ się suchy trzask gałęzi. Maitland odwrócił się w stronę źródła dźwięku i Cole runął na niego, podbijając mu uzbrojoną rękę do góry. Zwarli się ze sobą, szarpali, z lufy pistoletu trysnęła w niebo oślepiająca struga ognia i rozległ się huk. W chwili gdy Remy spostrzegła, jak broń Maitlanda zatacza w powietrzu wysoki łuk, z zarośli wypadł Gabe.

- Pistolet! - krzyknął Cole. - Znajdź go, Remy!

Upadł gdzieś w trawę, tam, niedaleko. Podbiegła, zaczęła gorączkowo szukać w niskiej, przystrzyżonej trawie. Poczowała na skórze zimne dotknięcie metalu i zacis-

nęła palce na broni. Kiedy wstała i się odwróciła, tuż przed sobą ujrzała Gabe'a.

Wahał się przez sekundę, a potem wyciągnął rękę.

- Daj mi ten pistolet, Remy.

Zrobiła niepewnie krok do tyłu i pokręciła głową.

- Do diabła Remy, przecież nie pozwoliłbym mu cię skrzywdzić. Starałem się go powstrzymać. A teraz daj mi pistolet.

Nagle obok niej znalazł się Cole. Dysząc jak po ciężkim biegu, wyjął broń z rąk Remy. Kątem oka zobaczyła światła licznych latarek poruszające się w mroku: przybyła policja.

29

Dzwony katedry wybijały północ, obwieszczając koniec karnawału i początek postu. Remy zadrżała lekko, spoglądając na nagie gałęzie dwóch wysokich drzew rosnących na małym podwórku otoczonym ceglany murem.

Usłyszała odgłos kroków na kamiennych płytach i odwróciła się w stronę przeszklonych drzwi. Stał w nich Cole. Wszedł do patio i w milczeniu podał jej kieliszek brandy. Wzięła go, upiła łyk, a potem znów zaczęła kontemplować noc.

- Jechałam do ciebie. Miałam zamiar wyjechać z Nicei następnego ranka - powiedziała, przypominając sobie teraz wszystko z doskonałą klarownością. - Kiedy oskarżyłeś moją rodzinę o ten szwindel z ropą i kiedy się tak o to pokłóciliśmy, nie wierzyłam ci, mimo że przecież pamiętałam tamtą noc, kiedy widziałam czerwonego Porsche'a Gabe'a zaparkowanego na przystani. Tak, nawet zatrzymałam się, żeby zobaczyć, co on tam robi... Chciałam wierzyć, że potrzebowaliście wody do kąpieli i do gotowania. Ale kiedy w Nicei powiedziałam to Gabe'owi, kiedy powiedziałam to im wszystkim, oni...

- Wiem - odrzekł Cole, wpatrując się w bursztynowy trunek w kieliszku.

- Wysłuchałam ich argumentów, wszystkich usprawiedliwień. Tak czy inaczej - mówili - Towarzystwo stało u progu bankructwa. Tak to widzieli, więc wyciskali z firmy jak najwięcej pieniędzy, wszelkim kosztem. Niszczyli Crescent Line i nic ich to nie obchodziło. - Słū-

miła szloch. - Wydawało mi się, że ich znam, Cole. To przecież moja rodzina. Ale rozmowa z nimi, sam ich widok... Boże, jak to bolało...

- Wiem.

Westchnęła, zdając sobie sprawę, że nigdy nie opuści jej świadomość zawiedzionego zaufania, zawiedzionej miłości.

- Wiedziałam... wiedziałam, że muszę ich powstrzymać. Musieliśmy razem przejść Towarzystwo, ty i ja. To był jedyny sposób, żeby je ocalić. - Zamilkła. - I nadal jest.

- To nie będzie łatwe, Remy.

- Łatwe! - Roześmiała się na dźwięk tego słowa. - To będzie koszmarne, obrzydliwe, ale trzeba to zrobić.

Popatrzył na nią spod oka łagodnym, taksującym spojrzeniem.

- Teraz mówisz jak prawdziwa pani Donovan.

Uśmiechnęła się lekko.

- Może...

- Wiesz, że mogłabyś się z nimi dogadać - zauważył. - Przepisałiby na ciebie swoje udziały, zrezygnowaliby z członkostwa w radzie nadzorczej, a ty wycofałabyś skargę, którą dziś przeciwko nim wniosłaś.

- Tak, myślałam o tym - przyznała. - Ale jeżeli raz pójdziesz na kompromis, to czy się w ogóle zatrzymasz? I jak bym to im wytłumaczyła? Miałabym powiedzieć, że robię to po to, żeby uniknąć walki o władzę? A może żeby uniknąć skandalu i nie dopuścić do kompromitacji nazwiska Jardinów? Charlie zginął, pomagając kobiecie, która nazywała się Remy Cooper, nie Remy Jardin. Czas już, żeby nazwisko Jardin przestało tyle znaczyć.

- A może czas, żeby zaczęło znaczyć jeszcze więcej?

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

- Może i tak.

Stuknął kieliszkiem w jej kieliszek, a potem delikatnie objął ją ramieniem i mocno przytulił.